

Joanna Chmielewska

Wszystko czerwone

SPIS OSÓB

żywych, martwych i poszkodowanych

1. ALICJA - wstrząsająco gościnna pani domu.
2. ZOSIA - przyjaciółka Alicji, zaproszona do niej na nudny urlop.
3. PAWEŁ - syn Zosi, młodzieniec po maturze, zaproszony na wakacje.
4. EDEK - dawny wielbiciel Alicji, zaproszony na później.
5. LESZEK - przyjaciel Alicji, przybyły bez zaproszenia.
6. ELŻBIETA - córka Leszka, samodzielna młoda dama, bawiąca przejazdem.
7. EWA - piękna kobieta, zamieszkała na stałe w Danii, żona Duńczyka.
8. ROJ - mąż Ewy, nadludzko wielbiący żonę.
9. ANITA - dziennikarka przystosowana do urozmaiconego życia.
10. HENRYK - duński mąż Anity, człowiek anielsko spokojny.
11. PAN MULDGAARD - duński policjant, mówiący po polsku.
12. KAZIO - ofiara uczuć do Elżbiety.
13. FACET W CZERWONEJ KOSZULI - postać tajemnicza, płacząca się po wydarzeniach.
14. WŁODZIO - przyjaciel Alicji, zaproszony ogólnie.
15. MARIANNE - szwajcarska żona Włodzia, zaproszona z nim razem.
16. AGNIESZKA - antagonistka Elżbiety, zaproszona z konieczności.
17. CIOTKA - duńska staruszka obdarzona nadmiarem wigoru, wcale nie zapraszana.

18. KANGURZYCA - idiotka z Australii, objawiająca się tylko telefonicznie w niewłaściwych chwilach.
19. GRETA - duńska kuzynka Alicji, budząca kontrowersyjne zdania.
20. BOBUŚ - dawny przyjaciel, później wróg Alicji, przybyły z Anglii.
21. BIAŁA GLISTA - flama Bobusia, przybyła z Polski.
22. PANI HANSEN - sprzątaczką Alicji, niewinna ofiara nazwiska.
23. THORSTEN - siostrzeniec Alicji, młodzieniec niezwykle sympatyczny.
24. OBCY CZŁOWIEK, PRZYPADKOWO WIEZIONY NA ŁEBKA.
25. LILIAN - znajoma Alicji, kobieta rzadkiej urody.
26. HERBERT - syn przyjaciół Alicji, zesłany z nagłą przez Opatrzność.
27. ANNE LIZE - żona Herberta.
28. AUTORKA - przyjaciółka Alicji, zaproszona na wcześniej.

- Allerød to wcale nie znaczy „wszystko czerwone” - powiedziała z niezadowoleniem Alicja. - Nie wiem, skąd ci taki idiotyczny pomysł przyszedł do głowy.

Były to niemal pierwsze słowa, jakimi powitała mnie, kiedy wysiadałam z pociągu w Allerød. Stałyśmy przed stacją i czekałyśmy na taksówkę. Gdyby umiała przewidzieć najbliższą przyszłość, zapewne zaprotestowałaby przeciwko tłumaczeniu znacznie gwałtowniej.

- Tylko co? - spytałam - „Rød” to jest czerwony, a „alle” to wszystko.

- Można wiedzieć w jakim języku?

- Pośrednim, między niemieckim i angielskim.

- A, pośrednim... Słuchaj no, co ty masz w tej walizce?!

- Twój bigos, twoją wódkę, twoje książki, twój wazonik, twoją kiełbasę...

- Swojego nic nie masz?

- Owszem, maszynę do pisania. „Rød” to jest czerwony i koniec, postanowiłam!

- Nic podobnego. „Rød” to jest takie coś jak poręba. Taki wyrąbany las. Takie coś w tym rodzaju, takie że rosło, usunęli i nie ma.

Nadjechała taksówka i przy pomocy kierowcy upchnęłyśmy się w środku razem z moimi bagażami na te trzy minuty drogi, której przebycie piechotą potworny ciężar walizki całkowicie wykluczało. Nie przestałam upierać się przy swoim.

- „Rød” to jest czerwony i wszyscy o tym wiedzą, a o porębie nikt nie słyszał. Skoro usunęli i nie ma, to nie ma o czym mówić. Allerød to jest wszystko czerwone...

- Sama jesteś czerwona. Sprawdź sobie w słowniku i nie mów

bredni - zirytowała się Alicja.

Była w ogóle wściekła i zdenerwowana, co rzucało się w oczy. Nie zdążyłam dowiedzieć się dlaczego, bo całą drogę zajęło nam wszystko czerwone, potem zaś okazało się, że w domu kłębi się tłum ludzi i nie ma żadnej możliwości spokojnie porozmawiać, szczególnie że wszystkim czerwonym w mgnieniu oka zaraziłam całe towarzystwo. Tłumaczenie, ku wzmożonej furii Alicji, znalazło powszechne uznanie.

- Rozłokuj się, umyj, rób, co chcesz, tylko nie zawracaj mi teraz głowy - powiedziała niecierpliwie. - Zaraz przyjdzie reszta gości...

Bez zbytniego trudu pojęłam, że trafiłam do Allerød akurat na zebranie towarzyskie średnich rozmiarów, dość długo jednak nie mogłam się zorientować, kto jest gościem stałym, a kto chwilowym. Informacji udzielił mi Paweł, syn Zosi, naszej wspólnej przyjaciółki, która stanowczo odmówiła konwersacji z kimkolwiek, do nieprzytomności zaabsorbowana przygotowaniem odpowiednio wytwornego posiłku.

- Jak myśmy przyjechali, to Elżbieta już była - powiedział. - I jest. Edek przyjechał zaraz po nas, trzy dni temu, a Leszek dzisiaj rano. Z wizytą przychodzą cztery sztuki, Anita z Henrykiem i Ewa z tym, jak mu tam, Rojem. Alicja jest wściekła, matka jest wściekła, a Edek jest pijany.

- Bez przerwy?

- Zdaje się, że tak.

- A ta Sodoma i Gomora dzisiaj to z jakiej okazji?

- Oblewanie lampy.

- Jakiej lampy?!

- W ogrodzie. To znaczy na tarasie. Alicja dostała ją w prezencie imienninowym od Jensa czy kogoś tam innego z rodziny i musiała zainstalować. Duńskie oblewanie już było, dzisiaj jest nasze, rodzime...

Reszta gości przybyła i z zaciekawieniem przyjrzałam się Ewie i

Anicie, których nie widziałam prawie dwa lata. Obie wypiękniały. Anita była bardzo opalona, Ewa przeciwnie, zrobiona na blado, tak że drobna, szczupła Anita z wielką szopą czarnych, kędzierzawych włosów robiła przy niej wrażenie Mulatki. Jej mąż, Henryk, zazwyczaj spokojny i dobroduszny, wydał mi się jakby z lekka zdenerwowany. Roj, mąż Ewy, wysoki, chudy, bardzo jasny, błyskał w uśmiechu pięknymi zębami i patrzył na żonę jeszcze czulej niż przed dwoma laty. Pomyślałam sobie, że widocznie Ewa pięknieje w atmosferze tkliwych uczuć, Anita zaś w atmosferze zdenerwowania i awantur.

Uroczystość w pełni rozkwitu przeniosła się po kolacji na taras. Obiekt kultu świecił czerwonym blaskiem na wysokości nieco mniej niż metr, oświetlając wyłącznie nogi siedzących wokół osób. Wielki, płaski klosz, z wierzchu czarny, nie przepuszczał najmniejszego promyka, tak że głowy i popiersia tych osób tonęły w głębokim mroku, za ich plecami zaś panowała ciemność absolutna. Samotne, wyeksponowane, purpurowe nogi, pozbawione swoich właścicieli, wyglądały nieco dziwnie, ale nawet dość efektownie.

Po namyśle doszłam do wniosku, że ta osobliwa instalacja miałaby swój głęboki sens, gdyby Alicja bodaj przez chwilę posiedziała pod lampą w gronie gości. Nogi miała najlepsze ze wszystkiego i powinna je pokazywać przy każdej okazji, któż inny bowiem miał to czynić? Zosia, Anita i Elżbieta były w spodniach. Ewa miała kieckę prawie do kostek i wysokie lakierowane buty, pozostawałam ja, ale na mnie jedną marnować całą lampę to doprawdy zbyt duża rozrzutność! Alicja stanowczo powinna...

Alicja jednak bez chwili przerwy krążyła pomiędzy kuchnią a tarasem, z masochistycznym uporem obsługując towarzystwo. Złapałam ją w drzwiach.

- Usiądź wreszcie, na miłosierdzie pańskie - powiedziałam ze

zniecierpliwieniem. - Niedobrze mi się robi, jak tak latasz. Wszystko jest, a jak będą chcieli jeszcze czegoś, to sami sobie wezmą.

Alicja usiłowała wydrzeć mi się z rąk i oddalić w kilku kierunkach równocześnie.

- Sok pomarańczowy jest w lodówce - pomamrotała półprzytomnie.

- Ja przyniosę - zaoferował się Paweł, który nagle zmaterializował się w mroku obok nas.

- No widzisz, on przyniesie. Usiądź wreszcie, do wszystkich diabłów!

- Otworzy lodówkę i będzie się gapił... No dobrze, przynieś, tylko nie zagląдай do środka!

Paweł błysnął w ciemnościach spojrzeniem, które miało jakiś dziwny wyraz, i zniknął w głębi mieszkania. Oprócz czerwonego kręgu pod lampą świeciło się tylko światło w kuchni, za zasłoną, spoza której padał niekiedy blask na pokój. Reszta tonęła w czerni.

Zawlokłam Alicję na taras i upchnęłam w fotelu, zaintrygowana uwagą.

- Dlaczego miałby się gapić do lodówki? - spytałam z zainteresowaniem, siadając obok. - Masz tam coś takiego...?

Alicja z westchnieniem wyraźnej ulgi wyciągnęła nogi i sięgnęła po papierosy. Pomiedzy fotelami stały rozmaite przedmioty, służące jako podręczne stoliki.

- Nic nie mam - odparła niecierpliwie. - Ale jej nie wolno otwierać na długo, bo potem zaraz trzeba rozmrażać. Trzeba sięgnąć i wyjąć. A on otworzy i będzie się przyglądał, i będzie szukał tego soku...

Z mroku wynurzyły się nagle nogi Pawła, pod lampą zaś pojawiła się jego ręka z butelką mleka.

- Coś ty przyniósł? - powiedziała z niezadowoleniem Zosia. - Paweł,

nie wygłupiaj się, czekamy na sok pomarańczowy!

- O rany - zmartwił się Paweł. - Nie trafiłem. Alicja kazała nie patrzeć.

- Nie, nie patrzeć, tylko spojrzeć i wyjąć - powiedziała Alicja, usiłując się podnieść. - Mówiłam, że tak będzie!

- Mówiłaś, że będzie odwrotnie. Siedź, do diabła!

- Siedź - poparła mnie Zosia. - Ja przyniosę.

- Nie - zaprotestował Paweł. - Już teraz trafię, tam nie ma dużego wyboru.

- Zostawcie to mleko, Henryk się chętnie napije! - zawołała Anita.

- Jak te twoje klamerki pięknie wyglądają w tym świetle - mówiła równocześnie Ewa. - Jak rubiny...

W cichym zazwyczaj i spokojnym domu w Allerød panowało pandemonium. Jedenaście osób miotało się wokół czczonej lampy i w czarnej przestrzeni między kuchnią i tarasem. Z uwagi na obecność dwóch tubylców, Roja i Henryka, rozmowy toczyły się w kilku różnych językach jednocześnie. Nie mogłam pojąć, komu i jakim sposobem udało się doprowadzić do takiego najazdu, i wykorzystując panujący hałas, spróbowałam uzyskać od Alicji jakieś informacje.

- Upadłaś na głowę i specjalnie zaprosiłaś wszystkich na kupę, czy też to jest jakiś kataklizm? - spytałam półgłosem, nie kryjąc dezaprobaty.

- Kataklizm! - zdenerwowała się Alicja. - Nie żaden kataklizm, tylko każdy uważa, że ma prawo do fanaberii! Ja miałam rozplanowane po kolei, ale im akurat tak było wygodnie! Teraz jest kolej na Zosię i Pawła i tylko oni przyjechali we właściwym czasie. Edka przewidywałam na wrzesień, a ty, nie wymawiając, miałaś przyjechać w zeszłym miesiącu! Co jest teraz?

- Środek sierpnia.

- No właśnie! Miałaś przyjechać w końcu czerwca.

- Miałam, ale nie mogłam. Zakochałam się.

- A Leszek...

Alicja nagle urwała i spojrzała na mnie ze zdumieniem widocznym nawet w ciemnościach.

- Co zrobiłaś?! - spytała, jakby nie wierząc własnym uszom.

- Zakochałam się - wyznałam ze skruchą.

- Mało ci było...?! Zwariowałaś?!

- Możliwe. Co ja ci na to poradzę...

- W kim?!

- W jednym takim. Nie znasz człowieka. Zdaje się, że to właśnie ten blondyn mego życia, którego mi wróżka przepowiadała. Bardzo długa historia i kiedy indziej ci opowiem. A Leszek i Elżbieta skąd?

- A Leszek... Czekał, a on co? Z wzajemnością się zakochałaś?

- Chyba tak, chociaż nie śmiem w to wierzyć. Wiesz, że ja mam pecha. A Leszek i Elżbieta?

- A Leszek... Czekał i co? Odkochałaś się i dlatego teraz mogłaś przyjechać?

- Przeciwnie. Ugruntowałam się w uczuciach i dlatego teraz mogłam przyjechać. A Leszek i Elżbieta?

- Kto to taki?

- Na litość boską, nie znasz Leszka i Elżbiety? Ojciec i córka, tu siedzą na twoich oczach. Krzyżanowscy się nazywają...

- Idiotka. Ten twój, pytam, kto to taki. Leszek akurat przybył jachtem na kilka dni, a Elżbieta przyjechała oddzielnie z Holandii. Też tylko na kilka dni, w przyszłym tygodniu jedzie do Sztokholmu. Możliwe, że popłynie z ojcem, nie wiem. Ściśle biorąc wcale ich nie zapraszałam.

Gdybym ich mniej lubiła, trafiłby mnie szlag.

- A dlaczego Edek przeniósł się z września na teraz? Ja przynajmniej mam powód, a on?

- A on podobno ma mi do powiedzenia coś niesłychanie ważnego i pilnego, z czym nie mógł poczekać. Od trzech dni nie miał okazji wyjaśnić, o co mu chodzi.

- Dlaczego nie miał okazji?

- Bo mu się nie udało wytrzeźwieć...

Z mieszanymi uczuciami przyjrzałam się wyciągniętym nogom Edka. Siedział w fotelu odsuniętym nieco dalej od lampy i w purpurowym świetle widoczne były tylko jego buty i nogawki spodni do kolan. Buty i nogawki trwały spokojnie i nie robiły wrażenia pijanych, ale wiedziałam, że w tym wypadku pozory mają wszelkie prawo mylić. Podstawową czynnością Edka przez całe niemal życie było nadużywanie alkoholu i tylko dlatego Alicja zrezygnowała swymi czasy z młodzieńczych uczuć i trwalszego związku, poprzestając na milej przyjaźni. Być może teraz uczucia zaczynały się odradzać...?

- Nadal tak chła? - zaciekawiałam się, bo Edek interesował mnie także z innych względów. - Nie przeszło mu?

- A skąd! Połowę tego, co przywiózł, zdążył już sam wytrąbić!

Od śmierci Thorkilda minęło już tyle czasu, że właściwie Alicja miała prawo zainteresować się kimś innym. Jeśli jednak te promile Edka zraziły ją przed laty, to niby dlaczego miałyby przestać razić ją teraz? Co prawda, zawsze miała do niego słabość... Wszystko jedno zresztą, słabość i promile to jej prywatna sprawa, ja miałam inny powód do interesowania się Edkiem. Bardzo mi zależało na tym, żeby bodaj na chwilę wytrzeźwiał.

Usiłowałam jeszcze spytać Alicję, czy nie domyśla się, co też takiego ważnego Edek chciał jej powiedzieć, ale to już było niewykonalne. Zanim

zdążyłam zaprotestować, opuściła fotel koło mnie i znikła w mroku. Paweł i Zosia ciągle jakoś nie mogli znaleźć soku pomarańczowego. Anita poszła im pomóc w poszukiwaniach, Ewa przypomniała sobie nagle, że właśnie dzisiaj kupili kilka puszek różnych soków, których nie zdążyli wyjąć, i pogoniła Roja do samochodu. Sok pomarańczowy nadlatywał ze wszystkich stron, urastał do rozmiarów wodospadu Niagara, absorbował wszystkie umysły i w ogóle wydawało się, że na tym świecie nie ma nic innego, tylko sok pomarańczowy. Zgoła nie zdziwiłabym się, gdyby nagle zaczął padać w postaci deszczu.

Znalazła go wreszcie Alicja nie w domu, tylko w składziku, gdzie trzymała zapasy piwa. Z sokiem się trochę uspokoiło, ale za to Elżbieta poczuła się głodna, przyniosła sobie kanapki, bardzo apetyczne, i zaraziła głodem Pawła i Leszka. Alicja, zdenerwowana nieco działalnością Anity w kuchni, znów porzuciła taras i popędziła sama dorobić więcej kanapek. Zosia zaczęła szukać następnego słoika kawy, Ewa zażądała dla Roja ekstramocnych do spróbowania, bo podobno ktoś przywiózł. Anita przez pomyłkę nalala Henrykowi piwa do mleka...

Wieczór wyraźnie się rozkręcał. Wszyscy wykazywali przerażającą ruchliwość i rzadko spotykaną gorliwość w donoszeniu rozmaitych przedmiotów, wszyscy prezentowali niesłychaną inwencję w wymyślaniu nowych pragnień i potrzeb. Pod czerwoną lampą trwały nieruchomo tylko trzy pary butów. Dwie z nich należały do Leszka i Henryka, którzy siedzieli obok siebie, konwersowali w dziwnym, niemiecko-angielskim języku o wadach i zaletach różnych typów jachtów i zajęci byli sobą tak, że nie zwracali uwagi na resztę towarzystwa, trzecia zaś do Edka. Edek również nie opuszczał swojego miejsca, pod ręką miał wielkie pudło, zastawione zapasem napojów i używał ich bez wyboru i bez ograniczeń.

- Alicja! - ryknął nagle, przekrzykując panujący hałas, przy czym w ryku jego dźwięczała wyraźna nagana. - Alicja!!! Dlaczego ty się

narażasz?!!!

Pytanie zabrzmiało tak dziwnie, a przy tym tak potężnie, rozległo się gdzieś w tych ciemnościach tak nieoczekiwanie, że wszyscy nagle zamilkli. Edek, ryknąwszy, też zamilkł i zapanowała cisza. Alicja nie udzielała odpowiedzi z tego prostego powodu, że nie było jej na tarasie.

- Znów się zalał - mruknęła niechętnie Zosia skądś od strony domu.

- Alicja!!! - ryknął znów Edek i łupnął głucho szklanką z piwem w wierzch pudła, chlapiąc wokół. - Alicja, do ciężkiej cholery, dlaczego ty się narażasz?!!!

Nogi zawiadomionej widocznie o występie Edka Alicji pojawiły się nagle w czerwonym świetle. Edek usiłował się podnieść, ale opadł z powrotem na fotel.

- Alicja, dlaczego ty się...??!!

- Dobrze, dobrze - powiedziała uspokajająco Alicja. - Edek, nie wygłupiaj się, obudzisz całe miasto.

- Dlaczego ty się narażasz? - ciągnął Edek z uporem, tonem pełnym potępienia, tyle że nieco już ciszej. - Dlaczego ty przyjmujesz takie osoby?! Pisałem ci przecież...!

Eksplozja dobrego wychowania na nowo napełniła hałasem mrok nad czerwonym kręgiem. Całe zgromadzenie, zorientowane w stanie Edka, gwałtownie usiłowało go zagłuszyć, nie mając pojęcia, co też on może jeszcze powiedzieć, i ze względu na Alicję starając się tego na wszelki wypadek nie usłyszeć. Wysiłki dziewięciu osób uwieńczyło powodzenie, głos Edka zginął w ogólnym wrzasku. Leszek wykrzykiwał do Henryka coś o jakiejś rufie, Anita natrętnie namawiała wszystkich do spożycia dwóch ostatnich kanapek, Zosia głosem Walkirii żądała, żeby Paweł otworzył butelkę piwa...

Alicja przysiadła na poręczu fotela Edka.

- Przestań się wygłupiać, tu jest Dania, tu się nie krzyczy...

- A ja ci pisałem, żebyś uważała! No, pisałem ci przecież!

- Możliwe, ale ja nie czytałam.

- Alicja, woda się gotuje! - zawołała Elżbieta z ciemności.

- Ja ci to zaraz powiem -upierał się Edek. - Jak nie czytałaś mojego listu, to ja ci to zaraz powiem! Jemu też powiem!... Dlaczego ty nie czytałaś mojego listu?...

- Bo mi gdzieś zginął. Dobrze, powiesz mi, ale przecież nie teraz!

- Owszem, ja powiem teraz!

- Dobrze, teraz, niech będzie, tylko zaczekaj chwilę, zrobię ci kawy...

Słuchałam tych fragmentów dialogu nietaktownie i z nadzwyczajnym zainteresowaniem. Alicja poszła robić kawę. Pomogłam jej z nadzieją, że prędeej wróci i Edek powie coś więcej. Potem trzeba było jeszcze donieść śmietankę, cukier, słone paluszki, więcej piwa, więcej koniaku, szwajcarskie czekoladki i polski sernik, papierosy i owoce. W drzwiach materializowały się i znikwały niewyraźne sylwetki, pod lampą pojawiały się i znikwały purpurowe nogi. Edek dostał kawy, uspokoił się i zamilkł, wyczerpany widocznie krótkim, acz energicznym przedstawieniem.

- A w ogóle to jeszcze nie koniec - powiedziała nerwowo Alicja, siadając koło mnie. - Jeszcze przyjadą Włodzio i Marianne.

- Dobry Boże! Też do ciebie?!

- Też do mnie. Jeżeli Elżbieta i Leszek wyjadą przedtem, to będę ich miała gdzie położyć, ale jeśli nie, to chyba im wynajmę hotel. Lada dzień zabraknie mi bielizny pościelowej... Co gorsza, nie wiem, kiedy przyjadą, bo są w podróży.

- Gdzie są w podróży? - spytałam mechanicznie, najazd na Allerød oszołomił mnie bowiem gruntownie i już sama nie wiedziałam, co mówię.

W gruncie rzeczy było mi całkowicie obojętne, gdzie przebywają Włodzio i Marianne, przerażające było, że mają przybyć tu.

- Zdaje się, że gdzieś w Belgii.

- A, to rzeczywiście po drodze. Wiadomo, że Dania leży w prostej linii na trasie między Belgią i Szwajcarią.

- Oni nie wracają jeszcze do Szwajcarii, wybierają się do Norwegii.

Czy on śpi?

Spojrzałam na czerwone, nieruchome nogi Edka.

- Chyba tak. Te pokazy go zmęczyły. Będziesz go budzić czy zostawisz tak, jak jest, żeby tu spał do rana?

- Nie mam pojęcia. Ciekawe, co on do mnie napisał...

- A w ogóle dostałaś od niego jakiś list?

- Dostałam. Rzeczywiście, nie zdążyłam go przeczytać, bo mi gdzieś zginął. Ktoś mi przeszkodził akurat, jak przyszła poczta, i gdzieś go położyłam, nie wiem gdzie. Usiłowałam go znaleźć przed jego przyjazdem, ale mi się nie udało. Pojęcia nie mam, o co mu może chodzić. Po pijanemu jest zupełnie nieobliczalny.

Zastanowiłam się, czy powinnam jej od razu powiedzieć, jaki interes mam do Edka sama. Możliwe, że to coś, co mnie ciekawi, ma związek z tym czymś, co Edek próbował wykrzyczeć. Możliwe, że Alicja również coś wie... Po namyśle postanowiłam zaczekać. Cokolwiek bym jej powiedziała w tej chwili, z pewnością niczego nie zapamięta. Potem i tak będę musiała powtarzać drugi raz. Nie, na razie szkoda fatygi...

Hasło do zakończenia uroczystości dała Ewa tuż przed północą ku wyraźnemu żalowi wszystkich gości. Alicja zapaliła światło po drugiej stronie budynku, nad drzwiami koło furtki, i wreszcie było coś widać. Cała gromada, wyjąwszy Edka, wyległa wśród pożegnalnych okrzyków na ulicę, obok samochodów Roja i Henryka. Śpiący Edek został pod lampą.

- No, nareszcie spokój! - powiedziała zmęczonym głosem Zosia, kiedy wróciliśmy na taras. - Zostaw, ja posprzątam. Paweł, bierz się do roboty! I zapal światło w pokoju, to tu będzie widniej. Alicja, ty to zostaw, ty się zajmij Edkiem.

- Edka zostaw sobie raczej na koniec - poradziłam, ustawiając na tacy filizanki. - Lepiej mu przedtem przygotować legowisko i od razu przekopać na miejsce do snu.

- Oddajcie mi Pawła, pomoże mi przenieść pościel - powiedziała Alicja z westchnieniem. - Chwała Bogu, że nie ma nic więcej do oblewania!

Elżbieta pod wpływem ojca przystąpiła do zmywania. Posprzątałyśmy na tarasie, Leszek i Paweł wnieśli do pokoju część krzeseł i foteli i pomogli Alicji w przemeblowywaniu domu na noc.

- Kto śpi na katafalku? - spytałam półgłosem Zosię, usuwając występujące w charakterze stolików pudła.

- Edek - odparła Zosia również półgłosem, żeby Alicja nie słyszała. - Ale myślę, że chyba lepiej będzie położyć go dzisiaj tu, na kanapie. Do katafalku trzeba by go wlec albo po schodach, albo przez trzy pokoje.

- Idź to zaproponować Alicji...

Katafalk stał na podwyższeniu w dwupoziomowym atelier Thorkilda, dobudowanym do reszty domu, i nie był prawdziwym katafalkiem, tylko niesłychanie skomplikowanym łóżkiem dla chorych, nabytym niegdyś z myślą o goszczeniu osób dotkniętych niedowładem. Wysokość tej maszyny, na którą trzeba się było wspinać bez mała jak na górne miejsce w slipingu, nasuwała nieodparcie skojarzenia z gromnicami i wonią kadzidła. Było to miejsce do spania raczej mało przytulne, acz nadspodziewanie wygodne, Alicja czuła dziwną awersję do nadanej mu przez nas nazwy, unikaliśmy zatem określenia przy niej tego

legowiska mianem katafalku, co przychodziło nam z dość dużym trudem.

- Może macie rację - powiedziała teraz niepewnie, patrząc z daleka na Edka, śpiącego w jednym z pozostałych na tarasie foteli z przechyloną w tył głową. - Rzeczywiście, na kanapę będzie prościej.

- To kto będzie spał na katafalku? - zainteresował się Paweł. - Tfu, chciałem powiedzieć na postumencie...

- Paweł! - wykrzyknęła Zosia z wyrzutem, widząc błysk w oczach Alicji.

- No, tego, na tym stole porodowym - poprawił się Paweł pospiesznie. - To znaczy nie, na stole operacyjnym...

- Paweł...!

- No to ja już nic nie mówię...

- A kto spał przedtem na kanapie? - spytałam gromko, żeby im przerwać te nietakty.

- Elżbieta - odparła Zosia z ulgą. - Elżbieta się przeniesie na to podium... to znaczy. Chciałam powiedzieć, na to... łóżko.

- Elżbieta! - zawołała Alicja, wyraźnie przygnieciona komplikacjami. - Będiesz spała w trumnie?

- Mogę spać - odpowiedziała Elżbieta z kamiennym spokojem, pojawiając się w wejściu do kuchni z talerzem w ręku. - Gdzie masz trumnę?

- W atelier.

- Jakiś nowy nabytek? - spytała Elżbieta z grzecznym i umiarkowanym zaciekawieniem. - Nic takiego nie zauważyłam.

- Katafalk - wyjaśniła Alicja zgryźliwie. - Skoro oni to uważają za katafalk, to ja mogę pójść krok dalej, prawda?

- A, katafalk! Proszę bardzo, mogę spać na tym pomniku. Mnie się

nigdy nic nie śni. Czy mam spać w pościeli Edka?

- Niekoniecznie, chyba że chcesz...

W dziedzinie opieki nad pijanymi nie mam żadnego doświadczenia i w ogóle zupełnie się, do tego nie nadaję, a poza tym byłam zmęczona po podróży i miałam całkowicie dość życia towarzyskiego, nie było mnie zatem na tarasie, kiedy Alicja, Leszek i Zosia przystąpili do budzenia i transportowania Edka. Wybiegłam z domu dopiero na krzyk Zosi, w drzwiach zderzając się z Pawłem.

W padającym z pokoju świetle widać było wyraźnie jego śmiertelnie bladą, uniesioną ku górze twarz, nieruchomą, bezwładnie opadłą rękę i również nieruchome, szeroko otwarte, wpatrzone w czarne niebo oczy.

Edek był martwy...

* * *

Niewyspani po niesłuchanie męczącej nocy siedzieliśmy wszyscy przy śniadaniu, wpatrzeni w napięciu na Alicję, która odebrała właśnie kolejny telefon od władz śledczych. Władze śledcze nie ustawały w kontaktowaniu się z nami z wyraźnym i bezrozumnym upodobaniem. Od wpół do drugiej w nocy do piątej rano straszliwy tabun policji kłębił się w domu i ogrodzie, szukając niesprecyzowanego na razie narzędzia zbrodni i usiłując porozumieć się z nami po duńsku. Rezultaty tych usiłowań były raczej mierne. Nikłą pociechę stanowiła myśl, że równocześnie ktoś inny uszczęśliwia atrakcyjnymi pytaniami także i tamtych czworo, wyrwanych ze snu w Rosklide i Hvidovre.

Zbrodnia była niewątpliwa. Śmiertelną ranę zadano od tyłu, coś przebiło marynarkę i koszulę i pomiędzy żebrami dosięgło serca. Nigdzie w pobliżu zwłok nie znaleziono niczego, co mogłoby pasować jako narzędzie mordu. Od przerażonych, spłoszonych, wstrząśniętych

przyjaciół ofiary nie udało się niczego dowiedzieć. Na nikim nie udało się skupić żadnych podejrzeń.

Stopień naszego oszołomienia wydarzeniami był różny. Alicja trzymała się niezłe, głównie dzięki obecności podpory w postaci Leszka, będącego dla niej od lat najcenniejszym z przyjaciół. Szlochanie mu w kamizelkę wyraźnie jej pomogło. Leszek i Elżbieta zachowywali filozoficzny spokój, stanowiący zapewne ich cechę rodzinną. Zosia była kompletnie wytrącona z równowagi i wszystko leciało jej z rąk, zachwycony sensacją Paweł z dużym wysiłkiem starał się ukryć zachwyt, ja zaś z różnych przyczyn czułam się całkowicie zdeglustowana. Nie po to przyjechałam do Allerød na kilka tygodni, żeby zaraz na samym wstępie natykać się na zwłoki.

Kolejny telefon niezwykle uprzejmym władz powiadał właśnie Alicję o dalszych szczegółach.

- Został dziabnięty fachowo, od tyłu, jakimś specjalnym, cienkim, ostrym i niezbyt długim sztyletem - powiedziała z westchnieniem, odkładając słuchawkę.

- Rożen...! - wyrwało się Pawłowi.

- Odczep się od rożna, dobrze? - mruknęłam niechętnie.

- Nie żaden rożen, tylko sztylet - odparła równocześnie Alicja. - Możliwe, że sprężynowy, nie wiem, czy istnieją sprężynowe sztylety, ale oni tak podejrzewają. Zaraz tu przyjadą, żeby go poszukać, bo w nocy im się źle szukało. Będzie śledztwo. Jedźcie prędzej.

- Skąd wiedzą, że sztylet, i to sprężynowy, skoro w Edku nic nie było? - spytała Zosia z niesmakiem.

- Ślad wygląda jakoś tam typowo. Jedźcie prędzej...

- Myślisz, że wskazane będzie udławić się do razu, hurtem? Bez tego będą mieli za mało roboty?

- Jedzcie prędzej... - powiedziała z jękiem Alicja, najwyraźniej niezdolna do żadnej myśli poza pragnieniem pozbycia się jakoś nas i stołu, rozstawionego prawie na środku pokoju.

Zjedliśmy prędzej, acz z nikłym apetytem, i doprowadziliśmy pomieszczenie do porządku. Mogliśmy jeść w tempie dowolnie ślamazarnym, duńskie gliny bowiem przyjechały dopiero po półtorej godzinie. Ciekawiło mnie, jak też w końcu dadzą sobie z nami radę.

* * *

Wszystkie komplikacje językowe minionej nocy spowodowały, że do prowadzenia śledztwa wytypowany został niejaki pan Muldgaard, bardzo szczupły, bardzo wysoki, bardzo bezbarwny i bardzo skandynawski. Pan Muldgaard, którego stopień służbowy na zawsze pozostał dla nas tajemnicą, posiadał w rodzinie jakichś polskich przodków, w związku z czym władał polskim językiem. Istniała nadzieja, że zdoła się z nami jakoś porozumieć. Opanowany przezeń język wydawał się dość oryginalny, zdradzał niekiedy naleciałości jakby biblijne i stał w niejkiej sprzeczności z przyjętą w Polsce powszechnie gramatyką, niemniej jednak dawało się go zrozumieć. Pan Muldgaard rozumiał nas znacznie lepiej niż my jego, co dla władz było bez porównania ważniejsze. Wrażenie robił sympatyczne i wszyscy szczerze życzyliśmy mu sukcesów.

Przyjechał z niewielką grupką współpracowników, których od razu rozproszył po domu i ogrodzie, polecając szukać cienkiego i ostrego przedmiotu ze stali. Nas wszystkich zebrał przy długim, niskim stole w środkowym, największym pokoju, sam ulokował się w fotelu z wielkim notesem w ręku i rozpoczął śledztwo od początku. Alicja została oddelegowana do asystowania przy rewizji, tak więc wokół stołu siedziały wyłącznie osoby nie znające języka duńskiego. No i pan Muldgaard mówiący po polsku...

- Azali były osoby mrowie a mrowie? - spytał z uprzejmym, wręcz nieurzędowym zainteresowaniem, przystępując do rzeczy.

Zgodnie wytrzeszczyliśmy na niego oczy. Paweł jakoś dziwnie prychnął. Zosia zastygła z papierosem w jednej i zapalniczką w drugiej ręce. Leszek i Elżbieta, szalenie podobni do siebie, zapatrzyli się w niego nieruchomym wzrokiem z jednakowo nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nikt nie odpowiadał.

- Azali były osoby mrowie a mrowie? - powtórzył cierpliwie pan Muldgaard.

- Co to znaczy? - wyrwało się Pawłowi z nadzwyczajnym zaciekawieniem.

- Moim zdaniem, on pyta, czy dużo nas było - powiedziałam z lekkim powątpieniem.

- Tak - przyświadczył pan Muldgaard i uśmiechnął się do mnie życzliwie. - Ile sztuki?

- Jedenaście - odparł łagodnie i uprzejmie Leszek.

- Kto były owe?

Przystosowując się z pewnym trudem do formy pytań, niepewni, jakim językiem należy odpowiadać, podaliśmy mu personalia wszystkich obecnych w czasie zbrodni. Pan Muldgaard sobie notował. Uzgodniliśmy czas przeniesienia się na taras i sprecyzowaliśmy stopień zażyłości z Edkiem. Następnie zaczęło się trudniejsze.

- Co robiły one? - spytał pan Muldgaard.

- Dlaczego tylko my? - zaprotestowała Zosia z oburzeniem i pretensją w przekonaniu, iż pytanie odnosi się wyłącznie do kobiet.

- A kto? - zdziwił się pan Muldgaard.

Leszek wykonał w kierunku Zosi uspokajający gest.

- My też - odpowiedział. - On ma na myśli nas wszystkich. Mówmy

po kolei, co kto pamięta.

- Ja nogi - oświadczył stanowczo i bez namysłu Paweł. - Pamiętam same nogi.

- Jakie nogi? - zainteresował się pan Muldgaard.

Paweł popatrzył na niego, jakby nieco stropiony.

- Nie wiem - powiedział niepewnie. - Prawdopodobnie czyste...

Pan Muldgaard przyglądał mu się ze zmarszczoną brwią i w głębokiej zadumie.

- Dlaczego? - spytał stanowczo.

Paweł spłoszył się ostatecznie.

- O rany, nie wiem. No, bo to chyba myją, nie? Tu wszyscy myją nogi...

- Paweł, na litość boską...! - krzyknęła zdenerwowana nagle Zosia. Z ulgą pomyślałam sobie, że co za szczęście, że nie ma tu żadnego z moich synów.

Pan Muldgaard robił wrażenie człowieka, który cierpliwie zniesie wszystko.

- Dlaczego same nogi? - spytał. - A reszta kadłuba nie?

- Nie - powiedział pospiesznie Paweł. - Na nogach była lampa, a reszta kadłuba była w ciemno.

Wyglądało na to, że sposób wypowiedzania się pana Muldgaarda jest dość zaraźliwy. Nie kryjąc niezadowolenia, Zosia spróbowała skorygować potomka.

- Paweł, przestań! Ciemno było na góra kadłuba... Tfu! Powiedzcie to jakoś po polsku.

- Zejdźmy może z tego kadłuba - zaproponował Leszek. - My to panu po prostu pokażemy...

Po dokonaniu prezentacji lampy pan Muldgaard całkiem rozsądnie zażądał odtworzenia dekoracji. Ustawiliśmy krzesła i fotele tak samo jak wczorajszego wieczoru, po czym całe śledztwo przeniosło się na taras. Udało nam się w pewnym stopniu uzgodnić, gdzie kto siedział. Przed oczami stanęły mi buty w czerwonym blasku i postanowiłam się włączyć.

- Panie Leszku, pana i Henryka mamy właściwie z głowy - oświadczyłam bez wahania, po czym zwróciłam się do pana Muldgaarda: - obaj, ten pan i Henryk Larsen, przez cały wieczór nie ruszyli się z miejsca, co mogę stwierdzić pod przysięgą. Siedzieli i rozmawiali. Sama widziała.

- A pani ruszała się? - spytał pan Muldgaard z tak silnym akcentem na „się”, że przez moment miałam wrażenie, iż podejrzewa mnie o jakieś epileptyczne drgawki i to właśnie pragnienie przede wszystkim wyjaśnić. Opanowałam wrażenie.

- Jasne, że się ruszałam. Kilka razy. Chodziłam po cukier, po papierosy, pomagałam Alicji robić kawę... Ale za każdym razem, wracając, widziałam ich nogi. A w ogóle siedzieli koło mnie.

Zaczynając od domu i licząc zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara, siedzieli kolejno: Elżbieta, Edek, Leszek, Henryk, ja, Alicja, Roj, Anita, Zosia i Paweł. Siedzieli czysto teoretycznie, w praktyce nie tylko błakali się tam i z powrotem, ale także zajmowali cudze fotele. Jedynie Leszek i Henryk ani na chwilę nie opuścili swoich miejsc, co zgodnie zaświadczyli wszyscy. Pan Muldgaard, badając szczegóły topograficzne, sprawdził, czy przypadkiem Leszek nie mógł zabić Edka nie wstając z fotela, i po nader wnikliwych próbach wykluczył tę możliwość. Tym bardziej nie mógł tego uczynić Henryk, który siedział dalej. Istotnie, tych dwóch mieliśmy z głowy.

Odliczywszy także Edka, pozostawało osiem osób, wśród których należało szukać mordercy. Chyba, że ktoś z zewnątrz... Kogoś z zewnątrz

nie można było wykluczyć. W tych ciemnościach i w tym zamieszaniu do ogrodu mogło wejść czterdziestu rozbójników i nikt by ich nie zauważył. Czemuż jednak ci rozbójnicy mieliby mordować akurat Edka, który przyjechał do Danii po raz pierwszy w życiu przed czterema dniami, spędził te dni na nadużywaniu alkoholu i nikomu jeszcze nie zdążył się narazić? Przez pomyłkę...?

Pan Muldgaard przyjrzał nam się z uwagą i dość podejrzliwie. Następnie po licznych, ciężkich i całkowicie bezskutecznych, wysiłkach zmierzających do ustalenia, kto, co i kiedy robił i gdzie się w jakim momencie znajdował, przystąpił do szukania motywu zbrodni.

- Azali nie miłowała jego jaka osoba? - spytał z naciskiem, nie odwracając od nas bacznego spojrzenia.

Zatkało nas wszystkich radykalnie. Odpowiedź na tak sformułowane pytanie wydawała się całkowicie niemożliwa. Na upartego można było oświadczyć, że owszem, miłowała go Alicja, ale po pierwsze miałyby to niewiele wspólnego z prawdą, po drugie zaś wszystko wskazywało na to, że pan Muldgaard pyta raczej, czy ktoś nie żywił do Edka niechęci. Nikt taki nie przychodził nam na myśl. Edek na ogół dawał się lubić i na trzeźwo był człowiekiem uroczym i pełnym wdzięku.

- Nie - powiedział Leszek, oprzytomniawszy po długiej chwili milczenia. - wszyscy go lubili.

Pan Muldgaard zamyślił się, po czym zadał następne pytanie, wysoko kwalifikujące jego instynkt śledczy.

- Była może jaka incydent? Ten wieczór alibo przódy?

- O rany boskie...! - jęknął z akcentem podziwu i zachwyty Paweł, roziskrzonym wzrokiem wpatrzony w usta pana Muldgaarda. Zachłannie i wręcz w napięciu oczekiwał każdej jego następnej wypowiedzi, delektując się formą i nie bacząc na treść.

- Paweł, zamknij się wreszcie - powiedziała mechanicznie Zosia, zdenerwowana dla odmiany raczej treścią.

Pan Muldgaard przeniósł wzrok na nią i z niej na Pawła.

- Ta dama - upewnił się - to wasza mać?

Sama zaczęłam zachłannie oczekiwać każdej następnej wypowiedzi pana Muldgaarda. Poczułam, że jestem świadkiem rzeczy jedynych w swoim rodzaju. Paweł starannie unikał spojrzenia matki. Zosia najwyraźniej wolała nie patrzeć na syna.

- Tak - powiedziała nagle życzliwie i ze współczuciem Elżbieta. - To jest jego mać.

- Elżbieta...! - jęknął Leszek.

Pan Muldgaard wrócił do tematu.

- Incydent. Była jaka alibo nie?

Patrzyliśmy na niego, nie chcąc, na wszelki wypadek, spoglądać za siebie. Niezdecydowanie gęstniało w powietrzu. Nikt jakoś nie miał ochoty ujawniać wydarzeń poprzedniego wieczoru bez porozumienia z Alicją. Czy dziwaczny występ pijanego Edka mógł mieć w ogóle jakiś sens i jakieś znaczenie? Ona go znała najlepiej...

Nagle doszłam do wniosku, że nie można z tym dłużej zwlekać, i nie zważając na wrażenie, jakie to może uczynić, postanowiłam uzgodnić z nią rzecz natychmiast.

- Zaraz wrócę - oświadczyłam, nie wdając się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia, i opuściłam taras, zanim pan Muldgaard zdążył zaprotestować.

Alicję znalazłam w atelier, rozplaszczoną na czworakach, z głową pod katafalkiem. Czasu miałam mało, od razu więc uznałam, że prościej będzie samej się tam wczołgać niż próbować ją wyciągnąć.

- Ty, słuchaj - powiedziałam do jej łokcia, usiłując wyplątać włosy z

jakiś elementów konstrukcyjnych. - Doszliśmy do incydentów, które zaszły alibo nie. Nie wiemy, czy mu powiedzieć o tych krzykach Edka. Co o tym myślisz?

- Właśnie nie wiem - odparła Alicja okropnie rozzłoszczona, głosem przytłumionym zarówno furją, jak i pozycją. - Myślałam, że może tu gdzieś wleciał. Za cholerę nie mogę go znaleźć. Myślałam, że może oni znajdą przypadkiem, ale też nie. Gdzie on, do diabła, może być?!

- Na litość boską, kto?!

- Ten list od Edka, który zginął. Nie wiem, co on tam napisał.

- Ale nie możemy czekać z odpowiedzią, aż go znajdziesz. Zdecyduj się, mówimy mu prawdę czy nie?

Alicja cofnęła łokieć i z pewnym trudem odwróciła się do mnie twarzą.

- Jaką prawdę? - spytała nieufnie.

- No przecież ci tłumaczę! On pyta, czy były jakieś incydenty, a my wszyscy milczymy z głupim wyrazem twarzy. Masz tu samych wiernych przyjaciół. Przyznajemy się czy nie?

- No przecież ci mówię, że właśnie nie wiem! Chciałam przedtem znaleźć ten list!

- Mamy mu powiedzieć, że odpowiemy na pytanie dopiero, jak ty znajdziesz list?

- No nie... Nie wiem. Sama nie wiem. Jak uważasz?

- Ja też nie wiem. Ale jak my nie powiemy, to mogą powiedzieć tamci. Roj, Henryk... To są Duńczycy, powiedzą prawdę bez chwili namysłu.

- Nie rozumieli, co krzyczał.

- Ewa i Anita mogły im przetłumaczyć.

Alicja nagle poderwała głowę i też zaplątała się włosami w konstrukcję.

- Anita!... Masz rację, Anita powie. Gdzie ja go mogłam położyć...? Trzeba powiedzieć, że był pijany.

- Po pijanemu człowiek miewa przyływy szczerości. Ważne jest, czy to w ogóle coś znaczyło, bo ja mam obawy, że tak. Nie wiem, ile chcesz ujawnić.

- Hej! - wrzasnął znienacka Paweł gdzieś na naszych tyłach. - Czy to już zawsze będzie tu widać tylko nogi bez reszty kadłuba?

- Czego on chce? - mruknęła niechętnie Alicja. - Nie rozumiem, co on mówi.

- Ja rozumiem. Czego chcesz?!

- Ja nic nie chcę. To ten facet chce, żebyście obie przyszły! Przerwał konferencję i czeka!

Odczepiliśmy głowy od dna katafalku i zaczęliśmy się wyczolgiwać na świat. Alicja się nagle zdecydowała.

- Dobrze, o krzykach mówimy, tego się nie ukryje. Ale o liście ani słowa. A w ogóle to bredził po pijanemu...

Pan Muldgaard dowiedział się zatem, że owszem, był incydent. Pijany Edek zrobił niezrozumiałą awanturę, wnosząc pretensje do Alicji, jakoby utrzymywała niestosowne znajomości. O jakie znajomości mu chodziło, nie mamy pojęcia i nie podtrzymujemy jego zdania. Wszystkie znajomości Alicji wydają nam się jak najbardziej na miejscu.

Dalsze badanie doprowadziło do tego, iż pan Muldgaard szczerze wyznał, że w istniejącej sytuacji wykrycie zbrodniarza wydaje mu się nad wyraz trudne i zgoła wątpliwe, nie należy jednak tracić nadziei. Na następny wieczór zapowiedział eksperyment śledczy, polegający na odtworzeniu wydarzeń, uprzejmie prosząc o zgromadzenie w Allerød

niezbędnych gości. Doprowadził tym Alicję do stanu bliskiego apopleksji.

Późnym popołudniem oddalił się wreszcie wraz ze swoją ekipą i mniej więcej trzema kilogramami rozmaitych stalowych przedmiotów, wśród których znalazły się szpikulce do fondue, nożyce krawieckie, fragment starego świecznika i stalowa taśma miernicza, z zamiarem sprawdzenia, czy coś z tego da się dopasować do Edka. Sztyletu żadnego nie znaleziono.

W Allerød zapanował względny spokój. Wykończeni nadmiarem rozrywek goście rozleźli się po różnych zakamarkach i taktownie zajęli własnymi sprawami, usiłując na nowo nabrać sił w przewidywaniu dalszych wątpliwych atrakcji następnego dnia. Oszołomienie zbrodnią trwało nadal. Alicja stanowczo zapowiedziała, że w razie telefonów nie ma jej w domu i nie wiadomo, kiedy wróci.

Zgadzało się to nawet dość nieźle z rzeczywistością, obie bowiem zajęte byłyśmy wycinaniem pokrzyw w odległym kącie ogrodu, starając się wykorzystać resztki dziennego oświetlenia i przekonując się nawzajem, że fizyczna praca dobrze wpłynie na naszą psychikę. Za pokrzywami znajdował się podobno pień, który miałam wyciąć czy wygrzebać do spółki z Pawłem. Wycinaniem zasłaniających go całkowicie pokrzyw Alicja życzyła sobie zająć się osobiście, miała bowiem w stosunku do nich jakieś zamiary. Ze skąpych i dość chaotycznych wyjaśnień zrozumiałam, że postanowiła je zaparzyć, albo może zalać spirytusem, w celu trucia mszyc, czy czegoś w tym rodzaju. Nie wnikałam w szczegóły, było mi wszystko jedno, co chce z tym zrobić, bo nie mszyce miałam teraz w głowie.

Gwałtowna śmierć Edka dotknęła mnie niejako osobiście. Wyjechałam z Warszawy w trzy dni po nim z mocnym postanowieniem zadania mu pewnego pytania. Odpowiedź na to pytanie interesowała nie tylko mnie, ale także kogoś jeszcze, i to, co gorsza, kogoś, komu za nic w

świecie nie chciałabym zrobić zawodu. Pytanie było niewinne, odpowiedzi mógł udzielić wyłącznie Edek, i nikt inny, i udzieliłby jej niewątpliwie, gdybym zdążyła go zapytać. Nie zamierzałam zresztą ukrywać, w jakim celu pytam. W ogóle rzecz cała była prosta, łatwa i niewinna, tyle że wymagała drogi bezpośredniej, nie zaś korespondencyjnej czy telefonicznej. No i pewnego pośpiechu.

A teraz nagle wszystko się skomplikowało i zrobiło wręcz podejrzane...

- Pojąć nie mogę, komu ten Edek tutaj przeszkadzał - powiedziałam z gniewem. - To było cholerne świństwo, tak go zniecka zadźgać! Że też o takich rzeczach nie wie się z góry!

Alicja wyprostowała się z pękiem pokrzyw w rękę.

- On coś wiedział - powiedziała w zamyśleniu. - Cały czas od przyjazdu robił jakieś takie uwagi. Koniecznie chciał mi coś powiedzieć.

Moje zainteresowanie tematem gwałtownie wzrosło.

- Nie tylko tobie, zdaje się. Nie wiesz, co to mogło być takiego?

Alicja nagle jęknęła, machnęła pokrzywami, oparzyła się w nogę i jęknęła rozpaczliwiej.

- Co za kretynka ze mnie, że mu nie pozwoliłam powiedzieć! Nie dałam mu dojść do słowa! Traktowałam go jak pijanego! Nie słuchałam, co mówił! Jak skończona idiotka, nie miałam czasu...!

- Daj sobie spokój z tymi wyrzutami, w końcu on był rzeczywiście pijany. Kto mógł przewidzieć, że go szlag trafi tak z dnia na dzień!

- A teraz już nic nie powie...

- No pewnie, że nie powie, zwariowałaś? Gdyby cokolwiek powiedział teraz, też byś nie słuchała, tylko uciekała w panice. Komu on jeszcze chciał to powiedzieć?

- Komu?

- Jakiemuś jemu. Powiedział przecież: „Jemu też powiem”.

- A rzeczywiście. Przytrzymaj tu nogą... Komu?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Myślałam, że ty się domyślasz. Odniosłam wrażenie, że machnął ręką i pokazał kierunek. Stałaś obok, powinnaś widzieć na kogo.

- Cały czas machał rękami. Ciemno było. Kretyński pomysł z tą lampą. Zdaje się, że pokazał gdzieś między tobą a Ewą.

- Obie jesteście żeńskiej płci i żadna z nas nie była w spodniach - powiedziałam z niesmakiem, w ostatniej chwili unikając poparzenia twarzy następnym pękiem pokrzyw, którymi Alicja zamiotła mi przed nosem. - Czy nie mogłabyś usuwać tego zielska mniej energicznie? Reumatyzmu już się pozbyłam. Przez dwa tygodnie gryzły mnie czerwone mrówki.

- Dlaczego czerwone mrówki? - spytała Alicja z wyraźnym roztargnieniem.

- Bo akurat takie były tam, gdzie byłam...

- Czekaj. Czerwone mrówki...? Coś mi się kojarzy...

- Pewnie. Mrówki czerwone. Wszystko czerwone...

- Czekaj. Czerwone mrówki... Czy Zosia nie wie czegoś o Edku? Zdaje się, że słyszałam od niej o czymś takim. Właśnie jakby czerwone mrówki...

- Zosia może coś wiedzieć, widywała przecież Edka w Polsce. Trzeba ją spytać. A co z tym listem?

- Przepadł - powiedziała Alicja z ciężkim westchnieniem. - Musiałabym chyba rozebrać dom na kawałki, żeby go znaleźć. Ktoś mi tu musiał robić porządki, wszystko jest poprzewracane do góry nogami.

- Rewizja była - przypomniałam jej.

- Ale Zosia rzeczywiście może coś wiedzieć. Może on się z kimś

spotykał w Polsce?

W środku drgnęło mi coś, zaskoczone jej nadzwyczajną intuicją. Z przejęcia puściłam przytrzymywane pokrzywy, które oparzyły mnie przez ubranie. Reumatyzm powinnam mieć definitywnie z głowy.

- Wygląda na to, że to coś, co wiedział, to było o kimś - powiedziałam ostrożnie, myśląc równocześnie, że chyba trzeba będzie wtajemniczyć Alicję w tę pierwotnie niewinną, a teraz podejrzaną sprawę.
- I ten ktoś go zaszlachtował. Jak myślisz, ktoś z nas czy obcy?

Alicja przyjrzała mi się nieżyczliwie.

- Jeśli ktoś z nas, to kto? Ty?

- Zwariowałaś? Dlaczego ja?!

- Nie wiem. Ja nie. Możliwe, że ty też nie. Leszek i Henryk odpadają, ja też za każdym razem widziałam ich nogi. To kto? Zosia? Paweł? Elżbieta?

- Jeszcze zostają Anita, Ewa i Roj. Dlaczego ich pomijasz?

Alicja zamilkła na chwilę i w zadumie podrapała się łodygą pokrzywy w łokieć.

- Bo myślę logicznie. On nie miał z nimi nic wspólnego. Nie wierzę, żeby wiedział cokolwiek o kimś z Danii. Mam wrażenie, że tu chodzi o kogoś z Polski, nigdzie przecież nie jeździł. Bądź uprzejma wynieść się stąd na zbity pysk!

Zamurowało mnie na moment.

- Na litość boską, dlaczego?! - spytałam w przerażeniu. - Teraz zaraz?!

- Co? - spytała z roztargnieniem Alicja. - Paszła won! Co mi tu będziesz latała i gryzła!

Ochłonęłam nieco ze straszego wrażenia dopiero na widok jej gestów.

- Myślałam, że mówisz do mnie, i nie wiedziałam, czy mam się wynieść z tych pokrzyw, czy w ogóle z Allerød. Rób może jakieś przerwy, zmieniając rozmówcę!

- Co...? Ach, ty myślałaś, że to do ciebie? A nie, to do tej osy. Moich gości nie traktuję jeszcze tak źle.

- Nie wiem, czy słusznie. Wnioskując z wczorajszych wydarzeń, Edek miał rację. Przyjmujesz u siebie jakieś najzupełniej nieodpowiednie osoby...

Zapadający zmrok oderwał nas od pokrzyw. Pnia nie udało mi się dojrzeć i sama Alicja zaczęła mieć wątpliwości, czy on w ogóle tam jest.

Wyciągnięta na taras i włączona do narady, Zosia zamyśliła się głęboko.

- Nie bardzo rozumiem, o czym wy mówicie - powiedziała z niezadowoleniem, nie kryjąc niechęci do tematu. - Dlaczego czerwone mrówki mają się kojarzyć z Edkiem? Nic takiego sobie nie przypominam... Paweł!

Oderwany od uprawiania korespondencji i również włączony do narady, Paweł okazał się bardziej przydatny. Zastanawiał się tylko przez krótką chwilę.

- A, wiem! - powiedział z przejęciem. - To przez tego faceta w czerwonej koszuli, o którym mówiłem. Nie mrówki, tylko czerwone...

- Rzeczywiście, mówił - przypomniała sobie Zosia. - Paweł widział Edka...

- Co za facet? - przerwała niecierpliwie Alicja. - Ktoś go zna?

Na to pytanie mogłam jej sama odpowiedzieć. Nie ulegało wątpliwości, że nie tylko mnie interesowały personalia owego osobnika, a rzecz polegała na tym, że właśnie nikt go nie znał...

- Nie wiem - powiedziała Zosia. - Paweł...?

- Nie znam go. Przecież wam opowiadałem! Jakiś czas temu, chyba już ze dwa miesiące, widziałem Edka z takim czarnym facetem w czerwonej koszuli. No mówiłem wam przecież!

- Możliwe, że ja niedokładnie słucham - wyznała Alicja. - Kto to był?

- No przecież mówię, że nie wiem. Zdaje się, że obaj byli na bani, to jest, chciałem powiedzieć na cyku... Stali na ulicy i machali rękami na taksówki. To był taki czarny facet, wyglądał na południowca, miał czerwona koszulę i w końcu odjechali taksówką bagażową. Przedtem zatrzymali furgonetkę od węgla i usiłowali do niej wsiąść. Właśnie dlatego im się przyglądałem, że byłem ciekaw, co jeszcze zrobią...

Paweł urwał, przyjrzał się nam i dodał ostrożnie:

- Nie chciałem się wtrącać, ale może już wiecie, kto go zabił?

- Co ma do rzeczy ten facet w czerwonej koszuli? - Skrzywiła się Zosia z niesmakiem.

- Na razie jeszcze nie wiemy - powiedziałam równocześnie do Zosi i Pawła. - Może wam coś przychodzi do głowy?

- Ja się w ogóle do tego nie chcę wtrącać! - odparła Zosia gwałtownie. - Nie życzę sobie mieć z tym do czynienia! Nie znoszę zbrodni! Nic nie wiem i nic nie chcę wiedzieć!

Alicja ocknęła się nagle z chwilowego zamyślenia.

- Facet w czerwonej koszuli o niczym nie świadczy - zawyrokowała stanowczo. - Edek po pijanemu mógł jeździć furgonem od węgla z byle kim.

Osobiście byłam zdania, że facet w czerwonej koszuli może mieć nadzwyczajne znaczenie. Stanowił zasadniczy element pytania, którego nie zdążyłam zadać Edkowi. Wstrzymałam się na razie z ujawnieniem swojej opinii.

- To nam nic nie daje - ciągnęła Alicja - Nie wiem, po co on chce tu

jutro zrobić na nowo to całe piekło, przecież i tak nikt nic nie pamięta. A propos, czy ja muszę zrobić taką samą kolację? Nie ma nic do jedzenia, jest sobota, nic się nie kupi!

- A może on ma nadzieję, że morderca się rąbnie i też odtworzy swoje wszystkie czynności? - mruknął Paweł.

- Nonsens! - powiedziała gniewnie Zosia. - Bzdura, żadnej kolacji nie robisz! Niech się najedzą w domu!

- Kawę - powiedziałam równocześnie do Alicji. - Ewentualnie tę resztę wódki, której Edek nie zdążył wychlać...

- Wódki mi szkoda.

- No to bez wódki. Piwo. Duński wieczór na samym piwie. Ewa chyba będzie musiała przywieźć sok pomarańczowy...

Nie udało nam się dojść do żadnych sensownych wniosków. Nikt nic nie widział i nie rozumiał. Zosia odmówiła udziału w dalszej konwersacji na temat Edka. Leszek z góry wyłączył się z imprezy, oświadczając, że Edek był dla niego obcym człowiekiem i widywał go raz na parę lat wyłącznie z okazji wizyt u Alicji, Elżbieta wykazywała kamienną obojętność i całkowity brak zainteresowania, Alicja beznadziejnie usiłowała szukać listu.

Ewa oczywiście zapomniała o soku pomarańczowym. I tak już była głęboko przejęta wydarzeniami, a dodatkowo zdenerwowała ją konieczność przybycia na przymusową imprezę w takim samym stroju, co poprzednio. Dwa razy z rzędu mieć na sobie to samo, i to jeszcze w obliczu tych samych osób, to nie było coś, z czym mogłaby się pogodzić bez oporów. Wymagająca tego policja zapewne była zdania, że, być może, ktoś ukrywał sztylet w fałdach odzieży, i chciała sprawdzić dokładnie, czy było to możliwe. Jeśli miała w tym jeszcze jakąś dodatkową myśl, niczym nam jej nie zdradziła.

Pandemonium, jakie zapanowało tym razem, przerosło wszystko. Siedzący na miejscu Edka funkcjonariusz policji, którego zadaniem było we właściwym momencie krzyknąć cokolwiek i lupnąć szklanką w pudło, pomylił momenty i ustawicznie wydawał z siebie dzikie ryki, powodując nerwowe wstrząsy wszystkich obecnych. Wysłany do samochodu po puszkę soku, Roj przyniósł w zastępstwie puszkę oleju silnikowego. Na podręcznych stolikach mieliśmy bez mała z pół tony cukru, mąki i soli w różnych osobliwych naczyniach, każdy bowiem popełniał błędy odwrotne niż w wieczór zbrodni. Przez pomyłkę pamiętał o cukrze zamiast o nim zapomnieć, przyniósł go, po czym, odtwarzając swoje czynności, leciał po niego i przynosił drugi raz. W ten sposób cukru w kuchni w mgnieniu oka zabrakło i byliśmy zmuszeni posługiwać się artykułami zastępczymi. Zabrakło też piwa. Ściśle biorąc, nie tyle piwa, ile zamkniętych butelek, które Paweł powinien był otwierać. Zawartość ostatnich śmiało mogła nam wystarczyć na dwa tygodnie. Duńskie władze śledcze z panem Muldgaardem na czele przyglądały nam się z wyrazem lekkiego popłochu na obliczach.

Jedyny element spokoju wprowadzali Leszek i Henryk, którzy usiedli na swoich poprzednich miejscach i natychmiast pograżyli się w dalszym ciągu piątkowej konwersacji.

Z całego tego piekła jedno wynikało niezbitie. Mianowicie każda z kursujących pomiędzy kuchnią i lampą osób prawie za każdym razem przechodziła za plecami Edka. Każda niosła na ogół jedną rzecz, którąś rękę miała wolną i każda mogła zrobić użytek z porządnie zaostrzonego noża, względnie sztyletu. Zaczęliśmy patrzeć na siebie wzajemnie z odrobiną podejrzliwości i zgrozy.

- Ja stawiam na mężczyznę - oświadczyła konfidencko Anita, obserwując Roja, płaczącego się w mroku ze swoją puszką oleju silnikowego. - Trzeba mieć trochę siły w ręku, żeby to tak załatwić za

jednym zamachem!

- Nie wiem, czy siły, chyba raczej umiejętności - sprostowałam. - Edek był na dobrym gazie. Można było spokojnie macać go po plecach w poszukiwaniu żebra. Nic by nie zauważył.

- Ale przecież on siedział oparty. Jak chciałaś macać, przez fotel?

- Pochylał się do przodu, kiedy sięgał po szklanę.

- Aha, i wykorzystać taki moment? Sięgał często... Potrzebna wprawa i doświadczenie. Kto wie, może masz rację? Kto z nas uprawiał tę profesję? Przyznajcie się, mordowaliście już kiedyś kogoś?

- Joanna parę osób - mruknęła Alicja.

- Dobrze ci mówić - powiedziała równocześnie z pretensją zdenerwowana Ewa. - Możesz sobie stawiać na mężczyznę, skoro Henryk ma alibi. Roj się tam plątał za jego plecami przez cały wieczór!

- Ależ, moja droga, mąż-morderca to przecież jest coś szalenie atrakcyjnego!

Z dostrzeżonego w ciemnościach błysku oka wywnioskowałam, że chyba Ewa zacznie nie lubić Anity. Anita pławiła się w sensacji z wyraźną lubością, jak salamandra w ogniu. Zosia przyglądała się jej z wyrazem twarzy pełnym tłumionej odrazy, co wydało mi się ze wszech miar zrozumiałe. Paweł miał osiemnaście lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, uprawiał sporty i dysponował pełnią sił młodzieńca w rozkwicie. Pomyślałam sobie, że Zosia chyba pierwszy raz w życiu żałuje, iż nie jest matką wątlego i niemrawego dziecka niedojdy...

Czarowny wieczór wreszcie się skończył. Pan Muldgaard wśród tysięcznych przeprosin, ale bardzo stanowczo uszczęśliwił nas informacją, że chwilowo nikomu nie wolno opuszczać Allerød bez porozumienia się z nim osobiście, Ewa, Roj i Anita otrzymali zezwolenie na mieszkanie we własnych domach, ale im z kolei zabroniono na tych

samych warunkach opuszczać Roskilde i Kopenhagę. Opuszczanie granic Danii było kategorycznie wykluczone. Pełnią wolności zostali obdarzeni tylko Leszek i Henryk.

- Przykro mi, moja droga, że cię porzucam w takiej idiotycznej sytuacji - powiedział Leszek ze smutkiem i lekkim zakłopotaniem - Ale jednak muszę odpłynąć. Wątpię zresztą, czybym się na coś przydał, a im mniej będziesz miała tych przymusowych gości, tym lepiej dla ciebie.

Alicja melancholijnie pokiwała głową.

- Przyjadą następni - powiedziała z westchnieniem. - Kiedy chcesz jechać?

- Jeszcze dzisiaj, ostatnim pociągiem. Jutro o świcie odbijamy. Załoga czeka tylko na mnie, nie mogę ich dłużej trzymać.

- A Elżbieta? Nie poczekaś na nią?

- Po pierwsze nie wiadomo, jak długo, ona należy do podejrzanych. A po drugie Elżbieta już dawno jest całkowicie samodzielna i robi, co chce. I tak by ze mną nie wróciła. Mam tylko nadzieję, że to nie ona zamordowała tego Edka...

Pan Muldgaard zbierał swoje manatki i swoich współpracowników. Stałam w progu drzwi na taras i patrzyłam w stronę kuchni, gdzie Elżbieta zatrzymała Alicję. Powiedziała coś do niej. Alicja okazała wyraźne zainteresowanie i natychmiast, w pół słowa, została oderwana od rozmowy koniecznością pożegnania władz. Wyszła na taras, przechodząc przez pokój i koło mnie. Elżbieta wróciła do kuchni i zniknęła w drzwiach łazienki.

Uczyłam krok, żeby również wyjść na taras, i nagle dostrzegłam, że w przedpokoju coś się poruszyło. Pałące się w kuchni i w pokoju światło nie docierało w głąb do małego korytarzyka i w pobliżu drzwi wyjściowych panowały ciemności. Ktoś cicho i ostrożnie wyszedł przez te

drzwi na zewnątrz...

Kiedy obeszłam dom na dookoła i wyjrzałam na ścieżkę, stali tam już wszyscy. Roj i Ewa, Anita i Henryk, Leszek, Zosia, Alicja i Paweł. Policja właśnie odjeżdżała.

Zatrzymałam się w furtce, patrząc na nich i czując się jakoś dziwnie zaskoczona i zaniepokojona. Kto z nich wyszedł przed chwilą z ciemnego przedpokoju tak tajemniczo, cicho i ostrożnie...?

* * *

W poniedziałek po tak oszałamiająco atrakcyjnym weekendzie Alicja uznała za słuszne iść do pracy. Aresztem domowym nikt się specjalnie nie przejął, tyle że zmusiło nas to do wcześniejszego sprecyzowania planów. Uczyniliśmy to poprzedniego wieczoru tuż po rozstaniu się z panem Muldgaardem. Zosia, Paweł i ja postanowiliśmy jechać do Kopenhagi. Zosia miała się potem spotkać z Alicją i razem z nią wrócić do domu, my z Pawłem udać się do Tivoli i wrócić później, Elżbieta zaś zamierzała odwiedzić jakichś przyjaciół i wrócić jeszcze później. Na wszystko to pan Muldgaard bez oporów udzielił zezwolenia, nie wyobrażając sobie zapewne, co potrafimy zrobić z naszymi sprecyzowanymi planami.

Wszelkie zapasy spożywcze w domu zostały pożarte do ostatniej okruszyny, przede wszystkim więc, przed udaniem się do Kopenhagi, obie z Zosią musiałyśmy zrobić jakieś zakupy. Zwiedziłyśmy sklepy w Allerød i wśród innych artykułów nabyłyśmy winogrona, które stanowiły ulubiony przysmak Alicji. Co prawda o tej porze roku były jeszcze bardzo drogie, ale uznałyśmy, że w takiej sytuacji coś jej się od życia należy, i kupiłyśmy je specjalnie dla niej. Umyte i nader dekoracyjnie ułożone, zostawiłyśmy je w misce na niskim stole przed kanapą, po czym opuściłyśmy dom.

Stojąc razem z Pawłem przy stole ruletki w Tivoli, nie przestawałam rozmyślać o morderstwie. Zaczynało mi się coraz bardziej nie podobać.

- Paweł, mów prawdę! - zażądałam zniechęta, uznawszy, że pewne kwestie muszę rozstrzygnąć wprost i bez owijania w bawełnę. - Przeczekuję trzynastkę... Czy to ty utłukłeś tego Edka?

- Dlaczego ja? - oburzył się Paweł, nie odrywając oczu od kręcącego się koła. - To ja przeczekuję dziewiątkę...

Mój pociąg do hazardu przez całe życie był nie do przewyciężenia.

- Który teraz? - spytałam z zainteresowaniem.

- Teraz będzie ósmy.

- To uważaj, bo niedługo może wyjść. Nie wiem, dlaczego ty, jak się okaże, że to ty, to się zacznę dziwić dlaczego. Ja pytam, czy to ty.

- Nie - odparł Paweł dość obojętnie i z lekkim roztargnieniem. - Po diabła miałbym go zabijać? I w ogóle żadnego sztyletu, jak żyję, nie miałem. O rany, będzie trzynastka!

Wbiłam dziki wzrok w numery na obwodzie koła.

- Nie, przeskoczyło! Chwała Bogu! Teraz też nie będzie. Obstaw dziewiątkę, ja ci radzę.

- Teraz?

- Teraz. Na pewno nie ty?

- Słowo honoru, że nie ja! No...?! Jest?

- Dziewięć, osiem koron - powiedział krupier.

- Postaw jeszcze raz, ona wyjdzie parę razy. To słuchaj, skoro nie ty...

- To moje? - spytał Paweł, wskazując żetony.

- Twoje, zbieraj. Słuchaj, skoro nie ty...

- Dziewięć, osiem koron - powiedział krupier.

- O rany! - ucieszył się Paweł i zagarnął następną kupę żelastwa. -
No to teraz znów przeczekam. Tera powinna być ta trzynastka.

- Nie będzie, ale postawię. Nie mam zdrowia do tego
przeczekiwania, nerwowa jestem. Słuchaj, skoro nie ty...

- Pięć i dziewięć, cztery korony - powiedział krupier.

- Cholera - powiedział Paweł.

Warunki dla prowadzenia śledztwa nie były zbyt sprzyjające.

- Mówiłam żebyś się jej trzymał przez parę obrotów! Stawiam na
trzynastkę... Albo nie, przeczekam.

Stosowana przez nas metoda gry była nader oryginalna i
stosunkowo mało kosztowna, polegała bowiem na tym, żeby nie stawiać.
Przeczekiwać kilka albo kilkanaście obrotów koła i na nosa, na duszę, na
instynkt oraz inne nadprzyrodzone elementy wylapywać numer akurat
wtedy, kiedy wychodził. Nos, dusza i instynkt, nie zawsze stawały na
wysokości zadania i przeważnie numer wychodził bez naszego udziału.
Wpędzało nas to w rozstrój nerwowy, ale za to wypadało niedrogo.
Niekiedy zaś się udawało, przynosząc imponujące zyski.

- Słuchaj, do licha, co mówię! - zniecierpliwiłam się. - Skoro nie ty,
to powiedz mi, wtedy, kiedy policja wychodziła i wszyscy polecili się
żegnać, to gdzie ty byłeś?

- Też tam. Poleciałem się pożegnać.

- Którędy? Dookoła domu?

- Aha. Teraz będę przeczekiwał czwórkę.

- A przedtem byłeś na tarasie?

- Aha.

- Majątek stracę na tą idiotyczną trzynastkę... I kto tam jeszcze był?

- Wszyscy. Postawić teraz?...Nie, jeszcze przeczekam.

- Jacy wszyscy? Przypomnij sobie...No, jest!

- Trzynaście, osiem koron - powiedział krupier.

- Za szóstym razem wyszła, stawiam. Przeczekaj tę czwórkę.

Wszyscy, to znaczy kto? Bo kogoś musiało nie być?

- Kogo? - zainteresował się Paweł.

- Nie wiem, właśnie ciebie pytam. Przypomnij sobie, kto był.

- Henryk i Ewa, I Leszek. I gliny się kręciły, Alicję też widziałem.

Właściwie wszyscy byli, tylko każdy wchodził i wychodził. Aha, Elżbiety nie widziałem.

- Elżbieta była w kuchni. A nie widziałeś, kto wyszedł z domu tamtymi drugimi drzwiami? Koło furtki? Uważaj na tę czwórkę!

- Nie, ja teraz przeczekuje siódemkę. Wiem, kto nie. Henryk i Leszek. I prawie cały czas była Ewa, rozmawiała z nimi. Usiłowałem zrozumieć, co mówią. Przeszli dookoła domu zaraz za policją. Bo ten ktoś, kogo nie było, to co?

- Nic, bo możliwe, że to był morderca. Dużo mi przyjdzie z tego Henryka... Ale wygląda na to, że Ewa też odpada. Jesteś pewien, że ją widziałeś cały czas?

- Prawie. Poszła dookoła domu wcześniej a oni za nią. A ja za nimi.

- Ile wcześniej? Minutę, pięć minut?

- Tyle, że zdążyli sobie narysować coś w notesie. Henryk pokazywał Leszkowi, jak sobie rozwiązał jakiś bloczek do opuszczenia czegoś. Ze trzy minuty. Nie wiem, co teraz przeczekiwać, ósemkę czy dziesiątkę...

Hipnotycznie wpatrzona w trójkę, usiłowałam przypomnieć sobie, ile czasu oglądałam scenę na progu kuchni. Trzy minuty? Może... Tkwiła we mnie głęboka, choć nie bardzo uzasadniona pewność, iż tajemniczą osobą w przedpokoju był zabójca Edka. Nie miałam pojęcia, co tam robił, ale panujące ciemności, ostrożność jego ruchów, to wymknięcie się

nieznaczące i bez hałasu tamtymi drzwiami wręcz zmuszały do nabrania w stosunku do niego podejrzeń. Mogła to być, oczywiście, jakaś osoba zupełnie niewinna, która zostawiła coś w przedpokoju, może torbę, może szukała czegoś w kieszeni płaszcza... Nie, płaszcza nikt nie miał, raczej torbę... Ale, moim zdaniem, powinien to być morderca...

Upór w kwestii wyłapywania dwunastki doprowadził nas niemal do ruiny oraz do tego, że najbliższego wagonu ostatniego pociągu do Allerød dopadliśmy w ostatniej chwili. Wsiadając na stacji, natknęliśmy się na Alicję i Zosię, które jechały w następnym wagonie i które, jak się okazało, natknęły się z kolei na naszych dawnych dobroczyńców, niegdyś mieszkaniodawców, i zostały przez nich zaproszone na kolację. Sensacyjne morderstwo, popełnione pod lampą w Allerød, sprawiło, że stanowiły towarzystwo szczególnie atrakcyjne.

- I po co myśmy się tak spieszyli? - powiedział Paweł z pretensją. - Myślałem, że już dawno czekasz i tupiesz ze zdenerwowania.

- Zamierzaliście się nie spieszyć i potem iść te dwadzieścia kilometrów piechotą czy nocować na dworcu? - zacięła się Alicja.

- Oczywiście - powiedziała Zosia zgryźliwie. - On nigdy się nie spieszy i potem okazuje się, że mu przeszkodziła siła wyższa.

- Ojej, jaka znowu siła wyższa! - obraził się Paweł. - Że się tam raz zdarzyło...

- Nie raz, tylko co najmniej dwadzieścia razy!

Obie z Alicją zostawiłyśmy ich, żeby swoje spory rodzinne załatwiali w cztery oczy, i poszłyśmy do przodu. Zosia wydawał się jakaś dziwnie rozdrażniona i zdenerwowana. Dowiedziałam się od Alicji poufnie, że popełniła straszliwe faux pas. Bardzo skrytykowała jakiś okropny porcelanowy pagaj na wystawie w Illum, uczyniła to w obliczu naszych dobroczyńców, u których kiedyś mieszkaliśmy, już po spotkaniu ich, po

czym okazało się, że identyczny pagaj zdobi ich apartament. Usiłując naprawić gafę, pochwaliła z kolei coś, co w ich oczach uchodziło za dno szmiry i przynosiło wstyd domowi. Innymi słowy, miała strasznego pecha i wykazała się fatalnym gustem. Chichocząc Alicja dodała, że Zosia sama była jedyną osobą, która się tym w ogóle przejęła. Teraz prawdopodobnie drugą osobą będzie Paweł.

- Mamy dla ciebie niespodziankę - powiadomiłam ją z kolei.
- Jaką niespodziankę?
- Czeka w domu. Zosia ci nic nie mówiła?
- Nie, nic. Coście, na litość boską, wymyśliły?
- Jak dojdiesz, to zobaczysz. Możliwe, że nawet chętnie zużyjesz.

Alicja przyśpieszyła kroku. Zosia z Pawłem zostali daleko w tyle. Skręciłyśmy na ścieżkę do furtki.

- Elżbiety jeszcze nie ma? - zdziwiła się Alicja.
- Wszędzie ciemno!
- Może jest w łazience. Światła z łazienki nie widać. Albo już śpi.
- Skąd, ona późno chodzi spać...

Wyjęłam z torebki klucz, bo Alicja nie mogła znaleźć swojego, i otworzyłam drzwi.

- Gdzież on się mógł podziać, zawsze go trzymam tu w przegródce...
- mamrotała, wchodząc za mną i zapalając światło w przedpokoju. - O, jest Elżbieta! Dlaczego siedzisz po ciemku? Gdzie ta niespodzianka?

Nie ruszając się z przedpokoju, stała przed komódką z lustrem i gmerała dalej w torebce. Weszłam do pokoju i zapaliłam światło, trafiając przypadkiem na kontakt przynależny do lampy nad długim stołem.

Odpowiedzi na pytanie Alicji nie było i nie zdziwiło mnie to. Też nic nie mówiłam. Wrosłam w podłogę na progu pokoju, czując, że głos i siły

odzyskam dopiero po długich staraniach. Lampa nad długim stołem świeciła jasno i od pierwszego rzutu oka widać było, co się dzieje. Zrobiło mi się jakby trochę niedobrze.

Na kanapie za stołem siedział jakiś całkowicie mi obcy facet. Siedział twarzą do nas, osunięty nieco w dół, z głową przechyloną do tyłu, na oparcie. Ręce miał bezwładnie rozrzucone po bokach. Obok jednej spoczywało jakieś czasopismo, obok drugiej mały kawałek winnego grona. Twarz miał w jakimś okropnym sinozielonym kolorze, usta półotwarte, a wytrzeszczone oczy postawione w słup...

Alicja znalazła wreszcie klucze na samym dnie torby, wyciągnęła je i nagle wyczuła chyba, że coś się stało. Spojrzała na mnie, a potem na kanapę za stołem.

- Co wam się... - zaczęła i urwała.

Powoli postawiła torbę na krześle i powoli podeszła do stołu. Przyjrzała się z bliska facetowi.

- To to ma być ta niespodzianka? - spytała w osłupieniu i ze zgrozą.

- Kto to jest? I niby jak mam to zużytkować?

- W pierwszej chwili chciałam ci nawet przepowiedzieć, że to zeżresz! - odparłam z jękiem, zastanawiając się równocześnie, co za klątwa ciąży nade mną. Moje niewinne przepowiednie sprawdzają się w najbardziej nieprawdopodobny i nieprzewidziany sposób. Zapowiedziałam kiedyś mojemu eks-mężowi niespodziankę, mając na myśli wyjątkowo pięknie umyte okno z nowymi firankami, po czym okazało się, że okno, owszem, miało w tym swój udział. Otworzyło się mianowicie pod wpływem przeciągu i zepchnęło miskę z brudnymi mydlinami, którą zostawiłam przez zapomnienie na parapecie. Zaprosiłam do mojej matki na kolację moją ciotkę, zapowiadając sensację, w przewidywaniu atrakcyjnych plotek na mój temat, materiału

dostarczyłam, po czym okazało się, że sensacja istotnie była. Mój słodszy syn zepsuł zamek w zamkniętych na klucz, oszklonych drzwiach do pokoju, mój starszy syn, nie widząc innego rozwiązania, wybił szybę i cała rodzina była zmuszona przełazić po dwóch stołkach przez powstałą w ten sposób dziurę. Wiele miałam takich przypadłości, tym razem jednak pobiłam rekord. Zapowiedziałam niespodziankę w postaci winogron, a okazało się, że na kanapie siedzi obcy trup...

Za drzwiami rozległy się głosy Zosi i Pawła. Alicja oderwała wzrok od nieboszczyka i spojrzała na mnie nieco błędnie.

- Kto to jest? - spytała, z pewnym wysiłkiem prezentując nadludzko zimną krew. - Znasz tego faceta?

- W życiu go na oczy nie widziałam.

Zosia weszła, nie przewidując nic złego, i znieruchomiała w progu.

- Jezus Mario!... - jęknęła w oszołomieniu. - Kto to jest? Co mu się... Co mu się... stało?

- Niemożliwe! - powiedział Paweł, wpatrując się ze śmiertelnym zdumieniem w nieznajome zwłoki na kanapie. - Co się dzieje, jak rany?! Kto to jest?!

- Jak to, nie znacie go?! - zdenerwowała się wreszcie Alicja. - To kto to jest w takim razie?! Skąd się tu wziął?! I gdzie Elżbieta?! I jakim sposobem ja mam utrzymywać porządek w domu, do którego pierwszy lepszy z ulicy może sobie przyjść i umrzeć!...

- Może on jeszcze żyje...? - wymamrotał Paweł niepewnie, czyniąc krok w stronę kanapy. Zawahał się i cofnął.

- I tak wygląda...?!

- Gdzie Elżbieta?! - krzyknęła histerycznie Zosia.

- Tutaj jestem - powiedziała spokojnie Elżbieta, wychodząc z łazienki w szlafroku i z zakręconymi włosami. - Czy coś się stało?

Spojrzała na kanapę, zamilkła, podeszła bliżej, pochyliła się i przyjrzała z bliska facetowi. Staliśmy wszyscy jak zbiór słupów soli, zapatrzeni w nią tępo i bezmyślnie.

- Biedny Kazio - powiedziała z westchnieniem. - Nie miałam pojęcia, co z nim zrobić...

- Na litość boską - powiedziała ze zgrozą zaskoczona Alicja. - I zabiłaś go?!

- Ach, nie - odparła Elżbieta, nie tracąc spokoju. - Przyprowadziłam go tutaj z nadzieją, że pozwolisz mu się przespać na miejscu Edka. Nie mógł się dostać do swojego mieszkania, bo zapomniał kluczy. Ciekawe, co mu się stało...

Czas do przyjazdu pana Muldgaarda spędziliśmy w kuchni w stanie przygnębienia i przerażenia, starając się nie spoglądać w stronę pokoju, słuchając wyjaśnień Elżbiety i usiłując przekonać Alicję, że jednak nie nieznanego nieboszczyka miałam na myśli, mówiąc o niespodziance. Zosia nie mogła mi darować proroczej wypowiedzi. Na zmianę powtarzała, że nieszczęścia chodzą parami, co brzmiało dość fatalistycznie, lub też obarczała mnie winą za prowokowanie głupich wydarzeń.

- Przynieście tutaj te winogrona, niech je chociaż zjemy! - zażądała w końcu w przygnębieniu z nadzieją dostarczenia przynajmniej jakiejś pociechy Alicji.

- Wykluczone! - zaprotestował Paweł. - Nie wolno nic ruszać przed przybyciem policji!

- Nie kłóćcie się - powiedziała niecierpliwie Alicja. - Mów, co dalej. I co ten Kazio?

Elżbieta kontynuowała wyjaśnienia, rozpoczęte w obliczu strasznej postaci na kanapie.

- Kochał się we mnie - powiedziała dość obojętnie. - Dlatego właśnie tu siedział. To ten, o którym ci wczoraj chciałam powiedzieć. Ten, który widział mordercę.

Omiał nas nie zatchnęło. Paweł zakrztusił się kawą, Zosia upuściła łyżeczkę, wpatrzona w Elżbietę zgasilałam papierosa w cukiernicy. Elżbieta zdążyła już poinformować nas, że ów Kazio, spoczywający za stołem w charakterze zwłok, pracował w Kopenhadze, mieszkał w Allerød, towarzyszył jej w wizycie u znajomych, przyjechał razem z nią do domu, po czym okazało się, że klucze od tego domu zostawił w biurze. Biuro zaś o szóstej bywało zamykane. Nie miał się gdzie podziać, przyprowadziła go zatem na jedną noc do Alicji. Nie to jednak było wstrząsające, a fakt, że zakochany Kazio piątkowego wieczoru siedział w zaroślach w ogródku Alicji, starając się dostrzec Elżbietę. Udało mu się to kilkakrotnie, a oprócz tego dostrzegł coś więcej, coś, co mogło być wyjaśnieniem zbrodni. Siedział w krzakach od strony pleców Edka...

- I nie powiedział ci, co widział?! - spytała Alicja wstrząśnięta.

- Gdyby mi powiedział, od razu powiedziałabym i tobie. Dopiero dziś przyznał się, że w ogóle coś widział. Wczoraj jeszcze nie byłam tego pewna.

- Mówiłaś przecież, że jest jeszcze jeden świadek!

- Mówiłam, że możliwe, że znajdzie się jeszcze jeden świadek. Wiedziałam, że Kazio tam siedział, on się nie chciał z początku przyznać, że siedział, bo mu było głupio. Ale jeśli siedział, powinien coś widzieć, przynajmniej mnie się tak wydawało. Pomyślałam sobie, że mi przebaczysz, że go tu przyprowadziłam, jeśli będzie miał jakieś ciekawe wiadomości.

- I nie powiedział ci od razu?! Nie spytałaś go?!

- Ach, nie - odparła Elżbieta z wyrazem bezgranicznej obojętności

na pięknej twarzy zmęczonej Madonny. - Mnie to nie interesuje. Wolałam, żeby od razu powiedział tobie.

Zosia wyglądała przez chwilę tak, że zaniepokoiłam się o jej zdrowie, chociaż tak szczupłych osób apopleksja zazwyczaj nie tyka. Paweł patrzył na Elżbietę z pełnym zgrozy podziwem. Alicja miała rozpacz w oczach.

- Słuchajcie no - powiedziała w przygnębieniu. - Jeśli ktoś z was ma mi coś do powiedzenia, niech może zrobić to od razu. Zaczynam mieć tego dość, tu się dzieje coś dziwnego. Edek chciał mi coś powiedzieć i zginął zamordowany. Ten Kazio miał coś do powiedzenia i nie żyje. Jest ktoś więcej?

- Czekajcie - powiedziałam z przejęciem, bo coś mi przyszło do głowy. - Kiedy rozmawialiście o tym świadku? Przypadkiem nie tu, w kuchni, jak policja już wychodziła?

Alicja i Elżbieta spojrzały na siebie.

- Tu, w kuchni. Ściśle biorąc nie tu, tylko tam, bliżej pokoju. Skąd wiesz?

Teraz my obydwójce z Pawłem spojrzeliśmy na siebie.

- Więc to jednak rzeczywiście morderca! - wykrzyknął Paweł, żywo poruszony.

- Co morderca?

- Morderca był w przedpokoju - wyjaśniłam uroczyście. - Podśledzał, co Elżbieta mówiła. Musiał chyba widzieć tego Kazia albo domyślił się, że to chodzi o niego, i zabił go, żeby nic nie zdążył powiedzieć. Czaił się tu, w ciemności, a potem wyslizgnął się tymi drzwiami i nie mam pojęcia, kto to był! Jeśli to ty - dodałam z nagłym niepokojem, zwracając się do Zosi - to przyjmij do wiadomości, że ja nic o tobie nie wiem. Nie mam nic do powiedzenia Alicji. Informuję cię o tym

wprost, bo chciałabym jeszcze trochę pożyć.

Paweł zachichotał nerwowo, a Zosia otrząsnęła się ze zgrozą.

- Ona zwariowała?! - spytała nieufnie. - Słuchaj, ja sobie wypraszam! Nie mam pojęcia, co teraz piszesz, ale mnie się nie czepiaj!

- Ja tego nie piszę, to się samo robi - odparłam ponuro. - Ewentualnie napiszę później i wtedy już przepadło, masz w tym swój udział.

- Przestańcie głądzić - zażądała gniewnie Alicja. - Ja myślę. Ten ktoś, kto był w przedpokoju... Nie wymyśliłaś tego?

- Jak Boga kocham, że nie!

- Ten ktoś w przedpokoju... Co on usłyszał? Przypomnij sobie dokładnie, co ty do mnie mówiłaś!

Elżbieta, której spokój wydał się wręcz nieludzki, ocknęła się z zamyślenia.

- Co ja mówiłam? Czekaj, nie bardzo pamiętam. Powiedziałam chyba, że jest jeszcze ktoś, kto mógłby być ważnym świadkiem. Ty na to spytałaś, kto taki. Powiedziałam, że jeden facet, który tu był w piątek. I że jutro się zorientuję, co on wie. To znaczy dzisiaj...

- I mnie ktoś zawołał - uzupełniła Alicja z irytacją. - A ten w przedpokoju to usłyszał. I to był ktoś, kogo nie było na tarasie...

- Duże odkrycie - zauważyła zjadliwie Zosia.

- Przestańcie mi przeszkadzać! Trzeba sobie przypomnieć, kogo nie było na tarasie! W jakim to było momencie?

- Na chwilę przed odjazdem glin. Już próbowaliśmy sobie przypomnieć, obydwój z Pawłem. Nic nam to nie daje, uniewinnia tylko ostatecznie Leszka i Henryka.

Alicja zamyśliła się, mieszając kawę. Po czym ocknęła się nagle.

- Czy ja słodziłam tę kawę?

- Tak - powiedziała Zosia.

- Nie - powiedział Paweł.

- Zdecydujcie się na coś!

- Może po prostu spróbuj - poradziłam. Alicja spróbowała.

- Nie - powiedziała, sięgnęła po cukier, wydobyła z niego niedopałek papierosa i nieco popiołu, wrzuciła to do pudełka z landrynkami. - Coś mi tu nie pasuje. Zabił go, żeby mi nie powiedział? Skąd wiedział, że on tu będzie? Skąd wiedział, że to właśnie on? Elżbieta, czyś ty tego nie powiedziała jakoś inaczej?

- Możliwe - przyznała Elżbieta spokojnie. - Możliwe, że powiedziałam, że to ja coś wiem i że jutro się zorientuję co. Możliwe, że powiedziałam, że jest coś ważnego, co ty powinnaś wiedzieć... Nie wiem, wszystko jest możliwe.

- Ależ to jest olbrzymia różnica! Jeśli mówiłaś, że ty coś wiesz.... Nie dziwiłabym się, gdyby usiłował zabić ciebie!

Już od kilku minut mój umysł pracował intensywnie.

- On usiłował - powiedziałam stanowczo. - Nie polował na żadnego Kazia, polował na Elżbietę. O Kaziu pewnie nic nie wiedział. Wiedział natomiast, że Elżbieta aż do wieczora nic ci nie powie, bo rano lecisze do pracy, a nikt normalny nie wstanie o wpół do siódmej rano, żeby sobie powierzać śmiertelne tajemnice. Zwłaszcza że o tej porze i tak byś nie zrozumiała, co się do ciebie mówi. Potem ewentualnie mogłybyście się spotkać w ciągu dnia, ale nasze plany tego nie przewidywały. Wszyscy słyszeli, jak mówiliśmy, co będziemy robić.

- Trochę nam się pokręciło. Myśmy miały wrócić wcześniej, wy później, a Elżbieta najpóźniej. Nie wiem, jak on to sobie wyobrażał.

Coś mnie nagle tknęło w inteligentniejszej części mojego wnętrza.

My wcześniej, wy później...

- Powtórz to jeszcze raz. Coś mi tu nie pasuje...

Skrzypnięcie furtki, kroki za drzwiami i pukanie oznajmiły nam, że przybył pan Muldgaard z asystą.

Alicja podniosła się z krzesła.

- Co ci nie pasuje? - spytała już w przedpokoju.

- Nie wiem właśnie, coś mi zaświtało. Teraz nie ma na to czasu. Później ci powiem.

- Na litość boską! - krzyknęła, odwracając się ku mnie w nagłej panice. - Mów natychmiast! Nie życzę sobie tutaj jeszcze i twoich zwłok!

Pan Muldgaard stał już w otwartych drzwiach i usłyszał te słowa, które zresztą ucieszyły mnie nadzwyczajnie, wywnioskowałam z nich bowiem, że Alicja życzy mi raczej dobrze. Uczepił się ich w godzinę później, kiedy na nowo zapanowało coś w rodzaju spokoju.

Wraz z nim i całą ekipą śledczą przybył lekarz. Głupio nam było trochę kryć się tchórzliwie po kątach, unikając widoku nieboszczyka, zebraliśmy zatem wszystkie siły duchowe i weszliśmy za nimi do pokoju, zdecydowani mężnie asystować przy badaniu.

Lekarz ujął rękę nieszczęsnego Kazia, potrzymał ją przez chwilę, opuścił z powrotem na kanapę i zadumał się głęboko. Na obliczu błysnął mu wyraz zainteresowania i zdążyłam pomyśleć, że Kazio zmarł zapewne na jakąś niezwykle rzadką i atrakcyjną chorobę, kiedy nagle nastąpiło coś wstrząsającego. Nieboszczyk łypnął okiem!

Nie było to żadne złudzenie optyczne ani nic w tym rodzaju. Łypnął wyraźnie! Zamarłam, a wraz ze mną i reszta obecnych. Paweł wydał z siebie jakieś charknięcie, Alicja uczyniła gwałtowny skłon ku przodowi i zastygła w tym skłonie. W powietrzu powiało grozą.

Nieboszczyk łypnął okiem po raz drugi. Za sobą usłyszałam czyjś

jęk, zapewne Zosi. Prawdopodobnie wszyscy razem rzucilibyśmy się za chwilę do ucieczki, demolując w panice przedpokój i drzwi wejściowe, gdyby nie to, że w lekarza wstąpiło nagle nadzwyczajne ożywienie. Dość gwałtownie ułożył łypiące zwłoki na kanapie i przystąpił do pośpiesznego badania.

- On żyje - powiedział stanowczo. - Do ambulansu, szybko!

Powiedział to po duńsku, ale zrozumieliśmy wszyscy. Nim ktokolwiek zdążył ochłonąć z wrażenia, już sanitarka z Kaziem w środku, wyjąc i świecąc, ruszyła do szpitala.

- Jak to żyje? - powiedział Paweł jakby z lekką pretensją. - Jakiś kant! Kto to widział, żeby tak wyglądać i żyć!

- Żyje, żyje - potwierdziła radośnie Alicja, nie kryjąc ulgi. - Uśpiło go, sparaliżowało i rzuciło mu się na mózg. I coś tam jeszcze, nie wszystko zrozumiałam. To była chyba jakaś trucizna o piorunującym działaniu, ale zdaje się, że za mało zjadł. Jeszcze długo będzie nieprzytomny... Zosiu, rany boskie!...

Zosia, oddychając głęboko, usiadła na torbie z zakupami, ugniatając razem rzeżuchę, pasztet, sałatki i krem w proszku. Pozwoliła to wyciągnąć spod siebie i zażądała środka uspokajającego. Ekipa śledcza przystąpiła do działania, W panującym zamieszaniu Alicja, niezdolna na poczekaniu znaleźć relanium, napoiła ją kroplami Inoziemcowa, przekonana, iż serwuje krople walerianowe. Zosia, która nie znosiła mięty, odzyskała siły w mgnieniu oka.

Za Kaziem wyniesiono owoce ze stołu, różne lekarstwa, część naszych kosmetyków i nieco pożywienia z kuchni, wszystko to rekwirując w atmosferze wersalskich rewerencji. Pan Muldgaard wyprawił ekipę i rozpoczął przesłuchania.

- Kogo zewłoka pani życzy sobie tu? - spytał bardzo uprzejmie i

równie stanowczo, na nowo otwierając swój notes. - Ucho moje słyszało. Jakiego zewłoka, pragnę wiedzieć. Bez zwłoki. Zewłoka bez zwłoki - powtórzył z pewnym trudem i wyraźnym upodobaniem, najwidoczniej delektując się bogactwem subtelności polskiego języka. Można było wręcz mniemać, że zagadkowe zbrodnie w Allerød traktuje jak okazję do studiów lingwistycznych.

Paweł patrzył w niego jak w obraz, Alicja natomiast z wyraźnym roztargnieniem.

- Zaraz - powiedziała, czyniąc gest, usuwający pana Muldgaarda razem z jego subtelnościami na jakieś dalekie tyły. - Zdaje się, że zaczęłaś coś mówić i to miało być ważne. O co ci chodzi?

Nie byłam w stanie wyjaśnić jej, o co mi chodzi, bo fakt, że ów Kazio spożył jakąś piorunującą substancję, pomieszał mi mgliście kielkującą koncepcję. Jeśli ktoś chciał otruć nie Kazia, ale Elżbietę, to nie spełniałby przecież tego zamiaru w domu pełnym ludzi. Po powrocie Elżbiety dom powinien być pełen ludzi...

- On przecież nie mógł być pewien, że ona wróci wcześniej - powiedziałam trochę niepewnie. - I w czym ten Kazio to zjadł? W czym to było? Coś mi tu nie gra.

- Może spotkali go po drodze, wracając? - powiedziała Zosia, również niepewnie.

- I częstowali się nawzajem trucizną? - spytała Alicja zjadliwie. - I tylko Kazio to zjadł, a Elżbieta nie? I w dodatku żadnego spotkania nie pamięta?

Elżbieta nie wtrącała się, wykazując najdoskonalszą obojętność w kwestii ewentualnego zamachu na nią. Pan Muldgaard stanowczo przerwał nasze rozważania.

- Ja proszę opowieści rzeczy kolejną - rzekł. - Pierwotnie było, kogo

zewłoka pani życzy sobie?

Po bardzo długiej chwili, w czasie której wydawało się, że osiągnięcie jakiegokolwiek porozumienia w tej materii będzie niemożliwe, wyszło wreszcie na jaw i dotarło do niego, że Alicja nie życzy sobie żadnych zwłok. Nie tylko moich, ale w ogóle niczych. Po prostu ma dość zwłok. Jej potrzeby w tym zakresie zostały zaspokojone w nadmiarze i dalsze tego typu podarunki uważałaby za nietaktowne natręctwo niezależnie od tego, czy zwłoki okazują się żywe, czy nie.

Następnie, po krótkim wahaniu, wtajemniczyliśmy go w moje wczorajsze spostrzeżenia i wiadomości Elżbiety, przy okazji zaś trzeba było ujawnić, że Edek koniecznie chciał udzielić Alicji jakiejś informacji, w czym przeszkodziła mu tajemnicza ręka. Pan Muldgaard słuchał uważnie i kiwał głową tak, jakby mu się wszystko doskonale zgadzało. Po czym ujawnił coś wręcz przeciwnego.

- Ja nie rozumiem nic - oświadczył szczerze. - On nie powiedział przed zabity?

- Nie, nie powiedział.

- Dlaczego?

- Bo był pijany. I ja nie chciałam słuchać - rzekła Alicja z ciężkim, pełnym żalu westchnieniem.

- Druga zewłoka także? Nie powiedział nic?

- Nie - odparła tym razem Elżbieta.

- Dlaczego?

- Bo go nikt nie pytał.

- Pani nie pytała?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo chciałam, żeby od razu powiedział Alicji. Po co miał dwa razy powtarzać?

Pan Muldgaard przyjrzał jej się dziwnie, po czym zwrócił się znów do Alicji.

- Pani żaden domysła nie posiada? O czym zabity pragnął powiadać?

- Nie, nie posiadam. Przypuszczam tylko, że mu chodziło o jakąś osobę.

- I pani nie zna kogo? Pani nie zna nic?

- Nic nie wiem i nikogo nie znam - powiedziała Alicja stanowczo.

- Ja nie rozumiem - powtórzył pan Muldgaard i popadł w głębokie zamyślenie.

Nie wiadomo, jak długo pozostawały w tej zadumie, której przez dobre wychowanie nie chcieliśmy przerywać, gdyby nie załatwił tego dzwonek telefonu. Policyjne laboratorium, umówione z nim, przekazywało najnowsze wiadomości. Trzeba przyznać, że niektóre badania załatwiano piorunem.

- Tak - powiedział pan Muldgaard, odłożywszy słuchawkę. - Nasze mniemanie było takie i jest. Trucizna był we winne grona, cienka igła, iniekcja. Mały kąsek, którego spoczywał przy ręka. On spożył dwa owoce, pozostały cztery owoce, razem sześć owoce, syte jad. Inne nie. Te były odgałęzione, sama góra, nie zespolone.

- Na litość boską, co on mówi? - spytała pobladła nagle Zosia.

- Że ktoś wstrzyknął to świństwo do winogron - wyjaśniłam, również czując się trochę nieswojo. - Do oderwanego kawałka, który leżał na samej górze.

- To były winogrona dla Alicji...!!!

- Toteż właśnie - powiedziałam i nagle umilkłam. Pogmatwana uprzednio koncepcja objawiła mi się w całej okazałości.

Poprzestawialiśmy sobie czas powrotu do domu. Alicja miała wrócić najwcześniej, a o jej namiętności do winogron wiedzieli wszyscy...

- Trucizna była też dla Alicji - oświadczyłam z ponurym i bezsensownym triumfem. - Było jasne, że złapie ten kawałek z wierzchu i pożre, zanim ktokolwiek mrugnie okiem. I padnie trupem. On wcale nie chciał zabić ani tego Kazia, ani Elżbiety!

Alicja patrzyła na mnie z wyraźną dezaprobatą.

- Edka też nie chciał zabić? Pomylił go ze mną?

- Głupiaś! Myśl logicznie! Edkowi zamknął gębę, ale ty się możesz dowiedzieć...

Urwałam, bo przypomniałam sobie, że Alicja postanowiła nie mówić o liście.

- Ja wyrażam potwierdzenie - powiedział pan Muldgaard. - I dla tego powoda ja nie rozumiem. To była jadowita ciecz dla niewiasta, która pierwsza posili się. Nieżywa osoba - tu wskazał palcem Elżbietę - winna była ostatnia powracać do dom. Pożywić się winna ta dama. Albo ta dama...

Gestem wyraźnie potępiającym wskazał z kolei Alicję i Zosię.

- Zaplanowane było, dwie damy wraca pierwej.

- No widzicie, coście najlepszego narobiły? - powiedziałam, może trochę nietaktownie. - Przyjmujecie zaproszenia na kolację i przez to truje się niewinny facet.

- Paweł... - szepnęła Zosia pobladłymi wargami. - Wy z Pawłem... Mogliście wrócić wcześniej...

- No właśnie, nie narzekaj na drugi raz, że ja się nie śpieszę - powiedział Paweł z nie skrywaną satysfakcją.

- My byśmy nie zeżarli! - zaprotestowałam z oburzeniem. - Wyraźnie było mówione, że to dla Alicji!

Zosia straciła równowagę do reszty.

- Myśmy to kupiły! - krzyknęła rozzwierając. Poderwała się z fotela i opadła nań z powrotem. - Myśmy to kupiły! Dla niej!...

- Uspokój się, jak kupowałyśmy, to jeszcze nie były zatrute!

- No więc kto?! Kiedy?!... To myśmy wiedziały, że to dla niej!...

- O rany boskie, opanuj się! Nie faszerowałyśmy tego przecież trucizną!

- Ale nikt inny nie wiedział...!

- Wszyscy wiedzą! Wszyscy wiedzą, że ona to rąbie jak maszyna!

- Przestańcie się kłócić - powiedziała stanowczo Alicja. - Macie rację, to było dla mnie. Zeżarłabym ten kawałek z wierzchu jak amen w pacierzu. On się mnie boi. Załatwił Edka i teraz ja mu zostałam.

Przez chwilę patrzyliśmy na nią w pełnym zgrozy milczeniu. Jako niedoszła ofiara podstępного zamachu, którego przyczyny na razie były w najwyższym stopniu zagadkowe, nabrała nagle jakichś nowych, niezwykłych cech i przeistoczyła się wręcz w dziewicę, wleczoną przez Labirynt na pastwę Minotaura. Powinna była mieć na sobie białe gieżło...

- A dlaczego? - zainteresował się zniecierpliwiony pan Muldgaard.

- Nie wiem - odparła niedoszła ofiara niecierpliwie. - Możliwe, że mu się nie podobam. Możliwe, że ma zły gust.

- A możliwe, że pani wiadomości posiada. O ta osoba, morderca. Pani musi umysłową robotę wykonać, mnogo, wielkie mrowie. Zaprawdę na pamięć waszą zaległo, a musicie rozjaśnić mroki.

- Zaprawdę pamięć nasza nie powiada nam nic...

- O Jezu...! - jęknął Paweł z nabożnym zachwytem, bo brzmiało to zgoła jak biblijne proroctwa.

- Tfu! - powiedziała Alicja ze wstrętem. - Nic sobie nie

przypominam i nie mam pojęcia, o co mu chodziło. Ale mogę się zastanowić...

Przyjrzała się w zadumie panu Muldgaardowi.

- Pomyślę - zapewniła go. - Jak sobie co przypomnę, to panu powiem.

Pan Muldgaard wyraził wdzięczność za obietnicę, po czym zainteresował się techniką popełnienia drugiej zbrodni. Nie twierdził wprost, że winogrona zostały zatrute przez Zosię, Pawła lub mnie, ale nie ulegało wątpliwości, że wydajemy mu się najbardziej podejrzani. Elżbietę wykluczył, bo gdyby przygotowała truciznę dla Alicji, nie pozwoliłaby jej zjeść Kaziowi. Zosia zdenerwowała się na nowo.

- Myśmy je przyniosły, umyły i położyły na talerzu. Przypomnij sobie, tak było?

Przyświadczyłam.

- I jeszcze całą drogę, a potem tu, w domu, głądziłyśmy o tym, że to dla niej, i układałyśmy tak, żeby wyglądały zachęcająco. Okna były pootwierane, mógł podsłuchać.

- Paweł był w ogrodzie. Elżbieta już wyszła. Wyszłyśmy zaraz potem. I on musiał wejść i zatruć je, jak nikogo nie było.

- Domostwo otworem stało? - spytał uprzejmie pan Muldgaard.

- Nie - odparłam. - Domostwo było zawarte... Chciałam powiedzieć zamknięte. Na klucz.

- Może jakieś okno zostało otwarte? - spytała z nadzieją Alicja.

- Wykluczone! - zaprotestowała Zosia.- Sama zamykałam. Ja jestem z Polski, w parterowym domu otwartych okien nie zostawiam. Wszystko było zamknięte!

- Azali inna osoba klucze ma w posiadaniu?

- Kto z was ma w posiadaniu klucze? Joanna ma jeden, ja drugi,

Elżbieta trzeci, pani Hansen czwarty, a piąty? Było pięć kompletów. Zosiu, ty masz?

Zosia zerwała się nerwowo, zrzuciła na podłogę zapalki i papierosy, przewróciła wazonik z kwiatkami i sprawdziła w torebce, wysypując z niej wszystko na stół.

- Mam! To jest ten piąty! Ma ktoś więcej!

- Kto to jest pani Hansen? - spytałam podejrzliwie, bo w pierwszej chwili wydało mi się, że Alicja mówi sama o sobie. Albo też zapomniała, jak się nazywa.

- Sprzątaczką. Przychodzi raz na tydzień. Przypadkiem nazywa się tak samo jak ja. Nigdy nie było więcej niż pięć sztuk. Tylko my mamy klucze i pani Hansen, i żadna inna osoba.

Pan Muldgaard zanotował sobie coś, zapewne panią Hansen, po czym przyjrzał się nam w zadumie.

- Zaginął być może jeden klucz? Zagubiony został? Przebywają one gdzie?

- Przeważnie mamy w torebkach. Albo w kieszeni...

- Zaraz - przerwałam Alicji. - Nie mogłaś znaleźć swojego, pamiętasz? Był na dnie, a nie w przegródce.

Pan Muldgaard zażądał przetłumaczenia słowa „przegródka”, jak się bowiem okazało, kojarzyło mu się to z sąsiekiem w stodole, po czym zajął się zwyczajami Alicji w kwestii przechowywania torebki. Po dość długich rozważaniach ustaliliśmy wreszcie, że torebka Alicji stała wczoraj, jak zwykle, na komódce przed lustrem w przedpokoju, że, jak zwykle, była otwarta i gdyby ktoś chciał wyjąć z niej klucze, odcisnąć sobie, a potem włożyć z powrotem, właściwie nie miałby przeszkód. Gdyby chciał wykonać tę samą operację w jej miejscu pracy, również nie miałby przeszkód. Alicja, udając się na przykład na śniadanie, torebkę zostawiała

na krześle obok swojej deski. Klucza od wczoraj nie używała, ów ktoś mógł nawet ukraść go jej, dorobić bezpośrednio z pierwowzoru, nie zwracając sobie głowy odciskami, a potem podrzucić do biura o trzeciej po południu, kiedy cała Dania pije kawę.

- Tak szybko by dorobił? - powiedział Paweł z powątpiewaniem.

- Tu robią na poczekaniu, w dwie godziny. Oczywiście, że to jest możliwe! Alicja zdenerwowała się okropnie.

- I to ma znaczyć, że ktoś ma klucze od domu? I co, mam teraz zmieniać zamki? Cholery można dostać! Może jednak było otwarte jakieś okno...?

Zosia zdenerwowała się jeszcze bardziej.

- Możemy natychmiast sprawdzić - zawołała i zerwała się z miejsca.
- Nikt nic nie ruszał, prawda? Cały czas tu siedzimy, a pana ludzie nic nie otwierali? Elżbieta, a ty...? Pan Muldgaard wyszukany mi słowy stwierdził, że jego ludzie przebywali jedynie w środkowym pokoju, w kuchni i w łazience i nigdzie niczego nie otwierali. Elżbieta tylko pokręciła głową, co było nawet niepotrzebne, bo i tak nikt, znając ją, nie uwierzyłby, że z własnej inicjatywy otworzyła albo zamknęła jakieś okno. Jej automatyczne przystosowywanie się do stanu istniejącego było wręcz nieprawdopodobne, a umiejętność unikania jakichkolwiek zbędnych wysiłków doprowadzona do perfekcji. Ruszyliśmy na obchód domu. Alicja pierwsza, a pan Muldgaard za nią, kolejno otwierali wszystkie drzwi i sprawdzali okna, aż dotarli do pokoju, z którego prowadziło wejście do atelier. Alicja pierwsza, a pan Muldgaard za nią, weszli i nie schodząc po schodkach, zatrzymali się od razu przy poręczy.

- No tak - powiedziała Alicja z satysfakcją. - Całe szczęście!

Zewnętrzne drzwi atelier, prowadzące wprost do ogródka, były odsunięte na całą szerokość. Bez najmniejszych trudności mógł tamtędy

wejść średniej wielkości słoń.

- Och, cholera...! - powiedziała przygnębiona Zosia.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Alicja radośnie. - Chwała Bogu, że zostawiłaś otwarte! Cholernie by mi się nie chciało zmieniać tego zamka!

Wróciliśmy na kanapę przy stole i ustaliliśmy resztę szczegółów. Elżbieta przyprowadziła Kazia o jedenastej, po czym udała się do łazienki, myć głowę. Szczerze wyznała, że uczyniła to, ponieważ Kazio razem ze swoimi uczuciami wydawał jej się szalenie męczący, miała go na karku cały wieczór i chciała wreszcie trochę od niego odetchnąć. W ogóle nie bardzo wiedziała, jak się od niego uwolnić, Kazio bowiem był gotów jechać za nią nawet do Sztokholmu, narażając się na utratę pracy. Nie wydawało się to dziwne. Elżbieta była piękną dziewczyną. W tej łazience, umywszy włosy, wykapała się i zrobiła przepierkę, starając się, żeby to możliwie długo trwało, Kazio siedział spokojnie i nie przeszkadzał, co ją nawet odrobinę dziwiło. Teraz już przestało ją dziwić.

Następnie uzgodniła z panem Muldgaardem i Alicją, że się wyprowadzi i zamieszka w pokoju Kazia, co dla wszystkich będzie wygodniejsze, znajdowały się w nim bowiem złote rybki czy może białe myszki, czy coś innego w tym rodzaju, czym trzeba się było opiekować, i Elżbieta, czując się niejako odpowiedzialna za przypadek Kazia, z pewną niechęcią uznała to za swój obowiązek. Zarówno pan Muldgaard, jak i Alicja przyklasnęli jej zamiarom.

- Na miłosierdzie pańskie, szukaj tego listu! - zażądałam nerwowo, kiedy już pan Muldgaard z jakimś dziwnym wyrazem twarzy opuścił dom, a Elżbieta, Zosia i Paweł poszli spać. - Jeżeli go nie znajdziesz możliwie prędko, to to się źle skończy!

- Teraz mam szukać? - oburzyła się Alicja. - Dochodzi trzecia! ja muszę rano iść do pracy!

- W obliczu zbrodni możesz się spóźnić. Nie radziłabym ci z tym zwlekać, chyba że chcesz się pozbyć jeszcze paru osób. W tym siebie.

- Myślisz, że on będzie dalej próbował? Nie zrezygnuje? - powiedziała Alicja z powątpiewaniem i otworzyła stojący pod ścianą kufer na pościel. - Ciągłe nie bardzo mi się chce wierzyć, że ktoś usiłował mnie zamordować. Nie widzę powodów...

Przyglądałam się jej z dezaprobatą, myśląc równocześnie, że to wszystko razem coraz bardziej mi się nie podoba, i co za pech, że nie zdążyłam tego Edka spytać o taką drobnostkę! I teraz nie wiem, czy to istotnie była drobnostka i czy mogę o tym powiedzieć Alicji.

- Jestem pewna, że nie zrezygnuje - powiedziałam stanowczo. - Chyba że go złapią... Czy mam rozumieć, że tu spodziewasz się znaleźć ten list? Zawinięty w prześcieradło czy jak?

Alicja gmerała między poduszkami i kocami.

- Nie wiem. We wszystkich rozsądnych miejscach już szukałam i nigdzie go nie ma. Ktoś go mógł rzucić byle gdzie, a potem się go schowało razem z czymś. Nie wiem. W tym domu wszyscy sprzątają...

- A może byś jednak powiedziała o tym policji, co? Zrobią rewizję...

- Już robili.

- Ale szukali sztyletu. Teraz zrobią pod kątem widzenia listu.

- I co z tego? Będą wszystko czytać? Nie rozumieją po polsku.

- Koperta powinna być zaklejona.

- Tu może być więcej zaklejonych kopert. Adresu nadawcy nie było, ale znam pismo Edka i dlatego wiedziałam, że to od niego. Mam ich nauczyć pisma Edka? I co, będą mi gmerać w papierach? Poprzewracają wszystko do góry nogami! Mowy nie ma, wybij to sobie z głowy!

Wiedziałam, że w gruncie rzeczy o to właśnie chodzi. W kwestii gmerania w papierach Alicja była nieugięta. Przez całe życie po wszystkich jej domach poniewierało się parę ton makulatury, która w całości była jej niezbędna do egzystencji. Jak żyję, nie wdziałam domu, w którym znajdowałyby się podobna ilość szpargałów! Większość tego niewątpliwie dawno należało wyrzucić i sama Alicja to przyznali Wala, ale nigdy nie była pewna, co jest co i które jest które, a na przejrzenie i

posegregowanie tego przez ostatnie dwadzieścia lat nie mogła znaleźć czasu. Tonęła w papierach i strzegła ich jak oka w głowie, nikomu nie pozwalając dotykać. Przy swoim roztargnieniu nigdy nie pamiętała, gdzie co położyła, i rzeczywiście list od Edka mógł się znajdować wszędzie, z lodówką włącznie.

Na wszelki wypadek sama zajrzałam do kufra, ale korespondencji w nim nie było. Alicja obejrzała nową lnianą poszewkę na poduszkę, której nie mogła używać, bo nie pasowała do duńskich rozmiarów, dotarła do dna, znalazła pudełko zapalek, upchała wszystko z powrotem i powoli zaczęła zamykać wieko.

- Tak się zastanawiam... - powiedziała powoli w zamyśleniu i zastygła w połowie zamykania. - Zosia wykluczona, ale Paweł?... Ta młodzież teraz taka dziwna... Czy to jest możliwe, żeby oni to uważali za dowcip? Twoje dzieci jak?...

- Dziękuję, zdrowe - odparłam odruchowo, bardzo zaskoczona. - Morderstw, jak dotąd, nie popełniają, jeśli o to ci chodzi, i chyba raczej nie planują nic takiego. Uprawiają inne gatunki dowcipów. Kota masz?

Alicja wzruszyła ramionami, ciężkie wieko wymknęło jej się z ręki i zatrzasnęło z hukiem zgoła armatnim. W chwilę potem w progu stała Zosia w pizamie, z bladą twarzą, z obłędem w oczach.

- Co się stało?... Ktoś strzelał!...

- Nic, to ja - powiedziała Alicja z westchnieniem. - Obudziłam cię? Bardzo cię przepraszam, nie zwracaj uwagi, szukam listu od Edka.

- Na litość boską - powiedziała Zosia słabo. - W tym domu można zwariować!

- Bierz przykład z Elżbiety - poradziłam jej.

- Ani drgnie.

- Elżbieta! - prychnęła Zosia z gniewem.

- Do Elżbiety można strzelać z karabinu maszynowego, można dom podpalić! Ona nie ma nerwów!

- Tym bardziej bierz z niej przykład, Joanna ma rację.

- Przeszukaj jeszcze kuchnię - powiedziałam ponuro. - Skoro w głupich miejscach, to już konsekwentnie.

W kuchni postanowiłyśmy przy okazji zrobić sobie kawy, Alicja zdecydowała się nie pójść w ogóle do biura, uznawszy, że dwie zbrodnie pod rząd, nawet jeśli jedna z nich jest trochę nieudana, są wystarczającym usprawiedliwieniem, szczególnie jeśli przyjmie się, że to ona miała paść ofiarą. Wróciłam do kwestii młodzieży. Paweł nie budził we mnie żadnych podejrzeń zarówno jako młodzież, jak i jako on sam, przypuszczenie zaś, że moje dzieci miałyby przejawiać tak zwyrodniałe poczucie humoru, wydało mi się co najmniej niesmaczne. Nie omieszkałam poinformować o tym Alicji.

- W takim razie kto? Ktoś w końcu tego Edka zabił i ktoś doprawił winogrona. Ktoś podobno czyha na mnie. Kto? Ty?

- Dlaczego ja, do diabła?! - zdenerwowałam się. - Ni mnie ten Edek ział, ni mnie grzębił...!

Stojąca na wysokim kuchennym stołku i gmerająca w szafce Alicja odwróciła się z takim rozmachem, że połowa puszek z górnej półki z łaskotem runęła na podłogę. Z jednego słoika wysypała się kawa.

- Ni co ci robił?!?!

- Co?... Nic mi nie robił - odparłam ze zdumieniem, nie zdając sobie sprawy z tego, co powiedziałam, i współczująco patrząc na Zosię, która pojawiła się w wejściu z korytarzyka do kuchni. Jedną ręką trzymała się za głowę, a drugą za serce.

- Alicja, ty mnie wpędzisz do grobu - powiedziała z goryczą, spoglądając na pobożowisko u naszych stóp.

- Przestań reagować po prostu - poradziła jej stanowczo Alicja z wyżyn stołka. - Nastaw się duchowo i nie zwracaj uwagi. Okazuje się, że Joannie Edek robił coś takiego, że naprawdę trzeba go było zabić.

- Przypuszczam, że zwariowałaś ze strachu - powiedziałam z odrazą.
- Co, na litość boską, Edek mi robił?!

- Właśnie nie wiem. Powtórz, co powiedziałaś.

Zosia patrzyła na nas z rozpaczą w oczach.

- Powiedziała, że ni mnie grzał, ni mnie ziębił.

- Ział! Edek cię ział i grzębił!

- Oszalałaś?! Przeciwnie! Nie ział mnie! I nie grzębił!

- Nie - powiedziała Zosia. - To jest nie do zniesienia. Trupy i obłąd.
Wy chyba obie jesteście pijane.

Odwróciła się i nieco chwiejnym krokiem oddaliła w głąb korytarza.

- Zamknij za nią drzwi - powiedziała Alicja. - Już się nie miało co wysypać, tylko akurat kawa. Ciekawe, kto ją odkręcił.

- Nie ja. I przyjmij do wiadomości, że nie ja zabiłam Edka, nie ja otrujęm Kazia, a na twojej śmierci wcale mi nie zależy. Pogódź się z tym raz na zawsze i odczep się ode mnie. Ja tych rzeczy nie robię, ja je tylko opisuję. O Edku tyle wiem, co od ciebie. Zosia wie więcej.

Przez chwilę zastanowiłam się uczciwie, czy na pewno mówię prawdę. Nie, istotnie, Edka znałam właściwie wyłącznie przez Alicję, a to, o co go miałam zapytać, nic mi o nim nie mówiło.

- Nie wierzę, że to Zosia go zamordowała - powiedziała kategorycznie Alicja. - Nie mówiąc już o tym, że nie wierzę w jej zamachy na mnie.

- Ja też nie wierzę, ale nie wiem. Możliwe, że to ty sama. Uszami ci wyszło to stado gości i w ten sposób się ich pozbywasz. Nie wiem, na kogo teraz kolej, na Pawła czy na mnie, bo Elżbieta się wyprowadza

dobrowolnie, a Zosię zostawisz sobie pewno na koniec.

- Idiotka.

- Najlepiej Edka znałaś ty i, tak między nami mówiąc, miałaś z nim najwięcej wspólnego. Stał się dla ciebie kłopotliwy, więc go sprzątnęłaś.

- No dobrze - zgodziła się Alicja po namyśle i dodała z zaciekawieniem: - A tego Kazia Elżbiety?

- Widział cię przecież. Elżbiecie nie powiedział, bo nie chciała słuchać, ale ty wiedziałaś, że jeśli coś widział, to tylko ciebie, skradającą się, jak lady Macbeth, ze sztyletem w ręku...

- Nigdy w życiu nie miałam sztyletu - powiedziała Alicja niechętnie i zlązła ze stolka. - Na górnej półce nie ma. Ale wiesz, że ty masz rację, rzeczywiście, mnie można podejrzewać. Tylko nie wiem, jak ja to załatwiłam z tymi winogronami.

- Przyjechałaś w godzinach pracy...

- Aha, a przedtem telepatycznie dowiedziałam się, że je kupiłyście i że Kazio przyjdzie wieczorem, żeby je tu zezreć.

Zamyśliłam się.

- No tak, winogrona nie pasują... Ale mogłaś przyjechać z myślą o czymś innym, a winogrona ci wpadły pod rękę. Był taki kryminał, gdzie wstrzykiwano cyjanek czy coś tam do winogron, pewnie go ostatnio czytałaś. A Elżbieta zawiadomiła cię telefonicznie, że przyprowadzi Kazia... Albo może i bez Kazia, a może Kazia wydedukowałaś logicznie...

- Jasne, najprostsza logiczna dedukcja prowadzi do tego, że u mnie musi zawsze ktoś nocować. W miarę możliwości obcy.

- A co, może nie? Zresztą wszystko jedno, jesteś też podejrzana. Widocznie miałaś swoje powody, twoja rzecz, rób sobie teraz, co chcesz, żeby cię nie złapali. Szukaj tego listu!

Alicja zmiotła z podłogi resztki kawy i wysypała do pojemnika na

śmieci. Nie wydawała się specjalnie przejęta moimi rozważaniami. Zgasiła palnik pod czajnikiem i wyjęła z szafy dwie filiżanki. Sięgnęłam po puszkę z kawą, stojącą na podręcznej półeczce nad stołem, i wsypałam po dwie łyżeczki do filiżanek, stwierdzając przy okazji, że w puszcze już niewiele zostało. Nie chciało mi się teraz wstawać i dosypywać.

- A tak już na serio, bez wygłupów - powiedziała Alicja, siadając przy stole. - Zastanawiam się, kto z nich naprawdę mógł to zrobić. Zosia nie bardzo wie, co Edek robił w Warszawie i z kim się spotykał. Jak ty myślisz?

Zawahałam się. Gdyby Alicja miała jakieś pojęcie o tym, z kim się Edek spotykał, niewątpliwie wyznałaby to z nadzieją, że pomoże w ten sposób ujawnić mordercę. Informacja, kim był facet w czerwonej koszuli, skąd się wziął i jak się nazywał, prawdopodobnie zeszła do grobu wraz z Edkiem. Miałam go o to zapytać. Mogło się to okazać nadzwyczaj ważne. I znów teraz trzeba będzie dochodzić do celu okrężnymi drogami, bo jedyny człowiek, który znał odpowiedź, nie żyje. I możliwe, że nie żyje właśnie dlatego, że znał odpowiedź...

- W ogóle nie słuchasz, co mówię - powiedziała Alicja z naganą. - Moim zdaniem Ewa jest możliwa.

Rzeczywiście, nie słuchałam, co mówiła, w głowie kłębiło mi się zupełnie co innego i użyte przez nią określenie wydało mi się co najmniej nieodpowiednie. Ewa, ze swoimi wielkimi jasnymi oczami w oprawie czarnych rzęs, z pełną wdziękiem, wyrazistą twarzą, z ponętną figurą...
Możliwa?!

- Możliwa? Moim zdaniem to jest piękna kobieta!

- A cóż to ma do rzeczy? - spytała Alicja, patrząc na mnie ze zdumieniem. - Uroda jej miała przeszkodzić?

- Uroda na ogół raczej pomaga... W czym jej miała przeszkodzić?

- W mordowaniu Edka! Mówię, że Ewa wydaje mi się możliwa! Prawdopodobna!

- A! - powiedziałam, łapiąc wreszcie sens. - Ewa, mówisz? Dlaczego? Po diabła miałyby Ewa tego Edka zabijać? Widziała go tu na oczy pierwszy raz w życiu!

- Drugi - poprawiła Alicja. - Pierwszy raz widziała go w Warszawie. Jak mu zawiozła ode mnie ten pędzel do golenia. Spotkała się z nim.

- I to ją tak zde gustowało, że przy następnej okazji od razu go utłukła?

- Głupiaś. Mogła zrobić coś kompromitującego. Była sama, bez Roja... Edek o tym wiedział, był świadkiem...

- Równie dobrze mógł go zabić Roj. On ją kocha, wszystko wiedział, nie przyznawał się, że wie, i zabił Edka, żeby nie gadał. Z miłości do Ewy.

- Teoretycznie to jest możliwe - przyznała Alicja, bo uczucia Roja do Ewy, powszechnie znane, były istotnie tej miary, że można było im wszystko przypisać. Po czym dodała w zamyśleniu: - Nigdy bym, swoją drogą, nie przypuszczała, że Duńczyk może się do tego stopnia zakochać.

- Ewa jest wyjątkowo atrakcyjna - mruknęłam. - Wcale mu się nie dziwię. Nie takie rzeczy popełniano dla pięknych kobiet. Szkopuł tylko w tym, że w żaden sposób nie mogę sobie wyobrazić tego czegoś kompromitującego, co zrobiła w Warszawie. A propos, lodówkę przeszukałaś?

- Lodówka to już chyba przesada - zaprotestowała Alicja, ale wstała i zajrzała do wnętrza urządzenia. - Nic tu nie ma. Ja też sobie nie wyobrażam, bo przecież nie gach! Kto morduje dla głupiego gacha?! Kto tam jeszcze zostaje?

- Anita. Poza nami już tylko ona.

- Czy ona była ostatnio w Polsce?

- Przeciwnie, ostatnio była w Maroku. W Polsce nie była już prawie rok. Ale mogła coś zmalować równie dobrze i dwa lata temu, tylko też nie wiem co. A w ogóle знаła Edka?

- Nie wiem. Chyba nie. Niczego przez nią nie posyłałam. Czy ona nie jest zbyt lekkomyślna?

- Na co? Na morderstwo? Uważasz, że zbrodnie popełniają tylko osoby poważne, odpowiedzialne i solidne?!

- Nie, miałam na myśli to, że ona wszystko ma w nosie. Nic jej nie obchodzi do tego stopnia, żeby aż dla tego czegoś kogokolwiek zabijać. Uważam, że jest na to za leniwa!

- Jasne, żeby popełnić zbrodnię, trzeba być pracowitym człowiekiem. Ona jest leniwa tylko w dziedzinie gospodarstwa domowego. Zdaje się, że coś nam nie wychodzi i tą drogą daleko nie zajedziemy. Może lepiej zastanówmy się, kto z nich ma jakieś alibi albo co. Kto na pewno nie mógł przyjechać, żeby zatruć te cholerne winogrona...

Być może pora doby wpłynęła na treść naszych rozważań. Gdzieś nad ranem nasze otoczenie składało się wyłącznie ze zbrodniarzy i przestępców rozmaitego autoramentu. Poszliśmy w końcu spać, pokłóciwszy się przedtem okropnie o metody sprawdzania alibi i cechy charakteru różnych osób, nie mających nic wspólnego z wydarzeniami w Allerød.

Zaraz nazajutrz wykryło się, że alibi, jak na złość, nie ma nikt. We troje z Zosią i Pawłem opuściliśmy dom około drugiej, Elżbieta wyszła wcześniej i aż do jedenastej, to jest do jej powrotu, posiadłość Alicji stała nie tylko pustką, ale także otworem. W tym czasie Roj, Anita i Ewa błąkali się po rozmaitych miejscach i nie sposób było stwierdzić, czy ktoś z nich nie odwiedzał miejsca zbrodni. Wiadomo było tylko, że z pewnością

planowano zamach na Alicję. Alicja i Zosia miały wrócić do domu jako pierwsze, wiadomo było, że Zosia nie zje winogron, bo ich nie lubi, i ofiarą padnie Alicja.

- Skąd, na przykład. Roj mógł wiedzieć, że ja nie lubię winogron? - powiedziała Zosia krytycznie.

- Mogło się wykryć, jak byłyście u nich z wizytą - odparłam. - Mogła mu powiedzieć Ewa. Co nie znaczy, że ja się upieram, że to Roj.

- Niech oni się pośpieszą z tym śledztwem, bo mnie się urlop skończy. Wszystko mi jedno, kto jest mordercą, byleby go wreszcie złapali!

- Kazio oprzytomnieje i powie, co widział. Za jakie dwa tygodnie...

* * *

Alicja mniej więcej od południa szukała listu. Siedziała przy biurku i wykladała na blat potworną kupę różnych papierów. Poprzednio przejrzała już wprawdzie całe biurko dwukrotnie, ale ciągle jej się wydawało, że mogła coś przeoczyć, co przy tej ilości szpargałów było ze wszech miar możliwe.

- Wątpię, czy tą metodą znajdziesz go przed końcem świata - powiedziałam pod wieczór. - Może lepiej szukaj drogą dedukcji. Co robiłaś w chwili, kiedy ten list przyszedł?

- Nie mam pojęcia, kiedy on przyszedł - odparła Alicja ze zniecierpliwieniem. - Zdaje się, że jakieś trzy tygodnie temu.

- Sprawdź w kalendarzu. Zapisujesz sobie przecież otrzymywanie i wysyłanie korespondencji?

- Zapisuję. Nie mogę sprawdzić w kalendarzu, bo nie wiem, gdzie jest kalendarz. Gdzieś mi zginął. Możliwe, że zostawiłam go w biurze.

- Może list od Edka też zostawiłaś w biurze?

- Nie, list od Edka przyszedł do domu. Razem z innymi. Miałam go przeczytać, ale akurat ktoś mi przeszkodził i odłożyłam go, żeby przeczytać później. Poza tym w biurze mam znacznie mniej rzeczy i rzuciłby mi się w oczy.

- Czy jesteś pewna, że nie uprałaś go w pralce?

- Zauważyłabym chyba, jak wyjmowałam bieliznę?

- Mógł być w kieszeni od szlafroka... Alicja spojrzała na mnie jakoś dziwnie ponuro i niezyczliwie, zostawiła biurko z całym śmietnikiem na wierzchu i poszła do swojego pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Taktownie nie pchałam się za nią.

Zosia, która twierdziła, że gospodarskie zajęcia wpływają na nią uspokajająco, kończyła przygotowywać spóźniony obiad. Paweł nakrywał do stołu.

- Ja nie wiem, czy z tym obiadem to dobrze - powiedział do mnie półgłosem. - Śniadanie nam się jakoś upiekło, aleja się trochę boję jeść to wszystko.

- Naprawdę myślisz, że to twoja matka morduje? - zainteresowałam się gwałtownie też półgłosem.

- Nie, nie to. Ale ktoś mógł czegoś dosypać. Nie wiem, z czego jest ten obiad... Zajrzałam do garnków za plecami Zosi.

- Kartofle chyba w porządku - szepnęłam. - Kukurydza była z puszki, ryba mrożona, zresztą kupiliśmy ją dzisiaj własnoręcznie, razem z sałatą.

- Pomidory! Było w winogronach, może być w pomidorach. Trzeba by najpierw dać komuś na próbę.

- Komu? Masz na oku jakąś ofiarę?

- Widziałem tu kota w ogródku, to chyba jakiś bezpański. Można dać kotu.

- Szczególnie pomidory chętnie zje... Poza tym nie zgadzam się na maltretowanie zwierząt! Człowiekowi, owszem, mogę dać.

- Obiad na stole - powiedziała Zosia.

- Znalazłam rachunek, który mi zginął dwa lata temu - powiedziała melancholijnie Alicja, wychodząc ze swego pokoju. - Uprał się bardzo porządnie, prawie nic nie można odczytać.

- To co robimy? - spytał Paweł niespokojnie. - Łapiemy tego kota?

- I tak nie ruszy najbardziej podejrzanych potraw. Nie zezre ani pomidorów, ani kukurydzy. Już lepsza byłaby kura. Nie widziałeś gdzieś kury?

- Tylko mrożoną w sklepie...

- Kura będzie jutro, dziś nie miałam głowy do kury - powiedziała Zosia stanowczo. - Siadajcie wreszcie do stołu! Alicja, zostaw, na litość boską, to biurko!

Mniej więcej w połowie obiadu Alicja zostawiła biurko i usiadła do stołu. Była głęboko zamyślona. Uznałam, że zapewne zastosowała się do mojej rady i idzie drogą dedukcji, nie wiadomo tylko, czy zbliżając się ku listowi Edka, czy też oddalając się od niego. Rozmawialiśmy cicho, nie chcąc przeszkadzać jej w tej pracy myślowej. Zosia gniewnym szeptem czyniła Pawłowi wyrzuty na opieszałość przy pracy w ogródku.

Ogródek istotnie wyglądał nieco dziwnie i wymagał pewnych zabiegów. Od czasów kiedy Thorkild budował atelier, pozostały na jego terenie jakby dwa grobowce, jeden mniejszy, na środku, a drugi większy, tuż przy tarasie. Za większym, w dole, znajdowało się bezpośrednie przejście do atelier. Mniejszy był w trakcie likwidacji, ziemia z niego uzupełniała wał biegnący wokół od strony ulicy, większy zaś był porośnięty niezwykle bujnym zielskiem, w którym na pierwszy plan wybijały się pokrzywy. Pomiedzy grobowcami leżała olbrzymia kupa

schnących gałęzi, wyciętych z drzew i krzewów, porastających wał i przeszkadzających w jego podwyższaniu. Wszystko to razem było jedną z przyczyn, dla których Alicja, wbrew wewnętrznym, dość zrozumiałym oporom, zdecydowała się na zainstalowanie owej niskiej lampy, oświetlającej tylko kawałek tarasiku i pozwalającej ukryć w mroku całą resztę.

Rozgoryczony Paweł protestował przeciwko obarczaniu go winą za całość pejzażu.

- Drzewo rznąła Joanna - oświadczył wzburzonym szeptem. - Ja miałem wozić ziemię! Ja tego tam nie kładłem!

- To dlaczego nie wozisz?

- Którędy? Gałęzie leżą na środku!

- To dlaczego ich nie porąbałeś i nie spaliłeś?

- Joanna mi nie pozwoliła!

- Fakt - przyświadczyłam cicho, ale stanowczo. - Ja mu nie pozwoliłam. Drewno należy do mnie, niech się nie czepia.

Zosia zaczęła wobec tego czepiać się nas obydwójga.

- Przecież to nie może tak zostać, co wy sobie wyobrażacie? Wyjedziemy, a Alicja ma to wszystko sama zrobić? Rozbebeszyć było komu, ale skończyć to już nie ma! Kto niby ma być od tego?

- My. Uspokój się. Są trudności na razie, widzisz przecież, że ustawicznie jakieś zwłoki nam wchodzą w paradę.

- W ogródku nie ma żadnych zwłok!

- Nie wiadomo. Ciemno, nic nie widać, rano niby nic nie było, ale teraz kto wie czy tam gdzieś coś nie leży...

Zosia wzdrygnęła się nerwowo.

- Przestań, na litość boską! Jeszcze wymówisz w złą godzinę! Paweł,

nastaw wody na kawę...

Sprzątnęliśmy ze stołu. Alicja, nadal nie odzywając się, wróciła do biurka. Wyjęłam filizanki do kawy, Zosia otworzyła puszkę.

- Tu już nic nie ma - powiedziała z niezadowoleniem. - Dwie łyżeczki na krzyż. Paweł...

- Ja i tak będę piła herbatę - powiedziałam stanowczo.

- Ja też! - zawołał Paweł.

Zosia wysypała resztkę kawy z puszki do dwóch filizanek.

- Ale i tak trzeba dosypać. Paweł...

Paweł dolewał wrzątku do czajniczka z herbatą. Odstawił czajnik i sięgnął po słoik z kawą do szafki. Odkręcił przykrywkę i zajrzał do środka.

- Tu już też niewiele zostało - powiedział, podał słoik Zosi i odwrócił się po większe filizanki do herbaty. Rozmawialiśmy cicho i działaliśmy niemal bezszmerowo, toteż to, co rozległo się nagle od strony Alicji, zabrzmiało jak trąby jerychońskie.

- O rany boskie!!! - jęknęła straszonym głosem, równocześnie z hurgotem odsuwając krzesło od biurka. Słoik z kawą wyleciał Zosi z rąk. Paweł upuścił jedną filizankę do kawy razem ze spodeczkiem. Nie uczyniłam żadnej szkody tylko dzięki temu, że akurat nic nie trzymałam w ręku.

- Cholera ciężka, zupełnie o tym zapomniałam! - powiedziała Alicja z wściekłością, zanim ktokolwiek z nas zdążył wydobyć z siebie głos. - Jeszcze tylko tego mi brakowało! Podniosła się od biurka z jakimś papierem w ręku i usiadła przy stole.

- Ciotka Thorkilda pisze... O... ? Co tu się stało?

- Nic - odparłam. - Na drugi raz powstrzymaj się od takich efektownych okrzyków, bo nie odpowiadamy za straty, jakie w tym domu poniesiesz. Jakaś taka nerwowa atmosfera się wytworzyła.

- I nerwowa atmosfera tu leży? - zainteresowała się Alicja, oglądając podłogę.

Skorupy z filizanki zmieszały się wdzięcznie ze skorupami spodka w innym kolorze i kawą na rannych pantoflach Zosi. Nietłukący się słoik z plastyku poturlał się pod stół, siejąc za sobą ciemną smugę w kształt regularnego półkola.

- Abstrakcja wyszła - powiedział Paweł odkrywczco, patrząc pod nogi.

To otrzeźwiło Zosię.

- Jeżeli ja nie dostanę na tym urlopie rozstroju nerwowego, to będzie cud - oświadczyła z irytacją.

- Co, u diabła, takiego może pisać ciotka Thorkilda, żebyś musiała wszystkich straszyć? Resztę kawy szlag trafił! Masz jeszcze jakiś zapas?

- Pojęcia nie mam. Joanna, zajrzyj tam do szafki, po lewej stronie. Chyba już nie ma, co?

- Paweł, rusz się...!

- Masz czekoladę w proszku, kakao i jakąś skamieniałą resztkę neski - powiedziałam, grzebiąc w szafce.

Paweł uprzątnął pobojuwisko. Włazł pod stół i wyciągnął słoik.

- Jeszcze trochę zostało - powiedział pocieszająco. - Ewentualnie może pozbierać łyżeczką z tych skorup?

- Oszalałeś! - krzyknęła Zosia. Wydarła mu z ręki szczotkę i śmietniczkę i sama zamiotła podłogę. Alicja wysypała resztkę ze słoika do puszki.

- Rzeczywiście, jakoś szybko ten słoik wyszedł - powiedziała smętnie. - Ja mu pomogłam wczoraj, wy dzisiaj... Trzeba jutro pamiętać, żeby kupić.

- Masz tu neskę w kamieniu. Może się jeszcze rozpuści.

- Pewnie, że się rozpuści. Zresztą dzisiaj idziemy wcześniej spać i nikt nie będzie pił kawy.

- Chyba że przyjdą goście - powiedział Paweł głupio i lekkomyślnie.

I oczywiście powiedział w złą godzinę.

W panującym od kilku dni zamieszaniu wszyscy z Alicją włącznie zapomnieliśmy, że mają przyjechać Włodzio i Marianne. Włodzio, nasz rodak, i Marianne, jego szwajcarska żona, uważali, iż ogólne zawiadomienie, że w najbliższym czasie przybędą, najzupełniej wystarczy. Dla przygnębionej nieco nie zaplanowanym najazdem na Allerød Alicji pewną pociechę stanowiła myśl, że będzie miała okazję pokłócić się z Włodziem o guziki. Był to temat od lat pasjonujący ich obydwójce i wywołujący dzikie awantury.

Włodzio mianowicie był zdania, że przyszywanie guzików jest podstawowym obowiązkiem żony. Przyszywanie guzików było określeniem niejako umownym i obejmowało wszystkie obrzydliwe czynności, związane z garderobą i gospodarstwem domowym. Pracująca zawodowo Marianne łagodnie godziła się z tą tyranią, Włodzio wykorzystywał jej łagodność, a Alicja dostawała piany na ustach i szaleństwa w spojrzeniu, wykrzykując rozmaite rzeczy o równouprawnieniu i dyskryminacji kobiet.

Nie zdążyło jeszcze przebrzmieć echo lekkomyślnej przepowiedni Pawła, kiedy ich samochód zatrzymał się przed domem, a oni sami zapukali do drzwi. Na ich widok Zosia zdenerwowała się niebotycznie, wiadomo było bowiem, że tak Włodzio, jak i Marianne nie mogą żyć bez kawy, są po całym dniu jazdy i padną, jeśli jej nie dostaną.

- No nie, to przecież coś okropnego, istny pech! Trzeba kupić jeszcze dzisiaj! Słuchaj, gdzie on może kupić kawę? Paweł...!

- Przecież nie urodzę - mruknął Paweł, nie wykazujący cienia

inicjatywy, ani tym bardziej entuzjazmu, z nie znanych nam bowiem przyczyn nie znosił Włodzia.

- Kolację zjedliśmy w Roskilde, ale na kawę przyjechaliśmy do ciebie - wykrzykiwał radośnie Włodzio wśród powitań, nie zdając sobie sprawy, że dobija Zosię ostatecznie. - Co jak co, ale kawę się u ciebie zawsze dostanie!

Zosia wpadła na stronie w kompletny rozstrój nerwowy.

- Na litość boską, Joanna! Gdzie można kupić tej cholерnej kawy o tej porze?!

- Nigdzie - odparłam niemiłosiernie. - To znaczy owszem, na dworcu głównym w Kopenhadze i w automatach. Automaty są w środku miasta, koło Armii albo koło HB, albo byle gdzie...

- Paweł, idź natychmiast!

- Ale w automatach jest przeważnie ta gorsza kawa.

- Wszystko jedno! Kup najdroższą, jaka będzie! Idźże wreszcie, na co czekasz?!

Z pewnym wysiłkiem udało mi się wypchnąć Pawła do automatu. Włodzio i Marianne bez skrupułów i bez pojęcia o sytuacji zebrali o kawę. Alicja wsypała do ekspresu nieszczęsną, sponiewieraną resztkę z puszki, której starczyło akurat na dwie filiżanki. Sama miała jeszcze swoją z obiadu, z reguły bowiem piła zimną. Zosia zużyła skamieniałą neskę, nerwowo nasłuchując, czy Paweł nie wraca.

Wieczór upływał w miłej atmosferze.

- Coś podobnego! - mówił Włodzio, wstrząśnięty i zaskoczony. - Edek zamordowany?! Tu, u ciebie?!...

Wydawałoby się, że tak niecodzienne tematy, jak zbrodnia w Allerød i podróż samochodem przez pół Europy powinny zająć czas co najmniej do późnej nocy. Rychło jednak okazało się, że nie wówczas,

kiedy zejdą się razem Włodzio i Alicja. Trzebaż nieszczęścia, że Włodzio zaczepił gdzieś o jakąś klamkę i miał lekko naderwaną kieszeń marynarki, przy czym, o zgrozo, przypadek ten przytrafił mu się poprzedniego dnia i Marianne do tej pory tego nie zeszyła!...

- Mam solone fistaszki - powiedziała Alicja jadowicie. - Ale chyba wam nie dam, bo Marianne jest zmęczona i jeszcze ci źle pogryzie...

Więcej nie trzeba było. Włodzio miał refleks, zareagował ostro i w chwilę potem wspaniała awantura grzmiała jak kanonada armatnia. Zbrodnie poszły w zapomnienie, podróż przestała się liczyć i nawet przedłużająca się nieobecność Pawła całkowicie uszła naszej uwadze. Włodzio i Alicja obrzucali się wzajemnie oryginalnymi inwektywami, podając wręcz w wątpliwość swoją przynależność do rodzaju ludzkiego. Obie z Zosią słuchałyśmy z nadzwyczajną uciechą i zainteresowaniem, wtrącając się raczej rzadko i tylko w celu dolania oliwy do ognia, który, jak się okazało, z upływem lat rozpałał się w nich coraz wspanialej. W Polsce kłócili się z mniejszym zapalem.

I dopiero rozpaczliwe, nieopanowane ziewnięcie Marianne położyło kres znakomitej rozrywce. Alicja zerwała się z miejsca natychmiast, demonstracyjnie okazując troskę wyłącznie o nią z całkowitym pominięciem Włodzia. Włodzio mógł teraz nosić węgiel albo rąbać drzewo, albo najlepiej zrobić pranie, ale Marianne był zmęczona, Marianne musiała się położyć i odpocząć. Marianne musiała iść spać!..

W tym samym momencie Zosia zorientowała się, że Pawła ciągle nie ma. Z kolei Włodzio poszedł w zapomnienie. Pawłem zdenerwowałyśmy się wszystkie trzy.

- Gdzie on się płacze do tej pory? Czy mu się coś nie stało?

Uczyłam przypuszczenie, że pojechał na dworzec główny do Kopenhagi.

- To już nie wróci - powiedziała Alicja dość grobowo, nie wiadomo dlaczego rzucając Włodzowi wrogie spojrzenie. - Dochodzi dwunasta, nie złapie ostatniego pociągu o dwunastej dwadzieścia.

- Złapie, pojechał już dawno...

- Ale on nie miał pieniędzy na bilet! - jęknęła Zosia. - Ja mu dałam tylko na kawę!

- To przyjedzie na gapę...

Włódzio i Marianne wykazywali tak nikłe zainteresowanie tematem, że aż było to prawie nieuprzejme. Marianne już od dłuższej chwili nie kryła zmęczenia, a Włódzio, po wybuchu wigoru, zaczął ziewać wręcz przerażająco. Istniało prawdopodobieństwo, że wywichnie sobie szczękę. Trzeba było koniecznie coś z nimi zrobić. Rozwścieczona i zdenerwowana Alicja zostawiła ich z półprzytomną niemal Zosią i wyciągnęła mnie do atelier.

- Słuchaj, jak ich ulokować? Rany boskie, gdzie ten Paweł?... Gdzie on się podział? Zaczynam się denerwować... Co zrobić?

- Nie wiem. Najpierw pozbyć się Włodzia i Marianne, długo już nie wytrzymają. Gdzie ich zamierzałaś położyć?

- Albo w tamtych małych pokojach, ale tam śpią Zosia i Paweł... Gdzie ten Paweł? Albo tam, gdzie ty...

- Aha, rozumiem. To znaczy, że mam się przenieść na katafalk. O, pardon, chciałam powiedzieć na pomnik...

- Zgodziłabyś się?

- Po pierwsze nie widzę innego wyjścia, a po drugie nie mam właściwie nic przeciwko temu. Dobrze, że Elżbieta się wyprowadziła. Mogę tu nawet zostać na stałe. Lubię dużą przestrzeń.

- I nie będzie ci przeszkadzało, że tu jest bezpośrednio wyjście do ogrodu?

- Przeciwnie. Lubię bezpośrednie wyjścia. A poza tym moja maszyna też tu nie będzie nikomu przeszkadzała.

- Chcesz pisać?

- Aha.

Alicja się nagle zainteresowała.

- Nową książkę?

- Nie, listy. Korespondencję do ukochanego mężczyzny.

- Co ty powiesz, nie minęło ci?

- Raczej mam wrażenie, że się pogłębia.

- A, właśnie! Miałaś mi powiedzieć, kto to jest!

- I naprawdę uważasz, że to jest najodpowiedniejsza chwila?! Miałaś powiedzieć, o co chodzi z tą ciotką Thorkilda. Marianne i Włodzio przeszkodzili. Miałaś położyć spać Marianne i Włodzia. Zginął Paweł...

- O rany boskie! - powiedziała z irytacją Alicja.

- Jeszcze ta ciotka! Nie masz pojęcia, jaki ja mam z tym problem! Zaraz, Włodzio i Marianne...

- Pościel - powiedziałam z rezygnacją. - Zabieraj to co dla nich z tego barłogu, a ja przyniosę swoją. Pośpieszmy się, bo inaczej ci padną przy stole.

- Nonsens, Włodzio ziewa na złość, żeby pokazać, że go moje zdanie nic nie obchodzi...

Włodzio i Marianne na ostatnich nogach udali się na spoczynek. Zosia doszła do stanu całkowitej niepoczytalności, obie z Alicją z największym trudem powstrzymywałyśmy ją od pójścia na poszukiwania w niewiadomym kierunku, kiedy zaginiony Paweł pojawił się nagle w drzwiach od ogrodu.

Wyglądał tak, że różne okrzyki zamarły nam na ustach. Odzież miał

w pożałowania godnym stanie, we włosach jakieś zielsko i gałęzie, na policzku szramę, w oczach dziwne błyski, a w rękach rozprutą torbę z kawą, zawiniętą w chustkę do nosa.

- Śledziłem kogoś! - zawołał dramatycznie, uprzedzając przewidywane wyrzuty.

- Kogo? - spytałyśmy wszystkie trzy równocześnie, chociaż niewątpliwie każda z nas pierwotnie zamierzała powiedzieć zupełnie co innego.

- Nie wiem. Zdaje się, że ktoś się tu czaił, ale nie wiem kto, bo uciekł samochodem!

- Czy ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, co ja tu przeżywam?! - krzyknęła Zosia rozdzierająco. - Jak ty wyglądasz?! Czy ty nie masz sumienia.,,?!

- Gdzie się czaił? - spytała równocześnie Alicja nieufnie.

- Jakim samochodem? - zainteresowałam się mimo woli.

Paweł usiłował odpowiadać na wszystkie pytania naraz. Zosia robiła awanturę, utrudnioną koniecznością zachowania ciszy ze względu na gości. Alicja wydarła Pawłowi kawę razem z chustką do nosa. Paweł otrząsał z siebie zielsko.

- Nie wiem, jak wyglądał, ciemno było - mówił z zapalem. - No wiem, wiem, że się denerwujesz, przecież nic mi się nie stało! Nie napadł mnie, w ogóle się do niego nie zbliżałem! Tu, za tymi drzewami, jak wracałem... Usłyszałem, że się coś rusza, i byłem ciekaw... O rany boskie, co mi się miało stać?! Zdaje się, że zaglądał do środka, a potem uciekł tędy, przez ogród, na ulicę, o mało sobie oka nie wydłubałem tą gałęzią od śliwki... No ale nie wydłubałem sobie przecież!... Nie wiem, czy kobieta, był w spodniach. Po tych uliczkach do stacji, przez jakieś cudze ogrody, przez coś przelazłem. I w końcu zginął mi z oczu, i usłyszałem, że rusza

samochodem, nie wiem jakim, w ogóle go nie widziałem, tylko słyszałem. Osobowy. Jak się wydostałem na ulicę, to już go nie było, a za to ja nie wiedziałem, gdzie jestem.

- No i gdzie byłeś?

- Całkiem gdzie indziej. Na drugim końcu Allerød.

- Przecież leciałeś po tych zaroślach do stacji?

- Ale on przełazi okreżną drogą, najpierw do stacji, a potem w tę drugą stronę, bliżej autostrady, ale w ogóle to daleko. Od razu wróciłem, jak tylko odjechał!

- Jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego...! - zaczęła Zosia złowieszczo.

- Czekaj - przerwała Alicja. - I nie widziałeś, kto to był? Może ci się wydał do kogoś podobny?

- Nie wiem, chyba do nikogo. Jakaś niezbyt gruba osoba. Raczej szczupły.

- Dużo nam z tego przyjdzie - mruknęłam niechętnie. - Wśród podejrzanych nie ma nikogo grubego. Nie był taki wysoki jak Roj?

- Nie, chyba trochę niższy. Dużo niższy...

- Trzeba było przynajmniej przyjrzeć mu się dokładniej - powiedziała Alicja z niezadowoleniem. - Świecą przecież po drodze jakieś latanie!

- On unikał latarni. Pewnie, że mu się chciałem przyjrzeć, ale się czał w ciemnych miejscach.

Przyniesiona przez Pawła kawa okazała się tą nieco gorszą. Sensacyjna informacja o mordercy za oknem sprawiła, że postanowiłyśmy się jednak napić. Alicja zdecydowała się zaparzyć kawę ekspresie, z nadzieją, że ten sposób parzenia podniesie jej jakość. Z tą samą nadzieją wypłukała szklany zbiornik wrzącą wodą dwa razy, po

czym usiedliśmy dookoła, patrząc, jak ciemny płyn ciurka do dzbanka.

Przypuszczenia co do celów, w jakich morderca czaił się za oknem, i wątpliwości, czy to był na pewno morderca, wyczerpały nas w końcu i temat sam się przestawił, szczególnie że Alicja znów zmieniła zdanie, powątpiewając w siebie w charakterze ofiary i wszelkie supozycje na ten temat witając jak objaw debilizmu. Jej upór nas nieco zniechęcił.

- Może byś tak powiedziała wreszcie, o co chodzi z tą ciotką? - spytałam, rezygnując z przekonania jej, że znajduje się na prostej drodze do zguby. - Chyba że tkwi tu jakaś tajemnica rodzinna?

- Owszem, dla mnie - odparta Alicja melancholijnie. - Jest dla mnie całkowitą tajemnicą, jak się powinnam do tej ciotki zwracać. Ich jest dwie, tych ciotek, z jedną z nich jestem na pani, a z drugą na ty. I nie mam pojęcia z którą, nie rozróżniam ich ani z imion, ani z twarzy.

- Nie wydaje mi się, żeby to był powód do przeraźliwych krzyków - powiedziała Zosia z lekką urazą.

- Wcale nie krzyczałam przeraźliwie. Poza tym jedna ciotka przyjeżdża do Allerød, nie wiem która, i zupełnie o tym zapomniałam. Będę musiała się nią zająć.

- Dlaczego ty? Jest przecież więcej rodziny?

- Bo właściwie ona przyjeżdża do mnie. Mieszkała tu kiedyś, dawno temu, kiedy jeszcze ten dom nie był całkowicie wykończony, i zostały jakieś jej rzeczy, które teraz chce zabrać, chociaż miała je zabrać osiemnaście lat temu.

- Może fisharmonię? - spytałam ze skrytą nadzieją. - Albo może ten obraz ze ściany w ostatnim pokoju?

- O Boże, jeśli zabierze obraz, jestem gotowa dla niej na wszystko! - ożywiła się Zosia, która mieszkała w ostatnim pokoju.

- Nie - odparła Alicja z westchnieniem. - Obraz pewnie weźmie, ale

nie tamten...

Obraz na ścianie w ostatnim pokoju był tematem rozważań wszystkich osób, które kiedykolwiek nocowały w Allerød. Stanowił arcydzieło, jakie ciężko było zapomnieć, pojawiała się bowiem w koszmarach sennych. Rozmiary nie pozwalały go nigdzie schować, rada, żeby odwrócić je twarzą do ściany, wydawała się jedynie słuszna. Alicja powoli dojrzewała do decyzji, żeby się do niej zastosować.

- Szkoda - powiedziałam smutnie. Nasza nadzieja zgasła równie szybko, jak się narodziła, i oczekiwana ciocia, która przez chwilę wydawała nam się szalenie atrakcyjna, od razu straciła w naszych oczach.

- Kiedy ona ma przyjechać? - spytała Zosia nieżyczliwie.

- Nie wiem. Gdzie ja położyłam ten list? Tam było napisane.

- Trzymałaś go w ręku w czasie obiadu. Potem poleciałaś witać Włodzia i Marianne. Diabli wiedzą co z nim zrobiłaś.

Alicja odstawiła dzbanek, z którego zaczęła nalewać kawę do filiżanek, i podniosła się od stołu. Ujęłam dzbanek i dokończyłam nalewania. Alicja zaczęła gmerać w stosie na biurku.

- Muszę go znaleźć! Nie widzieliście, co ja z nim zrobiłam? Mam wrażenie, że to jakoś wkrótce... Nikt z was go gdzieś nie przekładał?

Przyglądaliśmy się jej w milczeniu.

- Wygląda na to, że teraz będziesz szukać dwóch listów - powiedziałam zgryźliwie. - Szukaj tego od ciotki, to może znajdziesz ten od Edka. Zawsze człowiek znajduje nie to, czego szuka.

- To może w ogóle zacząć szukać zupełnie czego innego? - zaproponował Paweł. - Na przykład obroży dla psa.

- Nigdy w życiu nie miałam obroży dla psa!

- To tym lepiej, będziemy szukać bardzo długo i mnóstwo czego innego się znajdzie...

List od ciotki przepadł jak kamień w wodę. Alicja zdenerwowała się tym okropnie i ze zdenerwowania postanowiła iść spać. Zosi poleciła robić jutro honory domu wobec Włodzia i Marianne, mnie z Pawłem dokonać zakupów spożywczych, a oprócz tego zająć się grobowcami w ogrodzie, niwelując je tak, żeby nie rzucały się zbyt w oczy w czasie wizyty cioci.

Nie chcąc przeszkadzać gościom, dostałam się do atelier okrężną drogą i tak samo udałam się kilkakrotnie do łazienki i z powrotem. Droga była bardzo okrężna, z przesadnej ostrożności bowiem postanowiłyśmy zamknąć drzwi na taras i musiałam się posługiwać drzwiami przy furtce, dokładnie po drugiej stronie domu, w dodatku cały czas nosząc ze sobą klucz do nich i bojąc się, że go zgubię. Całe szczęście jeszcze, że było dość ciepło i ładna pogoda. Dzięki temu zapewne nie odczuwałam lęku przed mordercą, co mnie samą bardzo dziwiło.

Nazajutrz wszyscy wstaliśmy niezbyt wcześnie, z wyjątkiem Alicji, która udała się do pracy spóźniona zaledwie o dwa pociągi, czyli o czterdzieści minut. Napiliśmy herbaty, zabrałam z pralni piłę i siekierę i opuściłam dom. Zosia gospodarowała w kuchni, przeganiając Pawła z miejsca na miejsce i robiąc śniadanie. Włodzio i Marianne jeszcze spali.

Słońce oświetlało prześliczny, spokojny domek, taras i rosnące przed nim kolorowe dalie i wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, żeby tak urocze, pogodne miejsce mogło być terenem prawdziwej zbrodni. Piłując i rąbiąc drewno, ze zdumieniem uświadamiałam sobie, że na tym samym osłonecznionym w tej chwili tarasie na własne oczy widziałam zamordowanego Edka, a wewnątrz wdzięcznego domku osobiście znalazłam otrutego Kazia w budzącym zgrozę stanie. Niemożliwe! Wręcz nie do wiary! Jakaś głupia mistyfikacja czy co?... Gdyby nie dość duża ilość osób, które widziały to samo, musiałabym w tym momencie uznać, że miałam halucynacje albo kretyński sen...

Odwaliwszy co grubsze gałęzie, zrobiłam sobie przerwę, weszłam z ogrodu do atelier, zabrałam portmonetkę i udałam się do sklepu po papierosy. Przy okazji kupiłam zapalki. Nie miałam co z nimi zrobić, bo roślinność wydawała mi się nieco wilgotna, bałam się, że mi zamokną, wróciłam zatem na taras, żeby położyć je na fotelu. Przy okazji spojrzałam przez otwarte drzwi do wnętrza pokoju. To, co ujrzałam, zdumiało mnie i zaniepokoiło nad wyraz, nie pasowało bowiem zupełnie do pogodnego obrazu oglądanego z zewnątrz.

Zosia płakała rzewnymi łzami, wsparta czołem na ramieniu Pawła, który wydawał się spłoszony i jakby zakłopotany. W pierwszej chwili sądziłam, że po prostu daje ujście zdenerwowaniu, i zdążyłam nawet pomyśleć, że jest pewna korzyść w tym, że nam tak dzieci powyrastały, ale natychmiast dotarło do mnie to, co wykrzykiwała.

- Włódzio i Marianne...! - szlochała rozpaczliwie. - Nie żyją...! Ja już nie mogę, ja mam tego dosyć! Ja chcę do domu...!

- Nie możemy teraz wracać do domu. Jakby nie było już więcej zwłok, to będzie na nas - perswadował Paweł. - Że niby wyjechaliśmy i od razu jest spokój. Nie możemy się narażać.

- Na miłosierdzie pańskie, o czym wy mówicie?! - spytałam, czując jakieś dziwne oszołomienie i narastającą zgrozę. - Co się stało?!

- Włódzio i Marianne...! Nie żyją...! I ja ich znalazłam...!!!

Zrobiło mi się całkiem słabo.

- Jak to...? Jak nie żyją?!

- Całkowicie...

- O rany boskie, nie o to mi chodzi! Rozumiem, że nie połowicznie! Ale w jaki sposób zginęli?! Od czego?!

- Nie wiem! Nie ma żadnych śladów! Nic nie widać! Nic nie ma...!

- No nie, zwłoki są... - powiedział Paweł dość bezradnie i jakby

pocieszająco.

Zosia oderwała się nagle od jego ramienia.

- To są dzieci teraz...! - krzyknęła z rozgoryczeniem, gniewem i zupełnie bez sensu, bo Paweł nic tu nie zawinił. - Wy nic nie traktujecie poważnie! Was nic nie obchodzi! Zejdź mi z oczu!

- Dobra, ja mogę zejść, ale ty nie masz chustki do nosa...

- To oddaj mi chustkę i wynoś się!

Poruszyłam się wreszcie, nabrałam oddechu i weszłam do pokoju. Przesuwne drzwi do apartamentu Marianne i Włodzia były częściowo odsunięte.

- Ja tam nie wiem - powiedział nieco urażony Paweł. - Ale chyba coś trzeba zrobić...

Zosia wydarła mu z ręki chustkę do nosa.

- Nie żyją - powtórzyła z jękiem, wycierając oczy. - Chciałam ich obudzić na śniadanie... Jezus Mario, co teraz?!

- Ja mam ci zejść z oczu - oświadczył Paweł godnie i wyszedł na taras. Zawahał się, jakby niepewny, czy oddalił się dostatecznie, po czym zszedł dalej, do ogrodu.

Nic nie mówiąc, podeszłam do otwartych drzwi sąsiedniego pokoju i zajrzałam do środka. Nie musiałam się długo przyglądać. Włodzio i Marianne nie wyglądali na żywych.

- Co za szczęście, że nie mieli pięciorga drobnych dzieci - powiedziałam, może niezbyt odkrywczco, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. - Nad tym domem chyba ciąży jakaś klątwa. Sprawdzałaś, czy na pewno nie żyją?

Zosia przestała wycierać nos.

- Dlaczego pięciorga? Już i jedno by wystarczyło. Jak miałam sprawdzać, przecież widać, o Boże...! Słuchaj, co teraz? Znów będzie na

nas!

- Trzeba zawiadomić Alicję, niech się użera z policją. Co im się, na litość boską, stało? Nic nie zauważyłaś?

- Moim zdaniem są chyba otruci - powiedziała Zosia zdławionym głosem. - Widziałas te plamy?

Nie widziałam żadnych plam, bo nie przyglądałam się zbyt dokładnie, ale uwierzyłam Zosi na słowo. Byłam zbyt ogłuszona, żeby samodzielnie myśleć.

- Rany boskie, czym otruci?

- Nie mam pojęcia. Może tym samym co Kazio? Chwała Bogu, że obiad jedli w Roskilde, a nie u nas! Trzeba zadzwonić do Alicji. Słuchaj, zadzwoń ty, mnie to przez usta nie przejdzie.

- Mnie też nie przejdzie. Niech zadzwoni Paweł.

- Pawłowi nie uwierzy.

- No przecież nie posądzi go o takie kretyńskie dowcipy!

- Nie wiem. Ja bym posądziła. To jest nie do wiary, co się tutaj dzieje! Ja chcę wyjechać!...

To rzeczywiście było nie do wiary, co się działo. Trup za trupem, zbrodnia za zbrodnią! Zbiorowe samobójstwo Włodzia i Marianne można było z góry wykluczyć. Co ten Edek wiedział takiego, na litość boską?!

Paweł z ogrodu kategorycznym krzykiem odmówił dostarczenia Alicji wieści o nowych zwłokach i nie dał się przekonać. Zosia na nowo zaczęła płakać. W rezultacie telefon padł na mnie. Uzgodniłyśmy, że należy to zrobić jakoś subtelnie i ostrożnie, żeby Alicją zbyt nie wstrząsnąć.

Zadzwoiłam zatem i Alicja sama podniosła słuchawkę.

- Teraz nie mam czasu rozmawiać - powiedziała stanowczo, ledwo zdążyłam się odezwać. - Zadzwonię za dwie godziny, nie wcześniej.

Włodzio i Marianne niech robią, co chcą.

- Czekaj! - zawołałam pośpiesznie. - Tu jest nowa przykrość...

- Mówię ci, że teraz nie mogę, nie zawracajcie mi głowy!

- Ale Włodzio i Marianne...

- Są samochodem, niech jadą obejrzyć zamek w Hillerød.

- Ale Włodzio...

- Słuchaj, ja naprawdę teraz nie mogę rozmawiać...

- Zamknij się!!! - wrzasnęłam, bo wpadała mi ciągle w pól pierwszego słowa. - Włodzia i Marianne szlag trafił!!!

Nie był to może najsubtelniejszy w świecie sposób udzielania informacji o tragicznym zgonie przyjaciół, ale zwłoki za plecami nieco mnie rozdrażniły.

- Niech się nie wygłupiają, ja pracuję, zobaczę się z nimi wieczorem
- odparła Alicja stanowczo, acz z lekkim roztargnieniem.

Zimny dreszcz przeleciał mi po plecach. Przez moment miałam chęć zajrzeć do sąsiedniego pokoju i sprawdzić, czy przypadkiem Włodzio i Marianne rzeczywiście nie robią sobie jakichś głupich dowcipów. Słuchająca moich subtelności Zosia miała wyraz twarzy pełen potępienia i niesmaku.

- To ty się przestań wygłupiać! - warknęłam wściekle do Alicji. - Włodzio i Marianne nie żyją, do cholery, masz nowe zwłoki w domu, do diabła, dzwoń na policję!!!

Alicję zatchnęło.

- Żartujesz - powiedziała mechanicznie.

- Wszyscy tu żartujemy jak szatany! Edek pierwszy zaczął!

- Jak to, nie żyją... Oboje? Jesteś pewna, że nie żyją?!

- Oboje. Zosia też jest pewna. Całkiem dokładnie nie żyją oboje.

- Na litość boską, co się stało?! Samochodem...?! Jakaś katastrofa?!

- Jaka tam katastrofa, to znaczy, owszem, ogólnie biorąc, katastrofa. Nie wiemy, co im się stało, podejrzewamy, że otruci. Jak się wieczorem położyli, tak leżą do tej pory. Umarli w międzyczasie.

Alicja jęknęła rozdzierająco.

- O rany boskie, co oni jedli?!

- Nie wiem, nic nie jedli, jak jedli, to chyba w nocy, skąd mam wiedzieć, co! Plamy mają na sobie!

- Jakie plamy?!

- Nie wiem. Zosiu, jakie plamy?

- Sine - powiedziała Zosia posepnie.

- Sine - powtórzyłam do słuchawki. - Przestań zadawać głupie pytania, podobno nie masz czasu. Dzwonź po policję i wracaj zaraz do tej czerwonej oberży!

- Rany boskie - powiedziała Alicja rozpaczliwie i rozłączyła się.

Przygnębiona i do ostateczności wyczerpana Zosia wstała z fotela, zgasła papierosa i natychmiast zapaliła następnego.

- Śniadanie jest gotowe - powiedziała tragicznie. - Nie wiem jak wy, ale ja chyba nic do ust nie wezmę.

Zawahałam się.

- Ja bym wzięła, bo od pracy na świeżym powietrzu nabieram apetytu, ale nie wiem, czy Paweł nie ma racji z tym kotem... Paweł!

Paweł w zadumie rozkopywał grobowiec na środku. Sypnął na taczki następną łopatę ziemi, oparł się na trzonku i spojrzał na mnie pytająco.

- Nie ma tam gdzie tego kota? Bo może byśmy zjedli śniadanie?

Paweł rozejrzał się, pokręcił przecząco głową, wbił łopatę w ziemię i

ruszył w kierunku domu.

- Szczury - powiedział wchodząc. - To są niesympatyczne zwierzęta.

- Gdzie są szczury?! - spytała Zosia, odwracając się gwałtownie. - Jeżeli jeszcze okaże się, że tu są szczury, to ja się bezwzględnie wyprowadzam!

- Sprzedają w klatkach białe myszki - powiedziałam, od razu zrozumiawszy, o co chodzi Pawłowi. - Edek i tak nie żyje, więc na białe myszki możemy sobie pozwalać. Też dobre.

- Białych myszek mi szkoda - odparł Paweł stanowczo. - Kiedyś hodowałem. Można się z nimi zaprzyjaźnić.

- Czy wyście oszaleli? - spytała Zosia w panice.

- Nie, rozważamy możliwość wydostania skądś zwierząt doświadczalnych. Zjedlibyśmy śniadanie, ale po sprawdzeniu, w jakim stopniu jest jadalne.

- Ale mnie się wydaje, że tu coś jest - ciągnął Paweł, siadając przy stole. - W chlebie i margarynie chyba nic nie ma...? W tym grobie jest nora i możliwe, że tam jest szczur albo łasica, albo coś takiego. Zamierzam się do tego dokopać i złapać. W większym też jest dziura, która mi wygląda na norę. Można by to złapać i karmić.

- Nie wiadomo, jak długo by wyżyło - powiedziałam złowieszczo. - Może lepiej jedzmy na wszelki wypadek tylko takie pewne rzeczy. Co sama otwierałaś i w jakim to było stanie?

Zosia ocknęła się z ponurego zamyślenia.

- Co? Nie wiem. Nic nie otwierałam.

Po namyśle zdecydowaliśmy się na nie napoczętą pastę rybną i sałatkę. Od oglądania obu tych artykułów przez lupę filatelistyczną oderwał mnie telefon. Oddałam lupę Pawłowi, który ją śledził powierzchnię sałatki centymetr po centymetrze, i podniosłam słuchawkę,

bo Zosia odzegnała się od rozmów telefonicznych stanowczym gestem.

- Słuchaj - powiedziała w telefonie Anita z wyraźnym przejęciem - przyszło mi na myśl, że chyba teraz w Allerød będzie straszło. Jak myślisz?

Pomyślałam sobie, że ona jest chyba rzeczywiście konkursowe lekkomyślna i nadludzko odporna na wstrząsy.

- Moim zdaniem już straszy, i to całkiem porządnie - odparłam ponuro.

- Co ty powiesz? Jak straszy? A w ogóle co słyhać?

- Słyhać niewiele, gorzej z widokami. Mamy nowe zwłoki.

- Nie żartuj! Gdzie?!

- Tu obok, w pokoju, koło atelier.

- No proszę! Ta Alicja ma tam jednak straszny nieporządek, wszędzie jakieś zwłoki, to w ogródku, to w pokoju... A kto tym razem?

- Dwie osoby. Słyszałaś o nich, Włodzio i Marianne.

- Jak to?! Równocześnie?!

- Łeb w łeb...

- Co za rozrzutność! I jak się czujecie?

- Średnio. Powoli zaczynamy przywykać.

- Pewnie, do wszystkiego można się przyzwyczaić. Czy w tym bałaganie Alicja w ogóle może coś znaleźć?

- Przeciwnie, gubi następne.

- I tego listu, którego szukała, też nie znalazła?

- No przecież ci mówię, że nie. Zgubiła nowy. Możliwe, że znajdzie tamten, jak będzie szukała tego.

- Ale korzyść z tego może być - powiedziała Anita z wyraźnym ożywieniem. - Bo ja nie dokończyłam myśli. Jeśli będzie straszło, to ona

może brać za wstęp. Niedrogo, po pięć koron od głowy, a za nocleg, na przykład, piętnaście. Bez pościeli.

Mimo woli zastanowiłam się nad tym.

- Wiesz, że to jest niegłupie... W razie gdyby straszło w ogródku, może tylko wpuszczać na noc do środka bez dodatkowych zachodów. Tylko trzeba będzie porządniej ogrodzić, żeby nie wchodzili na gapę przez tę dziurę w żywopłocie. Na razie po ogródku płacze się morderca.

- Jak to?

Opowiedziałam jej pokrótce o wczorajszych spostrzeżeniach Pawła. Anita się bardzo zainteresowała.

- I co? Nie rozpoznał go? Nie zauważył czegoś charakterystycznego? Ta młodzież teraz jest do niczego. Same niedojdy! Nie wiem, czy wiesz, że my chyba o tym napiszemy obszerniej. Ja tu mam artykuł...

Zaniepokoiłam się. Anita pracowała jako sekretarz redakcji jednej z największych kopenhaskich gazet. Nie byłam pewna, czy Alicji zależy na rozgłosie.

- Słuchaj, wstrzymaj się z tym. Alicja może mieć pretensje. A jeśli nie możesz, to przynajmniej dopilnuj, żeby nie wymieniali nazwisk i szczegółów.

- Spróbuję - obiecała Anita. - Zrobię, co się da. Ale za to rezerwuję dla nas wszystkie świeże wiadomości. Nie udzielajcie żadnych wywiadów nikomu!

Zapewniłam ją, że będziemy milczeć jak zmurszałe głązy, i odłożyłam słuchawkę. Paweł zakończył badanie artykułów spożywczych przez lupę, uznał je za jadalne i na wszelki wypadek skoczył do sklepu po nowe mleko, bo wczorajsze było otwarte. Kupioną przez niego kawę uznaliśmy za nieszkodliwą, zważywszy, że piliśmy ją wczoraj i jeszcze żyjemy. Nowy wstrząs pozbawił apetytu tylko Zosię, Paweł Włodzia nie

lubił, a Marianne właściwie nie dostrzegał, ja zaś prawie nie znałam ich obydwojga. Trzeźwo stwierdziłam, że gdybyśmy mieli tracić apetyt przy każdym zbrodniczym zamachu, wkrótce zapewne zaczęłaby nam grozić śmierć głodowa.

Alicja przyjechała samochodem razem z panem Muldgaardem, okropnie zdenerwowana i pełna wyrzutów sumienia, że chociaż raz nie przyznała Włodzowi za życia racji w kwestii guzików. Tuż przed nimi przyjechało pogotowie, które wezwała na wszelki wypadek w trakcie oczekiwania na samochód policji. Lekarz policyjny i lekarz pogotowia, wśród wzajemnych uprzejmości, przystąpili do badania. Byliśmy wszyscy tak głęboko przekonani, że tym razem mordercy udało się lepiej i Włódzio z Marianne definitywnie padli ofiarą jego uporu, że nagłe ożywienie obu eskulapów wstrząsnęło nami nie mniej niż łypnięcie Kazia.

- Żyją!!! - wrzasnęła Alicja ze łzami szczęścia w oczach. - Słuchajcie, oni żyją!!! Dadzą się odratować!!! To samo co z Kaziem!!!

Ulga, jakiej doznaliśmy, pozwoliła nam dopiero teraz ocenić ogrom panującego dotychczas przygnębienia.

- Nie do wiary - jęknęła w radosnym oszołomieniu Zosia. - A tak wyglądali...! Do głowy by mi nie przyszło!

- Cud! - oznajmiłam pobożnie.

- Jaki tam cud, ten morderca to jakiś idiota, on nie ma pojęcia o truciznach - zawyrokował Paweł.

- Co to był za kretyński pomysł od razu mówić, że nie żyją! Trzeba było najpierw dzwonić do pogotowia, a potem do mnie...

- A te plamy to co? - zaprotestowałam. - Każdy by się pomylił! Plamy powinno się mieć po śmierci, a nie za życia!

- Jest jakiś przepis prawny co do tego? - spytała Alicja jadownicie. - I czego wy mnie tak denerwujecie? A w ogóle plamy ma tylko Marianne,

oni mówią, że to uczulenie. Alergia. Nie wiem, ale chyba sama przyszyję Włodzowi jakiś guzik!

- Na taką okazję chętnie oderwie sobie wszystkie...

Obaj lekarze, zanim oddalili się wraz z ofiarami zamachu, zgodnie zaręczyli za ich życie, przewidując jednakże, iż kuracja będzie długa i skomplikowana. Morderca zastosował jakąś niezwyklego gatunku truciznę, zawierającą głównie środki nasenne, a oprócz tego coś jeszcze, czego trudno było dociec, zważywszy bowiem, że Włodzio i Marianne wyżyli, na sekcję nie było szans. Objawy zaś prezentowały się nad wyraz nietypowo. Pan Muldgaard w zadumie kręcił głową.

- Zdziwienie odczuwać należy - rzekł. - Nader nieordynarny spożyły jad osoby nieżywe. Analiza opowie nam lubo też nie. Co spożyły osoby nieżywe?

- Ordynarną kawę spożyły - odparła Alicja jakby z pewnym wysiłkiem.

Paweł ocknął się z zachwyconego zapatrzenia w pana Muldgaarda.

- Wcale nie ordynarną! - zaprotestował z oburzeniem. - Kupiłem najdroższą, jaka była!

- Oni wcale nie pili twojej kawy - wtrąciłam. - Wypili resztkę tej ze słoika. To była ta lepsza. Twoją napoczęliśmy dopiero potem.

- Ona ma rację - przyświadczyła Zosia. - Wypili tę, która się wysypała.

- Azali nie było inne pożywienie w usta owe osoby? - spytał pan Muldgaard.

- Nie było. Nic nie jedli, pili kawę i koniak.

- Napoje - stwierdził pan Muldgaard. - Obaczyć pragnę owe napoje.

- Kawę będzie dość trudno zobaczyć, skoro ją wypili, ale koniak jeszcze został - powiedziała Alicja. Otworzyła szafkę i wyciągnęła butelkę

z resztką koniaku. - Wszyscy go pili.

- Azali był to ten?

Jednogłośnie zaświadczyliśmy, że ten. Pan Muldgaard skinął na współpracownika.

- Naczynie od kawa pragnę - zażądał stanowczo.

Spowodował tym niejaki poruszenie, okazało się bowiem, że Zosia w zdenerwowaniu i szale sprzątanina pozmywała wszystko, likwidując ślady zbrodni. Kawę kupioną przez Pawła wysypała z plastikowego opakowania do puszki. Pan Muldgaard okazał rozczarowanie i niezadowolenie. Mój wychowany na kryminałach intelekt nagle ruszył.

- Czekaście - powiedziałam. - Słoik po tamtej kawie jest w śmieciach.

- Nie ma! - jęknęła Zosia. - Kazałam Pawłowi wyrzucić śmieci!

- Oszalałaś chyba z tymi porządkami! Paweł, leć po śmieci, może jeszcze nie wywieźli!

Paweł zerwał się z miejsca i rzucił do drzwi. Po chwili wrócił, z triumfem niosąc słoik po kawie.

- Jest. To ten!

Wszystkie trzy obejrzałyśmy słoik z nadzwyczajną uwagą.

- No i co ci z tego słoika? - zainteresowała się Alicja.

- Zauważ, że my się czujemy dobrze, a Włodzio i Marianne wręcz przeciwnie...

- Zauważyłam to już parę godzin temu. I co?

- To, że oni musieli zjeść co innego, a my co innego...

- Oni w ogóle nic nie jedli!

- Przestań mi przerywać. Pić co innego. Wszyscy pili tę cholerną kawę, czyli oni musieli pić inną kawę, bo koniak pochodził z tej jednej

butelki. Zauważ, że kawa nam się akurat skończyła i tej w stoiku zostało tylko na dwie filiżanki. Zauważ, że zaparzyłaś ją w ekspresie i oni ją wypili, a my nie...

- Nie? - powiedziała Alicja niepewnie. - Mnie się wydaje, że ja ją też piłam. Wyście też coś piły...

- Zosia piła neskę, a ja herbatę. Pawła nie było, bo latał po krzakach. A ty piłaś zimną, tę, której nie zdążyłaś wypić po obiedzie. Z ekspresu wyszły dwie filiżanki, przypomnij sobie. I ani grosza więcej. Jeżeli nie zatrulaś wody w ekspresie, to trucizna musiała być w kawie. Nie zatrulaś?

- Jeżeli, to bezwiednie...

- A reszta tej kawy powinna być na dnie puszki, bo ją tam sama wysypałaś. I dopiero z puszki do ekspresu. Na wierzchu w puszcze jest ta kawa Pawła, a pod spodem świństwo. Niech oni to zbadają.

Słuchający z wielką uwagą pan Muldgaard skinął głową, wyjął mi słoik z rąk i wręczył go swojemu pomocnikowi. Następnie wręczył mu także puszkę z kawą.

- I znów nie będzie kawy - mruknął Paweł.

- Teraz nie idę!... Natchnienie kwitło we mnie nadal.

- Zauważ, że ci się ta kawa wysypała jeszcze przedwczoraj, jak ją wyrzuciłaś z szafki. Zauważ, że była nie dokręcona. Ktoś otworzył. Możliwe, że w tym samym czasie, kiedy doprawiał winogrona. Zapał się na ciebie...

- Boże! - krzyknęła ze wzruszeniem Zosia. - Co za szczęście, że to się wysypało!

- Ciekawe, dlaczego zatrzymał w słoiku, a nie zatrzymał w puszcze - powiedziała Alicja krytycznie, - Puszka stała na wierzchu...

- Bo w puszcze było tyle co kot napłakał. Bał się, że zużyje to kto inny, a nie ty. A co do stoika miał pewność, że prędzej czy później padnie i

na ciebie...

- No i dlaczego nie padło?

- Bo nie przewidział, że obie kolejno będziecie tym słoikiem rzucały po całym mieszkaniu...

Wyraźnie zainteresowany tematem pan Muldgaard zażądał szczegółowej relacji z wydarzeń. Zanotował sobie nasze informacje, po czym złożył dowód niezwykłej uwagi i znakomitej pamięci.

- Pan - rzekł nieco podejrzliwie, wskazując długopisem Pawła. - Ucho moje słyszało. Nie spożył kawę. Wizytował krze. Dlaczego?

Na twarzy Pawła odbiło się równocześnie zdumienie, zaskoczenie i niepewność.

- Co ja robiłem? - spytał z niedowierzaniem,

- Wizytował krze - powtórzył pan Muldgaard.

- Latałeś po krzakach - odpowiedziałam.

- A! Jak śledziłem tego jakiegoś?.. Pan Muldgaard znów zażądał dokładnych zeznań. Sami się zdziwiliśmy, opowiadając, że tak wiele rzeczy zdążyło się przytrafić w tak krótkim czasie. Morderca wydawał się jednostką niezwykle aktywną i pełną wigoru, a domniemywana chęć usunięcia z tego padolu Alicji najwyraźniej w świecie stała się celem jego życia.

Pan Muldgaard poprzyglądał się uważnie i w zamyśleniu, po czym wyraził chęć udania się wraz z Pawłem przebytą przezeń wczoraj drogą. Paweł nie miał nic przeciwko temu. Wyszli od razu przez ogród i wrócili mniej więcej po półtorej godzinie.

- Wezwał posiłki - powiedział Paweł bardzo przejęty, zapominając, że pan Muldgaard znacznie lepiej rozumie po polsku niż mówi. - Przegoniłem go trochę po tych zaroślach, bo mi się pomyliło. Wczoraj było ciemno, a dzisiaj widno i wszystko inaczej wygląda, ale on znalazł

ślady. W końcu trafiłem do tego miejsca, gdzie słyszałem samochód, i już tam jest cała wataha. Wezwał ich przez krótkofalówkę, oni tu mają fajne urządzenia, badają grunt...

Pan Muldgaard przyświadczał, kiwając głową. Następnie oddalił się, zobowiązawszy nas do natychmiastowego zawiadomienia go o wszystkich wydarzeniach, które wydarzą nam się dziwne, exemplum nie dokręcony słoik z kawą. Późnym wieczorem zadzwonił, uprzejmie informując nas o wynikach badania resztek kawy...

- On mówi, że ta osoba... to znaczy ten morderca chciał mieć pewność, że trucizna podziała i nikt za wcześnie nie wezwie pomocy - powiedziała Alicja, odłożywszy słuchawkę. - Ofiary zasną tak porządnie, że nawet gdyby coś czuły, jakieś bóleści albo co, to też się nie obudzą. Rodzaj narkozy. Trochę inne niż to, co było w winogronach.

- To istny cud, że oni z tego wyszli z życiem - westchnęła Zosia. - Miałabyś potworne wyrzuty sumienia. Może jednak przestań się z nim kłócić o guziki?

Alicja wzruszyła ramionami, przygnębiona i bardzo zniechęcona.

- On jest taki zadowolony, jakby wykrył Bóg wie co... Przecież nie otruli się guzikami... Ciekawe, co mu przyjdzie z tych odkryć. O mordercy nawet nie ma pojęcia i pracuje w beznadziejnym tempie. Prawdę mówiąc, nic nie robi, przeleciał się z Pawłem po żywopłotach i to wszystko. Co on sobie właściwie wyobraża?

- On sobie nic nie wyobraża - wyjaśniłam. - On po prostu czeka, aż ten zbrodniarz wreszcie ciebie zamorduje, bo wtedy dopiero dowie się, o co tu chodzi. Zrobi jeszcze jedną rewizję, znajdzie list od Edka i będzie wszystko wiedział.

- On przecież nie wie o liście od Edka? - powiedziała Alicja nieufnie.
- Czy ktoś mu powiedział? Bo ja nie.

- Chyba nikt, bo jakoś o niego nie pyta. Aż dziw bierze, tyle osób o tym wie i nikt nie puszcza farby!

- Tyle osób? Kto jeszcze wie, poza nami?

- No, jak to? Wszyscy, którzy wtedy byli na tarasie. Mówiłaś przecież, że ci zginął przed przeczytaniem. Jeśli ktoś z zewnątrz gdzieś się czał, to też mógł słyszeć.

- Mnie się wydaje, że ja tego wtedy nie mówiłam. Skąd wiesz, że wszyscy wiedzą? Kto wie?

- Na przykład Anita. Pytała dziś, czy go nie znalazłaś.

- Anita wie, a policja nie wie?... Ewa też wie?

- Nie wiem, czy Ewa wie, ale chyba też.

- To ja ją od razu zapytam...

Wyrwana ze snu Ewa kategorycznie wyparła się jakichkolwiek wiadomości o liście. Oświadczyła, że pierwsze słyszy i nawet jeśli ktoś coś na ten temat mówił, to ona nie zwróciła uwagi. Obiecała nie zdradzić tej tajemnicy policji, po czym zainteresowała się nadzwyczajnie możliwością wykrycia mordercy za pomocą znalezienia korespondencji od ofiary. Gorąco zachęciła Alicję do szukania, nakłaniając ją, żeby nie ustawała w wysiłkach, aż znajdzie.

- Ewa nie wie - powiedziała Alicja, marszcząc brwi w zamyśleniu. - Anita wie... Skąd ona wie? Mnie się to wydaje podejrzane.

- Morderca wie o liście - powiedziałam, też się zamyślając. - Usiłuje cię utłuc, zanim go znajdziesz. Bardzo mi przykro, ale podejrzana wydaje mi się raczej Ewa. Morderca powinien się nie przyznawać, że wie, udawać, że go nic nie obchodzi, że nie ma z tym nic wspólnego. Anita sama zapytała...

- To dlaczego Ewa mnie zachęcała do szukania?

- Żebyś teraz odłożyła słuchawkę i pozwoliła jej pójść spać. Jest

wpół do dwunastej, normalni ludzie o tej porze śpiąją... Względnie dla zmylenia przeciwnika. Wyrwana ze snu, odruchowo powiedziała, że nie wie, zorientowała się, że to błąd, i chciała go naprawić. Ewentualnie może to Roj, przyznał się jej i teraz ona z nim współdziałała...

Uczciwie mówiąc, wcale nie byłam pewna, czy podejrzewanie Ewy ma w ogóle jakiś sens, ale byłam śpiąca i wygłaszałam byle jakie, nie przemyślane opinie. Kogoś trzeba było podejrzewać, a Ewa nadawała się do tego znakomicie już chociażby z racji urody. Niepewność w tym względzie i przekonanie, że wymyśliłam głupstwo, trwały we mnie aż do piątku, to znaczy prawie przez dwa dni. Przez te dwa dni panował błogi spokój, w czasie którego z wolna wracaliśmy wszyscy do równowagi. Usunęłam gałęzie z ogródka, paląc imponujące ognisko i omal nie puszczając z dymem całego Allerød. Paweł zaś rozkopał do końca środkowy grób, pracując jak galernik z nadzieją znalezienia wewnątrz zwierzęcia doświadczalnego. Zwierzęcia nie było, pozostały po nim tylko nikłe ślady. Paweł otarł zatem pot z czoła i postanowił zająć się większym kurhanem, gdzie bezwzględnie zwierzę powinno być.

W piątek rano zadzwoniła Ewa, namawiając nas na odwiedzenie wystawy malarstwa skandynawskiego, której otwarcie miało nastąpić wieczorem. Twierdziła, że musi tam być, że będzie sama, bez żywej znajomej polskiej duszy, i koniecznie chce, żebyśmy przyszły, jeśli już nie dla wrażeń artystycznych, to przynajmniej dla towarzystwa. Alicja i Zosia odmówiły stanowczo udziału w imprezie, Paweł po harówce w ogrodzie ledwo zapał, poszłam więc sama.

Wystawa jako taka wstrząsnęła mną z lekka. Oglądając zawieszona na ścianach dzieła nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że artyści tworzyli w czasie weekendów, kiedy wszystkie sklepy są zamknięte i nic nie można kupić, i akurat wyszła im cała farba z wyjątkiem kolorów buraczkowego, sinego i czarnego. Zużyli zatem to, co im pozostało, osiągając

niewiarygodnie grobowe efekty. Znalazłam tam nawet pejzaż, który chętnie bym kupiła, żeby patrzeć nań, jeśli będę musiała hamować zbytnią wesołość.

Obejrzałam całość, Ewa, która strojem stanowiła kontrast z wystawą, odpracowała swoje oficjalne obowiązki i byłyśmy wolne.

- Chcesz tu jeszcze coś oglądać? - spytałam z niesmakiem. - Bo ja mam dość. Nie chciałabym, żeby w obecnej sytuacji coś takiego mi się przyśniło.

- Och, tak! - odparła Ewa. - To jest potworne, to wszystko, co wy robicie w Allerød! Już idziemy, ale czekaj... Ja tu jeszcze muszę, muszę coś obejrzeć! Muszę! To jest takie WSTRĘTNE...!

Zaciągnęła mnie w kąt, pod obraz, przedstawiający sobą nie wiadomo co. Kojarzyło się to jakby z czubatym talerzem flaków w osobliwym, brudnoburaczkowym kolorze i robiło dziwne trupie wrażenie. Ewa patrzyła na to z jakimś zachłannym obrzydzeniem, nie mogąc wręcz oderwać oczu. Przyglądałam jej się nieco zaniepokojona, bo rzadko się zdarza, żeby ktoś tak się rwał do oglądania WSTRĘTNEGO...

- Długo tak musisz...? - spytałam ostrożnie.

- Nie - odparła Ewa. - Już dosyć. Prawda, że to wstrętne? Wszystko inne będzie mi się teraz wydawało prześliczne!

Odwróciła się od obrazu, pociągając mnie za rękę, i nagle zeszywniała. Dało się to wyraźnie wyczuć. Uczyniła jeszcze dwa kroki, zwalniając tempa, po czym zatrzymała się, jakby zelówki przywarły jej do podłogi. Wyraz twarzy miała zmieszany, w oczach popłoch. Popatrzyłam w kierunku jej spojrzenia.

Pomiędzy ludźmi zmierzał w naszą stronę niezwykle przystojny, wysoki, czarnowłosy facet, ubrany nader oryginalnie, a pomimo to elegancko. Nie lubię takich południowych typów, ale wbrew sobie

musiałam przyznać, że ma prawo się podobać, tyle że nie mnie. Miał na sobie ciemny garnitur, jasny krawat i czerwoną koszulę. Był już niemal o metr.

Ewa nagle ożyła. Wyraz twarzy i oczu zmienił jej się radykalnie. Spojrzała na przestrzał przez faceta lodowatym, nie widzącym spojrzeniem i ruszyła pośpiesznie w kierunku wyjścia, znów pociągając mnie za rękę.

- To straszne, co tam się u was dzieje, potworne! - powiedziała nerwowo. - Czy nie możecie jakoś z tym skończyć? Przecież to nieznośne, tyle ofiar, na każdym kroku jakiś nieboszczyk!

Wyglądało na to, że mówi cokolwiek, byle coś mówić. Facet wrósł w podłogę, a na jego pięknym obliczu odmalowało się wyraźne zaskoczenie. Wpatrywał się w Ewę i stopniowo jakby posepniał, po czym nagle odwrócił się i odszedł.

Byłyśmy już na półpiętrze. Ewa nadal mówiła byle co, usiłując zainteresować mnie płaskorzeźbami wystawionymi na ścianach klatki schodowej. Widać było, z jakim wysiłkiem stara się nie patrzeć w górę, w miejsce, gdzie został czarny facet w czerwonej koszuli.

Milczałam tak długo, usiłując ochłonać z wrażenia, aż zdałam sobie sprawę, że moje milczenie jest w najwyższym stopniu i pod każdym względem niestosowne. Koniecznie musiałam coś powiedzieć!

- Okropne! - oświadczyłam z najgłębszym przekonaniem, bo też istotnie tak nagłe wykrycie związku Ewy z czarnym facetem w czerwonej koszuli było okropne. - Cała wystawa jest beznadziejna, a te pagaje tutaj to już zupełne dno!

- Ależ skąd! - zaprzeczyła Ewa z lekkim zaskoczeniem. - Właśnie te płaskorzeźby są najlepsze ze wszystkiego! To głupota umieścić je na schodach, a tamte obrzydliwe w salach! Gdzie logika?

Ściśle biorąc, na żadną płaskorzeźbę nawet nie spojrzałam i nie miałam pojęcia, o czym mówię. Pośpiesznie usprawiedliwiłam się wymyśloną na poczekaniu prywatną i czysto subiektywną niechęcią do płaskorzeźb jako takich. Ewie najwyraźniej w świecie było wszystko jedno i natychmiast przyznała mi prawo do subiektywnych niechęci. Wyszłyśmy na Nyhaven i aż do Kongens Nytorv milczałyśmy obie.

- Pójdziemy Strogetem do dworca głównego, chcesz? - powiedziała Ewa. - Obejrzymy wystawy. Strasznie dawno tu nie byłam.

Nie miałam żadnego interesu na dworcu głównym i znacznie wygodniej byłoby mi jechać z Østerportu, a wystawy oglądałam trzy dni temu, ale musiałam się zastanowić nad wydarzeniem i zdecydować, co mam z tym fantem zrobić, zanim się z nią rozstanę. Na dyplomację z góry machnęłam ręką, z doświadczenia wiedząc, iż nie jest to moja najmocniejsza strona. Za wszelką cenę postanowiłam się dowiedzieć personaliów faceta!

- Te zielone buty są piękne! - zawołała entuzjastycznie Ewa, która na widok ciuchów w mgnieniu oka przyszła do siebie. - Uwielbiam zielony zamsz! I spójrz na tę kieckę!

- Kto to był ten facet? - spytałam na to, spoglądając na kieckę, istotnie nader atrakcyjną, i rezygnując z podstępów.

- Jaki facet? - spytała Ewa z przesadnie kamienną obojętnością, od razu tracąc entuzjazm. Uznałam, że muszę brnąć dalej wprost.

- Ten czarny, w czerwonej koszuli, który chciał do nas podejść.

Ewa przez długą chwilę oglądała w milczeniu efektowne zestawienie torebek z rękawiczkami i pantoflami.

- Chciałam się nie przyznać - powiedziała wreszcie z zakłopotaniem, odrywając się od wystawy i ruszając dalej. - Ale już ci powiem. Moja dawna wielka miłość. Nie mów o tym nikomu.

- A!... - powiedziałam niepewnie, bo żądanie niemówienia o tym nikomu sprawiło z kolei mnie w zakłopotanie. To właśnie Ewa zrobiła nam kiedyś ten straszny numer, trzymając w tajemnicy małżeństwo z Rojem i zdradzając tę tajemnicę Alicji i mnie, każdej z nas oddzielnie i każdej z prośbą, żeby absolutnie nikomu nie mówić. Przez osiem miesięcy męczyłyśmy się obie jak potępieńcy, plotkując o Ewie i Roju i starannie pilnując, żeby nie zdradzić sekretu, co było niesłychanie uciążliwe. Aż wreszcie zniecierpliwilo mnie to ostatecznie. Zadzwoiłam do Ewy z zapytaniem, jak długo jeszcze zamierza ukrywać fakt zawarcia ślubu i czy, na litość boską, nie można by powiedzieć o tym przynajmniej Alicji! Oświadczyła mi to na spokojnie, że Alicja wie równie długo, jak ja, i ona tylko chciała się przekonać, czy prawdą jest to, co o nas się słyszy, mianowicie, że potrafimy utrzymać tajemnicę. O mało mnie wówczas szlag nie trafił!

A teraz w grę wchodzi zbrodnia i znów mam nie mówić nikomu...?

W Ewie wyraźnie przerwały się jakieś tamy.

- Wiedziałam, że on jest w Kopenhadze - mówiła, nie kryjąc już zdenerwowania. - Skończyłam z nim dawno temu. Byłam wtedy śmiertelnie zakochana i przerażająco głupia. Zerwałam z nim definitywnie i na wieki i nigdy więcej nie chciałam się z nim zobaczyć. Teraz też nie, już chociażby ze względu na Roja, Roj o nim nic nie wie. Uważam, że byłoby głupio i nieprzyzwoicie... Poczulałam się strasznie zaskoczona, jak go tam zobaczyłam, chciałam udawać, że go nie znam... Nie życzę sobie go znać!

Słuchałam, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Na kwestię uczuć, zważywszy własne, byłam akurat szczególnie uczulona. Ewa usiłowała mnie przekonać, że do byłego oblubieńca nie odczuwa już nic, że on ją już nic nie obchodzi i że zgoła nie pamięta o jego istnieniu. Sądząc z jej zachowania i wyrazu twarzy, kiedy go ujrziała, można jej było przypisać

wszystko z wyjątkiem obojętności.

- Jak mu na imię? - spytałam z ostrożnym zaciekawieniem.

- Giuseppe - odparła Ewa z rzewnym westchnieniem. - Giuseppe Grassani. To Włoch...

- A gdzie mieszka?

- Nie wiem. Kiedyś mieszkał w Marsylii i tam właśnie przeżyłam mój najpiękniejszy romans. Ale wyjechał zaraz po rozstaniu się ze mną i nie wiem, gdzie teraz mieszka.

Całą drogę do dworca głównego zastanawiałam się, jak rozwikłać skomplikowany problem, potem zaś zesłam po schodach i wsiadłam do pociągu tak zaabsorbowana tematem, że zapomniałam kupić bilet. Jadąc na gapę do Allerød, denerwowałam się na każdej stacji możliwością pojawienia się kontroli, aż wreszcie, pod koniec podróży, uprzytomniłam sobie, że kontrola oznaczałaby po prostu utratę dwudziestu pięciu koron i nic więcej, a dwadzieścia pięć koron nie jest warte aż takiego zdenerwowania. Na ostatnim odcinku, pomiędzy Birkerød i Allerød, zdecydowałam się wreszcie powiedzieć o czarnym Giuseppe w czerwonej koszuli, ukrywając jednakże stanowczo jego związek z Ewą.

Być może nie dotrzymałabym postanowienia i powiedziałabym więcej niż miałam zamiar, gdyby nie to, że nie miałam okazji w ogóle nic powiedzieć. Sytuacja okazała się nie sprzyjająca.

Duńska rodzina Alicji, dotychczas taktownie trzymająca się na uboczu, postanowiła zwizytować wreszcie nawiedzaną nieszczęściami powinowatą. Każdy zdecydował się na to we własnym zakresie, bez porozumienia z innymi, i w rezultacie wszyscy trafili na jedną chwilę. Trzeba przyznać, że raczej nieszczęśliwie wybraną.

Starannie kryjąc niepokój, Alicja podała na stół kawę, śmietankę, marcepan i kruche ciasteczka. Starannie kryjąc się przed gośćmi, Paweł

każde opakowanie oglądał uprzednio przez moją lupę. Nie kryjąc zdenerwowania, Zosia gwałtownym szeptem protestowała przeciwko obarczaniu go odpowiedzialnością za życie i zdrowie tylu osób. Przybyłe osoby, nie zdając sobie sprawy z wiszącego nad nimi niebezpieczeństwa, wśród okrzyków umiarkowanej zgrozy wyrażały swoje współczucie.

- Jestem przerażona - powiedziała Zosia i widać było, że mówi świętą prawdę. - Alicja chyba oszalała, dała im ten koniak, którego nie skończyli Włódzio i Marianne.

- Przecież w tym koniaku nic nie było, policja sprawdzała.

- Ja nie wiem, mógł ktoś coś dosypać. Butelka była otwarta. Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby ta cała rodzina padła trupem na miejscu!

- Pewnie, z dwojga złego już lepiej, żeby padli trupem po wyjściu, w swoich domach...

- Przestań, niedobrze mi się od tego robi!

- Ale tak ogólnie to wyglądają dość zdrowo - dodałam pocieszająco, przyglądając się zgromadzeniu tubylców. - A poza tym może mu się znów nie uda?

- Kiedyś wreszcie się uda!

Na kanapie i fotelach siedzieli obaj bracia Thorkilda, Jens i Ole, z żonami, cioteczna siostra Karin, kuzynka Greta i siostrzeniec Thorsten. Thorsten był jedynym, który wydawał się rozumieć, o co tu w ogóle chodzi, reszta bowiem robiła takie wrażenie, jakby słuchała opowieści o osobliwych zwyczajach, praktykowanych wśród Polaków. Wstrząsające objawy temperamentu pojawiły się w Allerød, przysparzając przykrych kłopotów ich powinowatej, a przy okazji pozwalając pooglądać się z bliska, co mogło być ciekawe, ale też i nieco gorszące.

Przeciągnięte do późna zebranie towarzyskie pozwoliło mi zastanowić się nad sytuacją i podjąć decyzję. Kiedy goście, wszyscy

zdrowi i w dobrym stanie, opuścili dom, zatrzymałam zmierzającego do łazienki Pawła.

- Paweł, słuchaj. Poznałbyś tego faceta, którego widziałeś z Edkiem?

- Jakiego faceta?

- Tego czarnego w czerwonej koszuli, który chciał jechać furgonetką od węgla.

- No pewnie, że bym poznał! Ja się im przyglądałem bardzo długo.

- Bo co? - zainteresowała się nieufnie Alicja, odsuwając Pawła spod drzwi lodówki i chowając do środka mleko. - Masz go gdzieś pod ręką?

- Nie wiem. Jak on wyglądał?

- Czarny - powiedział Paweł, opierając się o blat przy zlewie. - Taki typowy południowiec, z nosem, z falującymi włosami, z ciemną gębą, średnioostrzyżony. Wysoki. Raczej szczupły, ale nie za bardzo. Matce się tacy podobają.

- Jacy mi się podobają? - spytała podejrzliwie Zosia, wchodząc z naczyniami i odsuwając go od zlewu.

Kuchnia Alicji, bardzo funkcjonalnie urządzona, była jednakże takich rozmiarów, że już dwie osoby robiły tłok. Paweł wcisnął się w kąt blatu, pomiędzy zlewem a lodówką.

- Tacy jak ten, którego widziałem z Edkiem - wyjaśnił.

- Nie chcę być niegościnna, ale czy naprawdę wszyscy musicie siedzieć w kuchni? - spytała Alicja i odsunęła go, żeby włożyć do szafki słoik z kawą i resztę herbatników. - Zdawało mi się, że ten dom ma więcej pomieszczeń?

- To nie mnie się tacy podobają, tylko Alicji - powiedziała Zosia. - Paweł, na litość boską, wynoś się stąd! Joanna, ty też!

- Kiedy ja idę do łazienki! - zaprotestował Paweł.

- Możesz iść tamtędy, przez korytarz.

- Czekaście no, kochane panienki - powiedziałam stanowczo. - Przestańcie się go czepiać, bo on zaraz będzie najważniejszą osobą. Widziałam dziś w Kopenhadze czarnego faceta w czerwonej koszuli. Południowiec, bardzo przystojny z falującymi włosami, wysoki, średnio szczupły. Co wy na to?

Tamci troje natychmiast odwrócili się do mnie z wielkim zainteresowaniem.

- Myślisz, że przez cały czas chodzi w tej jednej koszuli? - zaciekawiła się Alicja.

- Myślisz, że to ten sam? - spytała Zosia z niedowierzaniem. - Gdzie go widziałas?

- Na wystawie. Koszula wyglądała raczej czysto, więc chyba czasem ją zdejmuje i pierze. Możliwe jednak, że z zasady chodzi w czerwonych koszulach. Wyłącznie.

- Czarnych facetów tu jest dość dużo - powiedziała Alicja sceptycznie. - Większość z nich ma prawo lubić czerwone koszule, bo czarnym w czerwonym do twarzy. Skąd ci przyszło do głowy, że to ten sam, który w Warszawie spotykał się z Edkiem?

Nie mogłam jej odpowiedzieć na to pytanie, nie wplątując w to Ewy. Popłoch w jej oczach był przecież zasadniczą przyczyną skojarzenia, a to właśnie postanowiłam przemilczeć.

- Nie wiem dokładnie - odparłam po namyśle.

- Możliwe, że to kto inny, ale wygląda tam samo. Uważam, że Paweł powinien go zobaczyć.

- Ja nie chcę, żeby Paweł się w to mieszał! - zaprotestowała odruchowo Zosia.

- Już jest wmieszany - mruknęła Alicja.

- Dlaczego? - oburzył się Paweł. - Znowu mi wielkie mieszanie zobaczyć faceta! Nie udusi mnie przecież za to, że na niego patrzę! A w ogóle to oni mnie nawet nie zauważyli. Gdzie on jest?

- W Kopenhadze.

- Gdzie w Kopenhadze?

- Nie wiem. Gdzieś. Był na wystawie, ale wątpię, czy siedzi tam trwale w charakterze eksponatu. Nie pasowałby do reszty. Wątpię też, czy pójdzie tam drugi raz. Wyglądał na takiego, który uprawia nocne życie. Paweł kilkakrotnie kiwnął głową z wielką energią i z takim rozmachem, że puknął potylicą w futrynę drzwiową, o którą się oparł.

- Zgadza się. Ten od Edka też tak wyglądał. Bardzo możliwe, że to ten sam. Gdzie mam go szukać?

- Nie wiem. Gdzie się w Kopenhadze uprawia nocne życie?

- Nigdzie - powiedziała Alicja, wracając do porządkowania kuchni, - Możesz usiąść na Ratuszplacu i czekać, aż będzie przechodził. Kiedyś się doczekasz.

- Albo może na Strogocie pod ptakami. Też się kiedyś doczekasz.

- Kiedy ja we wrześniu muszę być w Warszawie...!

- Co za nonsens! - powiedziała Zosia z niezadowoleniem. - Przestańcie mówić te bzdury. Siedzieć na Ratuszplacu...! Idiotyzm. I w ogóle po co wam ten facet?...

- Czekać - powiedziałam, bo przypomniałam sobie informacje Ewy, z których wynikało, że facet jest przyjezdny. - Hotele! On nie wygląda na takiego, który tu mieszka trwale. Może mieszkać w hotelu albo w pensjonacie. Obskoczyć co przyzwoitsze, codziennie jeden, posiedzieć w holu i poprzyglądać się ludziom. O jakiejś porze musi wyjść albo wrócić!

- No! - przyświadczył z ożywieniem Paweł. - Mogę posiedzieć!

- Możemy posiedzieć na zmianę - dodałam wspaniałomyślnie. - Ktoś z nas zobaczy znajomego, albo ty, albo ja. I potem pójdziemy obejrzyć go wspólnie.

Facet w czerwonej koszuli stanowił dla mnie zasadniczy punkt programu, męczył mnie niewymownie. O jego personalia miałam spytać Edka prywatnie. Mógł się okazać zupełnie zwyczajnym, niewinnym człowiekiem, a równie dobrze być fragmentem wielkiej afery, niedokładnie mi znanej, którą interesować się jawnie było nadzwyczaj niewskazane. Nazwisko, którym się posługiwał i które musiał znać Edek, pozwoliłoby wiele wyjaśnić. Mogłabym, oczywiście, udać się do policji, spytać, gdzie mieszka niejaki Giuseppe Grassani, zaprowadzić tam Pawła i sprawdzić, czy to ten sam, ale zważywszy wydarzenia w Allerød, policja zainteresowałaby się, po co mi to potrzebne. Byle jakie łgarstwo nie załatwiłoby sprawy, spodziewano by się bowiem, że zełgam. Prawdy mówić stanowczo nie należało, niezależnie od tego, czy facet okazałby się tym samym, czy nie. Odpadała mi zatem droga oficjalna, najprostsza, i nie pozostawało nic innego, jak ruszyć w manowce i ugory, występujące tym razem pod postacią hotelowych recepcji.

- Róbcie, co chcecie - powiedziała Zosia z niechęcią, przystępując do płukania filiżanek. - Nie wiem, dlaczego znajomy Edka miałby się znaleźć w Kopenhadze, i nie rozumiem, co on tu ma do rzeczy, ale mam już dość tych rozrywek i niech się wreszcie coś wykryje! Tylko bądźcie uprzejmi na nic się nie narażać!...

Nazajutrz przed południem w domu panował anielski spokój. Zosia, która nie mogła sypiać ze zdenerwowania, wywlokła z łóżka Pawła i razem z nim udała się po zakupy do miasta. Alicja dość niemrawo szukała listu od Edka, co jakiś czas przypominając sobie, że musi znaleźć list od ciotki, ja zaś siedziałam na kanapie i równie niemrawo robiłam sobie manikiur. Po całym stole porozstawiałam aceton i rozmaite rodzaje

lakieru do paznokci i rozmyślałam nad powiązaniem Ewy ze zbrodnią. Jeżeli facet w czerwonej koszuli był tym samym, który kontaktował się z Edekem w Warszawie, i tym samym, którego podejrzewano o dodatkową, starannie ukrywaną działalność, i jeśli Edek coś wywęszył i wiedział o jego znajomości, jeśli to można nazwać znajomością, z Ewą... Zaraz, coś nie tak. Co miała działalność do Ewy? A jeśli miała? Miała czy nie miała, jeśli Ewa nie życzyła sobie ujawniać faceta, a Edek zaczął wydawać z siebie te dzikie ryki...

- Joanna! - zawołała nagle Alicja, wychylając się ze swego pokoju. - Możesz tu przyjść na chwilę? Coś ci pokażę.

Przerwałam rozmyślenia, rozcapierzyłam wszystkie palce i pośpiesznie udałam się do niej.

- Popatrz - powiedziała jakoś dziwnie złowieszczo, wskazując półkę, na której stały rzędem rzeźby Thorkilda. - Widzisz, jak to stoi? Przyjrzyj się.

Przyjrzałam się. Większość rzeźb była mi znana. Znajdowała się wśród nich grupa złożona jakby z dwóch syren z ogonami, oplątujących się wzajemnie. Grup syren było nawet kilka, tych samych, powtarzających się w różnych wariantach. Przyglądałam się temu w szalonym napięciu, przekonana, że za chwilę ujrzę coś strasznego, co, być może, oznajmi nową zbrodnię.

- No? - powiedziałam pytająco, nieco zaniepokojona, że nic takiego nie widzę.

Alicja sięgnęła na koniec półki i jeszcze jedną grupę syren przestawiła na środek, rozpychając pozostałe.

- A przedtem to stało tak. Widzisz?

- No? - powtórzyłam, nie wiedząc, do czego zmierza. - Widzę. I co?

- I to, że samo tam na koniec nie poszło. Wszystkie te syreny stały

razem i ktoś przestawił jedną na koniec półki. Ktoś tu grzebał.

- Jesteś pewna?

- Jestem absolutnie pewna. Sama to ustawiałam jeszcze w maju. Wszystkie syreny razem, na środku półki. Dzisiaj zobaczyłam, że jedna została przestawiona i te tutaj też, bo na nią nie było nawet miejsca. Ruszałaś tu coś?

- Oszalałaś? Miałabym się narażać, że mi dasz po łbie?

- No właśnie. Zapytam jeszcze Zosi i Pawła, ale jestem pewna, że oni też nie. Pani Hansen tego nie dotyka. A teraz popatrz tu. Ta teczka z rachunkami leżała zawsze po lewej stronie stołu, a dzisiaj leży na środku. Widzisz?

Wytrzeszczyłam oczy, usiłując dojrzeć to coś, co Alicja nazywała teczką z rachunkami. Na stole leżało jakieś pudło, przykryte zasłonką w kwiatki, koszyk z niemi, szczotkami do ubrania i jeszcze czymś, być może pastą do butów, dwie czarne torebki, kilka par rękawiczek, nasiona różnych roślin w torebeczkach z obrazkami, pończochy, mnóstwo rozmaitych papierów, prawidła do butów w ilości sztuk trzy, jedna halka, plastikowe opakowania po większych i mniejszych szczegółach garderoby, sekator, zwój sznura i duży nóż kuchenny. Bliżej ściany ustawione były słoiki z farbami i pędzlami oraz ablegier jakiegoś kwiatka. Nic z tego wszystkiego nie było podobne do teczki.

- Nie - powiedziałam stanowczo i uczciwie, - Nie widzę.

Alicja z lekkim zniecierpliwieniem odsunęła na bok jedną z torebek i wskazała mi wystający spod niej i spod różnych czasopism rozek plastikowej teczki na dokumenty.

- Tu leży, widzisz teraz? A przedtem leżało tam, po lewej stronie. Tu ktoś byt i grzebał. Smętnie i bez zdziwienia pokiwałam głową nad pobożowiskiem na stole.

- I nawet ci mogę powiedzieć kto - rzekłam ponuro. - Morderca. Zniecierpliwiał się i sam szuka listu od Edka. Pozbądź się głupich złudzeń, on nie morduje dla draki, a twój dom jest dla niego swobodnie dostępny. Zdaje się, że ma do wyboru albo znaleźć list, albo zabić ciebie. Prawdopodobnie ma nadzieję, że po twojej śmierci cały ten chłam wyrzucony będzie hurtem i list przypadnie automatycznie. A możliwe, że ty wiesz coś, co go zgubi...

Urwałam i przypatrzyłam się jej podejrzliwie. Alicja tak samo podejrzliwie patrzyła na mnie.

- Ty coś wiesz - powiedziała nieufnie.

- Ty chyba też, nie?

Alicja potrząsnęła głową, odsunęła krzesło, usiadła i w zamyśleniu zapatrzyła się w przestrzeń.

- Właśnie nie - powiedziała po chwili. - Wyjątkowo nic nie wiem i nic nie rozumiem. Natomiast wydaje mi się, że tym razem ty wiesz. Nie możesz puścić farby?

Zepchnęłam jakieś rzeczy z krzesła pod oknem i również usiadłam, wciąż z rozcapierzonymi palcami.

- Nie jestem pewna - powiedziałam z namysłem, przyglądając się jej. - Owszem, możliwe, że coś wiem. Natomiast moim zdaniem ty też wiesz coś, i to coś, czego nikt inny nie wie. Lepiej się zastanów, co to może być.

Alicja poniechała oglądania przestrzeni i spojrzała na mnie z niesmakiem.

- Z całą pewnością nikt nie wie, gdzie zakopałam doniczki z bulwami. Ale tego ja także nie wiem, bo nie zaznaczyłam sobie miejsca. Już od kilku miesięcy nie mogę na nie trafić.

- Co prawda morderca może nie wiedzieć, że ty też nie wiesz, ale

wątpię, czy mu chodzi o doniczki z bulwami. Szczególnie że bulwy prawdopodobnie już dawno trafił szlag...

- Czekaj! - przerwała Alicja. - Powiedziałas coś bardzo ważnego! On nie wie, że ja nie wiem... On myśli, że ja wiem!

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

- Ha! - powiedziałam z uznaniem. - Zawsze byłam zdania, że do spółki jesteście bardzo mądre. Jasne, że on myśli, że ty wiesz, nie wie, że nie wiesz, i boi się panicznie. Jest jeszcze taka możliwość, że się czegoś dowiesz...

- Jasne. Jak przeczytam list Edka, to się dowiem.

Ostrożnie wzięłam od niej w dwa palce papierosa. Alicja wygrzebała spod śmietnika na stole popielniczkę.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Niezależnie od listu Edka. Coś ma się zdarzyć, nie wiem, poznasz kogoś, dostaniesz jakąś wiadomość albo co i on nie chce do tego dopuścić. Musi cię załatwić przedtem.

- Brzmi to zupełnie jak kabała - mruknęła Alicja. - Poznasz bruneta wieczorową porą...

Odłożyła papierosa, zdjęła okulary, sięgnęła do koszyka z nićmi po lusterko i zaczęła sobie coś wydłubywać z oka w bardzo niewygodnej pozycji, z głową schyloną nad stołem. Nie podnosząc głowy, dodała:

- Ciekawa jestem, co ty wiesz. Wydajesz mi się coś za mądra. Uważam, że czerwona koszula to za mało. Skąd, u diabła, przyszło ci do głowy to z tym czarnym facetem?

- No dobrze - powiedziałam z lekkim wahaniem. - Niech ci będzie. Czarny facet z Warszawy może być zaplątany w niemiłe rzeczy, a czarny facet z Kopenhagi ma powiązania z jedną z osób obecnych w czasie zbrodni. Ścisłe powiązania...

Alicja oderwała głowę, spojrzała na mnie i nagle zerwała się

gwałtownie z krzesła.

- A pójdiesz stąd, cholero!!! - ryknęła okropnym głosem, rzucając się na mnie.

Papieros wyleciał mi z ręki, stłukłam sobie o coś łokieć, nie przewróciłam się razem z krzesłem tylko dzięki temu, że jego tył oparł się o parapet, i prawie dostałam palpacji serca. Za oknem rozległ się jakiś hałas, jakaś postać odskoczyła w tył i runęła w dalie.

- A pójdiesz! - powtórzyła z zaciętością Alicja, pogroziła pięścią i wróciła na swoje krzesło.

- Na litość boską - powiedziałam słabo, łapiąc oddech i usiłując ochłonąć. - Czyś ty oszalała? Czy musisz ciągle takimi sposobami dawać mi do zrozumienia, że jestem tu niepożądana? Weź pod uwagę, że ja jestem nerwowa, zgubiłam tu gdzieś papierosa, będzie pożar, co tam było?! Morderca?!

- Dzieci mi tu przychodzą i kradną śliwki - odparła Alicja gniewnie.
- I łamią żywopłot, bo przełazą byle gdzie. Mam nadzieję, że uciekły.

Zanim zdążyłam zaprotestować przeciwko wypędzaniu dzieci za pomocą rzucania się na mnie bez uprzedzenia, za oknem coś zaszeleściło.

- Alicja?... - powiedział niepewnie cichy damski głos.

- Co?! - przeraziła się Alicja i czym prędzej włożyła okulary. - O rany boskie! Agnieszka!!!

Obejrzałam się czym prędzej. Agnieszki osobiście nie znałam, ale dużo o niej słyszałam, była to bowiem młoda osoba o tak osobliwym charakterze, że gdziekolwiek się znalazła, natychmiast powodowała co najmniej komplikacje. Do Allerød przybyła po raz pierwszy przed rokiem jako narzeczona ciotecznego bratanka Alicji, po czym bezwolnie, bez protestów i właściwie bez własnego udziału przeistoczyła się w narzeczoną siostrzeńca Thorkilda po to, żeby wkrótce potem pogodzić się

z zamianą siostrzeńca na jednego z naszych młodych przyjaciół, niejakiego Adama. Bratanek miał pretensje do Alicji, siostrzeniec miał pretensje do Alicji, ówże Adam miał pretensje o ich pretensje również do Alicji i tylko Agnieszka łatwo godziła się z każdą kolejną zmianą narzeczonych. Wyjechała wreszcie razem z Adamem, zapanował spokój i pretensje przycichły.

Teraz ukazała się za oknem, trochę przestraszona, zaniepokojona, zaskoczona, z włosami w nieładzie, niepewna, czy może wejść do domu, czy też powinna się jednak rzeczywiście czym prędzej oddalić.

Alicja, okropnie skruszona i zakłopotana, otworzyła jej drzwi.

- Chyba sobie coś stłukłam - powiedziała Agnieszka bezradnie. - Boże, jak mnie przeraziłaś! Naprawdę mam sobie pójść? Nie mam dokąd... Potknęłam się o coś.

- Ależ nie, chodźże! Myślałam, że to dzieci... Co ty tak dziwnie wyglądasz?

W krótkich słowach, łagodnie i z niejakim smutkiem, Agnieszka poinformowała nas, że podróżowała autostopem po Europie, ponieważ Adam kazał jej zwiedzać zabytki architektury Francji i Hiszpanii, a ona chciała mu zrobić przyjemność. Trafiła jej się okazja do Danii, postanowiła więc wracać przez Danię i Szwecję, ale po drodze był wypadek, opuściła zatem pojazd, którym jechała, i kierowcę, który zaczął ją nachalnie podrywać, i dotarła do Allerød na piechotę od jakiejś dziwnej strony. Nie ma ani grosza, nie spała już dwie noce, jest bardzo głodna i brudna i ma nadzieję, że rodzina z Anglii przyśle jej jakieś pieniądze na adres Alicji. Nie wie, czy można, ale okropnie chciałaby się przespać, a to wszystko, co sobie stłukła najpierw w katastrofie, a potem tu, w daliach, teraz ją boli.

Przyjrzałam się jej. Rzeczywiście, była prześliczna i miała w sobie

jakąś cielecą łagodność. Prawdopodobnie ta właśnie cieleca łagodność stanowiła dodatkowy urok dla co energiczniejszych facetów, którzy latali za nią, moim zdaniem, przesadnie.

- Trzeba ją położyć do jakiegoś łóżka - powiedziała z lekkim zakłopotaniem Alicja. - Przeczuwam, że znowu narobi kłopotów... Ty zostajesz w atelier, tak? To ona może spać w ostatnim pokoju. Chwała Bogu, że Elżbiety nie ma!

- Dlaczego? - zdziwiłam się, bo w westchnieniu Alicji brzmiała niewymowna ulga. - Mogłyby spać nawet razem w tym jednym pokoju.

- Przeciwnie. Nie mogłyby chyba spać nawet w jednym domu. Nie trawią się nawzajem. Elżbieta nie znosi Agnieszki, a Agnieszka Elżbiety, maniacko odbijają sobie wzajemnie facetów, a jak nie ma facetów, odbijają sobie cokolwiek. Jak się zejda, robi się coś takiego, że już lepszy byłby koniec świata.

- A! - powiedziałam ze zrozumieniem. - Oczywiście! Obie mają w sobie coś tego samego gatunku, a są za ładne, żeby to przeszło ulgowo.

Wrócili Zosia z Pawłem. Zmęczona, niewyspana, kulejąca Agnieszka wyszła z łazienki i nagle zrobiła się nie ta sama. Paweł wyglądał bardzo dorośle jak na swoje lata i dysponował wszelkimi walorami młodzieńczej urody. Z Agnieszki zaczęły promieniować jakieś fluidy, a promienne, ufne spojrzenie zdziwionej życiem sierotki Marysi nie odrywało się od niego ani na chwilę. Nawet kuląla jakoś wdzięczniej. Paweł nieco z tego zgłupiał, Zosię zaś w mgnieniu oka zaczął szlag trafiać. Pojęłam dokładnie, skąd się biorą te wojny trojańskie i niechęć Elżbiety.

- No właśnie - powiedziała z westchnieniem Alicja, której zdradziłam swoje spostrzeżenia. - Ona już taka jest. Zdaje się, że u niej to jest odruch. Ona chyba sama sobie nie zdaje z tego sprawy.

- Stara gropa, a głupia - rzekłam wzgardliwie.

- Mnie nie weźmiesz na te plewy. Ona sobie świetnie zdaje z tego sprawę. To nie jest żadna skrzywdzona ofiara gruboskórnych namiętności, tylko antypatyczna rozwydrzona podrywaczka. Paweł jest od niej młodszy co najmniej o pięć lat!

- O sześć - skorygowała Alicja. - Mnie ona nie przeszkadza.

- Mnie osobiście też nie, ale nie lubię mydlenia oczu...

Coraz bardziej niezadowolona Zosia odczuła nagle gwałtowną potrzebę odnalezienia faceta w czerwonej koszuli. Zgoła żyć bez niego dłużej nie mogła i zażądała kategorycznie, żeby Paweł natychmiast objął posterunek pod byle którym hotelem. Rozumiałam ją nawet nieźle, na rozmowę z Alicją w cztery oczy nie było już szans, zdecydowałam się zatem towarzyszyć mu do Kopenhagi. Z trudem udało nam się wyżebrać od Zosi zgodę na zjedzenie przedtem śniadania, po czym uzgodniliśmy, że ja posiedzę w Angletterre, a Paweł sprawdzi nieduży, ale bardzo przyzwoity pensjonat na jednej z bocznych ulic koło Kongens Nytorv.

Byłam zdania, że siedzenie w Angletterre okaże się czystą stratą czasu, facet bowiem, choć wyglądał zamożnie, to jednak nie robił wrażenia milionera. Powinien był mieszkać raczej w jakimś średnim hotelu. Siedziałam więc spokojnie i bez podniecenia na czerwonej kanapce w głębi, z nudów usiłując czytać duńską gazetę, kiedy nagle ujrzałam rzecz wstrząsającą.

Drzwi windy, na które patrzyłam jednym okiem wyłącznie dlatego, że z natury jestem obowiązkowa, otworzyły się i do holu wyszły dwie osoby. Facet w czerwonej koszuli tym razem w żółtej koszuli i oszłamiająco elegancka Ewa w wielkim kapeluszu, zasłaniającym twarz. Poznałam ją po figurze i po nogach. Przeszli przez hol i wyszli na ulicę.

Przez chwilę byłam tak zdumiona i zaskoczona, że omal nie wróciłam do czytania duńskiej prasy. Oprzytomniałam nagle, kiedy mi

już znikli z oczu. Zerwałam się i wypadłam za nimi.

Po czym zatrzymałam się i stałam sobie na Kongens Nytorv, po raz nie wiadomo który lżąc się i szkalując za to, że wyjechałam do tej Danii pociągiem, a samochód zostawiłam w Warszawie. Podeszli do najbliższego parkingu, wsiedli do forda i zniknęli mi z oczu. Mogłabym teraz pojechać za nimi i kto wie, może całe śledztwo mielibyśmy z głowy?

Wściekła na siebie i ciężko rozgoryczona wywlokłam Pawła z pensjonatu Thune, powiadomiłam go, że obiekt znalazł się na poczekaniu w Angletterre, że wyszedł i pewno nieprędko wróci, że jeździ czarnym Fordem Capri i że na razie możemy się wypchać. Paweł przejął się wiadomościami i postanowił nazajutrz od rana usiąść na czatach.

- Według mojego rozeznania możesz usiąść od południa - powiedziałam zgryźliwie. - Tak bardzo rano to on jutro nie wstanie...

Około ósmej wieczorem dotarliśmy do Allerød. I natychmiast po przekroczeniu przez nas progu domu czarny facet w różnokolorowych koszulach poszedł w zapomnienie. Zebrania rodzinnego wprawdzie nie było, ale za to zapowiadało się coś gorszego. Zosia i Alicja prezentowały szaleńcze zdenerwowanie, Agnieszka spała, Alicja wisiała na słuchawce, rozmawiając po duńsku i ręką opędzając się niecierpliwie od bezpośrednich rozmówców, do udzielania wyjaśnień pozostała zatem tylko Zosia.

- To już jest jakieś nieszczęście czy klątwa, czy co! - powiedziała z irytacją. - Co za cholerne lato. Akurat teraz, kiedy ta dziewczucha tu się przyplątała, przyjeżdża jeszcze i ta ciotka! Okazuje się, że Alicja miała dla niej zamówić hotel, dzwoni teraz i szuka miejsca. Ciotka już jedzie...

Przerwała, spojrzała na zegarek, podniosła się z krzesła i nerwowo opróżniła popielniczkę.

- Będzie tu za jakieś dwadzieścia minut. Trzeba po nią jechać na

stację. Ja nie wiem, co ona zrobi...

Nikt z nas nie wiedział i wyglądało na to, że Alicja również nie wie. Odłożyła słuchawkę, odwróciła się razem z kręconym fotelem i popatrzyła na nas wyraźnie spłoszona. Zosia zabrała jej sprzed nosa drugą popielniczkę, czyszcząc ją tak, jakby ciotka przyjeżdżała specjalnie w celu oglądania popielniczek, po czym odstawiła ją na blat w kuchni. Spojrzałam w tym kierunku i ujrzałam zebrane na gromadę wszystkie popielniczki z całego domu.

- Ciocia jest przeciwniczką palenia? - spytałam ostrożnie.

- Co? - powiedziała Zosia. - Nie wiem. Uważam, że na wszelki wypadek trzeba posprzątać. Zresztą ja już nic nie wiem!

- Nigdzie nic nie ma - powiedziała Alicja bezradnie. - Ten cholerny okres turystyczny!... Która godzina? Cholera, ona zaraz tu będzie. Pojęcia nie mam, co robić, chyba ją tu przenocuję czy co? Może mieć pokój w hotelu od jutra, ale dzisiaj mowy nie ma. Słuchajcie, spokój, cisza i robić dobre wrażenie! Nie ma rady inaczej, muszę ją tu przyjąć.

- Dlaczego ty? - spytała Zosia gniewnie. - A Ole i Jens? To jest bliższa rodzina, dlaczego się nie zatrzyma u któregoś z nich?

- Ani Olego, ani Jensa nie ma w domu. Nie mogę jej przywieźć ze stacji i zniecka zrzucić im na głowę, musiałabym to przedtem uzgodnić. A poza tym ona przyjeżdża do mnie. Czy my w ogóle mamy coś na kolację?

- Mamy bardzo dużo, wymyślimy coś, nie zajmuj się tym teraz, tylko leć na stację! Paweł, idź z nią, ta ciotka ma na pewno jakieś bagaże!

Po jeszcze kilku minutach wahań, narad i bezskutecznych prób znalezienia kluczyków od samochodu, które powinny być nie wiadomo w której torebce, Alicja z Pawłem wylecieli z domu w dzikim galopie. Zosia padła na krzesło przy stole, następnie zerwała się, żeby sobie przynieść

popielniczkę, po czym znów padła.

- Ale mam urlop, niech to szlag trafi - powiedziała ponuro. - Zdaje się, że potem będę musiała wziąć urlop i trochę odpocząć. Co za świnia popełnia te zbrodnie? I gdzie ona zamierza położyć tę ciotkę?

Rychło okazało się, że ten sam problem dręczył Alicję w drodze na stację i z powrotem. Dwa małe pokoje były zajęte przez Zosię i Pawła, katafalk przeze mnie, w najlepszym pomieszczeniu zaś i na najlepszym łóżku spała w tej chwili Agnieszka ze stłuczoną kością biodrową i nieco podwyższoną temperaturą. Jedyne, co pozostało, to kanapa w salonie albo też druga część łóżka, wyciągnięta spod Agnieszki. Tak jedno, jak i drugie w charakterze legowiska dla cioci bezapelacyjnie odpadało. Wiekowa duńska dama powinna mieć pokój dla siebie i coś wygodnego do spania.

Wszyscy razem odbyliśmy pośpieszną naradę, wykorzystując pobyt cioci w łazience.

- Przenieść Agnieszkę na kanapę, a ciocię tam - zaproponowała Zosia.

- Na nic, za dużo zamieszania. Ta osoba, która będzie spała na kanapie, musi się położyć ostatnia. Jak sobie to wyobrażasz, barłóg na środku mieszkania?... Zresztą, Agnieszka się rzeczywiście źle czuje, dajmy jej już spokój.

- No to Paweł na kanapę, a ciocię do niego.

- Nie zmieści się, u Pawła stoi fisharmonia. Nie, ja ją po prostu ulokuję w moim pokoju, a sama się prześpię na kanapie.

- Wykluczone! Na kanapie może spać Paweł, a ty w jego pokoju!

- Dajże spokój, przecież to tylko jedna noc! Nie ma sensu przewracać wszystkiego do góry nogami. Ta kanapa jest bardzo wygodna.

- Ale wąska!

- No to co? Paweł się zmieści, a ja nie? Uważasz, że jestem o tyle grubsza?

Protesty Zosi nie zdały się na nic, Alicja zapała się przy swoim. Wykorzystując ablucje cioci po podróży, pośpiesznie dokonała kilku prac porządkowych w swoim pokoju. Wyniosła dwa pudła i jedno krzesło, zmieniła pościel i przykryła śmietnik na stole kuponem materiału frotte, przeznaczonym na szlafrok.

- Koniec pościeli! - powiadomiła nas. - Dałam jej ostatnią zmianę. Koniecznie trzeba zrobić pranie, bo jak, nie daj Boże, jeszcze kto przyjedzie, to już nie mam mu co dać. Miałam zrobić dzisiaj, ale ktoś mi przeszkodził. Nie wiecie kto?

- Wiemy - powiedziała Zosia mściwie. - Agnieszka.

- A, rzeczywiście. To co, zrobić jutro? Nie, nie wypada, jutro będę miała ciotkę na głowie... Boże drogi, czy ja jestem z nią na pani, czy na ty?

- Jak to? - zdziwiłam się. - Jeszcze tego nie rozstrzygnęłaś?

- Kiedy? W czasie drogi? Byłam zajęta razem z Pawłem jej bagażami, a ona mówiła jakoś bezosobowo. I ciągle nic nie wiem. Cholera!

- Może powie coś, jak wyjdzie z tej łazienki?

- I co gorsza ten list zginął, i w ogóle nie wiem, która to jest. Nie pamiętam, jak jej na imię. Jedna jest Jytte, a druga Inger, chyba na złość tak je ochrzcili, żeby się myliło. Któraś z was musi ją zapytać, czy będzie jadła kolację, ja nie mogę, bo nie wiem jak...

Konwersację odbyła Zosia po niemiecku. Ciocia odmówiła skonsumowania kolacji, tłumacząc, że czuje się zmęczona i wolałaby iść spać. Wydało nam się to dość zrozumiałe, zważywszy, że miała osiemdziesiąt dziewięć lat, aczkolwiek, jak na ten wiek, wydawała się niewiarygodnie żwawa i rześka. Kurcgalopkiem przebiegła

pomieszczenia, gromadząc na kupkę swoje rzeczy, wykonała niedużą przepierkę, napiła się kawy i wreszcie zamknęła za sobą drzwi pokoju Alicji.

Wszyscy czworo usiedliśmy przy stole w kuchni, przez chwilę w milczeniu wypoczywając po emocjach.

- Nie do wiary - powiedziała Zosia. - Skąd one biorą tyle siły?

- Nie robiły nigdy prania w balii - mruknęłam ponuro, zawsze bowiem byłam zdania, że szaleńczy wigor duńskich staruszek jest wynikiem ułatwień w gospodarstwie domowym.

Alicja oparła głowę na rękach i z rozpaczą zapatrzyła się w drzwi do ogrodu.

- Wszystko na nic - powiedziała. - Dalej nie mam pojęcia, która to jest i jak ja jej mówię.

- Przecież rozmawiałaś z nią przez cały czas!

- No to co? Opowiadała mi o podróży. Trochę ma chyba sklerozę, bo powtarzała po parę razy to samo. Albo może wydałam jej się tępa i bała się, że od pierwszego kopa nie zrozumie.

- Ale ma osiemdziesiąt dziewięć lat. Sama to powiedziała. Może się zorientujesz po wieku?

- Obie mają osiemdziesiąt dziewięć lat. To są bliźniaczki.

- Bliźniaczki, w tym wieku?... - zdziwił się Paweł.

- Że też miała odwagę sama jechać! - powiedziała Zosia z podziwem.

- Gdzie ona mieszka? W Viborg? Powinnaś chyba wiedzieć, która z nich mieszka w Viborg?

- Obie mieszkają w Viborg...

- Słuchaj, a może ich w ogóle jest tylko jedna, a nie dwie?...

Nie rozstrzygnięty problem cioci zaprzętał Alicję przez cały wieczór

do tego stopnia, że o niczym innym nie można z nią było rozmawiać. Głuchła na inne tematy. Nerwowo szukała zaginionego listu z nadzieją, że przed jutrzejszym porankiem uda jej się uzyskać niezbędne dane.

- Słusznie nie zgodziła się, żeby Paweł spał na kanapie - powiedziałam, obserwując jej wysiłki. - Po diabła jej odstępować łóżko, skoro ona na tej kanapie nawet nie usiadzie. Całą noc będzie szukała.

- Może przy okazji znajdzie ten od Edka? - powiedziała zgryźliwie Zosia.

- Odczepcie się, dobrze? - powiedziała stanowczo Alicja.

* * *

Paweł wstał pierwszy, zdopingowany myślą o czatowaniu na faceta, a być może także myślą o Agnieszce. Hałasami w łazience pobudził nas wszystkie. Poganiane przez niezadowoloną z życia Alicję, w nerwowym pośpiechu przygotowywałyśmy się do gościnnych występów.

Okazało się, że nerwowy pośpiech był zupełnie niepotrzebny. Śniadanie dawno stało na pięknie udekorowanym stole, a ciocia ciągle spała. Alicja, chcąc się godnie zaprezentować i zatrzeć niedopatrzenie w sprawie hotelu, nie pozwoliła nic ruszać, wszyscy zatem rozleźli się po domu i ogrodzie, żeby nie patrzeć na niedostępne na razie, ale za to nad wyraz pociągające artykuły spożywcze. Paweł z Agnieszką pętali się po tarasie, Agnieszka opierała się wdzięcznie na jego ramieniu, a Zosia ukryła się w swoim pokoju, żeby nie patrzeć także i na nich.

Obie z Alicją na jedzenie o tej porze dnia byłyśmy dość odporne. Nigdy nie miałyśmy upodobania do wczesnych śniadań i mogłyśmy sobie pozwolić na to, żeby spokojnie usiąść przy zastawionym stole i powoli nabierać apetytu.

Problemu, czy jest z ciocią na pani, czy na ty, miałam już po dziurki

w nosie i nie byłam w stanie dłużej o tym słuchać. Chcąc ją oderwać od tematu-zmory, powiedziałam jej o spotkaniu czarnego faceta w Angletterre. Od razu się zainteresowała.

- A właśnie, miałaś się przyznać, skąd on ci przyszedł do głowy? I w ogóle zdaje się, że miałaś puścić farbę?

Ostrożnie strzepnęła papierosa do najbrzydszej popielniczki, jedynej, jaką Zosia pozwoliła nam zabrudzić, i patrzyła na mnie pytająco. Zawahałam się.

- Czarny facet jest bardzo ważny - wyznałam.

- Paweł widział z nim Edka. A ja wiem... Jak by ci tu powiedzieć...
Ja nic nie wiem.

- A, to rzeczywiście dużo!

- Ja nic nie wiem i nikt nic nie wie, ale jest możliwe, że taki jeden czarny facet zaplątany jest w taką jedną niesympatyczną aferę. Szczegółów nie znam i nie wnikam...

- Nie do wiary! - przerwała jadowicie Alicja.

- Nie wnikasz? Co ci się stało?

- Nic takiego. Nie wnikam. Ale miałam się prywatnie dowiedzieć, jak się ten facet nazywa. To znaczy, jakie jego nazwisko zna Edek. Bo Edek powinien znać nazwisko, jakim się ten facet posługiwał dawno temu, przed laty. Prywatnie, wyraźnie mówię. Tak dla ciekawości, i to nawet niekoniecznie mojej. Zapytałabym o to Edka zwyczajnie w Warszawie, ale zdążył wyjechać, więc zamierzałam zapytać go tutaj. A tutaj chała. W związku z tym nie wiem, czy Edek jeździł furgonetką od węgla ze zwyczajnym, porządnym człowiekiem, czy z międzynarodowym aferzystą.

- I co, jakby ci powiedział nazwisko, to już byś wiedziała? Międzynarodowi aferzyści są zarejestrowani?

- Niektórzy o nich coś wiedzą - powiedziałam dość niejasno, przysuwając sobie popielniczkę. Alicja przyglądała mi się bystro.

- Słuchaj no - powiedziała nagle. - W kim ty się zakochałaś?

- W blondynie mego życia, bo co?

- Bo jak cię znam...

- Ty nie bądź taka mądra - powiedziałam stanowczo. - Skojarzenia masz, nie powiem, nawet dosyć prawidłowe. Ale wyraźnie mówiłam, że tu chodzi o prywatne zainteresowania, nie zaś urzędowe. Nie zjeżdżaj z tematu. Czarny facet był w Warszawie i czarny facet jest tu.

Alicja przysunęła sobie popielniczkę.

- Na świecie jest dużo czarnych facetów. Skąd ci przyszło do głowy, że to może być ten sam?

Zawahałam się, przysunęłam sobie popielniczkę i zdecydowałam się wtajemniczyć ją w resztę swoich spostrzeżeń. W końcu jednak Ewa zełgała, wbrew zapewnieniom spotkała się z facetem. Skoro zełgała w tej kwestii, mogła zełgać i w innych i z owym osobnikiem mogła ją łączyć nie miłość, lecz zbrodnia. Jedno drugiego, co prawda, nie wyklucza, ale uznając słuszność zachowania sekretu w sprawie romansu, nie będę przecież dochowywała wiary morderczyni!

Alicja zdenerwowała się moimi informacjami do tego stopnia, że aż poczuła się głodna. Podziałało to zaraźliwie, za jej przykładem też poczułam się głodna. Obejrzałam się na banany na stole przed kanapą, ale banany, jak było do przewidzenia, zdążyły już zniknąć.

- Nie wyobrażam sobie Ewy w roli zbrodniarki - powiedziała Alicja z niechęcią... - Ale jeżeli rzeczywiście ona spotyka się z tym facetem... Jeżeli ten facet spotykał się z Edkiem... A Edek zaczął wykrzykiwać, że chce coś powiedzieć, to czy ja wiem...?

Uważasz, że naprawdę mogła wpaść w taką panikę, żeby

zamordować tyle osób?

- Po pierwsze nie tyle, a jedną, Edka. Reszta poszła już siłą rozpędu, to znaczy po Edku musiała zamordować ciebie, ale ty się zachowujesz, jak nie powiem co, i uporczywie uchodzisz z życiem. A po drugie, to czy ja wiem? Nie wiadomo, kto to jest ten facet. Może jednak aferzysta, może ją szantażuje? A ona ma tu ułożone życie, dom, Roja, dzieci...

- Jedno dziecko - poprawiła Alicja. - I to nie Roja, a jej pierwszego męża. Jeśli ją szantażuje, to powinna zabić jego, a nie Edka.

- Na logikę rzecz biorąc, owszem. Ale możliwe, że go kocha i nie jest w stanie go zabić.

- A poza tym to bzdura. Wiadomo, że Roj ją kocha i wszystko jej przebaczy.

- Wcale nie wiem - powiedziałam z niejakim roztargnieniem, bo coś mi się jeszcze plątało po głowie. Wstałam z krzesła, zajrzałam do lodówki i stwierdziłam, że nie ma już mleka. - Wcale nie wiem... Czekał, co to ja chciałam powiedzieć... Aha, coś mi tu nie pasuje do tych wszystkich miłości.

- Co mianowicie?

- Edek wrzeszczał, że ty się narażasz. Nie słyszałaś? Pytał, dlaczego się narażasz i przyjmujesz takie osoby. Można przyjąć, że mianem takiej osoby określał Ewę, ale co to ma wspólnego z narażaniem się? Jak się niby narażasz? Na co? Na to, że Roj cię zelży?

- Właśnie nie wiem - powiedziała Alicja i zamyśliła się. - Może jednak coś jest w tym szantażu? Może to rzeczywiście aferzysta? Miłość, szantaż... Czy ja wiem, ludzie mają takie głupie pomysły...

Zamyśliłam się również nad pustym kartonem po mleku. Jeżeli Ewa kocha czarnego faceta, a Roj kocha Ewę i wszystko jej przebaczy...? Może za dużo jej przebaczy? Może ona wcale nie chciałaby, żeby tak przebaczał,

tylko przeciwnie, zrobił piekło, scenę zazdrości, wykopał rywala... Może ona nie chce kochać tego faceta, woli Roja, męczy się, a ryki Edka rozgłosiłyby tajemnicę, Roj dowiedziałby się, zaczął przebaczać... Ewentualnie uparłby się, że się usunie, a ona zostałaby na pastwę niechcianych uczuć...

- Nie wierzę w takie uczucia, dla których się popełnia morderstwa - powiedziała Alicja gniewnie. - Zawracanie głowy! To było dobre w zeszłym wieku!

- W kwestii uczuć od tysiącleci nic się nie zmieniło - odparłam niechętnie. - Ty zawsze byłaś taka nieludzko zracjonalizowana. Nie masz emocjonalnego podejścia do płci. A Ewa ma. Ja też mam. Nie jestem pewna, ale możliwe, że też mogłabym na tym tle kogoś zabić...

- To sobie zabij i nie mów idiotyzmów! Głodna jestem! Narazam się, bo przyjmuję jakieś osoby, co za kretyństwo! Chyba że ten facet to jest rzeczywiście jakieś podejrzane indywiduum, Edkowi się pomyliło po pijanemu i uważał, że skoro facet, to i Ewa...

W oczach Ewy na widok faceta pojawił się popłoch. Nie chciała go widzieć albo może tylko nie chciała, żeby ją go zobaczyła. Za wszelką cenę chciała utrzymać tajemnicę...

Usiłowałam wyobrazić ją sobie, jak drętwieje z przerażenia, słysząc krzyki pijanego Edka, jak popada w rozpacz z lęku, że wszystko się wykryło, jak oszalała ze strachu i zdenerwowania, nie widząc innego sposobu uciszenia go, chwyta sztylet... Skąd, u diabła, bierze sztylet...? Nie wiedząc niemal, co czyni, wbija mu ten sztylet w plecy, jak potem dowiaduje się, że został list, który może ją zdradzić, i została Alicja, która w każdej chwili może dowiedzieć się wszystkiego... Wie, że Alicja ją lubi, nawet bardzo lubi, ale co z tego, nie przebaczy jej śmierci Edka, nie będzie chronić zbrodniarki...

- Na litość boską, czy ta ciotka umarła tam, czy co? - powiedziała nagle Alicja w zdenerwowaniu i podniosła się od stołu... - Ile czasu można spać?! Umrę z głodu!

- Obudź ją - poradziłam bez przekonania, gwałtownie oderwana od widoku Ewy-zbrodniarki. - Jest jedenasta, chyba możesz sobie na to pozwolić? Albo może ona już dawno nie śpi i tylko przez skromność nie wychodzi z pokoju?

- Zwariowałaś? Jaką skromność?!

- Zwracam ci poza tym uwagę, że zbankrutujesz - ciągnęłam, wracając do aktualnej rzeczywistości.

- Reszta osób też jest głodna, nic nie mówią, ale zezarli już wszystkie banany i wychlali mleko. I wykończyli ten ser, który był w szufladzie.

- To i tak był ten gorszy, z Armii - wyznała Alicja. - Chwała Bogu, że go wykończyli, bo już się trochę zestarzał. No, zaryzykuję...

Podniosła rękę, żeby zapukać do drzwi, zatrzymała się, przyłożyła ucho, przez chwilę słuchała i znów podniosła rękę. Po czym znów się zawahała.

- Jak ja mam do niej mówić, do diabła? - powiedziała z nagłą irytacją. - Jestem z nią na pani czy na ty? Miałam nadzieję, że dzisiaj pierwsza coś powie!

- Może powie. Zaczynij od „dzień dobry”.

- Czekaj, zajrzę może przez okno?

- Wcale nie wiem, czy uprzejmiej jest budzić starszą osobę, wtykając jej znieczulacz przez okno, czy pukać zwyczajnie do drzwi. Ona może mieć uraz na tle włamywaczy i dostanie palpacji serca.

- Tu nie mają urazów na tle włamywaczy - mruknęła Alicja.

Westchnęła ciężko, znów podniosła rękę, zawahała się i wreszcie

zapukała. Odpowiedzi nie było.

Alicja zapukała ponownie nieco głośniej. Bez rezultatu. Zapukała trzeci raz z natężeniem, od którego budynek zadrżałby w posadach, gdyby był odrobinę mniej porządnie wykonany. Przyglądałam się temu z zainteresowaniem.

- Może jest głucha? - powiedziałam. - Nie zauważyłaś tego wczoraj? A może już dawno wyszła z domu i poszła do kościoła?

- Głupia jesteś, do jakiego kościoła?!

- Protestanckiego...

Alicja z wściekłością wyrznęła się pięścią w czoło, co miało symbolizować znaczące popukanie się palcem, zamamrotała coś pod nosem, załomotała jeszcze raz, odczekała krótką chwilę i nacisnęła klamkę. Ostrożnie uchyliła drzwi, zajrzała, nagle otworzyła je szerzej i zastygła jakby w dziwnym ukłonie, połową ciała przechylona w głąb pokoju.

- Chryste Panie...!!! - jęknęła zdławionym głosem.

Odbiłam się od kuchennego blatu i dopadłam jej, chcąc zajrzeć jej przez ramię, ale nie zdążyłam w porę przyhamować. Dałam jej dubla w wypiętą część tylną i obie runęłyśmy do środka, zawisając na skrzydle drzwiowym. Skrzydło drzwiowe, gwałtownie otwarte, trzasnęło w ścianę i zawadziło o przykładnicę, która wystawała z regału. Przykładnica zepchnęła z najwyższej półki gipsowe popiersie do fryzowania peruk, które z gromkim hukiem roztrzaskało się na naszych nogach.

- O święci pańscy!!! - jęknęłam ze zgrozą, głosem niewątpliwie również zdławionym.

Śpiąca w łóżku Alicji ciocia prezentowała sobą widok straszliwy. Ulokowana na poduszce głowa wyglądała jeszcze gorzej niż popiersie na podłodze, zwłaszcza że kolor był inny i nawet nie można było na

poczekaniu stwierdzić, czy to jest twarz, czy potylica. Zdażyłam jeszcze dostrzec leżący na piernacie młotek, którym niewątpliwie posłużył się morderca-pasjonat, po czym zamknęłam oczy.

- Wszystko czerwone... - wyszeptałam mimo woli, czując, jak mi się robi bardzo niewyraźnie w środku.

- Żebyś pękła! - odparła Alicja z całego serca, wypychając mnie tyłem z pokoju. Zamknęła z powrotem drzwi, oparła się o futrynę i odetchnęła głęboko. Oparłam się o przeciwległą futrynę i przez chwilę milczałyśmy obie, bo wstrząs był zbyt potężny. Czułam kompletną pustkę w głowie. Alicja patrzyła na mnie z tępą rozpaczą.

- Jedną korzyść z tego odniosłaś - powiedziałam niepewnie, usiłując ją jakoś pocieszyć. - Upadł problem, czy jesteś z nią na pani, czy na ty...

Alicja ciągle robiła wrażenie gruntownie ogłuszonej.

- Idiotka - odparła z tępym przygnębieniem. - Co mi z tego? Zostaje jeszcze ta druga. Ja ich nadal nie rozróżniam, a co gorsza ta druga teraz pewnie przyjedzie na pogrzeb.

- Zaproś ją, żeby zanocowała - zaproponowałam ponuro. - Będiesz miała z głowy, na tego naszego mordercę można liczyć bezbłędnie. Nikomu nie przepuści.

Alicja spojrzała na mnie z powątpiewaniem i nagle jakby się ocknęła. Tępotą na jej obliczu ustąpiła miejsca zgrozie i rozpacz.

- O rany boskie, słuchaj, może ona jeszcze żyje?! Tak samo jak tamci...! Pogotowie!!

- Oszalałaś, istna rzeźnia w pokoju, a ona ma żyć - zaprotestowałam, ale Alicja nie słuchała. Rzuciła się do telefonu, wezwała pogotowie, po czym odnalazła pana Muldgaarda. Ręce jej się trzęsły i wyglądała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, co się stało.

Pogotowie przyjechało po paru minutach. Roztrzęsiona Alicja

konwersowała z lekarzem, tym samym, który przyjechał do Włodzia i Marianne i który teraz na miejscu przeprowadzał jakieś tajemnicze zabiegi, przy czym pod koniec konwersacji na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz jakby ostatecznego, nieodwracalnego osłupienia. Ze zdumieniem ujrzałam, jak ostrożnie kładą ciocię na noszach i wynoszą do sanitarki. Ledwo trzasnęły drzwiczki, niecierpliwie zażądałam wyjaśnień.

- Co to znaczy, na litość boską?! Co oni robią?! Ona żyje?!

- Żyje. Nic jej nie jest.

- Niemożliwe...!!! Jakim sposobem?! Przecież została kompletnie zmasakrowana!!!

- Wcale nie została zmasakrowana.

- Jak to? A ta zaskorupiała czerwona miazga to co?!

- Maseczka z truskawek.

Na moment odjęło mi mowę i inne zdolności.

- Maseczka z truskawek - powtórzyła Alicja z akcentem zgrozy. - Zrobiła sobie maseczkę z truskawek i miała to na twarzy. Gotowy produkt, opakowanie zostało. Czerwony kolor nadaje cerze różaną świeżość...

Uczyliłam wysiłek i odzyskałam głos.

- Jaka maseczka, Chryste Panie, z ilu truskawek?! Z pięciu kilo? Jedna maseczka by nie wystarczyła!

- Toteż tam była nie tylko maseczka, krew też. Ma przeciętą tętnicę nad okiem, szkiełkiem od zegarka. Zegarek miała na rękę, jest stłuczony.

- To tym bardziej nie rozumiem, dlaczego żyje, przecież powinna się wykrwawić na śmierć!

- Powinna, ale ta maseczka ściągnęła skórę. Ona była nie tylko z truskawek, coś tam zostało domieszane takiego na ściąganie. Widocznie była jeszcze świeża, kiedy ten zbrodniarz się zamachnął. Nic jej nie

będzie...

Pan Muldgaard musiał zebrać swoją ekipę współpracowników i przyjechać z Kopenhagi, zdążyliśmy zatem przed jego przybyciem zjeść to wytworne śniadanie i posprzątać ze stołu. Nowa, nieudana zbrodnia tym razem jakoś nikomu nie odebrała apetytu, co wskazywało na to, że zapewne zaczynamy się przyzwyczajać. Ochłonęłam już nieco po maseczce z truskawek.

- Niedługo może dojść do tego, że będę się czuła nieswojo, jeśli nikt w pobliżu nie zostanie uszkodzony - powiedziałam z niesmakiem. - Zdaje się, że następna osoba uratowała ci życie.

- Niedobrze mi się robi, jak pomyślę, co teraz będzie - powiedziała Alicja, okropnie przygnębiona. - Co ja powiem tej całej rodzinie?! Obrażą się na mnie wszyscy. Dlaczego ja jej nie załatwiłam tego hotelu...?! W hotelach się mniej mordują!

- Idiotka! - rozzłościła się Zosia. - Też masz czego żałować! Gdybyś jej załatwiła hotel, to teraz ty byś tam leżała z rozwaloną głową!

- No to co z tego? Też bym może wyżyła, a w zegarku nie sypiam. Przecięta tętnica, wielkie rzeczy...

- Głupiaś, on pewno zauważył w ostatniej chwili, że to nie ty i przyhamował siłę uderzenia. Ciebie by łupnął mocniej.

- Tamci troje żyją i nawet im lepiej. To jest nieudolny zbrodniarz.

- Przyjechał w nocy - rozważał Paweł. - Myślał, że to Alicja tam śpi. Zmyliło go to, że spałaś tam cały czas, nawet jak było więcej osób.

- Nie przewidział cioci - mruknęłam.

- Zobaczył, że trucizna nie działa... - ciągnął Paweł. - To znaczy działa, ale na kogo innego. Zniecierpliwił się i postanowił to wreszcie załatwić raz, a dobrze. Zobaczył maseczkę i zdrętwiał...

- Pewnie, każdy by zdrętwiał.

- Co tam za rumor był taki? - spytała Zosia zgryźliwie. - Któraś z was zemdląca czy co? Byłabym poszła zobaczyć, ale miałam nie zwracać uwagi na te wasze hałasy.

- Nic takiego, łeb zleciał.

- Co?!... Czyj łeb?!

- Ten gipsowy. To popiersie do peruk, które Alicja wygrała na loterii.

- I stłukło się?

- W drobne kawałki.

- Chwała Bogu! Cóż to była za obrzydliwa rzecz! Zaczynam dostrzegać w tym wszystkim jakieś dobre strony.

- Pewnie - przyznała Alicja ponuro. - Teraz się wreszcie dowiedziałam, która to i jak jej na imię. Lekarz znalazł w dokumentach. Chociaż i tak niewiele mi z tego przyszło, bo nie pamiętam, z którą byłam na ty...

Pan Muldgaard przyjechał z ekipą i powitał nas tak, jakby również zaczynał się przyzwyczajając i usiłowania zbrodni w Allerød uważać za rzecz zwykłą i powszednią. Poniekąd miał chyba rację. Z zaciekawieniem obejrzał Alicję, najwidoczniej dziwiąc się nieco, że ona jeszcze żyje, zainteresował się Agnieszką, po czym rozpoczął indagacje.

- Pani oczekuje więcej kogo? - spytał uprzejmie. - Jakie goście?

- Na litość boską, nie zapraszaj więcej gości! - jęknęła rozpaczliwie Zosia.

- Nie wiem - powiedziała Alicja jakoś dziwnie niepewnie. - Ja nikogo nie zapraszam. Nie mam pojęcia, kto jeszcze może przyjechać.

Pan Muldgaard uczynił dłonią uspokajający gest.

- Można zapraszać mrowie. Tu stanie czata. Robotnik mój strzegął będzie bezpieczeństwa osoby. Winno było od początku uczynić tak, a nie

inaczej. Nie uczynione. Błąd - powiedział takim tonem, jakby odkrycie to sprawiło mu szaloną satysfakcję.

Alicja przyjrzała mu się zdecydowanie niezyczliwie.

- To znaczy, że teraz policja będzie mi się dniem i nocą plątała po domu i ogrodzie, tak?

- Nie - odparł pan Muldgaard stanowczo. - Policja będzie ukryty. W schowaniu. Między krze.

- Jeszcze gorzej. Obcy facet będzie znieczulaczem wyskakiwał zza krzaków. Ci, co wyżyją, dostaną palpacji serca i rozstroju nerwowego.

Pan Muldgaard okazał pełne niesmaku zdziwienie.

- Pani wyraża protest? - spytał z naganą. Alicja zreflektowała się nieco. Protest przeciwko obecności policji w miejscu, gdzie ofiary padają gęsto, a sprawca jest nieznany, mógłby zrobić nie najlepsze wrażenie. Już i tak zdawała sobie sprawę, że zaczyna być coraz bardziej podejrzana przez sam fakt, że jeszcze żyje.

- Nie wyrażam żadnego protestu - powiedziała gniewnie. - Niech sobie ta policja tu siedzi, byleby rzeczywiście nie na oczach.

Nie wiadomo, jak pan Muldgaard zrozumiał określenie „siedzieć na oczach”, w każdym razie zamilkł na chwilę, pozastanawiał się, po czym poniechał tematowi. Zajął się szczegółowym badaniem naszych czynności od chwili przybycia ciotki do chwili odkrycia jej stanu. Niewiele mu to dało, w nocy bowiem każdy z nas spał oddzielnie i nikt za nikogo nie mógł świadczyć. Każdy natomiast mógł wstać po cichu i utłuc ciotkę. Zainteresował się więc z kolei młotkiem.

- Narząd mordercy posiadamy - rzekł. - Azali kto jego wie?

Było to jedno z tych pytań, na które odpowiedź wydawała się niesłychanie trudna i skomplikowana.

- A kto go tam wie - odparła mechanicznie Alicja.

- Wszyscy go wiedzą - powiedziałam równocześnie. - W Dellsie jest tego od cholery i trochę.

- Myślisz, że on jest z Dellsa?

- Nie wiem, ale chyba najprościej byłoby kupować coś takiego w miejscu, gdzie jest dużo takich samych i nikt nie zwraca uwagi. Leży ich zatrzesienie po dwanaście siedemdziesiąt pięć.

- Po dwanaście dwadzieścia pięć - poprawiła Alicja. - W każdym razie ja takiego nie miałam.

- Po czternaście pięćdziesiąt - powiedział Paweł. - Sam widziałem.

- Widziałeś te większe, a ten jest mniejszy, po dwanaście dwadzieścia pięć.

- Na litość boską, czy to nie wszystko jedno? Nie kłóćcie się o cenę! W całej Kopenhadze, w ogóle w całej Danii, jest pełno takich młotków!

- Azali kogo oko oglądało jego przody? - przerwał pan Muldgaard.

Z pewnym wysiłkiem udało nam się wyjaśnić mu, że owszem, wszystkie nasze oka oglądały go przody w postaci towaru na sprzedaż w jednym z wielkich magazynów. W domu przed zbrodnią nie widział go nikt.

- Morderca zatem obarczeń przybywał - stwierdził pan Muldgaard w końcu i wszyscy zgodnie przyznaliśmy mu rację.

Natychmiast po jego odjeździe z całą ekipą śledczą Paweł wysunął nowe propozycje.

- Oni mają rację - powiedział z ożywieniem. - Powinniśmy zastawić jakąś pułapkę. Trzeba to było zrobić już dawno, do tej pory ten morderca już by się złapał!

- Kto mógł przypuszczać, że będzie taki wytrwały - mruknęła Alicja.

- Masz na myśli takie coś, co łapie za nogę? - zainteresowałam się.

- A chociażby! Płacze się po ogrodzie, mógłby wpaść!

- Prędzej my powpadamy...

- Mam tylko pułapkę na myszy - wyznała Alicja ze smętnym westchnieniem. - I w dodatku nie wiem, gdzie jest. Wymyślcie coś innego.

- No to jakieś sznurki, druty, czy ja wiem... Instalację alarmową! Idzie, zaczepia nogą albo dotyka ręką i zaczyna wyć albo dzwonić...

- Ten morderca?

- Nie, instalacja.

- Aha. Wszyscy zrywamy się z łóżek, wpadamy na siebie, ganiamy zbrodniarza po całym Allerød, następuje ogólny koniec świata, a potem okazuje się, że to był, na przykład, śmieciarz.

- Nie - powiedział Paweł stanowczo i niezwykle rozsądnie. - To może być tylko morderca. Śmieciarz, ani w ogóle nikt postronny, nie będzie uciekał, bo nie będzie nastawiony i całkiem z tego zgłupieje. Specjalnie zostanie i poczeka, żeby się dowiedzieć, o co właściwie chodzi. Z samej ciekawości.

- On ma rację - przyznała Alicja. - Mądrze mówi. No dobrze, to wykombinujcie jakąś pułpkę. Ja się zgadzam. Tylko bez dużych kosztów i w ogóle beze mnie, bo zdaje się, że ja teraz będę miała raczej mało czasu.

Wygłoszone proroczym tonem przewidywanie okazało się jak najbardziej słuszne. Po makabrycznym zamachu na ciocię zapanowała istna Sodomia i Gomora. Życie w Allerød stało się tak ożywione, urozmaicone i męczące, że wręcz trudno było uwierzyć w możliwość czegoś podobnego w Danii.

W policję wstąpił nowy duch. Razem z panem Muldgaardem już od niedzielnego wieczoru zaczęli przyjeżdżać jacyś wyżsi funkcjonariusze, usiłujący porozumieć się z nami w najrozmaitszych językach. Rodzina wkroczyła w wydarzenia, nie kryjąc lekkiego niesmaku i dezaprobaty.

Wszyscy byli zdania, że polski temperament polskim temperamentem, ale zamach na ciocię stanowi już jednak pewną przesadę.

Na domiar złego okazało się, że należy załatwić jakieś niesłychanie skomplikowane kwestie spadkowe po krewnym, który zmarł przed kilku laty, teraz zaś upływał jakiś niezrozumiały dla nas termin sprzedaży, kupna czy też przejęcia czegoś. Rzeczą załatwić miała ciocia, chwilowo unieszkodliwiona w szpitalu. W dokumentach rodzinnych znajdowało się jednakże upoważnienie czy inny podobny dokument, cedujący jej uprawnienia na Thorkilda, który zresztą również dziedziczył część owego spadku. Po Thorkildzie zaś dziedziczyła Alicja i w ten sposób, chcąc nie chcąc, raczej nie chcąc, znalazła się w roli zastępczyni cioci. Załatwianie sprawy wymagało rozmaitych dokumentów i podejmowania decyzji na piśmie, zewsząd napływała urzędowa korespondencja, do odwiedzania były już trzy szpitale, każdy zamach bowiem umieszczono gdzie indziej i ogólnie biorąc można było od tego zwariować. Po dwóch dniach wydawało nam się, że przeżyliśmy intensywnie co najmniej dwa miesiące. Usiłowaliśmy odciążyć jakoś Alicję, w związku z czym nie było mowy o działalności prywatnej, to znaczy o szukaniu faceta i preparowaniu pułapki.

- Wyjedzie i tyle go będziemy widzieli - powiedziałam z troską.

- Nie masz większych zmartwień? - spytała z rozgoryczeniem Zosia.

- Mnie się codziennie niedobrze robi, jak ona wyjeżdża samochodem. Nigdy nie wiem, w jakim stanie wróci.

- W żadnym. Ostrożnie jeździ...

Przyciśnięta okolicznościami Alicja była zmuszona znaleźć kluczyki i zacząć się posługiwać samochodem, do czego nie była przyzwyczajona. Wyraźnie jednak stało się widoczne, że albo w żaden sposób nie zmieści się w czasie, albo taksówki doprowadzą ją do całkowitego bankructwa. Ruszyła zatem pojazd, który jej nawet dobrze robił, w czasie prowadzenia

bowiem umysł jej odrywał się od kłopotów i zmartwień.

Codziennie wizyty zaczął nam składać Thorsten. Prawdę mówiąc, nigdy nie zdołałam się zorientować, czym jest synem i jaki rodzaj powinowactwa łączy go z Alicją, jej duńska rodzina bowiem była nad wyraz rozgałęziona, a o bliskości powiązań decydował nie stopień pokrewieństwa, tylko charakter, wzajemne upodobania i stopień zaprzyjaźnienia. Thorsten był młodzieńcem sympatycznym, miał bystre, inteligentne, pełne życzliwej ciekawości oczy i blond brodę, która czyniła go godnym potomkiem przodków-wikingów. Okazało się, że już od dawna był żywo zainteresowany wydarzeniami i byłby się nimi zajął wcześniej, ale musiał najpierw skończyć jakąś pracę historyczną. Duńczycy są narodem metodycznym i mało nerwowym.

Teraz wreszcie postanowił włączyć się czynnie, przeprowadzić stosowne naukowe kalkulacje i wykryć zbrodniarza metodą logicznego rozumowania. Zrobił spis wydarzeń w porządku chronologicznym i został odesłany do pana Muldgaarda, żeby sobie z nim przeprowadził konferencję.

Jakby mało było tego wszystkiego, dzień w dzień o czwartej albo piątej rano wyrywał nas ze snu telefon. Dzwoniła z Australii niejaka Kangurzyca, przyjaciółka polskiej rodziny Alicji, w której nagle wezbrały jakieś dziwaczne sentymenty i tę właśnie porę wybierała sobie, żeby pytać o zdrowie i samopoczucie jej siostry i szwagra, przesyłać im czułe pozdrowienia i informować ich o swoich dość odległych planach przyjazdu do Europy i spotkania się z nimi.

- Zaczynam marzyć o tym, żeby przyjechała czym prędzej i zanocowała w moim łóżku - powiedziała Alicja, zgrzytając zębami. - Co mnie, do ciężkiej cholery, obchodzi to, że ona lubi podróżować w marcu?! I czy ja nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko dowiadywać się i informować ją, czy moja siostra jeszcze ma katar?

- Czy ona w ogóle jest normalna? - spytałam, ziewając okropnie, bo uwagi wymienialiśmy zaraz po kolejnym telefonie o czwartej trzydzieści osiem rano. - Może jest obłąkana?

- Jaka tam obłąkania, to po prostu zwyczajna idiotka! Ona sobie w ogóle nie zdaje sprawy z różnicy czasu pomiędzy Europą i Australią!

- Po jakiego diabła dzwoni codziennie? Musi czy co? Powiedz jej raz, że wszyscy zdrowi i niech ją piorun trafi!

- Mówię przecież, ale to sklerotyczka. Za każdym razem zapomina coś powiedzieć i dzwoni znowu. Niech oni sobie wreszcie założą telefon i niech dzwoni do nich!

Nie wydawało się dziwne, że w tej sytuacji Alicja jest do nieprzytomności zdenerwowana i szaleńczo wściekła. Obie z Zosią kładłyśmy to na karb konsekwencji wydarzeń i nadprogramowej działalności Kangurzyca, okazało się jednak, że nie miałyśmy pełnego rozeznania. Było gorzej.

W pierwszą środę po ostatnim zamachu Alicja wróciła do domu bardzo późno i od razu dopadła przybyłej tego dnia korespondencji. Dzwoniła już w czasie godzin pracy i kazała mi sprawdzić, czy nie ma listu z Anglii. W poniedziałek i wtorek udzielałam jej odpowiedzi negatywnej, w środę jednakże list z Anglii przyszedł. Pośpiesznie rozerwała kopertę i zbladła już w trakcie czytania pierwszych zdań.

- Cholera ciężka - powiedziała głosem wścieklej furii, którą akurat ktoś dusi za gardło.

I w tym momencie do drzwi zapukała kuzynka Greta. Zarówno Zosia, jak i ja pojęłyśmy natychmiast, jak łatwo jest w gruncie rzeczy popełnić zbrodnię. Kuzynka Greta była o krok od opuszczenia w sposób gwałtowny tego padołu i przeniesienia się na lepszy.

- Na litość boską, co się stało? - spytałam półgłosem, strojąc

równocześnie do kuzynki Grety powitalne grymasy.

- Coś koszmarnego - odparła Alicja, z pewnym wysiłkiem szczerząc zęby w złej imitacji radosnego uśmiechu. - Chyba mnie szlag trafi. Nie jestem pewna, bo nie doczytałam do końca.

Niedobrze mi się zrobiło.

- Gdzie masz ten list? - spytałam złowrogo.

- Tu... Nie, zaraz... Chyba go gdzieś położyłam?

Zosia wydała z siebie cichy jęk. Pomyślałam sobie, że jeśli jeszcze jeden list zginie przed przeczytaniem, zaczniemy chyba otwierać jej korespondencję przed nią. Kuzynka Greta, która nigdy mi się specjalnie nie podobała, teraz wydała mi się postacią wręcz odrażającą.

Miało to zresztą pewne uzasadnienie. Kuzynka Greta miała dwadzieścia siedem lat, a wyglądała na nie wiadomo ile. Z twarzy podobna była do konia, z figury zaś do krowy. Urosła głównie w nogach, i to we wszystkie strony. Środkowymi rejonami, tak na przestrzeni od żeber do kolan, mogłaby śmiało obdzielić najmarniej ze trzy osoby, brakowało jej za to całkowicie wcięcia w tali i kostek u nóg. Robiła wrażenie potężnego słupa na wielkich łapach, na którego szczycie osadzono końską szczękę. Życzliwie usposobiona do swojej duńskiej rodziny Alicja, z zasady zresztą życzliwie usposobiona do świata, pokłóciła się kiedyś ze mną straszliwie o urodę owej młodej damy, twierdząc, że przesadzam, że Greta jest bardzo ładna i że upieram się, jakoby Polki były generalnie ładniejsze, wyłącznie przez szowinizm. Podałam jej wówczas jeszcze kilka przykładów mało urodziwych Dunek i dowiedziałam się, że mam zły charakter i wypaczony gust. Postanowiłam zatem przestać się wypowiadać na ten temat.

Teraz jednak odraza rozszalała się we mnie na kształt burzy śnieżnej.

- Popatrz na nie - wyszeptalam z nienawiścią do Zosi. - Przyjrzyj się im. Alicja jest od niej o ile starsza, a zobacz, jak przy niej wygląda. Jak wdzięczna sylfida! Alicja ma mało wcięcia w talii, ta spódnica jest okropna, wypchana na tyłku i zgruchomiona na brzuchu i co? Przy Agnieszce Alicja wygląda jak klabzdra, a przy Grecie jak nimfa. To jak wygląda Greta?

- Jak krowa - odrzekła Zosia krótko. - Zostaw teraz tę Gretę, szukajmy listu!

Opanowałam uczucia i zmobilizowałam się.

- Czekaj, drogą dedukcji... Tu stała i zaczęła czytać. Ta gropa zapukała. Alicja przestała czytać, jak otworzyłam, idiotyzm, trzeba było raczej podeprzeć drzwi!... Alicja stała tuż za mną i jeszcze trzymała list w ręku. Co zrobiła potem?

- Nie wiem. Byłam w kuchni. Kotłowały się tu dosyć długo. Jak wyszła z przedpokoju, to już nie miała listu w ręku. Czy nie zajrzała do siebie?

Zamknęłyśmy się w pokoju Alicji. List leżał na nocnym stoliku, starannie ukryty w stosie reklamowych broszur. Znalazłyśmy go tylko dzięki temu, że w zdenerwowaniu wszystkie broszury zrzuciłyśmy na podłogę i, podnosząc, obejrzałyśmy dokładnie nie z myślą o liście, lecz z mimowolnej ciekawości dla reklamowanych artykułów.

- Pozwolisz, że teraz ja go schowam - powiedziała Zosia stanowczo.
- I będziesz świadkiem gdzie.

- Tylko nie kładź w żadnym miejscu, które jest dla niej w tej chwili dostępne, bo go przełoży gdzie indziej. Najlepiej włóż do torebki. Albo do walizki. Oddamy jej dopiero, jak ta cała Greta pójdzie do wszystkich diabłów.

- Do walizki. Popatrz, tu kładę, za podszewkę...

Byłyśmy pełne szczęścia i satysfakcji aż do końca wizyty kuzynki Greta, po czym z triumfem komisyjnie wyjęłyśmy znalezisko.

- Idiotki - powiedziała z politowaniem Alicja, wzięwszy list do ręki. - To jest właśnie ten list od ciotki, którego nie mogłam znaleźć. Nie widzicie, że jest po duńsku? A tamten był po polsku, przyszedł od Bobusia, z Anglii. Gdzie ja go mogłam, na litość boską, położyć...?

Spojrzałam na nią bardzo ponuro, wstąpiłam znów na drogę dedukcji i otworzyłam szufladę komódki pod lustrem. List leżał na samym wierzchu.

- To ten? - spytała Zosia niespokojnie.

- Ten... Tak, tym razem ten.

- Chwałaż Panu na wysokościach!

- Czytaj prędzej! - zażądałam stanowczo. - I mów, do pioruna, co się stało?

Zapaliłyśmy jej papierosa, podałyśmy popielniczkę. Zosia zaczęła nawet robić nową kawę, żeby już dogodzić jej wszechstronnie i umożliwić skończenie lektury. Nie miałyśmy najmniejszych wątpliwości, iż korespondencja jest zapowiedzią czegoś okropnego, co jeszcze bardziej pogorszy sytuację, a czego w ogóle nie umiałyśmy sobie wyobrazić. Alicja przeczytała, upuściła list na podłogę, posiedziała jeszcze chwilę nieruchomo, po czym wydała z siebie taki odgłos, jaki wydaje lokomotywa, wypuszczająca parę.

- No to jeszcze tylko tego mi brakowało - powiedziała z wściekłością przemieszana z bezrozumną satysfakcją. - Mało było do tej pory, spokój był, nudziło nam się, teraz będzie weselej. Jak dotąd, było tu tylko miejsce zbrodni, teraz się zrobi z tego dom schadzek.

Przyglądałyśmy się jej w pełnym napięciu oczekiwaniu.

- Nie rozumiem, co mówisz - powiedziała Zosia gniewnie.

Alicja popatrzyła na nas w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami.

- Mam ich w nosie - powiedziała nagle z determinacją i zaciętością.
- Sami się wygłupiają i nie wiem, jakim cudem mogliby to utrzymać w tajemnicy. Nie powyrzucam stąd wszystkich dla ich przyjemności, nawet gdyby policja mi na to pozwoliła. Same się zresztą zorientujecie, bo chyba nie jesteście ślepe?

- Nie, nie jesteśmy - zapewniłam stanowczo w obawie, że podejrzenie nas o ślepotę może ją powstrzymać od wyjaśnień.

- No właśnie, Bobuś zapragnął zobaczyć się z Białą Glistą i wymyślił sobie, że najlepiej będzie spotkać się z nią tu u mnie, w Allerød. Nawet nie pyta o zdanie, tylko zawiadamia, że przyjeżdża. Miłość go sparła. Nosem mi już wychodzą te wszystkie miłości!... Miałam nadzieję, że ta klabzdra nie dostanie paszportu, bo już dawno mnie uprzedzał, robił takie aluzje... Chciałam mu odpisać, że wykluczone, ale przez to wszystko nie zdążyłam i proszę! W jakiej on mnie sytuacji stawia?!

Zrozumiałam jej uczucia w mgnieniu oka. Bobuś, od dzieciństwa związany z nią i z jej rodziną, bęcwał wyjątkowej klasy, opuścił kraj przed laty nielegalnie i osiadł w Londynie, gdzie tajemniczym sposobem zrobił szalony majątek. Ożenił się z osobą miłą, cichą i łagodną, której posag niewątpliwie przyczynił się do jego finansowego sukcesu i dla której Alicja miała mnóstwo sympatii. Jedyne, co jej zarzucała, to beznadziejne zaślepienie w stosunku do Bobusia.

Biała Glista natomiast była wielką, nie odwzajemnioną miłością jego młodych lat i z kolei żoną jednego z Alicji przyjaciół. Romans wybuchł jak wulkan, kiedy Biała Glista, przebywając przed kilku laty w Paryżu, dowiedziała się o majątku Bobusia. Bobuś do Polski przyjechać nie mógł. Biała Glista miała dość oleju w głowie, żeby nie domagać się od niego rozwodu, który byłby równoznaczny z utratą majątku żony. Nie widziała szans poślubienia go, trzymała się więc własnego męża, nie

zdradzając chęci pozostania na Zachodzie na zawsze. Co jakiś czas wyjeżdżała tylko na romantyczne spotkania, z których wracała w nowych futrach, obwieszona precjozami jak choinka wielkanocna, przy czym spotkania te były oczywiście utrzymywane w wielkiej tajemnicy.

Alicję na to wszystko trafiał straszliwy szlag. Nie znosiła Białej Glisty, która naraziła się jej już bardzo dawno temu, z jej mężem za to była bardzo zaprzyjaźniona i miała dla niego mnóstwo sympatii i uznania. Nie znosiła Bobusia, lubiła za to jego żonę. Nie mogła zwyczajnie wyrzucić go za drzwi i zerwać z nim wszelkich kontaktów, miała bowiem wobec niego różne dawne zobowiązania rodzinne. W odległych latach Bobuś wydawał się jej przyzwoitym człowiekiem, w dodatku skrzywdzonym i unieszczęśliwionym przez Białą Glistę. Zdecydowanie zmienił się na gorsze dopiero po zdobyciu majątku i jej uczuć. Tło tych uczuć było dla Alicji widoczne jak na dłoni. Usiłowała z początku wytłumaczyć Bobusiowi, na co Biała Glista leci, i tyle na tym zyskała, że poczuł do niej głęboką, prawie nie skrywaną niechęć. Pozostając przy wielkim sentymencie dla jej nieżyjącej matki i innych żyjących krewnych, jął twierdzić publicznie, że Alicja się jakoś dziwnie wyrodziła i głównymi cechami jej charakteru okazały się skłonność do zawiści i skąpstwo. Skąpstwo wzięło się z odmowy pożyczania Białej Glicie pieniędzy na podróż z Paryża do Rzymu, gdzie Bobuś właśnie w owym momencie przebywał. Bobuś musiał zatem sam te pieniądze wysłać pocztą, co opóźniło przybycie ukochanej. Nie mógł tego darować Alicji, która nie kryła, że znacznie chętniej wrzuci swoje pieniądze do rynsztoka niż wyasygnuje je na potrzeby Białej Glisty, co, zdaniem Bobusia, dowodziło także zawiści. Wszystko to razem spowodowało nader liczne i urozmaicone niesnaski.

Zosia знаła doskonale zarówno Bobusia, jak i męża Białej Glisty. Wiedziała, że Alicja, z uwagi na nielegalne porzucenie przez Bobusia

ojczystego kraju, nie ma ochoty utrzymywać z nim zbyt ożywionych stosunków, nie wiedziała natomiast o starannie ukrywanym romansie.

- Jak to, miłość? - spytała śmiertelnie zaskoczona. - Co to znaczy? Nic nie rozumiem. Kto to jest Biała Glista?

- Żona Sławka - mruknęła Alicja. - Ta obłudna, śliska pluskwa, która się zawsze ubiera na białą. Wielka miłość Bobusia.

- Niemożliwe! Jak to, myślałam, że oni ze Sławkiem są zaprzyjaźnieni? Sławek się przecież widywał z Bobusiem, on go bardzo lubi! Jak to, ona przecież mówiła, że się z Bobusiem widziała, ale załatwiała jakieś ich wspólne sprawy-..?!

- W duchy wierzysz. Wspólne, pewnie. Bobusia i Białej Glisty...

Zosia była wstrząśnięta.

- Nie do wiary! Co za kretyn z tego Bobusia! I Sławek taki sam idiota! Jesteś tego pewna? Skąd wiesz?

Spojrzałyśmy z Alicją na siebie, bo chociaż Zosia знаła osoby dramatu lepiej ode mnie, to jednak przy ujawnieniu tajemnicy asystowałam ja, a nie ona.

- Zrobiłam coś w rodzaju świństwa - powiedziała z zakłopotaniem Alicja. - Ale po pierwsze bezwiednie, a po drugie zostałam za to ciężko ukarana, Joanna świadkiem.

Istotnie, byłam świadkiem. W czasie mojego poprzedniego pobytu w Kopenhadze Bobuś przebywał z wizytą u Alicji przez dwa dni. W jakiś czas po jego wyjeździe robiła któryś kolejny porządek na biurku i nagle z kartką w ręku wyszła do ogrodu, gdzie pali tam niepotrzebne gałęzie.

- Kto, do ciężkiej cholery, chce mnie ciumciać po brzuszku?! - powiedziała z wyrazem niebotycznego osłupienia. - I to jeszcze po ślicznym!!!?

Zamarłam z drągiem w garści i spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Zwariowałaś?! - spytałam, nie wierząc własnym uszom.

- Nie, to chyba raczej ten, co pisał. Posłuchaj:

„Tak pragnę, znów pragnę ciumciać Cię po Twoim ślicznym brzuszku! Bezsennie leżę nocą i wspominam. Obejmuję ramionkami Twoją ukochaną szyjkę i pieszczę Twoje nóżki i Twój brzusek”... Jakaś obsesja z tym brzuszkiem. Co za idiota to pisał?!

Z zaskoczenia spróbowałam oprzeć się na drągu, który okazał się trochę za krótki i o mało nie wleciałam głową naprzód do ogniska.

- Rany boskie, co to jest?! Skąd masz ten niezwykły utwór?!!!

- List, widzisz przecież. Znalazłam to na biurku, między papierami. Pojęcia nie mam od kogo, bo nie ma ani początku, ani końca. Środkowa kartka. Co to może być?

- Nie przypominasz sobie jakiegoś półgłówka w swojej karierze?

- Różnych, ale nie do tego stopnia. I z żadnym nie koresponduję. Przez chwilę myślałam nawet, że to do ciebie.

Jęknęłam ze szczerą zgrozą.

- Alicja, obrażasz mnie! Na nóżki jeszcze może bym się i zgodziła, ale brzusek wykluczam! Nie mówiąc o ciumciani! Nie wiem, skąd pomysł, że do mnie pisuje kretyn!...

- No bo do mnie nie, to kto zostaje?

- Nie wiem. Tłumy się tu płaczą, ale biurka na ogół używasz ty. Spróbuj znaleźć resztę tego arcydzieła, może będzie początek albo koniec.

Wspólnymi siłami przejrzałyśmy stos makulatury na biurku i znalazłyśmy jeszcze jedną kartkę, pisaną tym samym pismem i stanowiącą dalszy ciąg poprzedniej. Brzusek przewijał się przez nią uporczywie. Druga kartka była zarazem ostatnią, znajdował się na niej podpis, data i miejscowość.

- Kika - powiedziała Alicja, na nowo zdumiona.

- Leśna Podkowa... Biała Glista!!!

- Biała Glista pisuje do ciebie kretyńskie miłosne listy?!

- Zwariowałaś?! Skąd, u diabła, to się wzięło?!... Czekał, kiedy to było pisane? Dwa miesiące temu. Kto tu był?

- Z Polski?

- Nie wiem. Czekał... Rany boskie, Bobuś!

- Cha, cha! - powiedziała z satysfakcją, bo na temat Bobusia i Białej Glisty miała od dawna swoje wyrobione zdanie. - Od razu ci mówiłam, że nie wierzę w platoniczną przyjaźń Białej Glisty z bogatym facetem!

- Rany boskie, więc jednak... Biała Glista i Bobuś! Cholera, biedny Sławek...

- A mówiłaś, że Biała Glista go nie chciała!

- Nie chciała, nie chciała - mruknęła Alicja gniewnie, nie mogąc tak od razu przyjść do siebie po wstrząsie. - Odmieniło jej się, jak się wzbogacił... Myślisz, że naprawdę Bobuś ma taki śliczny brzuszek?

- - Idź do diabła! - wykrzyknęłam z odrazą, bo Bobuś był o głowę niższy od Alicji, tłusty i porośnięty rzadkim czarnym włosiem. - Nie mam co robić, tylko się nad tym zastanawiać! Jeszcze mi się przyśni...!

Dość długo kłębiły się w Alicji rozmaite uczucia. Podejrzenia, że Bobuś specjalnie sieje gdzie popadnie czule listy od Białej Glisty, żeby udowodnić wszem i wobec jej namiętność do niego, wybijały się na pierwszy plan. Z drugiej jednak strony musiał przecież te nielegalne szaty utrzymywać w tajemnicy zarówno ze względu na jej męża, jak i na swoją żonę. Alicja miała wielką ochotę otworzyć oczy obu kantowanym połowom, uważała jednak, że to byłby zbyt wielki nietakt i świństwo. W końcu nie wytrzymała, obie znalezione kartki włożyła do koperty i bez słowa posłała Bobusiowi. Bobuś się z tego nadzwyczajnie ucieszył i nie

wyjawiając sprawy wprost, uznał ją jednak za wtajemniczoną i, co gorsza, sprzyjającą sekretnemu romansowi. Jednym z dalszych skutków tego było zapowiedziane spotkanie w Allerød.

Opowiedziałyśmy o wszystkim Zosi, która poczuła się tym bardziej wzburzona, że była świadkiem ogłupiania męża Białej Glisty. Żony Bobusia wprawdzie nie znała, ale jedna strona jej wystarczyła.

- I oni chcą się spotkać tutaj? - zawołała z oburzeniem. - I ty masz im może jeszcze błogosławić? Mam nadzieję, że się nie zgodzisz!

- Za późno - odparła Alicja ponuro. - Obydwoje już wyjeżdżają. Będą tu jutro, a najdalej pojutrze.

- Może im się co stanie - powiedziała Zosia ze złością. - W ogóle dziwię się im, że jeszcze mają odwagę przyjeżdżać do tego nawiedzonego domu! Tu się przecież nikt nie uchowa.

- Odpukaj w nie malowane drzewo. Oni nie wiedzą, co się tu dzieje, ja nikogo nie zawiadamiałam.

- Gazet nie czytają? Cała prasa o nas pisze!. - Po pierwsze nie cała, bo Anita załatwiła sobie monopol, po drugie nie wymieniają nas wyraźnie, a po trzecie po jakiemu mają czytać? Po duńsku?

- A po czwarte miłość ich oślepia, ogłusza i pcha - uzupełniłam jadowicie.

- No, no - zauważyła Alicja krytycznie. - Przyganiał kocioł garnkowi...

Ujrzałam zdumione, pytające spojrzenie Zosi.

- Przecież wiesz, że się zakochałam - wyjaśniłam. - Ta zołza to ma na myśli. Mówiłam ci jeszcze w Warszawie, zresztą sama zauważyłaś.

- Jak to, to jeszcze ciągle trwa? - zdziwiła się Zosia. - A wyglądasz dość normalnie... A on?

- Mniej więcej to samo...

- Czyja się wreszcie dowiem może, kto to w ogóle jest? - spytała zgryźliwie Alicja.

- Podobno jakiś szalenie atrakcyjny facet - odparła Zosia. - Zresztą, rzeczywiście, widziałam go raz i muszę przyznać, że owszem... Joanna zapadła na to w straszliwym tempie, tydzień chyba, nie?

- Pięć dni - odparłam melancholijnie. - Trzymałam się pięć dni, a potem mnie wzięło. I trzyma.

- No i tak między nami mówiąc, to kto to jest?

- Zaraz - przerwała Zosia. - Nie wyobrażam sobie, co ty z nimi zrobisz. Ja się dla Bobusia nie wyprowadzę! Chyba że ta Agnieszka wyjedzie. Długo ona zamierza tu siedzieć? Nie znoszę tej dziewczuchy!

- Nie wiem, ona nie może wyjechać, bo czeka na pieniądze - odparła Alicja z westchnieniem. - A propos, gdzie Paweł?

- W Kopenhadze - powiedziałam. - Czatuje na faceta w Angletterre. Zosia go wykopała, żeby się nie przyklejał do wampirzycy.

Zosia wzruszyła ramionami.

- A w ogóle gdzie ona się podziewa? - spytała.

- Nie wiem - powiedziała Alicja. - W ogóle jej dziś nie widziałam, myślałam, że już śpi. Nie wiecie, gdzie jest mój stary szlafrok?

- Ten w czerwone kwiatki? Agnieszka w nim chodziła, jak sobie myła głowę - wyjaśniłam.

- Pewnie, ona przecież nie ma nic swojego - mruknęła ze wstrętem Zosia.

- Jak ma mieć coś swojego, skoro podróżuje autostopem i plecak jej zginął w katastrofie! Nie będę jej zabierać, wezmę drugi...

Paweł wrócił bardzo późno, ogromnie zmartwiony, bo czarnego faceta nie znalazł. Brał pod uwagę, że ja się mogłam pomylić, widzieć kogo innego i wziąć go za znajomego Edka, ale nie było w ogóle żadnego

faceta, odpowiadającego rysopisowi. Poczulałam się zaniepokojona możliwością utraty jedyne go śladu.

Alicja przestała wreszcie gmerać w dokumentach, które musiała przygotować na jutro, a które ciągle wydawały jej się niekompletne i od których odrywała się co chwila, żeby rozpatrywać problem przyjęcia Bobusia i Białej Glisty. Teraz znów Bobuś i Biała Glista zostali w tyle, na prowadzenie zaś wyszła Ewa razem ze swoim hipotetycznym aferzystą.

- Cholera - powiedziała z niezadowoleniem. - Trzeba było zadzwonić do Ewy w ciągu wieczora i sprawdzić, czy jest w domu, czy się może szlaja z tym hochsztaplerem. Teraz już za późno.

- Dlaczego za późno? - zaprotestowałam. - Możemy się dowiedzieć, kiedy wróciła.

- W Danii o tej porze się nie dzwoni. Jest po pierwszej.

- No to co cię to obchodzi? A zbrodnie się w Danii popełnia? Skoro w twoim domu się mordują, to ty masz prawo dzwonić o każdej porze! Oni obydwójce są podejrzani i nie musisz mieć dla nich względów.

Po kwadransie perswazji Alicja dała się przekonać. Zadzwoniła do Ewy, wyrwała ze snu jej gospozię i dowiedziała się, że nie ma ani Ewy, ani Roja. Każde z nich jest gdzie indziej, a obydwójce niejako służbowo. Ewa załatwia sprawy wystawy polskiego folkloru, a Roj duńskiej archeologii.

- Chała - oświadczyłam stanowczo i dość posepnie. - Ewa się pęta z gachem, a Roj ją śledzi. Ja ich obydwójce bardzo lubię i wolałabym, żeby to nie była prawda, ale co począć?

- Może w ten sposób chociaż jedno morderstwo zostanie załatwione gdzie indziej? - powiedziała Alicja ze smętną nadzieją. - Wcale się nie upieram, żeby wszystko było u mnie...

* * *

- Gdzie Agnieszka? - spytał nazajutrz Paweł przy śniadaniu.
- Co cię to obchodzi? - odparła Zosia wrogo. - Pewnie jeszcze śpi.

Poczułam, jak tknął mnie nagle jakiś niepokój.

- Nie podoba mi się to - powiedziałam ostrożnie.

- Nie chcę przesadzać, ale Włodzio i Marianne jeszcze spali, ciocia jeszcze spała, teraz Agnieszka jeszcze śpi...

Na twarzach Zosi i Pawła odmalowały się rozmaite uczucia. Przez chwilę patrzyli na mnie, po czym zerwali się z miejsc i popędzili do ostatniego pokoju. Poszłam za ich przykładem i razem z nimi zatrzymałam się przed zamkniętymi drzwiami.

- Nie mam odwagi sprawdzić - powiedziała Zosia nerwowo. - Może najpierw zajrzeć przez okno? O Boże, boję się...

Po krótkim namyśle zapukałam. Odpowiedzi nie było.

- Wypisz wymaluj jak z ciocią - mruknęłam. - No trudno, raz kozie śmierć! Odsunęłam kolejno podwójne drzwi, najpierw szklane, potem drewniane, i zajrzałam do środka. Pokój był pusty, łóżko też i robiło wrażenie nie używanego.

- Możesz otworzyć oczy - powiedziałam do Zosi. - Nie ma jej tu ani żywej, ani przeciwnie. I zdaje się, że jej w ogóle nie było. Nie wiem, po co latałam w nocy dookoła domu.

- Chwała Bogu! - westchnęła Zosia z niewymowną ulgą. - Nie lubię tej dziewczyny, ale aż tak źle jej nie życzę... Gdzie ona się mogła podziać?

- Nie mam pojęcia, od wczoraj nie widziałam jej na oczy. Poszła myć głowę i zniknęła.

- No przecież nie utopiła się w wannie! Ale wiesz, że ja jej też nie widziałam... Słuchaj, może trzeba zadzwonić do Alicji?

- Może i trzeba, ale nie da rady. Alicja błąka się gdzieś po tych spadkowych instytucjach. Dajmy jej spokój na razie, dowie się, jak wróci,

a do tego czasu może ta Agnieszka się znajdzie. Zamierzaliśmy obydwój z Pawłem jechać razem do hotelu Angleterre kontynuować polowanie na faceta, ale Zosia sprzeciwiła się temu kategorycznie. Oświadczyła, że nie zostanie sama w tym koszmarnym domu, w którym ludzie nie tylko nagminnie padają ofiarą zamachów, ale także dematerializują się w niepokojący sposób. Na wszelki wypadek zajrzeliśmy do kufra, pod łóżko i do szaf w przedpokoju, ale śladu po Agnieszce nigdzie nie było. Paweł przeszukał ogród z takim samym skutkiem. W atmosferze załagł się niepokój i wyraźne napięcie.

Zadzwoniła Ewa z zapytaniem, co się, na litość boską, stało i dlaczego w środku nocy budzimy jej pomoc domową. Niepokoila się bardzo o Alicję, której nie było w biurze, i obawiała się, czy to przypadkiem nie coś z nią...

Okropnie mnie to zdegustowało i poczułam się rozgoryczona, że tak odrażającą obłudę prezentuje Ewa, której nigdy o żadną obłudę nie posądzałam. W tonie jej głosu usiłowałam odkryć coś, co by zadecydowało o słuszności podejrzeń, bo nadmiar niepewności na każdym kroku denerwował mnie nieznośnie.

- A co z tym twoim... byłym? - spytałam ostrożnie.

- Och, nie wiem - odparła Ewa niecierpliwie. - Och, nic! Miałam z nim trochę kłopotu, ale chyba się już pozbyłam. Chcę zapomnieć, że on w ogóle istniał!

Wydało mi się, że w ostatnim zdaniu zabrzmiała szczerłość, w którą można byłoby uwierzyć...

Po Ewie zadzwoniła Anita, nie kryjąca nadziei, że może przytrafiło się coś nowego. Pomyślałam sobie, że gdyby była morderczynią, również powinna dzwonić z pozornie beztroskim pytaniem o nowiny, i powiadomiłam ją o zniknięciu Agnieszki. Anita się bardzo zainteresowała

i zmusiła mnie do sprecyzowania czasu, w którym Agnieszka była ostatni raz widziana. Wyszło nam, że zeszła z ludzkich oczu gdzieś około wpół do ósmej wieczorem, przy czym nie sposób było wyobrazić sobie, gdzie mogła się podziać w tym szlafroku.

Następnie zadzwoniła Alicja z informacją, że zarówno Bobuś, jak i Biała Glista pojawią się jeszcze dziś, prawdopodobnie około ósmej, i róbmy sobie, co chcemy, ale musimy przygotować jakąś kolację. Nie zniesie kompromitacji w oczach tej... Nawet dość wyraźnie powiedziała której. W zamian udzieliłam jej wiadomości, że Agnieszka zniknęła, na co poleciła mi porozumieć się z panem Muldgaardem.

Usiłowałam spełnić to polecenie, ale pana Muldgarda nie było pod posiadanym przez nas numerem telefonu. Możliwe zresztą, że był, tylko jego współpracownicy nie skojarzyli sobie wymawianego przeze mnie słowa z jego nazwiskiem.

Następnie zadzwoniło jeszcze kilka osób, zostawiając dla Alicji różne wiadomości w różnych językach. Zapisywałam wszystko, obiecując jej przekazać. Zosia w stanie furii prasowała upraną wczoraj bieliznę pościelową, mamrocząc pod nosem krytyczne uwagi.

- Ona chyba zgłupiała, nie wiadomo, co z tą Agnieszką, gdzie ta dziewczucha się podziewa, mnie to denerwuje. Bobuś i Biała Glista, nie wiadomo kto jeszcze, dziwię się, że ta policja nie protestuje... Przecież to istna hekatomba, co kto przyjedzie, to go szlag trafia, w każdym szpitalu ofiara, nie rozumiem, jakim cudem my jeszcze żyjemy... Pościel i ręczniki, nic tylko pościel i ręczniki, ona sobie powinna założyć hotel...

Paweł ponuro rozkopywał drugi grobowiec, bardzo niezadowolony z życia i rozgoryczony zarówno przerwą w polowaniu na faceta, jak i awanturą, jaką zdążyła zrobić Alicja za podejrzenie, że u niej są szczury. Ściśle biorąc, Alicja protestowała przeciwko obecności szczurów nie tylko u niej, ale w ogóle w całej Danii, a co do awantury, to większą jej część

wykonała Zosia w ramach rodzicielskich obowiązków pedagogicznych. Nic nie pomogło, że obydwój z Pawłem bez oporów porzuciliśmy wszelką myśl o szczurach, zamieniając je na łasicę, borsuka, a nawet zgoła wydrę. Dla ich przyjemności gotowi byliśmy twierdzić, że w grobowcu jest nosorożec.

Alicja wróciła przed szóstą i natychmiast po jej powrocie odnalazł się i pan Muldgaard. Zadzwoił i bardzo uprzejmie, ale stanowczo zażądał, żeby ktoś z nas natychmiast poszedł obejrzeć piwnicę. Przez dość długą chwilę Alicja wpierała w niego, że w tym domu nie ma piwnicy, aż wreszcie uzgodnili, że chodzi o najniższą część atelier, tę pod katafalkiem. Pan Muldgaard domagał się, żeby obejrzeć zaraz i donieść mu o rezultatach oględzin.

Jasne jest, że do atelier popędziliśmy wszyscy, porzucając ledwo napoczęty obiad. Nie czekając, aż Alicja zapali światło na dole. Paweł zaczął schodzić po schodach i na przedostatnim stanął nagle jak wrośnięty w ziemię. To znaczy, chciał zapewne stanąć jak wrośnięty w ziemię, ale nie udało mu się to. Schodziłam zaraz za nim i nie przewidziałam jego zamiarów, w związku z czym w sekundę po oświetleniu wnętrza runęliśmy w dół, wprost na pudło z nawozem sztucznym. Za sobą usłyszałam jęk Zosi i kroki zbiegającej na dół Alicji.

Agnieszka w szlafroku w czerwone kwiatki leżała w kącie pod ścianą, tuż obok stołu, na którym w wielkiej tekturowej teczce znajdowały się reprodukcje arcydzieł architektury. Jedna z nich upadła na ziemię wcześniej niż Agnieszka i już się zupełnie nie nadawała do użytku. Stół, ściana i parę innych rzeczy wokół również nosiły ślady energicznego działania mordercy. Piwnica upodobniła się w dużym stopniu do rzeźni miejskiej. W charakterze narzędzia do rozbijania głowy posłużył tym razem stary młotek, w którym Alicja rozpoznała swoją własność. Paweł wygrzebał się z nawozu sztucznego.

- Kwiatki czerwone - powiedział trochę nieprzytomnie, z goryczą, nie kryjąc wstrząsu. - Lampa czerwona, wszystko czerwone...

- Przestań...! - krzyknęła gwałtownie Zosia z góry.

- Różne miewałaś pomysły, ale ten był najbardziej idiotyczny - stwierdziła Alicja, spoglądając na mnie z obrzydzeniem.

Wzruszyłam ramionami, otrzepując ręce i odzież, bo cóż jej miałam powiedzieć? Nie była to najwłaściwsza chwila na podkreślanie, że życie samo wykazało trafność mojego przekładu.

- Pomacaj ją, może też jeszcze żyje - powiedziałam dość beznadziejnie. - Znasz się na tym, podobno byłaś kiedyś pielęgniarką.

Alicja przyjrzała się Agnieszce z powątpiewaniem.

- Tu chyba nie ma co macać. Nie wygląda na żywą. Na wszelki wypadek niech się pośpieszą, a jeśli to jest znów wstrząs mózgu, to nie należy jej ruszać. Ładnie się nią zaopiekowałam...

Zosia uciekła z atelier, wyrzucając z siebie oderwane zdania, w których dawało się dostrzec coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Nie lubiła tej Agnieszki, nie życzyła jej najlepiej, chciała się jej pozbyć i proszę, jaki skutek!...

- Tak - powiedziała mocno wytrącona z równowagi Alicja do telefonu. - Jest piwnica. To znaczy, chciałam powiedzieć, Agnieszka jest w piwnicy. Zdaje się, że nie żyje, ale nie jesteśmy pewni...

Zosia siedziała przy stole, oparta łokciami, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Na litość boską, nie przyjmuj tutaj tego Bobusia z Białą Glistą! Wyrzuć ich! - zażądała rozpaczliwie. - Nie zniosę tego więcej!

- Myślałam, że zaczynasz się przyzwyczajać? - powiedziałam z jadowitym zdziwieniem.

Zosia oderwała ręce od twarzy i spojrzała na mnie strasznym

wzrokiem. Alicja odłożyła słuchawkę i popatrzyła na nas z zagadkowym wyrazem oblicza.

- Dlaczego? Jeżeli kogokolwiek, to tylko Bobusia i Białą Glistę. Ja przecież ciągle jeszcze żyję...

Pan Muldgaard zawiadomił pogotowie, które pojawiło się po dziesięciu minutach. W napięciu, wychyleni przez balustradę, patrzyliśmy z góry na poczynania lekarza. Agnieszka, taka śliczna, taka młoda, wydawała się teraz sympatyczna nawet Zosi. To potworne, żeby po tylu nieudanych zamachach właśnie ona miała paść ofiarą udanego...

- Żyje - powiedział lekarz. - Ostrożnie. Wstrząs mózgu i straciła mnóstwo krwi.

Zgodnie uznaliśmy to za bezapelacyjny cud. Upór i zaciekłość zbrodniarza napełniały nas jak najgorszymi przeczuciami i za każdym razem byliśmy pewni, że osiągnął swój makabryczny cel, oczywiście myląc osoby. Od wczorajszego wieczoru Agnieszka miała prawo umrzeć co najmniej kilka razy i umarłaby niewątpliwie, gdyby pan Muldgaard dłużej zwlekał z zaspokojeniem ciekawości w kwestii piwnicy.

- Mówiłam, że to półgłówek! - powiedziała z furią Alicja. - Nie mógł zadzwonić wcześniej? Idiota!

- Dajże mu spokój, przecież zdążył! Nic jej nie będzie.

- Skąd on w ogóle o tym wiedział? Skąd mu przyszło do głowy, żeby jej szukać w piwnicy?

- Wiedział przecież, że gdzieś zniknęła...

- Nic podobnego - przerwałam. - Wcale nie wiedział. Usiłowałam go zawiadomić, ale nie chcieli go poprosić do telefonu. Nic nie wiedział.

- Przeciwnie, wygląda na to, że właśnie wiedział. Ciekawe skąd?

- Na litość boską, spytaj tego lekarza, dokąd ją zabierają! Niech ją wezmą do tego samego szpitala co ciocię, bo niedługo trzeba będzie

jeździć po całej Danii!... Przybyły w zwykłym zestawie, oczekiwany tym razem z wyjątkowym utęsknieniem, pan Muldgaard w kilka minut odtworzył wczorajsze wydarzenie. Ze źródła swoich informacji nie czynił tajemnicy. Ukryty w okolicznych zaroślach, jego człowiek widział w mroku, jak Agnieszka wchodziła do atelier z ogrodu, widział odbłask światła z wnętrza przytłumionego tak, że musiało pochodzić z piwnicy, widział następnie, jak jeszcze ktoś wszedł za Agnieszką. Zaraz potem światło zgasło, a ten ktoś wyszedł i znikł w ciemnościach gdzieś koło domu. Agnieszkę rozpoznał, ponieważ była w jasnym szlafroku, tego kogoś natomiast nie, ponieważ miał na sobie ciemny strój, prawdopodobnie spodnie. Pozostanie Agnieszki w atelier nie obudziło w nim niepokoju, wiedział bowiem, że istniała droga przez wewnętrzne drzwi. Tylko na wszelki wypadek zainteresował spostrzeżeniami swojego zmiennika.

Zmiennik przez cały następny dzień ani razu jej nie ujrzał, chociaż specjalnie uważał. Przykazano mu nie tylko nie narzucać się mieszkańcom domu, ale w ogóle nie pokazywać się im na oczy, nie poszedł zatem sam sprawdzać, tylko powiadomił o spostrzeżeniach swego szefa.

Poinformowany, że szlafrok, w który była ubrana Agnieszka, należał do Alicji, pan Muldgaard kiwnął głową.

- Tak - rzekł. - Jest to zgodne z ogółem. Osoba mniema, że to ta dama. Osoba widzi dama do piwnica. Osoba idzie za. Dama spoziera do obrazu, wielce okupowana, nie ogląda tyły. Osoba łapa młot i wali. Jaka godzina była?

Pośpiesznie odpowiedzieliśmy, że pewnie około ósmej, ale okazało się, że pan Muldgaard nie nas pytał tylko siebie. Zajrzał do swoich notatek.

- Tak - powiedział. - Siedem po ósmej.

- To mnie jeszcze wtedy nie było - powiedziała Alicja. - Zaraz... Nie było mnie?

- Nie. Wróciłaś koło dziewiątej i zaraz potem przyszła Greta.

- A gdzie ja byłam?

- To chyba ty powinnaś wiedzieć lepiej? Załatwiałaś coś z tym spadkiem.

- A!... Już wiem! Siedziałam z Jensem u adwokata. Czy Jens nie dzwonił?

- Owszem, dzwonił. Kazał ci powiedzieć, że nie potrzebuje tego jakiegoś papieru, który miałaś znaleźć.

- Nie potrzebuje? No to chwała Bogu. Bo musiałabym mu zaraz zawieźć, a miałam jechać... O rany boskie! Bobuś i Biała Glista! Oni zaraz tu będą, miałam po nich jechać!

- Może jeszcze z kwiatami, co? - powiedziałam jadowicie. - Bobuś nie paralityk, o ile wiem, da sobie radę.

Pan Muldgaard kontynuował śledztwo, napotykając pewne trudności, wszystkie trzy bowiem zajęte byłyśmy bardziej oczekiwanymi gośćmi niż czymkolwiek innym. Sytuacja uległa zmianie, zagęszczenie domu zmniejszyło się, Agnieszka zwolniła miejsce...

- Jeżeli oni sobie wyobrażają, że ja będę taktowna, to się w życiu tak nie pomylili - mówiła Alicja mściwie. - Ja ich ochraniać nie będę. Niech śpią razem, w jednym pokoju, to łóżko po Agnieszce jest podwójne, tylko wyciągnąć dół...

- I ja ich będę miała pod nosem, tak? Niech śpią na katafalku!

- Nie zmieszczą się. Bobuś jest za gruby...

- No to co mnie to obchodzi? Niech schudnie!

- Możesz im powiedzieć, że innego łóżka nie ma, tylko katafalk - zaproponowała Zosia. - To jest, tego... Ten pomnik.

- Kiedy Bobuś wie, że jest. Sam mi pomagał wyciągać dół, jak był ostatnim razem. Oni i tak myślą, że ja im dam oddzielne pokoje, dla zachowania pozorów. Ja mam gdzieś ich pozory!

- No, zresztą, może być - zgodziła się Zosia również mściwie. - Ten pokój jest przechodni. Żebyś się nie ważyła latać dookoła domu! - dodała gwałtownie, zwracając się do mnie. - Masz przechodzić tędy, i to co chwila! Jak się czujesz? Alicja, może jej damy coś na rozstrój żołądka?

- Czy nie prościej byłoby ubrać ją w mój szlafrok...?

- Pewnie, jeśli morderca się lepiej postara, to będę straszyć po śmierci - powiedziałam gniewnie. - Odczepcie się od mojego żołądka! Mogę symulować przechodzenie, ale widoku Bobusia dwadzieścia razy na dobę nie zniosę! I to jeszcze może w dezabilu, co?

- Azali były jakie goście wczoraj? - dopytywał się pan Muldgaard.

- Nie, dopiero będą. Dzisiaj - odparliśmy w roztargnieniu.

Do udzielania bardziej sensownych odpowiedzi pozostał mu tylko Paweł, który ze swej strony interesował się głównie miejscem ukrycia obserwatora, tak że badania tego wieczoru szły mu jak po grudzie. Ekipa śledcza miała niewiele do roboty i dość szybko zakończyła swoje czynności. Bobuś i Biała Glista przybyli taksówką dokładnie w chwili, kiedy policja, z wyjątkiem pana Muldgaarda, opuszczała dom.

- No, oczywiście - powiedział z przekąsem Bobuś pobieżnie poinformowany, co się stało. - Jak ktoś prowadzi taki tryb życia i takie gospodarstwo, to właściwie wszystkiego można się po nim spodziewać. Zapewne zatrucie pokarmowe?

Pierwszy dreszcz szczęścia, który zgodnie odczułyśmy wszystkie trzy na widok przerażająco upasionej Białej Glisty, zamarł zmałowany żalem, że Bobuś nie trafił na Włodzia i Marianne albo chociaż na Kazia! Bez chwili namysłu, odruchowo, odwróciłam się do Pawła.

- Oddaj tę lupe! - zażądałam stanowczo. - Gdzie ją masz?

W oczach Alicji i Zosi zdążyłam dostrzec aprobatę. Żadnych środków ostrożności dla Bobusia i Białej Glisty!

- Ach, nie - powiedziała Alicja z wyraźnym żalem. - Tym razem zatłuczenie młotkiem. Ale nie przejmujcie się, mamy nadzieję, że zatrucie pokarmowe też będzie...

- A - powiedział z zainteresowaniem pan Muldgaard. - Ja widzę te nowe goście?

- A tak - przyświadczyła Alicja. - Bardzo lubię gości. Chodźcie, chodźcie, bardzo was przepraszam, że nie zdążyłam po was wyjechać, ale sami widzicie, co się tu dzieje. To już szósta zbrodnia w tym miesiącu. Jak się cieszę, że was widzę...!

Zamieszanie uspokoiło się dopiero bardzo późnym wieczorem. Pan Muldgaard odjechał, Bobuś i Biała Glista, nieco zaskoczeni i urażeni lokalizacją, poszli spać, posprzątałyśmy po kolacji, będącej równocześnie obiadem, i odetchnęłyśmy lżej.

- Po co im powiedziałaś, że to już szósta zbrodnia? - spytała Zosia z pretensją. - Upadłaś na głowę? Jeszcze się przestraszą!

- Bo jestem uczciwa. Jak chcą, to niech się narażają na własną odpowiedzialność. Dorośli są i wiedzą, co robią. Już i tak byli obrażeni, że wy tu jesteście. Nie spodobało im się, że tak dużo osób, a oni chcieli samotności, a przy tym jak ja mogłam dać im wspólny pokój tak jawnie, cała Europa się dowie...

- Tym bardziej uciekną i nic się im nie stanie - powiedziała Zosia, wyraźnie zmartwiona.

- Biała Glista była chyba nieco wystraszona, ale Bobuś, zdaje się, nie uwierzył - powiedziałam pocieszająco. - Uważa, że robimy sobie reklamę.

- Cała nadzieja w tym, że to zawsze był idiota...

Alicja była przepełniona mściwą satysfakcją.

- Widziałyście, jak się spasała? Istny potwór! Widziałyście te zwały sadła? Wygląda na dziesięć lat starzej niż powinna!

- Nie masz się z czego cieszyć - powiedziałam ostrzegawczo. - Obawiam się, że trochę trudno będzie wziąć ją za ciebie, jest dwa razy taka w każdą stronę. Nie wyobrażam sobie, jak morderca mógłby się w tym wypadku rąbnąć!

- Ciocia też nie była bardzo podobna do mnie - odparła Alicja spokojnie. - Nie mówiąc już o Włodziu albo o Kaziu. Zastanawiam się, czy nie powinnam była położyć ich jednak na moim łóżku. Niekoniecznie razem, chociaż jednej sztuki... Uważam, że nie należy mu zbytnio utrudniać.

- Ja bym jutro wyszła z domu - powiedziała Zosia w rozmarzeniu. - Niech Paweł z Joanną jadą do tego hotelu. Ty pójdziesz do pracy, a ich trzeba namówić na jakąś wycieczkę. Trzeba chyba czasem zostawić mu trochę swobody...

- Niech obejrzą zamek w Hillerød - zaproponowałam niepewnie.

- Bobuś już oglądał.

- Ale Biała Glista nie. Jeżeli my oglądaliśmy sześć razy, to on może dwa. Alicja pokręciła głową.

- Boję się, że na zamek w Hillerød nie da się namówić. To już prędzej na Hamleta albo ewentualnie Gilleleje...

Nie upierałam się przy swoim, bo już sama myśl oglądania zamku w Hillerød napełniała mnie lekką odrazą, rozumiałam więc, że i dla Bobusia może to być mało atrakcyjne. Rzeczywiście byłam tam sześć razy, pokazując budowlę kolejno rozmaitym przybyłym z Polski osobom i za szóstym razem usiłowałam chodzić po komnatach z zamkniętymi oczami. Nie byłam już w stanie patrzeć na wyobrażone na malowidłach oblicza

wszystkich skandynawskich panujących, aczkolwiek były to oblicza doprawdy kuriozalne. Na widok urody dam można było w pełni zrozumieć osławioną oziębłość dżentelmenów...

- Kłopot w tym, że jutro, zdaje się, przychodzi sprzątaczką - powiedziała Zosia.

- Ale pani Hansen przychodzi tylko na trzy godziny, a nas nie będzie z dziesięć. W końcu nie przesadzajmy z tym ułatwianiem, on jest pomysłowy i da sobie radę.

- Żeby mu tylko nie strzeliło do głowy nawpuszczać nam do łóżek jadowitych węzów - powiedziałam z obawą. - Bardzo tego nie lubię. Nawet jeśli będzie celował w Alicję, to takie świństwo może się rozleść po całym domu. Cholernie trudno je potem połapać...

- Okropnie jestem ciekawa, swoją drogą, kto to jest - powiedziała Alicja, zamyślając się. - Mam wrażenie, że policja stawia na kogoś obcego. Kogoś, kto był w pobliżu, czy ja wiem, siedział w krzakach... I słyszał krzyki Edka. Albo może nawet specjalnie na niego polował.

- W krzakach siedział ten Kazio Elżbiety.

- No właśnie. I mógł coś widzieć.

- I morderca mógł widzieć jego. I próbować zabić ciebie, zanim Kazio coś powiedział...

- Bez sensu. Po mojej śmierci Kazio mógł powiedzieć komu innemu. A zabijać Kazia za pomocą podrzucania trucizny u mnie w domu... Nie, to stanowczo zbyt skomplikowane! Normalny morderca tak nie postępuje!

- A swoją drogą, kiedy ten Kazio wreszcie odzyska przytomność? On chyba wie, co widział?

- A właśnie! - ożywiła się nagle Alicja. - Z tego wszystkiego zapomniałam wam powiedzieć, że już odzyskał. I nawet mówi!

Gwałtowne wzruszenie omal nas nie zatchnęło. Czekaliśmy przecież

ocknięcia się tego Kazia jak kania dżdżu! Widział mordercę! Był naszą największą nadzieją! Jedna Alicja na świecie mogła zapomnieć o przekazaniu zainteresowanym informacji tej wagi!

- No wiesz! - wykrzyknęła Zosia potępiająco.

- Jak mogłaś?! I co mówi?!

- No! - popędził Paweł. - Prędzej! Co widział!

- Nie powiem, bo nie będę się wyrażać - odparła Alicja z niesmakiem. - Tyle samo widział co i my. Czatował wyłącznie na Elżbietę i rozpoznawał ją po nogach, i jedyne, co zaświadcza na pewno, to to, że to nie ona. Nie jej nogi. Wyklucza, żeby jej nogi zatrzymywały się za Edkiem i dźgały go sztyletem, a co do innych nóg niczego nie jest pewien.

- No to przecież jakiś kretyn! - powiedział Paweł z odrazą, nie kryjąc rozczarowania.

- Osobiście wykluczyłabym wszelkie nogi, dźgające sztyletem - zauważyłam, również niezadowolona. - Nie mógł popatrzeć na ręce?

- Siedział, patrzył i nic nie widział - mruknęła Zosia z naganą. - Ślepa komenda. Co za pożytek z niego?

- Żaden - przyznała Alicja. - Sama się zmartwiłam, bo już miałam nadzieję, że mogę sobie dać spokój z tym listem Edka. A tu co? Chała. Pojęcia nie mam, co teraz zrobić.

- No, ale coś jednak trzeba zrobić...

- Najprościej byłoby wszystkich kolejno wyeliminować - powiedziałam stanowczo. - Miałam nadzieję, że wczorajszy dzień coś da, ale okazuje się, że przeciwnie. Jakby się umówili, nikt nie ma alibi. Nawet my...

Istotnie, pan Muldgaard natychmiast po uzyskaniu wiadomości, że ciemna postać weszła za Agnieszką do atelier, oddał się intensywnej pracy wywiadowczej. Sprawdził mianowicie, co kto z podejrzanych robił i gdzie

się znajdował w tym czasie. Nic mu to nie dało.

Ewa wyszła z pracy wcześniej i gdzieś przepadła, twierdząc potem, że oglądała w celach szkoleniowych rozmaite wystawy, później zaś pojechała korygować własne pomysły na przygotowywanej wystawie polskiego folkloru. Widziano ją wracającą dopiero o wpół do jedenastej.

Roj był nad morzem gdzieś w okolicy Charlottenlund i nurkował przy brzegu, badając dno. Rzeczywiście, jego skafander był mokry, ale to o niczym nie świadczyło, bo skafander mógł zamoczyć chociażby pod kranem. Na jego samochód nikt nie zwrócił uwagi.

Anitę o czwartej po południu spotkała Alicja. Powiedziała jej, że się bardzo śpieszy i odmówiła zawiezienia jej na lotnisko, gdzie Anita miała witać jakichś gości zagranicznych. Następnie uciekła, owi goście nie przyjechali i potem nikt już Anity nie widział.

Sama Alicja, wbrew pozorom, również nie miała alibi, błąkała się bowiem po autostradzie między Kopenhagą a Allerød, jeżdżąc tam i z powrotem, dopiero bowiem w drodze powrotnej, w okolicy Holte, zorientowała się, że zostawiła u adwokata torebkę. Wracając po torebkę, zaplątała się w jedne kierunki ruchu, straciła mnóstwo czasu i w żaden sposób nie mogła się wyliczyć co najmniej z trzech kwadransów. A trasę Kopenhaga - Allerød można było przebyć w dwadzieścia minut.

- Osobiście jestem zdania, że przypadek Agnieszki zdejmuję z ciebie resztę wszelkich podejrzeń - oświadczyłam po namyśle. - Mogłabym zrozumieć, że zabiłaś Edka, bo ci czymś zatruwał życie. Mogłabym zrozumieć, że trułaś tego Kazia, bo widział, jak zabijałaś Edka i musiałaś się go pozbyć. W ostateczności mogłabym jeszcze zrozumieć Włodzia i Marianne, których usiłowałaś wykończyć w zdenerwowaniu wynikłym z różnicy poglądów, i ciotkę, którą chciałaś zabić okazjonalnie, bo po niej dziedziczysz. A poza tym postanowiłaś skończyć z niepewnością, czy jesteś z nią na pani, czy na ty. Ale za żadne skarby świata nie potrafię

zrozumieć, po jaką cholere miałabyś zabijać Agnieszkę!

- Ja to wiem od dość dawna - mruknęła Alicja obojętnie.

- Co wiesz?

- Że ich nie zabijałam. Nie zależy mi specjalnie na dowodach.

Natomiast wy...

- Czekajcie! - przerwałam jej, bo nagle dokonałam odkrycia. - My też! Teraz nareszcie odpadamy definitywnie w tej konkurencji. Agnieszka nas uniewinnia.

- Jakim sposobem?

- Zwyczajnie. Myślcie logicznie. Zakładamy, że morderca poluje na Alicję, która ciągle robi nie to, co powinna... Powiem ci szczerze, że jako ofiara jesteś rzeczywiście nieznośna! Najspokojniejszy zbrodniarz by z tobą zwariował. W tym wypadku pomyłka w naszym wykonaniu jest wykluczona. Pawła nie było, a my obie wiedziałyśmy, że Agnieszka chodzi w twoim szlafroku.

- O ile się orientuję, wiedziałyście także, że mnie nie ma w domu...

- Oszalałaś! - wtrąciła nagle Zosia. - Przecież już przy ciotce było to samo. Wiedziałyśmy, że to ona śpi w jej łóżku.

- W nocy, zaabsorbowane zbrodnicznymi planami, zdenerwowane, mogłyśmy o tym zapomnieć. Zresztą w nocy mogłyśmy wszystko. Natomiast co do Agnieszki, to akurat około ósmej wieszałyśmy to pranie i razem siedziałyśmy w pralni, patrząc na zegarek, bo się trzęsłaś o obiad, a potem w kuchni, nie tracąc się z oczu. Albo popełniamy te zbrodnie wspólnie, i to dla samej przyjemności mordowania, albo jesteśmy wykluczone!

- Każdy ma prawo do rozrywek na urlopie! - wtrącił Paweł i dostał od Zosi po głowie zwiniętym w rulon ogrodniczym prospektem.

- Coraz bardziej wygląda na to, że to jednak ktoś z zewnątrz -

westchnęła Alicja tak, jakby ją to bardzo martwiło. - Czy Anita już wie o Agnieszce?

- Nie wiem. Mówiłam jej tylko, że zginęła. Bo co?

- Bo właściwie to ja mogłam ją zawieźć na to lotnisko i przy okazji dostarczyć jej alibi. Wcale się tak bardzo nie śpieszyłam. Ale ona natychmiast zaczęła mnie wypytywać o wszystko i nie miałam do niej cierpliwości. Ona pyta tak natrętnie, że ja tego nie wytrzymuję. Zełgałam.

- Co zełgałaś?

- Że mam być u adwokata o piątej, że muszę szukać w domu dokumentów, nie pamiętam dokładnie, zełgałam co popadło.

- Ale dzięki niej masz z głowy dziennikarzy i wszelkie niedyskrecje. Ona pilnuje... To co? Jutro opuszczamy dom?

- Opuszczamy - zdecydowała stanowczo Zosia.

- Muszę być jutro w kasie chorych - westchnęła Alicja. - Muszę być u Jensa. Muszę zmienić olej w samochodzie. Muszę jechać do Viborg w sprawie tego jakiegoś podziału mienia. Chyba mnie w końcu wyrzucą z pracy...

* * *

Dzień spędzony w Angletterre dostarczył zarówno Pawłowi, jak i mnie nader nikłych wrażeń. Zabawialiśmy się odgadywaniem, kto z płaczących się po hotelu gości jest milionerem, a kto zwyczajnym człowiekiem, posiłki spożywaliśmy na zmianę w najbliższym kiosku z parówkami i zastanawialiśmy się, jak uniknąć trucizny, bez wątpienia obficie rozsianej po całym domu, oraz jak nazwać doświadczone zwierzę, które, zdaniem Pawia, lada chwila zostanie odkopane w grobowcu, żeby nie urazić uczuć Alicji. Pod wieczór porzuciliśmy posterunek i wróciliśmy do Allerød, nie doczekawszy się czarnego faceta, przepełnieni do niego

żywą niechęcią.

W domu obecni już byli wszyscy. Bobuś i Biała Glista nie zdradzali żadnych, z utęsknieniem oczekiwanych przez nas, objawów, niemniej jednak Alicja i Zosia nie odrywały niemal od nich roziskrzonego oka. Trzeba przyznać, że było na co popatrzeć. Biała Glista miała na sobie obcisłe spodnie i równie obcisły sweterek, co, razem wzięwszy, nadawało jej wygląd osoby ubranej w dobrze nadęte dętki samochodowe i stanowiło widok napełniający rozkoszą duszę każdej kobiety. Wychowany w kulcie szczupłej figury Paweł zapatrzył się w to tak, że nie był w stanie oddalić się z pokoju bodaj na chwilę, a w jego zachłannym spojrzeniu dawało się dostrzec rozmaite odcienie obrzydzenia i wstrętu. Podejrzewam, że patrzył masochistycznie. Sama napawałam się tym widokiem z niczym nie zmaconą przyjemnością. Równocześnie z nami przyszedł Thorsten.

- Trafiliście na kolację - powiedziała półgłosem Zosia w kuchni. - Cholera, ten chyba też zostanie... Sałatki, sery i pasztet są pewne, przywiozłyśmy z Kopenhagi. Salami też. I kawa w tamtym słoiku. Margaryna wygląda na nie naruszoną, ale reszta żarcia była w domu i teraz nie mam pojęcia, co z tym zrobić?

- Podtykać mu tylko pasztet i sałatki - powiedziałam stanowczo. - Nie możemy go narażać. Oni są taktowni i biorą, co im się daje. Nie tykać, broń Boże, tych kiszonych ogórków w słoju, pierwsze, co bym zatrula dla Alicji, to właśnie to...

I w tym samym momencie Bobuś, jakby na zamówienie, zawołał:

- Co ja widzę? Alicja, ty masz kiszone ogórki?! No nie, nie będziesz chyba aż takie skąpiradło? Przewycięzysz się dla gości i nie pożałujesz?

Alicja jakby się zachłusnęła. Jej uczucia dla Bobusia zawsze były dla mnie w pełni zrozumiałe, teraz zaczęłam je wręcz podzielać. Nie o moim, co prawda, skąpstwie Bobuś rozsiewał wieści i nie mnie szkalował, ale

wdzięk jego dowcipu obudziłby protest nawet w zmurszałym kamieniu!

- Daj mu te ogórki - szepnęłam do Zosi z naciskiem.

Zosia spojrzała na mnie, na ogórki, na Bobusia i zawahała się.

- Ależ, Bobusiu, dajże spokój - powiedziała Biała Glista z przekąsem. - Może Alicja chowa te ogórki dla siebie. Tu tak trudno o ogórki!

W oczach Zosi nagle mignęło szaleństwo. Bez słowa, z jakąś dziką zachłannością, zdjawszy pokrywę ze słoja, zaczęła wyciągać ogórki jeden po drugim. Zamieszała całą zawartość i wybierała te z wierzchu, starannie maczając je w sosie.

Alicja prezentowała jakieś osobliwe poczucie humoru, co jakiś czas wydając z siebie szatański chichot. Thorsten siedząc w fotelu, uważnie przyglądał się wszystkiemu i wszystkim, zapisując coś w notesie. Paweł podpierał ściany, zmieniając miejsce, żeby nie tracić z oczu Białej Glisty, i wyglądał tak, jakby właśnie przeżywał najpiękniejsze chwile w życiu. Bobuś szalał po pokoju, siejąc blask swojej indywidualności.

- Co się tu dzieje na tym biurku - mówił ze wzgardliwą naganą, obracając się w kręconym fotelu. - Kto to widział tak przechowywać papiery! Ja bym ci tu od razu zrobił porządek. Posegregować, poukładać, wyrzucić, pół godziny i załatwione! Jutro ci to zrobię!

Pomyślałam sobie, że nasz dotychczasowy morderca tym razem może zostać wyręczony...

- Szczególnie duńskie będzie ci łatwo posegregować - powiedziała Alicja, dławiąc się jadovitą słodyczą.

- Trzeba umieć posługiwać się słownikiem. Wystarczy odrobina inteligencji!

- Trzeba także mieć odrobinę inteligencji - wycharczała szeptem Zosia.

- Ma pan słownik polsko-duński? - zdziwiłam się tak niewinnie, jak tylko umiałam się na to zdobyć.

- Mam wszystkie słowniki - odparł Bobuś pobłaźliwie. - Kulturalny człowiek powinien dać sobie radę z każdym językiem.

- Jeszcze trzeba być kulturalnym człowiekiem - wymamrotała Zosia pod nosem.

- Ale tu jest chyba niewiele przepisów kulinarnych - powiedziałam z życzliwym żalem. - O ile wiem, tu są dokumenty innej treści.

Nakrywająca do stołu Alicja znieruchomiała, w ekstazie oczekując dalszego ciągu, wiedziała bowiem, do czego zmierzam. Bobuś wydawał się odrobinę zaskoczony.

- Jak to? - zapytał nieufnie.

- Tak zwyczajnie. Polsko-duński słownik w ogóle nie istnieje. Są tylko takie idiotyczne rozmówki dla turystów, które zawierają wyłącznie informacje o artykułach spożywczych. Będzie panu trochę trudno tym się posłużyć...

Z Alicji wydobył się jakiś dziwny kaszel, połączony z czymś w rodzaju rozkosznego gruchania. Bobuś odzyskał mowę. Prychnął wzgardliwie, machnął lekceważąco ręką i odepchnął fotel od biurka.

- Można się posłużyć słownikiem angielsko-duńskim albo niemiecko-duńskim - rzekł pouczająco i z odrobiną urazy.

- Aha - przyświadczyła radośnie Alicja. - Trzeba tylko znać dosyć dobrze niemiecki albo angielski. Proszę do stołu, kolacja gotowa...

Wieczór zapowiadał się uroczo, rzecz bowiem polegała na tym, że Bobuś nigdy w życiu nie zdołał opanować w pełni żadnego obcego języka. Jakiś tajemniczy defekt umysłu nie pozwolił mu nauczyć się perfektnie nawet angielskiego pomimo długoletniego pobytu w Anglii. Ułomność tę starannie ukrywał, z uporem usiłując czynić wrażenie poligloty.

Nie mogliśmy jednak, niestety, rozwijać dalej czarownej i pouczającej dyskusji, bo zaabsorbowała nas ważniejsza znacznie akcja ochrony Thorstena. Wszyscy czworo, Alicja, Zosia, Paweł i ja, czuliśmy się zmuszeni patrzeć mu w zęby i bez przerwy pilnować, co je. Osobiście usuwałam z zasięgu jego ręki musztardę. Zdecydowana na wszystko Alicja stanowczym gestem wydarła mu słoik dżemu pomarańczowego i podetknęła ser, mówiąc po duńsku coś, od czego Thorsten popadł w rodzaj osłupienia. Przyjrzał się Pawłowi jakimś dziwnym wzrokiem, po czym usiłował zareagować, kiedy dżemem jęta się delektować Biała Glista. Alicja znów wygłosiła jakąś uwagę i osłupienie Thorstena przeszło w rodzaj paniki. Niemożność natychmiastowego dowiedzenia się od niej, co powiedziała, doprowadziła nas do stanu wrzenia. Bobuś i Biała Glista siedzieli przy stole i słuchali, a nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że owe słowa nie były przeznaczone dla ich uszu.

Przyglądaliśmy się im w napięciu, wciąż oczekując pogorszenia stanu zdrowia. Nic takiego nie następowało. Siedzieli, żarli i doskonale się czuli. Bobuś głądził coś, czego nikt nie słuchał, a Biała Glista mizdrzyła się do Alicji. Po kolacji wyszli do ogrodu, wciąż w znakomitym stanie. Wydawało nam się to wręcz niepojęte!

- Czyżby on nie wykorzystał okazji? - zaniepokoiłam się. -
Codziennie będziemy musieli wynosić się z domu?

- Takim nawet kurara nie da rady - powiedziała Zosia z goryczą.

Alicja przypomniała sobie nagle o oleju w samochodzie.

- Jutro rano zmienisz - powiedziałam.

- Jutro rano muszę jechać do Viborg i nie zdążę. Muszę bardzo wcześnie wyjechać. Spróbuję jeszcze dzisiaj. Są stacje obsługi czynne w nocy.

Zagadnięty w tej sprawie Thorsten potwierdził. Alicja zaczęła się

wybierać. W drzwiach korytarzyka pojawił się nagle Paweł, który, straciwszy wreszcie z oczu Białą Glistę, otrząsnął się z zafascynowania widokiem i poszedł do swojego pokoju. Miał jakiś dziwny wyraz twarzy.

- Nie chcę robić kłopotu - powiedział niepewnie. - Ale w moim pokoju chyba ktoś leży.

Urwałyśmy w pół słowa rozważania o oleju.

- Kto leży? - spytała zaskoczona Alicja.

- Nie wiem. Znów widać same nogi bez reszty kadłuba.

Na chwilę zbaraniałyśmy wszystkie trzy. Spojrzałyśmy na siebie, a potem znów na niego.

- Zwariowałaś? - spytała Alicja nieufnie.

- Paweł, jeżeli to mają być wygłupy... - zaczęła Zosia złamanym głosem.

Nie zdołała dokończyć. Odpychając Pawła i tłocząc się w ciasnym korytarzyku, jedna przez drugą rzuciłyśmy się do pokoju. Jakie, na litość boską, same nogi mogły znowu leżeć w tym domu?!

Na małym kawałku wolnej od mebli podłogi, pomiędzy fisharmonią a łóżkiem Pawła, leżały istotnie nogi w roboczych spodniach. Reszta przynależnej do nich osoby ginęła w mroku pod stolikiem z maszyną do szycia i przykryta była zwojem zwisającej z niej tkaniny w żółte kwiatki, przy czym spod tkaniny wyglądało w poprzek coś czerwonego. Widok był dość wstrząsający, bo wszystko razem robiło takie wrażenie, jakby osoba została przecięta na pół, górę zabrano, a dół z nogami został.

- Matko Boska!... - wyszeptała Zosia z cichym, rozdzierającym jękiem...

- To zaczyna być nie do zniesienia! - powiedziała Alicja, okropnie zdenerwowana. - Mam dosyć tych nóg! Gdzie reszta?!

- Pod spodem - oznajmił Paweł. - Ja w ogóle nie wiem, czy to żywe,

to znaczy, na pewno martwe, ale mnie się wydaje, że może sztuczne...

- Sztuczne czy nie sztuczne, trzeba to wyciągnąć! Przecież nie będzie tak leżało do końca świata!

- Nie rusz! - wrzasnęłam i chwyciłam za ramię Alicję, która pochyliła się, żeby pociągnąć nogi. - Może ten ktoś jeszcze żyje! Nie wiadomo, jaki ma uraz! Może kręgosłupa? Pociągniesz i szlag go trafi!

- To co mam zrobić?

- Wezwij pogotowie, lekarza, policję, na litość boską, na co czekasz?! - krzyknęła Zosia. - Ten morderca to idiota, Joanna ma rację, może mu znów nie wyszło?!

- A jeśli sztuczne...?

Przez kilka minut oddawałyśmy się nerwowym i raczej chaotycznym rozważaniom, czy nowe nogi są sztuczne, czy prawdziwe, i czy należy wzywać lekarza do sztucznych. W końcu Alicja z determinacją przykucnęła i pomacała w kostce.

- Nogi - powiadomiła nas. - To jest, chciałam powiedzieć, wyglądają jak prawdziwe. Nie wiem, czy żywe, przez skarpetkę nie czuję.

Pogotowie przyjechało po kwadransie. Było to pogotowie lokalne, z Allerød, i lekarz, ciągle ten sam, wydawał się już przyzwyczajony do oryginalnych wezwań. Przede wszystkim spytał o pana Muldgaarda i dopiero dowiedziawszy się, że pan Muldgaard już wie i już jedzie, przystąpił do zasadniczych czynności, Wlaź pod stół z lampą w rękę, pozostał tam przez chwilę, po czym wylazł i zażądał pomocy przy ostrożnym wyciąganiu ofiary.

- Żyje - powiedział bez zdziwienia.

- Pani Hansen!... - jęknęła rozpaczliwie Alicja na widok górnej części osoby.

- No nie! - powiedziała z furią Zosia, równie zaskoczona, jak wściekła. - Zwariować można! Zamiast Bobusia i Białej Glisty ta niewinna kobieta! Cóż to za skończona świnia! Zwyrrodnialec! I jakim cudem wziął ją za ciebie?!

- Cholera - powiedziała Alicja. Cofnęła się i wlała na nogę Thorstenowi. - O rany boskie, a ja muszę jechać do Viborg! Ten olej...!

Kolejne zbrodnicze próby zaczęły stawać się dla nas chlebem powszednim, ogłupiając nas przy tym do tego stopnia, że już nie wiadomo było, co teraz ważniejsze, zamach na panią Hansen czy zmiana oleju w samochodzie. Zamachy przytrafiały się bez mała codziennie, a zmiana oleju raz na jakiś czas.

Lekarz przy pomocy pielęgniarki robił opatrunek, polecając nam zapamiętać dokładnie położenie ofiary i miejsce, gdzie trafiły pociski, pani Hansen bowiem została postrzelona. Widocznie zaprzyjaźnił się już z panem Muldgaardem i usiłował ułatwić mu zadanie. Alicja miotła się po kuchni i korytarzyku, szarpana na zmianę niepokojem o panią Hansen i niepewnością, czy jechać zmieniać olej przed przybyciem policji, czy też dopiero po jej odjeździe. Ten ostatni problem rozstrzygnął wreszcie Thorsten, ofiarowując się, że on to załatwi. Niechętnie na ogół rozstająca się z pojazdem, Alicja z prawdziwą ulgą wręczyła mu kluczyki.

Lekarz, zrobiwszy opatrunek, postanowił zaczekać na przybycie policji, oświadczając, że pani Hansen to nie zaszkodzi, a panu Muldgaardowi zapewne pomoże. Nie miałyśmy nic przeciwko temu, święcie wierząc, że wie, co robi.

- Słuchaj no - powiedziałam pośpiesznie, wykorzystując chwilę spokoju i nieobecność osób, które mogłyby mi przeszkodzić w wyjaśnieniu kwestii nie wiadomo dlaczego interesującej mnie tak, jakby była bezwzględnie najważniejsza na świecie. - Zanim się tu zaczniesz to całe piekło na nowo, przetłumacz mi, co powiedziałaś Thorstenowi w sprawie

tego dżemu pomarańczowego? Usiłował go zjeść i zrezygnował. Jak ci się udało go do niego zniechęcić? On miał jakiś taki dziwny wyraz twarzy...

- Co? - powiedziała Alicja i stropiła się z lekka.

- Koniecznie chcesz to wiedzieć?

- Koniecznie - poparł mnie Paweł. - Też się chciałem zapytać.

- Boże drogi... Bardzo cię przepraszam, Zosiu. Paweł, ciebie też...

Powiedziałam mu, że Paweł napluł do dżemu.

- Co?!

- Że Paweł napluł do dżemu. Bardzo mi przykro, nic innego na poczekaniu nie przyszło mi do głowy.

- A co powiedziałaś potem, jak Biała Glista zaczęła go jeść? - spytałam z zainteresowaniem, bo Zosia i Paweł stracili na chwilę głos.

- Że ona go już jadła wcześniej przez pomyłkę, bo nie zdążyłam jej powiedzieć, więc teraz tym bardziej nie powiem. Zdaje się, że się trochę zdziwił, ale wolę, żeby się zdziwił niż otruł.

- Okazuje się, że wcale by się nie otruł - powiedziała Zosia z pretensją. - Dlaczego Paweł? Nie mogłaś powiedzieć, że napluła Joanna?

- Nie wiem. Paweł mi jakoś bardziej pasował.

- Mnie nie szkodzi - powiedział Paweł wielkodusznie. - W razie potrzeby mogę robić nawet gorsze rzeczy. Zastanawiam się, dlaczego on ją napadł w moim pokoju. Nie zaczął chyba polować na mnie i nie myślał, że to ja?

Nasza myśl oderwała się od dżemu, Thorstena i Białej Glisty i zajęła nową zagadką. Rzeczywiście, morderca wydawał się nieobliczalny. Siedemdziesięcioletnia duńska sprzątaczką Alicji nie była podobna ani do niej, ani tym bardziej do Pawła, ponadto zginęła w porze, kiedy wiadomo było, że Alicji nie ma w domu. Jakież cel mógł mu przyświecać przy popełnianiu tej zbrodni?

- Pracuje na akord - oświadczył Paweł w nagłym natchnieniu. - Musi wyrobić normę, nie może zabić Alicji, to zabija byle kogo. Szczególnie że tu ma to samo nazwisko i może z czystym sumieniem przysiąc, że załatwił panią Hansen.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała z niesmakiem Zosia. - Moim zdaniem on tu czegoś szukał, a ona go na tym złapała. Oczywiście listu od Edka. Wykorzystał to, że nikogo nie było w domu, szukał w pokoju Pawła, a ona akurat przyszła. To jasne, że on ma klucze.

To było jasne właściwie już od początku i tylko Alicja usiłowała zamykać oczy na oczywistość z niechęci do kłopotów związanych ze zmianą zamków.

Zgodnie i bez oporów przyznaliśmy, że Zosia ma rację. Wróciliśmy do pokoju Pawła. Na stole, gdzie stała maszyna do szycia, leżały igły, nici, różne szmaty, żurnale i tym podobne rzeczy, wszystko było poprzesztawiane. Starając się ominąć wzrokiem podłogę, na której zostały liczne ślady katastrofy, współczująco spoglądając na nosze z ofiarą, ulokowane na łóżku, Zosia palcem wskazała zmiany. Nie dalej jak dwa dni temu szła coś i sama zrobiła tu-porządek. Zważywszy jej pedanterię w tej dziedzinie, można było wykluczyć wątpliwości.

- Tutaj też jest poprzesztawiane - rzekła Alicja, przyglądając się tonącej pod stosami papierów fisharmonii. - Wszystkie te kupy inaczej leżą. Listu od Edka nie ma, przeszukałam to już dwa razy.

Przybyły w parę minut później pan Muldgaard wysłuchał naszych informacji, dokonał szczegółowych oględzin, porozmawiał z lekarzem i potwierdził nasze przypuszczenia.

- Zewłoka była poniewierana - oświadczył z wyraźną naganą. - Zabito poza wrota, na kuluaru. Morderca stoił tu. - To mówiąc, ustawił się obok maszyny do szycia. - A nadspodziewana osoba, która go

zaskacze, spoziera od tu. - Wyszedł na korytarzyk i zajrzał do pokoju, występując z kolei w roli pani Hansen.

- On, morderca, nerwiczny, strzelał pistoletem dwa razy.

- On wszystko robi dwa razy - zauważył Paweł.

- Dwa razy walił po głowie, dwa razy truł...

Pan Muldgaard zamilkł na chwilę, przyjrzał mu się z zainteresowaniem, po czym ciągnął dalej.

- Osoba padała tu, na kuluaru, zaś morderca poniewierał zewłoka do komnata. Ja myślę, ponieważ on pragnął, aby wrota zawarte będą.

- Chciał zamknąć drzwi? - upewniła się Zosia.

- Po cholere wpychał ją pod stół? - zdziwił się Paweł.

- A gdzie miał wepchnąć? Pod łóżko? Nie ma wolnej podłogi na całego człowieka...

- To jednak rzeczywiście złapała go na szukaniu - powiedziała Alicja.

- Ciekawe, czy rozpoznała, kto to jest... No dobrze, a co ten pana człowiek? Znów nic nie widział?

Pan Muldgaard uśmiechnął się tajemniczo i wyprosił nas z korytarzyka, gdzie przystąpili do roboty jego współpracownicy, bo pani Hansen nie mogła w nieskończoność leżeć na łóżku Pawła. Znalazłszy się w salonie, wyjaśnił nam, że wprowadził w życie nową, odkrywczą myśl. Jego człowiek mianowicie robił zdjęcia. Siedział w zaroślach, dość daleko od domu, tak aby mieć widok równocześnie na furtkę od ulicy i na dziurę w żywopłocie, i fotografował teleobiektywem wszystko, cokolwiek znalazło się w polu jego widzenia. Zdjęcia zostaną wywołane, powiększone i nazajutrz pokazane wszystkim wkoło. W ten sposób, być może, uda się wyodrębnić kogoś, kogo nikt nie zna i kto się okaże mordercą.

- Nareszcie jakaś rozsądna myśl - pochwaliła Alicja.
- Pułapka w domu byłaby lepsza - mruknął krytycznie Paweł.

Pan Muldgaard nagle odwrócił się do niego.

- Pan mówi dobrze - rzekł. - On robi dwa razy. Teraz uwaga, drugie strzela z pistoletu. Do jaka osoba?

- O rany, nie wiem - odparł Paweł, nieco zaskoczony.
- No, dobrze. Podumać należy...

Bobuś i Biała Glista prawdopodobnie zmarzli albo może zwrócili uwagę na niezwykły ruch w domu i poczuli się zaniepokojeni, bo weszli z ogrodu do pokoju. Weszli akurat w chwili, kiedy z wielkimi ostrożnościami wynoszono nosze z panią Hansen, za nią zaś tekstylia spod stołu, służące uprzednio za posłanie. Widok zapierał dech, bo owe szmaty wyglądały trochę jak strzępy jednostki ludzkiej, zmasakrowanej w katastrofie.

Bobuś nie zdołał się opanować, jak przystało prawdziwemu mężczyźnie, i kwiknął nerwowo, przy czym kwiknięcie to trafiło na moment względnej ciszy i rozległo się od strony drzwi na taras tak przeraźliwie, że podskoczyli wszyscy. Biała Glista z rozdzierającym jękiem chwyciła się za gors. Pan Muldgaard spojrział na nich z nagłym zainteresowaniem.

- Goście mają dobre samopoczucie? - spytał uprzejmie.
- Bardzo dobre - odparła Zosia z niejakim rozgoryczeniem.
- Co to...? - wyjąkała Biała Glista, wskazując palcem policjanta w drzwiach pralni. - Co to?... Co to znaczy?...
- Policjant - wyjaśniłam uprzejmie. - To znaczy, że mamy nową zbrodnię w domu. Tym razem postrzał z broni palnej.

Nie uważałam za niezbędne dodawać, iż zbrodnia znowu się trochę nie udała i ofiara uszła z życiem.

- No wiesz! - powiedział Bobuś ze śmiertelną pretensją, dziwnie piskliwym głosem, zwracając się do Alicji. - Coś podobnego! My przyjeżdżamy, a tu na każdym kroku jakieś trupy! Masz tego w domu takie zapasy czy produkujesz sukcesywnie? Mogłabyś to przelożyć na kiedy indziej!

- Myślałam, że was to zabawi - powiedziała Alicja grzecznie.

Bobuś zdenerwował się okropnie, zwłaszcza że Biała Glista zaczęła nagle giąć się w kibici i wieszać na nim. O głowę od niej niższy, wydawał się całkowicie przytłoczony sprężynującym na nim, ukochanym ciężarem i ostre potępienie poglądów Alicji na sposoby zabawiania gości zmieniło się w przyduszone posapywanie. Bardziej z wysiłkiem niż troskliwie ułożył zwały dętek na kanapie, po czym natrętnie jął się domagać alkoholu jako lekarstwa na wstrząs.

W Alicję nagle coś wstąpiło. Z zasady rozrzutna w szafowaniu wszelkim dobrem i nedorzecznie gościnna, teraz w miejsce wysokoprocentowego alkoholu zaproponowała mu piwo. Bobuś zdenerwował się jeszcze bardziej, demonstrując narastającą troskę o nadwreżony system nerwowy Białej Glisty. Z zaciekawieniem czekałam, co z tego wyniknie.

- Sztyletem dziabął tylko raz - powiedział znienacka Paweł do pana Muldgaarda. - Powinien jeszcze dziabnąć drugi. Musimy to brać pod uwagę.

- Strzela pistoleta dwa razy - przypomniał pan Muldgaard.

- Koniaczku, Kikunia musi dostać koniaczku!... - upierał się Bobuś.

Ogłuchła nagle Alicja przeszła do kuchni.

- Gówno im dam, a nie koniaczku - mruknęła z zaciętością. - W ogóle nic im nie dam, chyba że wyjdą z pokoju. Nie napoczęta butelka napoleona stoi na samym froncie szafki. Wolę ją wylać do zlewu niż

otworzyć dla tej...

- I po co ci to było, że Paweł pluł do dzemu? - szepnęła z wyrzutem Zosia. - Skoro on wszystko robi tylko dwa razy...

- Gdybyśmy mogli przewidzieć, co teraz zrobi, toby można było zastawić tę pułapkę - ciągnął Paweł z ożywieniem. - I kogo sobie wybierze... No tak, jasne, wiadomo, że Alicję. Gdyby jeszcze można było przewidzieć, co Alicja będzie robiła...

- Pójdę spać - powiedziała Alicja stanowczo. Bobuś, wściekły, zdecydował się zadziałać energicznie. Bierny opór Alicji wydawał się mu najwidoczniej równie niepojęty, jak oburzający. Oderwał się od szemrzącej coś Białej Glisty i truchcikiem podbiegł do szafki w rogu pokoju.

- No, Alicja, dość tego! - zawołał z gwałtowną naganą. - Potrafimy się sami obsłużyć!

Trójkątna szafka z alkoholami, wbudowana w narożnik pokoju, stanowiła świętość szanowaną przez wszystkich. Oprócz napojów kryła też najcenniejsze srebra Alicji. Była zamknięta na klucz, klucz wisiał na gwoździu z tyłu, wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie ośmieliłby się otwierać jej sam bez wyraźnej zgody właścicielki. Już samo zagłądanie do sanktuarium wydawało się wręcz nietaktem najwyższej miary.

Bobuś zdjął klucz z gwoźdźcia i wetknął w dziurkę. Zamarłyśmy w pół słowa, ze zgrozą patrząc na jego nieprawdopodobną bezczelność. Alicję zamurowało. Pan Muldgaard wyczuł, że coś się dzieje, i również zaniechał konwersacji, pilnie przyglądając się Bobusiowi. Bobuś przekręcił klucz i z rozmachem otworzył szafkę.

Oślepiający błysk, huk, brzęk, krzyk Białej Glisty i Bobusia, wszystko nastąpiło równocześnie! Za jego plecami poleciało szkło. Przez moment miałam wrażenie, że potworny wybuch urwał Bobusiowi łeb,

który przeleciał przez cały pokój i wybił szybę w oknie od ogrodu, ale natychmiast okazało się, że Bobuś łeb ma, trzyma się za niego i jęczy. Między palcami ściekała mu krew. Biała Glista na ten widok wrzasnęła jeszcze przeraźliwiej, zerwała się z kanapy i rzuciła na pana Muldgaarda, zapewne w celu schronienia się w jego objęciach. Pan Muldgaard jednak nie przewidział ataku. Pchnięty zniecka, runął do tyłu wprost na regał, pod półkę, na której ustawiony był wielki magnetofon. Następny łoskot wstrząsnął domem w posadach.

Piekło zapanowało w mgnieniu oka. Nie wiadomo było, co robić najpierw. Bobuś zemdłał. Oplatany taśmami i przewodami pan Muldgaard czynił bezskuteczne wysiłki, żeby się oderwać od Białej Glisty. Zosia i Alicja rzuciły się na Bobusia. Paweł z dziką zachłannością w spojrzeniu rzucił się na zdemolowaną szafkę, ja zaś z nie mniejszą chyba zachłannością na to coś, co przeleciało przez pokój. Wrażenie, że to łeb Bobusia, było zbyt silne, żeby zapanować nad nim tak od razu. Po bardzo długim czasie pandemonium nieco przycichło. Drugim łbem okazała się peruka. Bobuś miał zdartą skórę z ciemienia i trochę poparzeń dookoła. Odzyskał przytomność i, jęcząc, trzymał się za opatrunek, założony mu prowizorycznie przez Alicję. Znacznie więcej od niego ucierpiał magnetofon, który rozleciał się na drobne kawałki. Pan Muldgaard miał guza na potylicy.

- No i mamy - powiedział filozoficznie. - Zastrzelał dwa razy.

- To teraz już zostaje tylko sztylet - ucieszył się Paweł.

Satysfakcji Alicji nie zmniejszyła nawet ruina magnetofonu.

- No, teraz chyba mu się odechce grzebać w moich rzeczach - mruknęła półgłosem, zbierając szczątki do dużego pudła. - Nie wiem, czy to nie jest wystarczająca okazja, żeby otworzyć tę butelkę napoleona.

- Nie - odparła Zosia stanowczo. - Otworzymy, jak oni wyjadą. To

istny cud, że się nie stłukła!

Ciężko poszkodowany i jeszcze ciężiej obrażony Bobuś pomiędzy jękami dawał do zrozumienia, że posądza Alicję o zastawienie pułapki specjalnie na niego. Domagał się fachowej opieki lekarskiej. Chęci wyjazdu, o dziwo, nie zdradzał, w przeciwieństwie do Białej Glisty, która, śmiertelnie wystraszona, gotowa była opuścić ten koszmarny dom nawet natychmiast.

- Właściwie mogłabyś mu przebaczyć parę rzeczy - powiedziałam ugodowo, pomagając jej zwijać taśmy. - Stracił perukę i odpracował za ciebie następny zamach. Ty byś z tego interesu tak ulgowo nie wyszła.

- Stłukł szybę i zniszczył mi magnetofon... Chociaż nie, magnetofon mogę mu darować, zniszczyła go Biała Glista. Mam już bardzo ładną listę szkód, które przez nich poniosłam. Poza tym to nie jego zasługa, że jest wzrostu siedzącego psa. Mnie by trafiło gdzie?

- W sam środek twarzy. Według mojego rozeznania, raczej nie miałabyś już głowy.

- Popatrz, a ja wcale nie wiedziałam, że on nosi perukę!...

Pan Muldgaard doczekał się wreszcie specjalisty, po którego zadzwonił natychmiast po wypadku, i razem z nim oraz szaleńczo zaciekawionym Pawłem obejrzał wybuchową szafkę. Specjalista na pierwszy rzut oka stwierdził, co to było, udał się do ogrodu i przyniósł stamtąd kilogramowy odważnik.

- Była rura - wyjaśnił pan Muldgaard, demonstrując szczątki puszek po parówkach. - Ciężar uplasowany przed. Wybucho uplasowana za. Kwas... Kwas...

- Z ogórków? - spytała mimo woli Zosia.

- Nie. Kwas pi... pika...

- Pikle - podpowiedziała bez przekonania Alicja.

- Pikrynowy - odpowiedział Paweł.

- Pikrynowy - ucieszył się pan Muldgaard. - Kwas pikrynowy. Bardzo wielka moc, ona pcha ciężar, któren śmiga.

- Paweł, rozumiesz, co on mówi? - spytała nieco zdezorientowana Alicja. - Wiesz, co to było?

- No pewnie! Ten kwas był w pudełku, taką rurę sobie z tego zrobił, jakby lufę, wziął sprężynkę, pewnie od długopisu, i połączył to z drzwiczkami. Otworzyły się drzwiczki, puknęło w ten kwas i ten odważnik wyleciał jak pocisk. Powinien był mu urwać łeb.

- Ale przecież szafka jest cała? - zdziwiła się Zosia. - Nawet się nic nie stłukło?

- Bo cały impet poszedł do przodu. Gdyby nie otworzył tak szeroko, toby wyrwało drzwiczki, a tak, proszę nic się nie stało. Bardzo inteligentnie zrobił...

- Rzeczywiście, kompletnie nic się nie stało - zauważyła Alicja.

- No nie, ja nie to miałem na myśli... Efektowniejszy od poprzednich zamach obudził w nas nowe refleksje. Stojąc wokół i patrząc na ręce badającemu szczegóły specjaliście, rozważaliśmy wnioski. Morderca musiał wiedzieć, że nikt, prócz Alicji, nie otwiera szafki. Musiał być z nami blisko związany, a zatem należało już chyba odrzucić koncepcję kogoś z zewnątrz. Wymyślił sobie coś, co już doprawdy wydawało się pewne. Można było spać w łóżku Alicji i chodzić w jej ciuchach, ale otworzyć świętą szafkę mogła tylko ona sama. Morderca nie znał widocznie Bobusia... Znalazł sobie coś niezawodnego, zostawiliśmy mu przecież cały dzień do dyspozycji...

- Alicja, tyś powinna iść spać - zatroskała się nagle Zosia. - Już po pierwszej, rano masz jechać do Viborg.

- Jak ja mam iść spać, skoro co chwilę coś się w tym domu

przytrafia! Może tu jeszcze leży gdzieś jakaś bomba zegarowa albo inne świństwo?

- Sprawdź pod twoim łóżkiem i w samochodzie...

- A właśnie, gdzie ten Thorsten? - przypomniała sobie Alicja. - O której on pojechał? O dziewiątej? Co on robi tyle czasu z tym samochodem?

- No jak to co, musiał jechać do Kopenhagi, to jest pół godziny, znaleźć stację obsługi, poczekać, zmienić ten olej, jeszcze godzina... Dwie godziny najmarniej!

- Tak, ale już minęło cztery!

- Może musiał dłużej czekać?...

Specjalista od szafki, rozgryzłszy do końca tajemnicę, opowiadał coś panu Muldgaardowi, który nagle zaczął okazywać lekki niepokój.

- Samochód numer pani jaka jest? - zwrócił się do Alicji.

Alicja spojrzała na niego, a potem na kartkę przyklejoną do ścianki regału.

- BM 18 235. Dlaczego?... Co się stało? Pan Muldgaard powtórzył numer po duńsku. Obaj ze specjalistą popatrzyli na siebie. Wydawali się nieco wstrząśnięci. W napięciu oczekiwaliśmy wyjaśnienia.

- Niedobrze - powiedział pan Muldgaard z troską. - Bardzo źle. Wielki ogień na autostrada, samochód volvo zadawał cios do cysterna z benzyną. Numer jego nader podobna...

- Thorsten...! - krzyknęła pobladła gwałtownie Alicja.

Wszystkich nas podniosło z miejsc. Trzeci zamach tego samego dnia to już wydawało się za wiele! Specjalista powiedział coś po duńsku i Alicja jakby skamieniała.

- Co on powiedział?! - krzyknęła nerwowo Zosia, szarpiąc ją za ramię. - Co on mówi?!

- Zawęglonią zewłoka we środka samochód - przetłumaczył zmartwiony i pełen współczucia pan Muldgaard.

- Matko Boska, co za koszmarny wieczór! Ile tych ofiar jeszcze będzie...?!

W parę minut potem wszyscy razem pojechaliśmy na miejsce katastrofy samochodami pana Muldgaarda i specjalisty od szafki. Na głupie protesty Bobusia i Białej Glisty, pozostawionych samym sobie, nikt nie zwrócił uwagi. Bobuś w charakterze niedoszłej ofiary stanowił dla nas samą przyjemność, sprzątaczką była osobą zupełnie obcą, ale Thorsten był bliski, znajomy, sympatyczny... Jego śmierć, tak straszna, to już była jakaś przytłaczająca potworność!

Wypadek przytrafił się na rozgałęzieniu szos do Hillerød i Helsingør. Obecni na miejscu przypadkowi świadkowie zgodnie stwierdzili, że cysterna z benzyną, wyjeżdżająca z szosy od strony Helsingør, przyhamowała na widok volvo jadącego od strony Kopenhagi, zmierzającego, sądząc z pasa, do Hillerød. Volvo było na łuku i leciało dość szybko. Zamiast skręcić lekko w lewo, pojechało prosto i wyrznęło wprost w cysternę. Pożar wybuchł natychmiast.

Zamieszanie jeszcze panowało potężne, chociaż ogień już został ugaszony, bo tak imponujące katastrofy nie przytrafiają się na każdym kroku. Z samochodu Alicji zostały do niczego niepodobne szczątki. Zwęglone zwłoki zabrano już do jednej sanitarki, obok drugiej kłębił się tłum ludzi.

Alicja, która całą drogą szczekała zębami, teraz straciła równowagę do reszty. Wydierając się z objęć Zosi, szlochając, zupełnie nie panując nad sobą i wydatnie zwiększając zamieszanie, pchała się do ambulansu ze zwęglonymi zwłokami. Tłum obok tego drugiego nieco się rozproszył, wszyscy bowiem zainteresowali się wybuchłą z nagłą w pobliżu dziką awanturą. I oto za ludźmi, nie wierząc własnym oczom, ujrzałam

Thorstena we własnej osobie, żywego, zdrowego, na własnych nogach, w nieco tylko podniszczonej odzieży, Rozepchnęłam policjantów i dopadłam Alicji.

- Uspokój się! Wyjdź stąd! - wrzasnęłam, usiłując wywlec ją z powrotem. - Przestań opłakiwać obcych ludzi, dosyć masz swoich! Thorsten żyje!!!

Półprzytomna ze zdenerwowania i rozpaczyc Alicja porzuciła zdobywany ambulans i rzuciła się na Thorstena. Thorsten pozwalał się obmacywać, obcałowywać i ścisnąć, równocześnie wykrzykując coś po duńsku z wielkim przejęciem. Lekarze i policja, nie kryjąc głębokiego niezadowolenia, wszelkimi siłami starali się wydrzeć go Alicji i wepchnąć z powrotem do sanitarki. Istny cud, że nie rozszarpali go przy tej okazji na sztuki. Piekło kotłowało się w blasku świecących zewsząd reflektorów.

- On mówi, że szlag trafił układ kierowniczy - wyjaśniła nam Alicja już w drodze powrotnej do Allerød. - Kierownica swoje, a koła swoje. Oddzieliło mu się nagle jedno od drugiego. Nic już nie zdążył zrobić, bo to było tuż przed tą cysterną, ona wyjechała trochę za bardzo na środek, tyle że zdjął nogę z gazu. Co było dalej, nie wie, bo stracił przytomność. Wyrzuciło go z samochodu w momencie uderzenia. Pewnie nie zablokował drzwi; ten zamek w moich lewych drzwiczkach był trochę zepsuty i słabo trzymał. Ocknął się po jakiejś półgodzinie i całkiem dobrze się czuje. Zabrali go do szpitala, bo się boją wstrząsu mózgu.

Obawy były dość naturalne. Gwałtowność wypowiedzi Thorstena w kwestii rodzaju uszkodzenia nasuwała podejrzenia, że musiał doznać nie tylko wstrząsu mózgu, ale także czegoś znacznie gorszego, co spowodowało w nim zmiany charakterologiczne. Jeszcze wpychany do sanitarki, wydierał się z rąk, odwracał, wychylał i wykrzykiwał do Alicji informacje z nie spotykanym w Danii temperamentem.

- A kto to jest w takim razie ta zwęglona ofiara?

- Jeden facet, jakiś zupełnie obcy człowiek, którego spotkał w Kopenhadze w stacji obsługi. Wysiadł mu samochód, zaczęli rozmawiać i Thorsten zabrał go ze sobą, do Allerød.

- Potworne! Niewinny człowiek...! Chyba mu było przeznaczone!

- A kierowca cysterny? On chyba też żyje?

- Żyje, trochę poparzony, też wyleciał na drugą stronę. Thorsten mówi, że to musiało zostać zrobione specjalnie.

- Możliwe. Ten morderca, polując na ciebie, wykończy po drodze połowę ludzkości. W końcu zostanieie na świecie tylko ty, on i karaluchy.

- Dlaczego karaluchy?

- Bo karaluchy zostaną podobno nawet po wybuchu nuklearnym. Zresztą nie wiem, możliwe, że nie karaluchy, tylko pluskwy. W każdym razie jakieś niesympatyczne zwierzęta.

- Ciekawe, kiedy on to zdążył zrobić...

- To jest ktoś tak upiornie pracowity, że gdyby się wziął za ucziwą robotę, mógłby chyba przeistoczyć świat. Kto z nich najpracowitszy? Nie Anita przecież...

- Nie chcę przesadzać z podejrzeniami, ale jeśli chodzi o pracowitość, to chyba tylko Roj...

Całą resztę drogi do domu zajęły nam rozważania, przy jakiej okazji najłatwiej było uszkodzić samochód Alicji i czy leżało to w możliwościach Roja. Samochód zawsze stał przed domem, ostatnio zaś Alicja, jeżdżąc nim, zostawiała go gdzie popadło, najchętniej w miejscach odludnych i słabo oświetlonych, Możliwość było mnóstwo i żadnych odkryć nie udało nam się dokonać...

- Całe szczęście, że jestem ubezpieczona! - westchnęła Alicja. - Zdaje się, że teraz będę sobie mogła kupić nowy...

Wyrwany z drzemki i śmiertelnie urażony Bobuś nie omieszkał

natychmiast wyjawic swej opinii na temat katastrofy.

- Pewnie - powiedzial ze wzgardliwym przekasem. - Jak ktos sie tak obchodzi z samochodem... Cos takiego musiało kiedyś nastapic! Ja to przewidywałem. Przeciez ten samochód jest w strasznym stanie!

- Aha - przyświadczyla skwapliwie. - Kompletnie spalony.

Bobuś wzruszył ramionami i syknął, poniewaz ciemnie go zapiekło.

- Spalony czy nie spalony, to bez różnicy, on już dawno był do niczego, Alicja sie nim w ogóle nie umie poslugiwac. Kto tam co uszkadzal, pewnie sama cos majstrowala i zepsula.

- Jasne, majstruje nagminnie - zapewnila go Alicja, ktora cudowne ocalenie Thorstena i wspomnienie ubezpieczenia wprawily w szampański humor. - Szczegolnie psuje układ kierowniczy i hamulce. I sruby od kól odkrecam. Mam nadzieje, ze sie wreszcie kiedyś cos urwie.

- Już ja z toba jezdzic nie bede. To trzeba byc samobojca...

- Trzeba byc samobojca, zeby mieszkac w tym domu - mruknela Zosia, z trudem opanowujac furię. - Ciekawe, kiedy to wreszcie do niego dotrze.

- Ale taka szkode ponioslas, kochana - powiedziala Biala Glista tonem, z ktorego nie udalo jej sie usunac akcentu satysfakcji. - Taka strata!...

- Tam jest wieksza strata - odparla natychmiast Alicja jadowicie, wskazujac puste miejsce na regale.

- Samochód byl ubezpieczony, a magnetofon nie.

- Stary rupiec, a nie magnetofon - prychnal Bobuś z pogarda.

Zosia odwrócila sie nagle i wyszla, trzaskajac drzwiami od korytarzyka. Nie wytrzymałam, chociaz obiecywałam sobie nie wtracac sie do rozmów Alicji z Bobusiem.

- Niektórzy lubia stare rupiecie - powiedzialam z melancholijna

słodyczą, usiłując jednym okiem patrzeć na Bobusia, a drugim na Białą Glistę, która była ode mnie starsza o całe dwa lata. Grubsza natomiast o dwadzieścia.

Alicja rozpromieniła się na nowo i rzuciła mi spojrzenie wdzięcznej aprobaty. Pomyślałam sobie, że romantyczne rendez-vous obdrapanego na ciemieniu Bobusia i roztrzęsionej ze strachu Białej Glisty nie wypadało im chyba najlepiej i że już sam ten fakt powinien zrekompensować jej wszystkie poniesione straty. Jeszcze odrobina starań mordercy i Biała Glista nie wytrzyma...

- Nie szkoda mi go - powiedziałam stanowczo do Alicji, kiedy już same zostałyśmy na placu boju.

- On na nią zasługuje.

- A w ogóle kiedykolwiek było ci go szkoda? - zdziwiła się Alicja z niesmakiem.

- Owszem, dawno temu, kiedy go jeszcze nie znałam, a ty uważałaś, że to w gruncie rzeczy porządny człowiek...

- Co ty powiesz, rzeczywiście kiedyś tak uważałam?!

- Robiłaś takie wrażenie. Każdy się może omylić. Natomiast ją znałam, jak wiesz, wprawdzie pośrednio, ale dostatecznie. Nie mogłam sobie wyobrazić faceta, którego nie byłoby dla niej szkoda...

Istotnie, znałam Białą Glistę sprzed lat, jeszcze z jej panięńskich czasów, i sama byłam świadkiem odbijania przez nią bogatego osobnika pewnej szlachetnej kobiecie, która szlochała na moim łonie, jak również świadkiem jej innych niemiłych czynów. Biała Glista zmierzała do fortuny na oślep, bez skrupułów i bez opamiętania.

- No to już teraz nie musisz sobie wyobrazać - powiedziała Alicja stanowczo. - Słuchaj, ja jednak pójdę spać. Naprawdę muszę rano jechać do Viborg i mam nadzieję, że dzisiaj już nic nie będzie...

Rozstając się z nami, pan Muldgaard dał nam do zrozumienia, że wiele rzeczy go dziwi i niektóre z nich przynajmniej pragnąłby wyjaśnić. Zapowiedział swoją wizytę na wieczór, po powrocie Alicji z Viborg. Pozbawiona samochodu, który praktycznie przestał istnieć, dołączyła do rodziny jadącej wozem Olego, i była nadzieja, że wróci o zapowiedzianej porze.

Towarzystwo Bobusia i Białej Glisty było nie do zniesienia. Zastanawiałam się, czy nie wynieść się na cały dzień do Kopenhagi, ale nie miałam sumienia zostawiać Zosi samej z nimi. Poza tym czekałam na pocztę, w której miałam nadzieję znaleźć odpowiedź na moje listy. W listach opisałam zaszłe tu wydarzenia i odpowiedź była dla mnie szalenie interesująca.

Zosia popadła w rewolucyjny nastrój i sama postanowiła szukać zaginionej korespondencji Edka.

- Ona tego nie znajdzie do końca świata - powiedziała z irytacją. - Zostawimy jej te parszywe papiery i przeszukamy wszystko inne. Przynajmniej będzie wiadomo na pewno, gdzie go nie ma. Ci dwoje niech się powieszą, nie będę się z nimi cackać i w ogóle nie mogę na nich patrzeć! Paweł, do hotelu! Jazda, możesz tam siedzieć i obmyślać sobie pułapkę. Joanna, do roboty!

Żywiłam wprawdzie poważne obawy, że całkowitej pewności co do tego, gdzie nie ma listu Edka, i tak nie uzyskamy, bo Alicja może poprzekładać różne rzeczy w inne miejsce, zanim my skończymy poszukiwania, ale posłusznie przystąpiłam do pracy. Zaczęliśmy od piwnicy.

Pod wieczór miałyśmy z głowy atelier i byłyśmy całkowicie wykończone. Kawalek po kawałku i centymetr po centymetrze przejrzałyśmy całą szafę z rysunkami Thorkilda sprzed trzydziestu lat, półki z narzędziami ogrodniczymi i pudła z tysiącem najrozmaitszych

rzeczy. Przesiałyśmy nawóz sztuczny i niemal na kawałki rozebrałyśmy katafalk. Z przeraźliwą dokładnością zbadaliśmy każdą sztukę pościeli. Z czystym sumieniem mogłyśmy przysiąc, że w atelier listu od Edka nie ma.

- Chyba że zerwała podłogę, schowała go i położyła te klepki z powrotem - powiedziała Zosia z wściekłością, ocierając pot z czoła. - Ale wątpię, czy to zrobiła, bo zrywanie podłogi powinna jednak pamiętać.

Przygotowałyśmy sobie w pełni zasłużony posiłek, nie uwzględniając w nim Bobusia i Białej Glisty. Na wszelki wypadek wolałyśmy, żeby karmili się sami.

- Jeśli zjedzą przypadkiem coś niewłaściwego, to ja nie życzę sobie brać w tym żadnego udziału - powiedziałam stanowczo. - Nie wiem jak ty...

- Możesz być spokojna, że ja też - odparła Zosia z zaciętością. - Widzą już, co się tu dzieje, niech żrą na własną odpowiedzialność.

W chwili kiedy z zapalem przekonywałam ją, że po wszystkich wydarzeniach wczorajszego dnia morderca powinien się zainteresować rezultatami swojej działalności i że pierwsza osoba, która zadzwoni z niewinnym zapytaniem, co słyhać, będzie najbardziej podejrzana, znienacka zjawiała się Ewa. Pasztet z sałatką w mgnieniu oka stanął nam w gardle.

- Tak sobie wpadłam dowiedzieć się, co słyhać - powiedziała Ewa jakoś dziwnie nerwowo. - Przypadkiem byłam tu w okolicy i wykorzystałam okazję. Gdzie Alicja?

Przeleciały mi przez głowę miliony różnych podejrzeń. Pośpiesznie popiłam piwem przeszkodę w przętyku.

- Jesteś samochodem? - spytałam, bo uprzytomniłam sobie, że tuż przed jej pojawieniem się słyzałam chyba warkot.

- Ach, nie - odparta Ewa. - To znaczy tak... To znaczy nie. Podrzucili

mnie samochodem, ale muszę wracać pociągiem. Czy mogłybyście dać mi trochę kawy?

- Alicji nie ma, nie pamiętamy, dokąd pojechała, i nie wiemy, kiedy wróci - powiedziała Zosia z naciskiem. - Kawę zaraz zrobimy, oczywiście. Słuchaj, dla nich też...?

Kawa była niewinna, pilnowaliśmy jej specjalnie; nie było nadziei, że ktokolwiek się nią otruje. Mogłyśmy zrobić i dla nich. Ewa zdradzała nagle zainteresowanie sytuacją w Allerød, co chwila patrzyła na zegarek i ciągle wykazywała jakąś osobliwą nerwowość. Wyglądała przy tym tak, że Biała Glista na jej widok zsiniała na twarzy, całkowicie straciła humor, zabrała kawę i z niezwykłą dokładnością zamknęła drzwi, za którymi Bobuś kurował swoje poszkodowane ciemię. Zosia nie odzywała się prawie, nieufnie i z niechęcią oglądając najbardziej podejrzaną osobę.

- Muszę już jechać - powiedziała Ewa nagle. - Słuchaj, Joanna, może mnie odprowadzisz na stację?

Wiedziałam, że coś w tym musi być, i oczywiście natychmiast wyraziłam zgodę.

Od domu Alicji do stacji szło się normalnym krokiem dokładnie dziewięć minut. Mniej więcej po półgodzinie byliśmy w połowie drogi.

- To potworne, ja już nie mam do niego siły - mówiła kompletnie rozstrojona, zrozpaczona Ewa. - Nie mogę się go pozbyć! Musiałam tu przyjść, bo nic innego nie przyszło mi do głowy, nie chciałam za nic, żeby mnie odwoził, przyjeżdża po mnie, nie mogę robić scen przy ludziach...! Za żadne skarby świata nie chcę, żeby się Roj dowiedział, on nie uwierzy, że ja go już nie chcę, przecież widzisz, jak on wygląda.

- Mnie się nie podoba - wtrąciłam ostrożnie.

Ewa machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- Giuseppe jest czarny. Roj ma uraz! On święcie wierzy, że ja uznaję

tylko czarnych! Jak ja mu wytłumaczę, jak ja się z nim porozumiem, te cholerne języki!...

Istotnie, dodatkowe utrudnienie jej sytuacji polegało na tym, że porozumiewała się z Rojem wyłącznie po angielsku. Ani dla niego, ani dla niej nie był to język rodzimy i niejednokrotnie zdarzały się im nieporozumienia nawet w prostych sprawach. A cóż mówić w tak skomplikowanej!

- Słuchaj, co ja mam zrobić...?! - jęknęła z bezgraniczną rozpaczą.

- Odstawić go od piersi kategorycznie i stanowczo - odparłam bez wahania. - Czy ty nie jesteś przypadkiem dla niego za miętka?

- Och, nie wiem! Och, możliwe, że tak, ale przecież wiesz, że ja nie umiem odmawiać, jeśli ktoś tak natrętnie nalega! Boże, jak on mnie męczy!

Była tak przygnębiona i zrozpaczona, że doprawdy nie przechodziło mi przez usta zbyt może nietaktowne pytanie, czy to nie ona zamordowała Edka, żeby jej nie zdradził, a po Edku skrzywdziła jeszcze następne siedem osób. Zaczynałam w to powątpiewać, bo aczkolwiek bez trudu można jej było przypisać zabójstwo w afekcie, to jednak trudno było uwierzyć w dalszą działalność z premedytacją. Chyba że ona zaczęła, a jej luby, oszalały z miłości, kontynuował. Z nadzieją pomyślałam, że luby zapewne wrócił do hotelu, gdzie właśnie czatuje Paweł, który go wreszcie zobaczy.

- Słuchaj, co on właściwie robi, ten twój Giuseppe? - spytałam ostrożnie. - Kim on jest?!

- Nie mój!!! - zaprotestowała rozpaczliwie Ewa. - Nie mój!!!

- Dobrze, nie twój. Co on robi?

- Och, nie wiem, wszystko mi jedno! Jest tak zwanym człowiekiem interesu. Jakies tam różne afery i biznesy. Jest okropnie bogaty. W nosie

go mam razem z jego pieniędzmi.

Błyskawicznie przeleciała mi przez głowę ponętna myśl, żeby wobec tego napuścić na niego Białą Glistę, ale od razu uświadomiłam sobie różnicę w ich wyglądzie i myśl zwiędła w zaraniu. Po Ewie na Białą Glistę nie poleci, musiałby być ślepy albo nienormalny. Szkoda.

- Był w Polsce? - pytałam chytrze dalej.

- Nie wiem - odparła Ewa obojętnie. - Możliwe, że tak. Jeździ po całym świecie. Och, co mnie obchodzi, czy był w Polsce, ja nie wiem, co mam z nim zrobić w Danii! Teraz!

- Chyba ci w końcu nic innego nie pozostało, jak tylko wyznaczyć wszystko Rojowi - powiedziałam, wzdychając ciężko. - W ostateczności Roj da mu po pysku...

- Roj wepchnie mu mnie w objęcia - przerwała Ewa z rozgoryczeniem. - Będzie uważał, że ja z nim będę szczęśliwa. On mnie kocha i usunie się z miłości do mnie!

Przyjrzałam jej się zdumiona i zaskoczona. Wypisz wymaluj to samo mówiłyśmy obie z Alicją, rozważając kandydaturę Ewy i Roja! To nie do wiary, jakie jesteśmy mądre!...

- Słuchaj, możliwe, że ja tu kiedyś jeszcze znienacka przyjadę - mówiła Ewa nerwowo. - Uprzedź Alicję jakoś dyplomatycznie. On myśli, że ja tu muszę bywać ze względu na to morderstwo. A propos, czy ktoś jeszcze został zabity?

Poczułam się z lekka wstrząśnięta. To jednak prawda, że nic bardziej nie ogłusza i nie ogłupia niż miłość. W nagłym wybuchu samokrytycyzmu uświadomiłam sobie, że i ja sama znacznie energiczniej zainteresowałabym się tymi zbrodniami, gdybym nie miała generalnie czegoś innego na głowie.

- Nie wiem, na kim stanęłaś - powiedziałam. - Kto u ciebie jest

ostatnią ofiarą?

- Zdaje się, że ostatnio zginęła ciotka Thorkilda - powiedziała Ewa niepewnie. - Coś chyba o tym słyszałam...?

- Jesteś zapóźniona w rozwoju. Po pierwsze ciotka też żyła...

- Co ty powiesz? Przetrzymała? W tym wieku?

- Duńskie staruszki mają twarde życie. Wraca do zdrowia w szpitalu. Po drugie po ciotce ofiarą padła Agnieszka i pani Hansen, sprzątaczką Alicji. Wszystkie szpitale są zapchane pomyłkami naszego mordercy, bo Thorstena też trzymają, podejrzewając wstrząs mózgu. Jedna osoba została oskalpowana, a dodatkowo stracił życie przypadkowy obcy osobnik, nie przewidziany w programie. Mamy szalenie aktywnego zbrodniarza.

- Potworne - powiedziała Ewa z roztargnieniem. - Potworne. Hekatomba w Allerød. Doprawdy, powinniście już z tym skończyć...

Wepchnąwszy ją do pociągu, poczułam się dziwnie wytrącona z równowagi. Rzeczywiście, miała rację, doprawdy powinniśmy już z tym skończyć! Chyba mamy źle w głowie, jeżeli pozwalamy na dalsze morderstwa!

- Jak możesz tak uprzejmie rozmawiać z tą zbrodniarką?! - wykrzyknęła z oburzeniem i rozgoryczeniem Zosia, kiedy wróciłam do domu.

Nie miałam nawet czasu jej odpowiedzieć, bo ujrzałam, że Paweł też wrócił. Nie spotkałyśmy go po drodze, bo odprowadzałam Ewę okrężną nieco trasą, wijącą się pomiędzy ogródkami. Rzuciłam się na niego zachłannie.

- No i co?! Widziałeś go?!

- A skąd! - odparł Paweł ze zniechęceniem. - Znów go nie było.

- Ależ jak to nie było, pojechał już z półtorej godziny temu! Od

godziny powinien być w hotelu! Jak mogłeś go nie widzieć?!

- Ale nie było go, jak Boga kocham! - bronił się nieco przestraszony Paweł. - Siedziałem od rana, głodny byłem okropnie, te parówki już mi nosem wychodzą! Nie widziałem żadnego takiego czarnego! W końcu wróciłem, bo już portier zaczął na mnie zwracać uwagę.

- Jak mogłeś! Co cię obchodzi portier?! Trzeba było wytrzymać jeszcze pół godziny! Musiał wrócić!

- - Wcale nie musiał! Mógł jechać na obiad gdzieś na miasto! Mógł jechać byle gdzie i wrócić o pierwszej w nocy! Ja go mam już dość, to jakiś latawiec! Czy nie ma żadnego miejsca, gdzie on bywa bardziej regularnie?!

Zreflektowałam się. Istniało chyba miejsce, gdzie, sądząc z uzyskanych dzisiaj informacji, bywał bardziej regularnie...

- Czekaj - powiedziałam. - Postępujemy kretyńsko, to fakt. Jutro ci powiem, gdzie i kiedy on się powinien znaleźć, ale to będzie absolutna tajemnica. Nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć, bo jakby się okazało, że to nie ten, to ja robię okropne świństwo...

- Musi być ten, skoro ja za nim tyle czasu latam - oświadczył Paweł stanowczo i prawie dałam się przekonać.

Alicja i pan Muldgaard przybyli prawie równocześnie. Alicja zjadła obiad, pan Muldgaard natomiast kategorycznie odmówił wypicia kawy. Nie można mu się było zbyt dziwić.

Pomimo nie ukrywanych obaw o zdrowie i życie okazał daleko posuniętą uprzejmość i zanim zaczął zadawać pytania, udzielił informacji. Dowiedzieliśmy się, że układ kierowniczy samochodu Alicji został uszkodzony w nader przemyślny sposób, nie wymagający czasu i wysiłku, ale za to dający gwarancję, że użytkownika pojazdu prędzej czy później szlag trafi. W Danii nie ma wprawdzie licznych zakrętów śmierci, ale

jeździ się dość szybko i nagła utrata panowania nad kierownicą musiała w końcu spowodować katastrofę. Możliwe zresztą, że mordercy nie chodziło nawet o to, żeby Alicja zabiła się na miejscu, na taką przyjemność nie mógł liczyć, ale żeby przynajmniej trochę uszkodzona poszła do szpitala. Być może miał nadzieję, że w czasie jej nieobecności uda mu się znaleźć przeklęty dokument.

- Pani go wie - rzekł następnie pan Muldgaard, oskarżycielko kierując w jej stronę wyciągnięty palec. - Pani trzyma tajemnice!

- Jakie tajemnice? - zainteresowała się Alicja.

- On szuka, ten morderca. On poszukiwa. Pani zna, co on szuka? Pani zna!

Zaprzeczenie nie przechodziło Alicji przez gardło. Patrzyła na pana Muldgaarda w milczeniu, nieco stropiona.

- Pani wie jego, kto on jest! Co on pragnął wypowiadać?! Co on poszukiwa? Ja pragnę odpowiedź!

Zaskoczona w pierwszej chwili Alicja ruszyła umysłem.

- Nic podobnego! Wcale nie wiem, czego on poszukiwa! Mogę się najwyżej domyślać, a moje domysły to jest moja prywatna sprawa. Mogę się źle domyślać. Nie znam go i nic nie wiem, gdybym go znała, tobym powiedziała!

Pan Muldgaard przyglądał się jej ze zmarszczoną brwią i wyrazem dezaprobaty.

- Dlaczego pani nie dawała alkohol ten pan, którego podrapano na głowę? Ja rozumiem po polsku wszystko. Ja słyszałem. On pragnął, pani nie dawała. Pani czekała na on szafę otwiera. Pani nie chce szafę otwierać. Pani wiedziała ten eksplozja?

Z oburzeniem i bardzo kategorycznie Alicja zaprzeczyła podejrzeniom, jakoby czyhała na Bobusia. Pan Muldgaard nie wydawał

się przekonany.

- Zatem dla jakiego powodu pani nie dawała alkohol pan podrapano?

Wyraz bezradnego popłochu, jaki pojawił się w oczach Alicji, był doskonale zrozumiały dla nas trojga, Zosi, Pawła i mnie. Jakim sposobem można byłoby temu logicznie i po duńsku myślącemu człowiekowi wytłumaczyć, co łączy ją i co dzieli z Bobusiem i Białą Glistą? Jak przekonać go, że chodzi nie tylko o tę nie napoczętą butelkę napoleona, ale także o znacznie subtelniejsze rzeczy?...

Pan Muldgaard coraz bardziej posepniał.

- Pani własna osoba narobiła wybuch? - spytał surowo. - Ja pragnę odpowiedź!

- Nonsens! - odparła Alicja z nagłą irytacją. - Nie mam co robić, tylko dla tego kretyna niszczyć sobie meble! Nie mówiąc już o szybie i magnetofonie!

- A! - powiedział pan Muldgaard i w oku mu nagle błysnęło. Przez chwilę przyglądał się rozwścieczonej Alicji z wielką uwagą i rozmyślał, po czym rozjaśnił pochmurne oblicze. - Ja myślę, że ja rozumiem. No tak... Dobrze. Ale on poszukiwa. Pani wie. Co?

Przez ładne kilkanaście minut ich wzajemna konwersacja brzmiała dość monotennie. Pan Muldgaard mówił swoje, a Alicja swoje. Oblędny upór Alicji w kwestii grzebania w papierach w końcu zwyciężył. Gdyby to nie była Dania, niewątpliwie nie poszłoby jej tak łatwo i batalię wygrałby przedstawiciel władzy.

Zrezygnowawszy z Alicji jako źródła informacji, pan Muldgaard wyciągnął obiecywane zdjęcia i zaprezentował nam dotychczasowe rezultaty dociekań. Zdjęcia były już pokazywane wielu osobom, które wypowiedziały swoją opinię. Wszystkich kręcących się po ulicy wokół

domu Alicji zidentyfikowano jako członków rodziny okolicznych mieszkańców, znajomych oraz pracowników rozmaitych instytucji. Kilka podobizn miało dwóch chłopaków, roznoszących towary ze sklepu, dwie listonosz, kilka pracownik Komuny, czyli czegoś w rodzaju magistratu, porządkujący zieleń miejską i wyrównujący żywopłoty. Dopiero na fotografii Alicja stwierdziła, że jej żywopłot od strony ulicy został ładnie przycięty.

- A potem mi za to przyślą rachunek - powiedziała z niepokojem. - Właściwie powinnam to sama zrobić.

Jednej tylko osoby nie rozpoznał nikt. Był to jakiś niesłychanie kudłaty i brodaty facet średniego wzrostu i średniej tuszy, który, według zeznań trzymającego straż policjanta, kręcił się koło domu Alicji bez celu i bez powodu. Czas jakiś postał na jednej ulicy, czas jakiś na drugiej, trochę poprzyglądał się, jak ów pracownik magistratu obcina gałęzie, po czym gdzieś się podział. Jeśli ktokolwiek ze sfotografowanych mógł być mordercą, to tylko on.

- Zdejmie perukę, odczepi brodę i pies z kulawą nogą go nie pozna - powiedziała Zosia z niechęcią.

- Bo takich podejrzanych trzeba zatrzymywać od razu - powiedział Paweł pouczająco i z naganą.

- Paweł, nie wtrącaj się...

- Ja się nie wtrącam, ale jakby go od razu zatrzymali, wylegitymowali i obejrzeni, toby teraz nie było kłopotów. A tak, to znów będę musiał latać za jakimś...

Zareagowałyśmy dość gwałtownie wszystkie trzy. Zosia pedagogicznie, a my obie z Alicją w obawie, że Paweł przedwcześnie zdradzi Ewę. Paweł poczuł się urażony, w czym miał trochę racji, porzucił towarzystwo i udał się do ogrodu.

Pan Muldgaard wrócił do gnębiącego go tematu.

- Morderca pragnie pani życie pozbawić - rzekł. - On chadza wkoło. On ma powoda. On poszukiwa. Dziwne. On zabija pani i potem inne, mrowie osoby, poszukiwa takoz. Potem znalazzywa i wie, kto on jest. Dla jakiego powoda on pragnie pani śmierć?

Wypowiedź pana Muldgaarda brzmiała dziwnie, ale rozsądnie. Wiedziałyśmy, że morderca panicznie boi się listu Edka i usiłuje go znaleźć. Równocześnie jednak usiłuje zabić Alicję. Gdzie sens zatem i gdzie logika? Po jej śmierci wkroczy tu przecież rodzina razem z policją, wszystko zostanie przewrócone do góry nogami, list Edka wreszcie się znajdzie i groźba nie przestanie wisieć mu na głowę. Na rozum rzecz biorąc, należałoby ją zabić dokładnie w chwili, kiedy znalazłszy zaginioną korespondencję, będzie ją trzymała w ręku. Ewentualnie może nawet czytać. Wówczas trzasnąć ją w ciemność, wydrzeć kompromitujący dokument i pryskać... Owszem, to miałoby sens. Ale tak...? Albo ten list napisany był szyfrem zrozumiałym tylko dla niej, albo ona rzeczywiście coś wie. Może nawet nie zdawać sobie z tego sprawy...

Przyjrzałam się jej nie mniej podejrzliwie niż pan Muldgaard.

- Nie wiem, czy nie powinnaś opowiedzieć nam szczegółowo wszystkich wydarzeń, jakich świadkiem byłaś na przestrzeni ostatnich pięciu lat - powiedziałam w zadumie. - Coś tam mogło być.

- Teraz zaraz? - spytała Alicja jadowicie. - Ze szczegółami?

- Dlaczego nie? Mamy wyjątkowo spokojny wieczór. Nikt nie został zabity, gości nie ma, Bobuś i Biała Glista cicho siedzą...

Zosia i pan Muldgaard równocześnie okazali nagły niepokój.

- Przepraszam? - powiedział pan Muldgaard, jakby nieco zaskoczony. - Biała... co?

- Właśnie - powiedziała z ożywieniem Zosia. - Jakoś długo cicho

siedzą. Czy przypadkiem...? Czy im się coś...

Wszystkie trzy zerwałyśmy się z miejsc, taktownie siląc się ukryć nadzieję, a wyeksponować niepokój i troskę. Pan Muldgaard zerwał się również. Wszyscy czworo runęliśmy na drzwi pokoju, przy czym pan Muldgaard runął wbrew woli, pchnięty gwałtownie przez Zosię, która nie spodziewała się, że on też się zerwie. Bez uprzedzenia, bez pukania, z hurgotem i zgrzytem, przesunęła się szarpnięta gwałtownie szklana tafla, za nią drugie, drewniane skrzydło...

- O, najmocniej was przepraszam - powiedziała z niejakim zakłopotaniem Alicja, starając się wycofać pośpiesznie i wypychając tyłem skotłowaną na nią grupę.

Bobuś i Biała Glista nic nie powiedzieli zapewne dlatego, że zabrakło im głosu. Samą by mnie zatchnęło, gdyby mi się znienacka wwały do pokoju cztery osoby różnej płci w jednej z najbardziej po temu niestosownych chwil w życiu...

- Cholera - powiedziała nieco stropiona Alicja.

- Wygląda na to, że chyba raczej nic im nie jest - powiedziała niepewnie Zosia, wzdychając.

- Raczej nic - przyświadczyłam. - Jest nadzieja, że dopiero im będzie...

- Przepraszam - powiedział pan Muldgaard, wyglądający na mocno spłoszonego. - Pani była mówi co? Biała co?

- Biała Glista - wyjaśniła z uprzejmym roztargnieniem Alicja. - Ta dama tak się nazywa.

- A...! - rzekł pan Muldgaard i zamilkł na chwilę. Po czym dodał: - A zatem...

Nie dokończył, bo z ogrodu dobiegł nagle jakiś trzask i przeraźliwy krzyk. Poderwało nas ponownie.

- Paweł...!!! - krzyknęła Zosia strasznym głosem. Drzwi na taras na szczęście były otwarte. Gdyby nie to, zapewne wyrwalibyśmy je z zawiasów. W dole, pod częściowo rozkopanym większym grobowcem, w pobliżu wejścia do atelier, coś się miało.

- Światło...! - krzyknęła Alicja rozdzierająco. Pan Muldgaard wyszarpnął z kieszeni latarkę elektryczną. Blask potężnego reflektora padł na Pawła pozbawionego nogi, szarpiącego się jakoś dziwnie blisko ziemi. Zosia rzuciła się ku niemu z rozpaczliwym jękiem.

- Nie wchodź na to!!! - wrzasnął Paweł. - O rany Boga, spodnie mi się podra!!!

Zatrzymaliśmy się w ostatniej chwili, żeby nie wpaść na niego i na to coś, co się pod nim załamało. Paweł tkwił jedną nogą w głębokiej dziurze, przykrytej deskami, które, połamane, sterczały wokół. Pod drugą nogą łamała mu się reszta. Z największym trudem w świetle imponującej latarki pana Muldgaarda pomogliśmy mu wydobyć się z pułapki bez większych uszkodzeń garderoby.

- Po diabła tam wlałeś? - spytała z niezadowoleniem Alicja. - Masz cały ogród i musiałeś wlaźć właśnie tu?

- Czy to miała być ta pułapka? - spytała okropnie zdenerwowana Zosia.

- Morderca azali wykonywał jamę? - spytał z zainteresowaniem pan Muldgaard.

- Nie - powiedział Paweł. - Morderca był tam. Chciałem się tu zacząć.

- Na co?

- Na mordercę! Był w ogrodzie i tu się skradał, do okna. Uciekł!!!

- Gdzie uciekł?

- Tam, przez dziurę...

Nie wdając się w dalsze konwersacje, wszyscy razem, potykając się w ciemności, popędziliśmy do dziury w żywopłocie. Gałęzie śliwy złapały za włosy najpierw mnie, a potem Zosię. Zgięci w pół, kolejno wypadliśmy spod konara drzewa na ulicę. Latarka pana Muldgaarda rzucała dzikie błyski na wszystkie strony zależnie od pozycji, jaką zajmował w galopie. Na ulicy było nieco widniej, bo świeciła z daleka latarnia.

Kilka metrów przed nami, obok żywopłotu, stała na chodniku Anita, trzymająca coś w ręku. Reflektor pana Muldgaarda ukazał jej śmiertelnie zdumiony wyraz twarzy.

- Na Boga, co robicie? - spytała, z lekka oszołomiona. - Bawicie się w podchody czy uprawiacie biegi na przełaj? Co się tu dzieje?

- A co ty tu ro...biesz... - spytała Alicja głosem stopniowo zamierającym, przedmiot bowiem, który Anita trzymała w ręku, okazał się dużym, czarnym pistoletem z jakąś dziwną, nietypową lufą. Sądząc z tego, co widywałam na filmach i czytywałam w literaturze, musiał to być tłumik.

Przez dość długą chwilę staliśmy wszyscy w milczeniu, gapiąc się na siebie wzajemnie i usiłując cokolwiek zrozumieć. Anita machnęła pistoletem.

- Czy coś się stało? - spytała z szalonym zaciekawieniem. - Mówcie coś! Słyszałam jakieś krzyki i okropne łomoty, jakby stado zwierząt przedzierało się przez ogród. Co to było?

- My - powiedziała Alicja. - Ganiamy zbrodniarza. Skąd to masz?

Anita spojrzała na trzymany w ręku pistolet.

- No właśnie, nie wiem. Wypadło z krzaków, jak szłam, więc podniosłam. Rzucaliście tym za nim? Mam wrażenie, że z tego się raczej powinno strzelać!

Pan Muldgaard poruszył się wreszcie, podszedł do niej i ostrożnie

wyjął jej broń z ręki. Od razu poczuliśmy się pewniej.

- Skąd się tu wzięłaś? - zainteresowałam się, odetchnąwszy z dużą ulgą.

- Idę od stacji. Czy jest was więcej? Mam wrażenie, że jeszcze ktoś leciał...

Zdaniem Anity tuż przed nami ktoś z hałasem i trzaskiem przedarł się, względnie przeskoczył, przez sąsiedni żywopłot, odgradzący ogród Alicji od następnego. Nie widziała tego kogoś, tylko słyszała.

Równocześnie z krzaków wypadł na trawę przy chodniku pistolet, który podniosła bezmyślnie, zaniepokojona odgłosami, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Przedtem słyszała chyba jakiś krzyk, a zaraz potem z dziury w żywopłocie wyleciała wataha czarnych postaci.

- To właśnie my - poinformowała Alicja.

- A owszem, to już widzę...

- O rany boskie, na co my czekamy?! - zdenerwował się Paweł. - Jeśli on poleciał dalej, to trzeba go gonić!

- Oszalałeś! - zaprotestowała Zosia. - Gdzie go chcesz gonić w ciemnościach?! Już jest daleko i pewnie znowu ucieka samochodem!

- Może dzisiaj jest na piechotę?

- Nonsens - powiedziała stanowczo Alicja. - Mógł lecieć w każdą stronę. Dajmy temu spokój. O, słyszycie...?

Z oddali dobiegł warkot zapuszczanego silnika. Jeżeli był to morderca, istotnie pogoń za nim nie miała wielkiego sensu. Paweł z żalem zawrócił w kierunku dziury.

- Ciekawe, dlaczego wyrzucił pistolet - powiedział w zamyśleniu.

- Pewnie wcale nie wyrzucił. Mógł mu wypaść, jak przełaził przez żywopłot.

- Powinien go mieć na szelkach - powiedziała Anita, schylając się pod gałęzią. - Wszyscy szanujący się mordercy noszą pistolety na szelkach. Może mu pękły szelki?

- Ciekawe, dlaczego laźł przez żywopłot, zamiast wyskoczyć na ulicę - powiedziała Alicja podejrzliwie.

- Zdaje się, że chciał - odparła Anita z nagłym ożywieniem. - Mam wrażenie, że w tym miejscu, gdzie potem was zobaczyłam, coś się pokazało i zniknęło.

- Myślisz, że wystawił łeb, zobaczył ciebie i cofnął się?

- Myślę, że wystawił nawet więcej niż łeb i rzeczywiście się cofnął. Ja się nie ukrywałam. Pewnie go zaskoczyło...

W drzwiach tarasu stał w najwyższym stopniu rozwścieczony Bobuś w pizamie, trzymając się za głowę.

- To jest niemożliwe, co tu się wyprawia! - powiedział z irytacją. - Dom wariatów! Wiesz, Alicja, że doprawdy nie posądzałem cię o dowcipy na tym poziomie! Jak tak dalej pójdzie, naprawdę będziemy zmuszeni wyjechać.

- O Boże! - szepnęła za mną Zosia tonem pełnym nadziei. - Nie wierzę w takie szczęście...!

- Paweł, ładuj się do następnej dziury! - szepnęłam stanowczo, odwracając się do idącego z tyłu Pawła.

- Kiedy drugiej chyba nie ma - odszepnął zmartwiony Paweł. - A jeśli nawet jest, to ja nie wiem gdzie.

- Może warto wykopać...?

- To jest wprost chuligaństwo! - mówił Bobuś, płonąc oburzeniem. - Kika się szalenie zdenerwowała!

Alicja z wyraźnym wysiłkiem starała się ukryć uciechę.

- Nic ci na to nie poradzę, tutaj zawsze coś takiego się dzieje -

wytłumaczyła mu życzliwie. - Nawet się dziwię, że tak mato. Uprzedź Kikę, że może być gorzej.

Bobuś łypnął na nią okiem pełnym zgorzzenia i odrazy, otworzył usta, fuknął, jęknął i wycofał się z godnością, oburzeniem i wstrętem do swojego pokoju.

Pan Muldgaard opanował wreszcie zaskoczenie, odzyskał energię i przystąpił do działania. Wziął w krzyżowy ogień pytań kolejno najpierw Pawła, a potem Anitę. Paweł, jak się okazało, siedział na skarpie obok atelier i wpatrywał się z zapalkami w rękę w zbocze grobowca, gdzie, jego zdaniem, coś się poruszało. Mogło to być tylko upragnione zwierzę doświadczalne, żerujące po nocy. Nagle jego uwagę zwrócił jakiś ruch w głębi ogrodu. Czarna sylwetka, czając się za drzewami, prześliznęła się w kierunku okien środkowego pokoju, gdzie siedzieliśmy wszyscy razem, i zatrzymała się, zasłonięta przed jego wzrokiem grobowcem. Chciał po cichu zbliżyć się do sylwetki i napaść ją, ale trafił na tę dziurę, zamaskowaną deskami...

- Resztę wiecie - zakończył ponuro.

- Skąd ta dziura się wzięła?!

- Nie wiem, ja jej nie zrobiłem. Nic nie wiedziałem, wszedłem i nagle się załamało...

- O rany boskie, zapomniałam was uprzedzić - wyznała z głęboką skruchą i zakłopotaniem Alicja. - To ja ją wykopałam już dawno temu i przykryłam deskami. Żeby nikt nie wpadł...

- To ci się istotnie udało osiągnąć - powiedziałam z niesmakiem. - Istny cud, że ani razu w to nie wleciałam! Pętam się tu przecież dookoła każdej nocy.

- A to czarne uciekło? - zainteresowała się Zosia.

- Zdawało mi się, że uciekło, ale dopiero jak wyście wylecieli.

Anita ze swej strony jechała z Hillered do Kopenhagi i po drodze przyszło jej na myśl, żeby wysiąść w Allerød i wpaść na chwilę do Alicji po następne wiadomości. Jechała pierwszym wagonem, który zawiózł ją bardzo daleko, nie chciało się jej wracać i poszła drugą stroną, ulicą nieco okrężną, prowadzącą na tyły posiadłości Alicji. Była jeszcze dość daleko, kiedy usłyszała krzyk, a potem dalsze hałasy, przyśpieszyła więc kroku tylko po to, żeby znieruchomieć w pobliżu dziury.

Pan Muldgaard wyraźnie sposepniał, z namysłem przyglądając się Alicji.

- Niedobrze - rzekł. - Światłość była na pani osoba. On wykonywała zamiara poprzez okno. Pani winna nie siadywać na światłość.

- W ogóle to siadywam na tyłku - mruknęła Alicja. - I co mam zrobić? Zamknąć się w wychodku?

- Zakamuflować otwory - odparł pan Muldgaard uroczyście, czyniąc gest imitujący zaciąganie zasłon.

Zasłon na oknach nie było. Alicja spojrzała niepewnie po oknach.

- Powinnaś to zrobić! - powiedziała Zosia stanowczo. - Masz tyle różnych szmat, że można tu coś zawiesić! Uważam, że przesadzasz z tą nieostrożnością!

- Owszem, powiesić jest co, tylko nie ma na czym...

- Jak to? Przecież miałaś taki pręt?

- Tak, ale on zginął...

- Jak to zginął?

- No tak zwyczajnie. Nie ma go już parę miesięcy. Szukałam wszędzie, ale bez rezultatu. Sama się zastanawiałam, gdzie on się mógł podziać!

Przyjrzelśmy się jej w osłupieniu i niemal z podziwem. Pręt do zasłon miał przeszło trzy metry długości. Ilość miejsc, w których mógłby

się zmieścić w domu, zarówno pionowo, jak i poziomo, była zdecydowanie ograniczona. Zgubić coś równie trudnego do zgubienia to już doprawdy była duża sztuka!

Niemniej jednak pan Muldgaard upierał się przy swoim, domagając się od Alicji zastosowania specjalnych środków ostrożności. Usatysfakcjonowana wizytą Anita zaczęła się żegnać.

- Właściwie nie wiem, co ci przyjdzie z zasłon, skoro tu nie ma szyby - powiedziała, wskazując ślad po zamachu na Bobusia. - Kiedy zamierzasz ją wstawić?

- Jutro. Już się umówiłam. Rano przyjdzie człowiek i przyniesie. Znow się spóźnię do pracy, bo chyba muszę na niego poczekać.

Pan Muldgaard, znacznie mniej usatysfakcjonowany niż Anita, z niechęcią patrzył na wybite okno i potężająco kręcił głową.

- Ukrywać otwory - mówił. - Nocny spoczynek zaweksłować na inne miejsce. Nie objaśniać własna osoba...

- Dobrze, zweksluję się na kanapę - zgodziła się Alicja i odebrała telefon, który właśnie zadzwonił.

W czasie jej rozmowy, prowadzonej po duńsku, pan Muldgaard jeszcze raz z naciskiem podkreślił fakt istnienia grożącego zewsząd niebezpieczeństwa i bez wielkich trudności nakłonił Anitę do przyjęcia propozycji odwiezienia jej do Kopenhagi. Pożegnali w końcu Alicję i wyszli razem.

- Chciałabym wiedzieć, kiedy ja wreszcie pójde wcześniej spać - powiedziała Alicja z irytacją, zamknąwszy za nimi drzwi. - Jens dzwonił, że będę musiała jutro podpisywać jakieś papiery czy coś takiego, ale on wróci z tym do domu dopiero wpół do jedenastej i o wpół do jedenastej mam być u niego. Pewnie się przeciągnie do północy.

- Dlaczego nie przyjdzie z tymi papierami tutaj? - skrzywiła się

Zosia. - Musisz ty tam jechać?

- Bo oprócz mnie podpisuje jeszcze parę osób. Ole, Kirsten i ktoś tam jeszcze i też jutro. Musiałby latać do wszystkich. A o ósmej rano te papiery ma dostać adwokat. A wcześniej ich nie będzie miał. Nie znam się na tym i nic mnie nie obchodzi, ostatecznie wszystko mi jedno, gdzie ja to podpisuję.

- To może chociaż dzisiaj idź wcześniej spać?

- Czekaście - wtrącił się ostrożnie Paweł. - Czy wam się to nie wydaje podejrzanę?

- Które? - spytała nieufnie Alicja, zatrzymując się w połowie wylewania z dzbanka resztki kawy.

- No... Ta Anita. Nie chciałem wcześniej nic mówić, ale ona tak się jakoś nagle znalazła na ulicy...

Zosia, która wstała z fotela w celu posprzątania ze stołu, usiadła z powrotem.

- No właśnie - powiedziała podejrzliwie. - Skąd ona się tam właściwie wzięła?

- Ze stacji - odparłam. - Słyszałaś, co mówiła.

- Co z tego, że mówiła? Mogła zełgać! Prawdę mówiąc, mnie również obecność Anity za żywopłotem wydała się nieco dziwna. Informacje o nowych wydarzeniach mogła uzyskać od nas przez telefon. Skąd ta nagła chęć odwiedzenia Alicji?

- Myście logicznie - powiedziała Alicja. - Gdyby to ona popełniała te zbrodnie i gdyby czatowała w ogrodzie na następną, to nie stałaby tam przecież z pistoletem w ręku! Schowałaby go albo wyrzuciła!

- Mogła nie zdążyć.

- Nonsens! Co najmniej parę minut upłynęło, zanim wylecieliśmy na zewnątrz! Mogła w ogóle uciec dwadzieścia pięć razy!

- Ale... - powiedział niepewnie Paweł.

W tym momencie ktoś gwałtownie załomotał do drzwi.

- Rany boskie, kogo diabli niosą? - zaniepokoiła się Alicja, podnosząc się i idąc ku wejściu.

- Chyba w złą godzinę wymówiłaś, że mamy spokojny wieczór - mruknęła z wyrzutem Zosia.

Do przedpokoju wszedł Roj. Wydawał się jakiś dziwny i trochę niepodobny do siebie. Był średnio uprzejmy, ponuro poważny i wyraźnie zdenerwowany, co mogło tylko oznaczać, że jak na duńskie odczucia, szaleją w jego wnętrzu istne tajfuny. Alicja taktownie nie okazała zdumienia i zaskoczenia.

- Przepraszam, czy nie było tu mojej żony? Ewy? - spytał Roj bez wstępów, nie wiem po jakimu, bo zrozumieliśmy wszyscy. Prawdopodobnie pomieszał duński z angielskim.

- Ewy? - zdziwiła się Alicja, której nie zdążyłam powiadomić o popołudniowych wydarzeniach.

- A co, miała być?

- Nie wiem - powiedział Roj. - Myślałem, że była.

Postanowiłam się wtrącić, uznawszy, że ukrywanie wizyty Ewy nie ma żadnego sensu, a przy tym trudności językowe uniemożliwią zbyt szczegółowe wyjaśnienie kwestii. Przesadna dokładność była w tym wypadku, moim zdaniem, niepożądana.

- Tak, była - powiedziałam. - Chciała widzieć Alicję, ale było jeszcze za wcześnie. Alicja nie wróciła. Już dawno pojechała do domu.

- A - powiedział Roj. - Rozumiem. Dziękuję bardzo, przepraszam.

I skierował się z powrotem ku wyjściu. Alicja nagle oprzytomniała i gościnnie zaproponowała mu kawę. Roj odmówił, twierdząc, że jest bardzo późno, zresztą widać było, że do życia towarzyskiego raczej się

niezbyt nadaje. W wyjściu zatrzymał się jeszcze.

- Kiedy Ewa była? - spytał. - Kiedy wyszła?

- Parę minut po siódmej. Odprowadziłam ją na stację.

- Aha. Dziękuję bardzo. Dobranoc.

I wyszedł.

Popatrzyliśmy na siebie w osłupieniu, przy czym moje było jeszcze stosunkowo najmniejsze.

- Na litość boską, co się stało? - spytała zdumiona Alicja. - Cóż oni mnie tak dziwnie odwiedzają?

- Zapewne w samobójczych zamiarach - mruknęłam, niepewna, ile ze swoich wiadomości powinnam zdradzić.

- Dlaczego w samobójczych? - spytała Zosia.

- Liczą na to, że stracą życie przez następną pomyłkę zbrodniarza...

- Ten Roj był jakiś dziwny, nie uważacie? - przerwała Alicja. - Joanna, co ta Ewa wykombinowała? Dlaczego on jej szuka? Ona tu była sama?

- Tu była sama - odparłam z wyraźnym naciskiem na „tu”.

- A gdzie nie?

- Nie wiem. Prawdopodobnie gdzie indziej. Nie mam pojęcia, co wykombinowała, nie wiem, dlaczego jej nie ma w domu, bo powinna być, nie wiem, dlaczego Roj jej szuka i w ogóle to wszystko razem wcale mi się nie podoba.

Alicja patrzyła w wybite okno w posepnej zadumie.

- Mnie też nie. Skąd on się nagle wziął? Czy on jej rzeczywiście szuka? Dlaczego tu? Najpierw Anita, potem Roj...

- Myślałam w pierwszej chwili, że Paweł ma rację i Anita jest podejrzana - przerwała Zosia.

- Ale teraz nie jestem pewna. Anita stała na ulicy i wcale się nie ukrywała, a ten Roj wyskoczył jak diabeł z pudełka. Może to on się tam przedzierał przez ogród?

- Może oni w ogóle coś kombinują razem...?

- On był samochodem - powiedział Paweł. - Słyszałem, jak przyjechał i odjeżdżał.

- Nie wiem, czy Roj jest mordercą, chociaż to możliwe - wyznała Alicja z niechęcią. - Może on się skradał przez ogród, żeby zobaczyć, czy nie ma tu Ewy, a Paweł go spłoszył.

- I co, miał przy sobie pistolet, którym rzucał w Anitę?

- Ja się nie znam - powiedział Paweł niepewnie. - Ale może on chce zastrzelić swoją żonę?

- O rany boskie, dajcie spokój! - zniecierpliwiła się Zosia. - W końcu gdzie my jesteśmy?! W Hiszpanii, na Sycylii...?! Tu jest Skandynawia, kto tu morduje żony?!

- Duńskie żony są na ogół mało podobne do Ewy...

- No dobrze, ale to przecież nie o to chodzi! Edek nie był niczyją żoną! A zaczęło się od Edka! Opamiętajcie się!

Spróbowaliśmy się opamiętać i potrwało to prawie dwie godziny. Osobliwe poczynania Ewy i Roja uniemożliwiły mi zachowanie pełnej tajemnicy. Tak Zosia, jak i Paweł zorientowali się w końcu, że istnieje jakiś związek pomiędzy Ewą a facetem w czerwonej koszuli i na dobrą sprawę tylko Ewa mogła mieć jako tako uzasadnione motywy, żeby załatwić awanturującego się Edka. Anita poszła w niepamięć. Jedyne, co nas odrobinę stopowało w snuciu daleko idących podejrzeń, to całkowity brak jakichkolwiek wiadomości Alicji na ten temat.

- Po jakiego ciężkiego diabła ta Ewa miałaby teraz polować na mnie!
- mówiła zniecierpliwiona. - Daję wam słowo honoru, że ja o niej nic nie

wiem. Jeśli chce zachować sekret, to powinna zabić Joannę!

- Teraz już w ogóle powinna pozabijać nas wszystkich - zauważyłam. - Białą Glistę też, bo ona ją widziała.

- Najprościej byłoby rozpylaczem - wtrącił Paweł. - Wziąć pepeszę, ustawić równo i posunąć...

- Paweł, miałeś się umyć - powiedziała z roztargnieniem Zosia.

- Przecież już się umyłem!

- To idź spać. Alicja, słuchaj...

- Kto się teraz idzie myć? Zosiu, ty?

- Zaraz. Słuchaj, Alicja, ja cię proszę, nie śpij dziś we własnym łóżku. Ja nie wiem, nie chcę przesadzać, ale ten policjant ma rację. On się uparł na ciebie. Nie śpij tam, przynajmniej dopóki nie będzie tej szyby!

- To gdzie mam spać? W hotelu?

- Chociażby tu, na kanapie... Nie, tu ja będę spała, a ty u mnie!

- Mowy nie ma...!

Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. W nocnej ciszy wyraźnie to było słychać. Ktoś brzęknął furtką i zapukał do drzwi.

- Nie! - krzyknęła Zosia nerwowo. - Ja otworzę!

- Ale spokojny wieczór - powiedziała Alicja zgryźliwie, spoglądając na mnie. - Ciekawe, jaki jeszcze idiotyzm uda ci się wymyślić...

W przedpokoju ujrzałyśmy Ewę, której wygląd mógł wstrząsnąć najbardziej odporną jednostką. W takim stanie jeszcze nigdy jej nie widziałam. Rozczochrana, zapłakana, z rozmazanym makijażem, w szlafroku i narzuconym nań płaszczu, w rannych pantoflach, roztrzęsiona kompletnie i szczękająca zębami.

- Alicja - powiedziała złamanym głosem, opierając się o drzwi pralni. - Czy możesz mi pożyczyć trochę pieniędzy? Nie mam czym

zapłacić za taksówkę...

- Wejdz i uspokój się - powiedziała Alicja łagodnie, ale stanowczo. -
Zaraz zapłacę...

- Nie! - warknęła z furią Zosia. - Ja zapłacę. Alicja otworzyła usta,
żeby zaprotestować, spojrzała na nią i posłusznie oddała jej portmonetkę.
Ewa oderwała się od drzwi pralni, chwiejnie weszła do pokoju i padła na
fotel przy stole. Czekałyśmy cierpliwie, aż odzyska oddech i coś powie.

- Uciekłam z domu - szepnęła w końcu rozpaczliwie, beznadziejnie
przygnębiona i znękana.

- Na zawsze? - spytała z życzliwym współczuciem Alicja.

Ewa pokręciła jakoś niepewnie głową i wytarła nos w coś, co
wyciągnęła z kieszeni płaszcza, a co okazało się ściereczką do naczyń.

- Nie wiem. Alicja, czy ja bym mogła tu u ciebie... Joanna, czy Alicja
wie...?

- Nie wszystko. Trochę się orientuje, ale przecież zabroniłaś
komukolwiek mówić.

- To jej powiedz. Ja już nie mogę! Oni się spotkali w domu!... Roj się
wyprowadza... Giuseppe go okłamał... Ja mu nie umiem wytłumaczyć!...

- Szafa gra - rzekłam z westchnieniem na pytające spojrzenie Alicji.

- Wszystko się zgadza. Roj się usuwa, a ona go nie chce. Tego czarnego
nie chce. Przewidziałyśmy wszystko, aż się niedobrze robi.

Alicja zrozumiała w mgnieniu oka.

- Zostań tutaj, a do jutra się uspokoisz i wszystko się wyjaśni. Jak
chcesz, to ja Rojowi wytłumaczę, że wolisz jego. Po duńsku zrozumie. I
przestań płakać, bo cię żaden nie będzie chciał. Czekaaj, zrobię ci kawy...

- Daj jej kieliszek czegoś mocniejszego - poradziłam.

Zosia wróciła po zapłaceniu taksówki.

- Dobrze, że chociaż z tamtymi jest spokój - powiedziała ze wstrętem, wskazując palcem zamknięte drzwi sąsiedniego pokoju. - Chociaż ten spokój ciągle mi się wydaje podejrzany.

- Ja do nich więcej nie zaglądam! - zawołała gwałtownie Alicja. - Nawet gdyby pękli! Z hukiem!

- Na huk byś zajrzała. Ewa, zdejmij ten płaszcz, w szlafroku możesz zostać.

Ewa wypła kieliszek koniaku i filiżankę kawy i nieco chaotycznie, popłakując chwilami ze zdenerwowania, opowiedziała nam mniej więcej, co się stało. Awantura z Rojem wybuchła natychmiast po jego powrocie do domu, a sądząc z godziny, o jakiej to nastąpiło, pobił rekord trasy Allerød - Roskilde. Giuseppe spotkał się z nim wcześniej, dokładnie wtedy, kiedy ona była tu, w Allerød. Powiedział mu, że Ewa go kocha, że zdecydowała się go porzucić, że on nie ustąpi i nie wyrzeknie się jej, że ma większe prawa, że Roj stanowi wyłącznie idiotyczną przeszkodę na drodze do ich szczęścia, a Ewa trwa jeszcze przy nim tylko przez litość. Roj honorowo, ambicjonalnie i z miłości postanowił usunąć się natychmiast i zgłosił pretensje jedynie za łgarstwa, był bowiem zdania, że Ewa powinna mu była o tym wcześniej powiedzieć, a nie robić z niego balona w obliczu amanta. Zaprezentował upór, który Ewę doprowadził do ataku szału, na to objawił się czatujący pod domem Giuseppe. Roj uznał, że sprawa jest jasna, że to on powinien ją uspokajać i zrealizował zamiar usunięcia się bezzwłocznie, wykorzystując w tym celu samochód. Wobec czego Ewa uciekła taksówką, nie życząc sobie pozostawać w towarzystwie Giuseppe ani jednej minuty. W ten sposób na ruinach rozbitego domu pozostał natrętny wielbiciel i przerażona gosposia, skłóceni państwo zaś rozpierzchli się po świecie.

Wysłuchałyśmy tego, z pewnym wysiłkiem starając się nadażyć za jej myślą i zrozumieć, kto jest kto, kto komu kogo ustępuje, kto kogo

kocha i kto kogo porzuca, Ewa opowiadała bowiem w sposób pozwalający mniemać, że to Giuseppe kocha Roja, a ona z litości porzuca samą siebie. Widziałyśmy jednak obie, że nie należy od niej w tej chwili wymagać zbyt wiele.

- Będziemy to wyjaśniać jutro - zdecydowała Alicja. - Pogadam z Rojem, jeśli chcesz...

- Och, tak! Proszę cię! Wyłumacz mu to jakoś w tym okropnym języku!

- Dobrze, a teraz idziemy spać. Jesteś skonana, musisz odpocząć. Czekał, dam ci jakąś piżamę, mam bardzo piękną, nie używaną.

- Muszę się przedtem umyć...

- Dobrze, czekaj, gdzie ty będziesz spała...? Zgodzisz się spać tu na kanapie?

- Ależ tak! Gdziekolwiek! Proszę cię, nie rób sobie już więcej kłopotów przeze mnie!

- Jaki tam kłopot... - mruknęła Alicja i odwróciła się do mnie. - Sądziś, że to już koniec spokojnego wieczoru, czy przewidujesz jeszcze coś?

- Wypchaj się - odparłam nieżyczliwie. - Jeszcze tu mogą przyjechać odbydwaj, Roj i Giuseppe, i pojedynkować się w ogródku na szpady, ale to już nie będzie wieczór, tylko głęboka noc...

Wyczerpana przeżyciami Ewa położyła się i zasnęła natychmiast, wzdychając ciężko przez sen, Zosia gwałtownymi gestami wezwała nas obie do pokoju Alicji i zamknęła za nami drzwi.

- Alicja, jeśli uprzesz się spać tutaj, oświadczam ci, że ja resztę nocy przesiedzę na krześle pod oknem - powiedziała dramatycznie. - Nie podoba mi się to wszystko. Bardzo łatwo można się wyłgać w razie czego, że co znowu, ma się rozstrój nerwowy i zbrodnie nie w głowie, i kto to

widział podejrzewać osobę w takim stanie, a zwłoki leżą. Albo tu chodzi o chorą żonę, a zwłoki leżą...

- Wiesz co, powiedz to wszystko jeszcze raz w jakiejś innej kolejności - zaproponowała Alicja.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Jej chodzi o to, że Ewa symuluje rozstrój nerwowy po to, żeby tu zostać i zadźgać ciebie - wyjaśniłam. - Albo Roj przyjedzie pod pozorem szukania zrozpaczonej żony i też cię zadźga i w ogóle wszystko razem może być ukartowane przeciwko tobie. Ewa nie wygląda na symulantkę, ja tego Giuseppe widziałam i ja jej nawet wierzę, ale na twoim miejscu jednak spałabym gdzie indziej. Na wszelki wypadek. Alicja przyjrzała mi się jakoś dziwnie.

- I naprawdę uważasz, że to tak przyzwoicie, naturalnie i ładnie z mojej strony podkładać zamiast siebie jakąś inną osobę? Kogo, na przykład, miałabym teraz sobie wybrać na ofiarę?

- Nikogo, nie wygłupiaj się. Śpij w atelier na materacu. Miejsca jest dosyć.

- Najwyżej ty mi wejdiesz na głowę...

- Głupiaś. Możesz spać na dole. Żeby ci wejść na głowę, musiałabym zlecieć ze schodów.

- Ona ma rację - wtrąciła Zosia, zła jak diabli. - Dosyć tego, przestań wymyślać idiotyczne przeszkody! W atelier może spać pułk wojska i też się zmieści. Pościel na materac jest przygotowana, sama zmieniałam po praniu. Wynoś się stąd!

Po krótkim oporze Alicja uległa. Nie chcąc już budzić Ewy, a tym bardziej wdzierać się do Bobusia i Białej Glisty, obydwie obleciałyśmy kilkakrotnie dom dookoła, użytkując na zmianę atelier, kuchnię i łazienkę. Gruby materac z gumy piankowej istotnie był przygotowany i

wymagał tylko rozłożenia na podłodze. Wybrałyśmy nań miejsce takie, żebym, złącząc z katafalku, nie trafiła wprost na Alicję. Spacerów dookoła domu odbywałyśmy wspólnie, czego kategorycznie i konsekwentnie domagała się Zosia. Miałyśmy szczerzy zamiar na spokojnie rozważyć sobie zaistniałą sytuację, ale realizacja zamiaru zupełnie nam nie wyszła. Zapadłyśmy w sen, zanim udało nam się wypowiedzieć pierwsze zdanie.

Obudziłam się o świcie. Skądś, z daleka, dobiegał mnie natarczywy, ostry dźwięk telefonu. Najpierw pomyślałam, że odbierze Alicja, i nawet zdążyłam się zaciekawić, kiedy ją wreszcie szlag trafi na tę idiotkę, Kangurzycę, nikt inny bowiem nie mógł dzwonić o tej porze. Potem przypomniałam sobie, że Alicja śpi tutaj, w atelier, jest więc nadzieja, że nie usłyszy, i postanowiłam nie reagować. Potem przypomniałam sobie, że na kanapie śpi Ewa, którą ten telefon obudzi i która z kolei obudzi Alicję, i postanowiłam poradzić jej, żeby powiedziała, że Alicji nie ma. Wyjechała na tydzień. Telefon dzwonił i dzwonił i nikt go nie odbierał. Uparłam się, że nie wstanę. Alicja na szczęście pochrapywała, tak że nie miałam wątpliwości, czy żyje. Sen miała zawsze kamienny. Dziwiło mnie trochę, że Ewa to wytrzymuje.

Telefon dzwonił ze straszliwym uporem i nieznośną regularnością. Obok, w pokoju Bobusia i Białej Glisty, usłyszałam jakieś przytłumione odgłosy. Satysfakcja, że oni też usłyszeli, omal nie rozbudziła mnie całkowicie. Czekałam, co zrobią.

Cichy zgrzyt przesuwanych drzwi dał znać, że któreś z nich wstało i poszło do tego przeraźliwego telefonu, którego dźwięk zabrzmiał głośniej. I nagle, w chwilę później, znacznie przeraźliwiej niż telefon rozległ się straszliwy, wysoki, pełen dzikiej paniki krzyk Białej Glisty!

W mgnieniu oka dom napełnił się hałasem. Obie z Alicją zderzyłyśmy się w pierwszych drzwiach, przez drugie przemocą przepchnęłyśmy niemrawo ruszającego się Bobusia. Zosia i Paweł wpadli

od strony kuchni. Biała Glista, skulona na fotelu, zakrywała sobie twarz rękami i krzyczała. Telefon dzwonił. Bobuś zaczął wydawać jakieś niezrozumiałe przenikliwe okrzyki.

Ewa leżała na kanapie plecami do góry, w pozycji, w jakiej zazwyczaj sypiała Alicja. Gdyby Alicja nie stała obok mnie, byłabym przekonana, że to ona, Krótkie, czarne włosy miała identycznie rozczochrane, obie miały obecnie ten sam kolor włosów, obie prawdziwy, tyle że Ewa wróciła do niego zaledwie przed tygodniem, poprzednio bowiem była ciemno-ruda. W plecach jej tkwiła wyraźnie widoczna, rzucająca się w oczy, rękojeść cienkiego sztyletu...

- Do cholery z tym twoim spokojnym wieczorem!!! - krzyknęła z rozpaczliwą furią Zosia.

- Już jest rano! - zaprotestowałam z oburzeniem. - O spokojnym poranku nie mówiłam!...

- Uspokój ją, do diabła, rób sobie z nią, co chcesz, ale niech się wreszcie zamknie! - żądała z wściekłością Alicja od Bobusia, pchając go w stronę Białej Glisty.

- Co jest z tym telefonem, jak rany, trzeba gdzieś zadzwonić...! - zdenerwował się Paweł.

- Na litość boską, niech to ktoś wreszcie odbierze!!!

- Powiedźcie tej starej cholercze, żeby się odczepiła, do wszystkich diabłów! To Kangurzyca! Ewa...!

- Niech się pani odczepi!!! - wrzasnął z gniewem Paweł do telefonu.
- Tu nikt nie ma czasu!!!

Nie dowierzając samej sobie, bez tchu, w napięciu, macałam Ewie przegub zwisającej z kanapy ręki. Albo miałam złudzenie, albo ten puls rzeczywiście bił...

- Ewa żyje!!! - wrzasnęłam, usiłując ich wszystkich przekrzyczeć. -

Słuchające, ona żyje!!! Pogotowie!!!!...

- Paweł...!!!

Paweł ze słuchawką przy uchu wydawał się jakiś osłupiały.

- Co? - powiedział. - Aha. Tak, jest ofiara. Jeszcze żyje, trzeba pogotowie! Myśleliśmy, że to Kangurzyca... Wszystko jedno! Prędej!...

Odłożył słuchawkę, zanim Alicja zdążyła mu ją wydrzeć.

- Wcale nie Kangurzyca - powiedział. - To pan Muldgaard. Widzieli, jak morderca przyjechał, zaraz tu będą...

Zdenerwowana i w najwyższym stopniu rozwścieczona Zosia przyniosła z kuchni wielki sagan wody i chlusnęła całą zawartością na Białą Glistę. Biała Glista zachłysnęła się i przenikliwy krzyk wreszcie ucichł. Roztrzęsiona Alicja ostrożnie badała Ewę.

- Spójrz - powiedziała głosem, pełnym jednocześnie napięcia i nadziei. - Spójrz, gdzie on ją dziabnął...

Spojrzałam. Sztylet tkwił z prawej strony. Popatrzyłyśmy na siebie.

- On wiedział, że masz serce z prawej strony.

Celował w ciebie...

- Idiotka, wcale nie mam serca z prawej strony, sama to wymyśliłaś - zdenerwowała się Alicja.

- Mam z lewej, jak normalny człowiek, tyle że trochę przesunięte! Zrobiłaś ze mnie zwyrodnialca na całą Europę!

- Chwała Panu na wysokościach! Nie czepiaj się, może ona dzięki temu z tego wyjdzie! Może nie trafił...!

Biała Glista odzyskała wreszcie ludzką mowę i z dziką furią oświadczyła, że ona stąd wyjeżdża jeszcze dziś. Wszyscy kolejno wleźliśmy w kałużę wody, którą Zosia na nią wylała. Bobuś przestał w ogóle z nami rozmawiać. Pogotowie objawiło się w ciągu kilku minut, pan

Muldgaard w kwadrans później.

- Drobiazg - powiedział lekarz pobłaźliwie.

- Skaleczone mięśnie, nic więcej. Wyleczy się bardzo łatwo. Zabieramy ją od razu.

Pijąc kawę o wpół do szóstej rano, napawałyśmy się bezgraniczną ulgą. Przynajmniej raz pomylenie następnej ofiary z Alicją okazało się na coś przydatne. Moja niedyskrecja w kwestii jej przesuniętego serca uratowała życie Ewie, która szczęśliwie miała wszystko na swoim miejscu. Według opinii lekarza cios został zadany dosłownie przed chwilą, według opinii pana Muldgaarda nie wcześniej niż za kwadrans piąta, nawet za dziesięć minut. Według naszej opinii równocześnie morderca wznosił sztylet, a telefon zadzwonił. Przerażliwy dźwięk, tak nieoczekiwany o tej porze, musiał go spłoszyć. Nie miał czasu odliczać sobie na jej plecach centymetrów i precyzyjnie mierzyć, dziabnął z prawej strony i natychmiast uciekł w przekonaniu, że za chwilę ktoś wyjdzie podnieść słuchawkę. Przedtem jeszcze szukał zapewne Alicji w jej pokoju, ujrzał, że jej tam nie ma, ujrzał ją na kanapie...

- Tośmy go tym razem gruntownie zmacili - powiedział Paweł z nadzwyczajną satysfakcją.

Miałam potworne wyrzuty sumienia. Gdybym poszła do tego telefonu od razu, jak tylko mnie obudził, gdybym w dodatku poszła naokoło, przez ogród, być może trafiłabym akurat na mordercę! Być może nawet zdołałabym mu przeszkodzić! Ewa nie zostałaby nawet draśnięta! Powinna dać mi po pysku natychmiast po wyjściu ze szpitala! Roj powinien spluwać na sam mój widok...!

- Nie przejmuj się tak okropnie - pocieszyła mnie Alicja. - Grunt, że ona żyje. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, w ten sposób wiemy na pewno, że to nie ona. Coraz mniej osób zostaje.

- Ściśle biorąc, już tylko Roj i Anita. Oraz cała reszta ludzkości, jeśli to był ktoś z zewnątrz.

Pan Muldgaard przyłączył się do nas i wyraził zgodę na wypicie kawy, pod warunkiem jednakże, że zaparzemy z paczki, którą przywiózł ze sobą. Gotowi byliśmy spełnić wszelkie jego życzenia, byle wreszcie powiedział, co było przedtem i skąd wiedział, że morderca jedzie popełnić następną zbrodnię. Zanim jednakże zdążył otworzyć usta, zadzwonił znów telefon. Alicja spojrzała na zegarek.

- Za dziesięć szósta - powiedziała złowrogo. - Jeśli to Kangurzyca...

Okazało się, że nie Kangurzyca, tylko Roj. Bez żadnych względów dla jego uczuć Alicja powiadomiła go, że tym razem zbrodniarz trafił w jego żonę. Roj po drugiej stronie przewodu dostał szału, zupełnie nie duńskiego, szczególnie że Alicja nie omieszkała powiedzieć mu przy okazji, co myśli o jego idiotycznym postępowaniu i oburzającym maltretowaniu Ewy. Gdyby się nie wygłupiał z tym ustępowaniem z drogi, Ewa nie uciekłaby z domu, nie nocowała w Allerød i nie została następną ofiarą...

- Albo zemdłał, albo go w ogóle trafił szlag - powiedziała mściwie, odłożywszy słuchawkę. - Jeśli jest mordercą, to dobrze mu tak. Może się teraz wreszcie pogodzą.

- A jeśli nie jest mordercą, to go będziesz na klęczkach błagać o przebaczenie za nietakty - uzupełniłam. - Ja zresztą też, za lenistwo. Będzie miał dosyć dużo roboty z przebaczeniem.

- Zamknij się wreszcie i dopuść pana do głosu! - powiedziała Alicja z gniewem. - I w ogóle przestańcie przeszkadzać!

Nie wiadomo, do kogo to było skierowane, bo Zosia i Paweł nie odzywali się ani słowem. Bobuś i Biała Glista kotłowali się w swoim pokoju, skąd dobiegały chwilami odgłosy czegoś w rodzaju awantury.

Twardo postanowiliśmy nie zwracać na to uwagi.

- Pracownik mój obaczał czarna figura - rzeki pan Muldgaard. - Zamazana czarna figura przybyła w samochód. Mercedes. Niepewne być może, albowiem figura owa wizytowała inne ogrody. On posiada radio, on posiada telefon, on wieści dawa do mnie. Na każdy incydent ja telefonowyywa tu długi okres, bardzo długi okres, w pełnia obawy wszystkie osoby nieżywe. Potem jedna osoba ku mnie rzecze, niech pani odczepi. Dlaczego pani? Osobliwość taka, kangurzyca, co to jest! Dlaczego? Spodziewanie inne było?

Wszelka policja świata, dzwoniąc do miejsca zbrodni, interesuje się wypowiedziami rozmówcy, szczególnie jeśli ów rozmówca zmienia policji płęć i wypowiada niezrozumiałe wyrazy. Nic dziwnego, że interesował się tym i pan Muldgaard.

Wyjaśniliśmy mu bez oporów kwestię Kangurzyca oraz przyczyny, dla których jego telefon został tak oryginalnie przyjęty. Zaspokoiwszy ciekawość, poinformował nas dalej, że jego człowiek zajmował się każdym samochodem, płaczącym się w nocy po terenie Allerød. Dróg wjazdowych było na szczęście niewiele. Wszystko wskazywało na to, że czarna figura, której zamazanie polegało na niemożności rozpoznania, kim jest, przekradła się do ogrodu Alicji przez inne posesje, po czym uciekła wcale nie do pojazdu, którym przybyła i przy którym człowiek pana Muldgaarda przytomnie czatował, tylko w zupełnie inną stronę. Niewyraźne dźwięki, dochodzące z tej innej strony, wskazywały na obecność drugiego samochodu, którym figura odjechała. Należało z tego wnosić, że miała współnika i obawiała się zasadzki. Złapany mercedes okazał się zwyczajnie ukradziony z parkingu na Andersen Boulevard, w pobliżu miejsca, gdzie sama kiedyś mieszkałam. Właściciel mercedesa spał błogim snem i nic nie wiedział o kradzieży, co zbadano na oczekaniu. Był poza podejrzeniami.

- Ja bardzo proszę - rzekł pan Muldgaard z naciskiem. - Żadne więcej goście!

Kategorycznie, gwałtownie i z zapalem Alicja przysięgła, że nikogo więcej nie wpuści za próg domu. Nawet gdyby następni mieli nocować na dworcu kolejowym!

- Pan podrapano na głowa i pani Biała Glista ja takó¿ proszę won!

Akurat w tym momencie Biała Glista wyszła z pokoju i usłyszała ostatnie słowa. Nie zdołała się opanować.

- Co takiego? - spytała, patrząc na pana Muldgaarda wzrokiem zaskoczonych harpii.

Pan Muldgaard, żeby nie było wątpliwości, stanowczym gestem pokazał ją palcem, zanim zdążyliśmy go powstrzymać.

- Pani Biała Glista i ten pan proszę precz! Odjazd!

Białej Gliście zabrakło tchu. Nam też. Nikomu wcześniej nie przyszło do głowy, że pan Muldgaard zasłyszane miano potraktuje poważnie i uzna je za nazwisko. Ujawnianie przed Bobusiem i jego ukochaną wszystkich naszych uczuć nie leżało w niczyich zamiarach, a od lat używane określenie stanowiło naszą słodką tajemnicę. Szczególnie teraz, kiedy Biała Glista upasła się nieprzyzwoicie i przestała ubierać się na białe, straciło właściwie uzasadnienie i wymagało daleko idących wyjaśnień. Zaciekawilo mnie, czy Bobuś zerwie z Alicją wszelkie kontakty, czy też poprzestanie na zrobieniu awantury.

Za Białą Glistą trzasnęły szarpnięte gwałtownie drzwi.

- No to teraz chyba wreszcie wyjadą - powiedziała mściwie Zosia.

Stropiona i zakłopotana przez chwilę, Alicja machnęła ręką.

- Bierz ich diabli - powiedziała z determinacją. - Jak Bobuś chce, to mu mogę w oczy powiedzieć, co o nich myślę. Nawet będzie lepiej, niech sobie nie wyobraza, że ja to aprobuję! Zamtuz sobie znaleźli!...

Pan Muldgaard, nie mając pojęcia, co narobił, wrócił do tematu, dopytując się, dlaczego Ewa w piżamie Alicji spała na kanapie i dlaczego Alicja nie spała we własnym łóżku. Sam wprawdzie zalecał to ostatnie, był jednak ciekaw, czy jego zalecenie wystarczyło.

Wytrąceni nieco z równowagi, w zdenerwowaniu zdradziliśmy mu więcej niż pierwotnie mieliśmy ochotę, i kłopotliwy Giuseppe stał się nagle obiektem jego zainteresowania. Widząc, że nie ma już innego wyjścia, powiedzieliśmy o kontaktach Edka z czarnym facetem w Polsce. Pan Muldgaard nie okazał zdziwienia, poczynił sobie notatki, zganił naszą powściągliwość w udzielaniu informacji, pochwalił ostrożność i porzucił towarzystwo.

Bobuś uniósł się honorem do tego stopnia, że zostawił czek na sumę wyrównującą wartość magnetofonu. Biała Glista opuściła dom Alicji bez słowa, nie żegnając się z nikim. Alicja włożyła czek do koperty i wysłała na adres żony Bobusia. Przyszło dwóch facetów, przynieśli szybę i wstawili ją w okno. O jedenastej zapanował święty spokój.

- Idę do pracy - powiedziała Alicja. - Z biura zadzwonię do szpitali i dowiem się o wszystkich. Pilnujcie domu, bo nie mam pojęcia, co on teraz wymyśli.

W godzinę zaledwie później powiadomiła nas telefonicznie, że wszystkie ofiary czują się doskonale. Agnieszka i pani Hansen już przytomnieją, a Włodzio i Marianne narzekają na dietę. Thorsten zostanie wypuszczony ze szpitala nazajutrz. Użyty przeciwko Ewie sztylet zatrzymał się na żebrach, nie dosięgając płuca, Ewa jest przytomna, acz nieco zdenerwowana, Roj siedzi przy jej wezglowiu i usiłuje całować ją po piętach. Zrozumieliśmy tę akrobatyczną przenośnię jako sygnał, że Giuseppe nie ma tu już nic do gadania.

- Aż zbrodni potrzeba, żeby głupiego chłopca doprowadzić do przytomności - mruknęła Zosia z niesmakiem.

- Pewnie - przyświadczyłam. - Gdyby nie to, kotłowałiby się tak jeszcze Bóg wie dokąd. Do nich trzeba mieć jednak końskie zdrowie.

- Masz na myśli tych dwoje czy facetów w ogóle?

- Raczej facetów w ogóle. Ewa i Roj, jak dotąd, nie przysparzali zmartwień ani sobie, ani nikomu. Pojęcia nie mam, co ich teraz napadło.

- Jeżeli Ewa nie popełniła tych zbrodni...

- Trudno przypuszczać, że sama siebie dziabnęła od tyłu - zauważyłam krytycznie.

- No tak. Jeśli więc nie ona, to możliwe, że to Roj, ale Roj wydaje mi się zupełnie bez sensu. Ewa przynajmniej miała jakieś motyw, a Roj co?

- Nie wiem. Musi być coś, o czym nie wiemy. Zastanawiam się, czy przypadkiem ten cały Giuseppe nie wykorzystał sytuacji dla swoich prywatnych celów i czy nie usiłował zgładzić Ewy z zazdrości i przez zemstę...

- I dziabnął ją tam, gdzie Alicja ma serce? - przerwała Zosia z dezaprobatą. - I co, przeczucie mu powiedziało, że osoba, która śpi w domu Alicji i w jej piżamie, to Ewa? I jeszcze wiedział, że szyba jest wybita i może swobodnie wejść? I do tego wszystkiego miał współnika?

- No nie - przyznałam. - Rzeczywiście. Bardzo ładnie nam wychodzi zgadywanie, kto nie jest mordercą, gorzej ze zgadywaniem, kto jest...

We wczesnych godzinach popołudniowych pan Muldgaard przysłał człowieka z samochodem po Pawła. Giuseppe był do dyspozycji, należało go obejrzyć i stwierdzić, czy to istotnie on usiłował jeździć furgonetką od węgla na ulicy Gagarina w Warszawie. Jego paszport wskazywał, że kiedyś tam w Polsce był. Paweł pojechał, niesłuchanie przejęty.

Zosia wyjęła pocztę z wiaderka w szopie, służącego jako skrzynka na listy.

- Masz, jest do ciebie - powiedziała. - Zdaje się, że na to czekałaś?

Przyjrzała mi się krytycznie, kiedy otwierałam kopertę i dodała:

- Czy nie zgłupiałaś przypadkiem na jego punkcie? Przyznaję, że wydaje się na poziomie, ale w tym stanie jeszcze cię nie widziałam. Podejrzewam, że w końcu wyjdiesz za mąż!

- Zgłupieć, owszem, zgłupiałam - wyznałam uczciwie. - W zamążpójście bardzo wątpię, głównie dlatego, że jako żona to ja jestem do niczego. Nie będę przecież człowieka do siebie zrażać! Natomiast jeśli już chcesz koniecznie wiedzieć prawdę...

Zatrzymałam się, zastanowiłam i doszłam do wniosku, że i tak tyle tajemnic wychodzi tu na jaw...

- Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to w tej korespondencji może się znaleźć coś w rodzaju wyjaśnienia tutejszych zbrodni. Nie jestem pewna, ale coś powinno być.

Zosia przejęła się tak, że wyrzuciła do śmieci trzymaną w rękę ścierkę do talerzy.

- Na litość boską, znów się wplątałaś w jakieś takie...! Co on ma z tym wspólnego?! Tak porządnie wygląda!... Czytaj prędzej!. Spróbowałam spełnić jej życzenie, westchnęłam, pokręciłam głową i wróciłam do początku listu.

- Przeciwnie. Muszę czytać wolniej, jeśli mam wszystko zrozumieć...

Przeczytałam upragnione wiadomości trzykrotnie. Z pewnym trudem zmusiłam się do zaniechania po raz czwarty czytania fragmentów całkowicie prywatnych i skupiłam się nad fragmentami mniej prywatnymi. Zosia stała nade mną jak kat nad skazańcem. Nie ulegało wątpliwości, że śmierć Edka narobiła kłopotów różnym, bliżej niesprecyzowanym osobom. Nadal nie było wiadomo, jakim nazwiskiem przedstawiał mu się facet w czerwonej koszuli. Nawet i bez nazwiska jednakże stało się już pewne, że ów facet był jednostką nad wyraz

podejrzana. Związany był z jakąś nie znaną mi całkowicie niesympatyczną organizacją i współpracował z kimś z naszego otoczenia w Allerød. Istniały przypuszczenia, że tym kimś była Alicja, dalszy ciąg wydarzeń jednakże sprawił, że przypuszczenia upadły. Może to być mężczyzna, może to być kobieta, ale raczej kobieta. Mamy zachować daleko idącą ostrożność, bo rzecz jest poważna i morderca nie cofnie się przed niczym, pewną pociechę stanowi fakt, że całość imprezy nie dotyczy bezpośrednio naszego kraju, organizacja uprawia swoją działalność na innych terenach, u nas ograniczając się tylko do machlojek finansowych. Poza tym jej nie obchodzimy. Ona obchodzi nas o tyle, że nie lubimy, jako kraj, służyć pomocą finansową, nawet bezwiednie, różnym niesympatycznym organizacjom. Tu należy szukać osoby, która dużo podróżuje i nie budzi żadnych podejrzeń.

Tyle udało mi się wywnioskować z informacji zawartych w liście.

- Przestań mieć taki rozanielony wyraz twarzy i mów, co wiesz! - zażądała Zosia niecierpliwie. - Nie wiem, jakim sposobem, ale może się wreszcie coś wykryje!

Streściłam jej moje wnioski.

- Gdyby nie to, że nie podróżujesz bardzo dużo, pasowałabyś jak ulał - dodałam jadowicie. - Nie budzisz podejrzeń, z facetem mogłaś się stykać, Edka znałaś...

- Odczep się! - zdenerwowała się Zosia. - I popełniam zbrodnie, znajdując się gdzie indziej! Telepatycznie chyba albo siłą woli! Anita by pasowała, gdyby nie to, że ona właśnie budzi podejrzenia. Nie chcę się czepiać, ale jednak najlepsza jest tu Ewa. Ustawicznie jeździ gdzieś służbowo, podejrzeń nie budzi, czarnego faceta zna, a mógł ją dziabnąć jej wspólnik dla kamuflażu. Zauważ, że w takich sprzyjających warunkach nie zrobił jej nic złego!

- Zupełnie nie budzi podejrzeń Roj - mruknęłam w zadumie. - Wręcz nie sposób się do niego przyczepić. I ta rozpacz teraz, przez pomyłkę zadźgał ukochaną żonę... Co to za jakaś cholerna organizacja, nic mi nie przychodzi do głowy. Takich idiotycznych zbrodni nie może popełniać żadna szanująca się organizacja.

- Widocznie to jest organizacja, która się nie szanuje - zawyrokowała Zosia. - Dajmy jej spokój na razie, ważniejsze jest, czy Paweł rozpozna faceta.

Oczekiwany przez nas w napięciu Paweł wrócił dopiero późnym popołudniem, prawie równocześnie z Alicją. Był głęboko rozczarowany i zmartwiony.

- Postawili przede mną ze dwudziestu takich samych, czarnych i w czerwonych koszulach - powiedział z urazą. - Skąd oni tyle tego wzięli? Żaden nie pasował, w ogóle byli niepodobni. Co gorsza, potem się wykryło, który to jest ten Giuseppe od Ewy, obejrzałem go jeszcze raz, ale na nic. To nie on.

- I po diabła myśmy siedzieli tyle czasu w Angletterre? - spytałam z niezadowoleniem. - Co nam w ogóle daje ten romans Ewy?

- Doświadczenia życiowe - wyjaśniła Zosia pouczająco. - Miłość jest szkodliwa, weź to pod uwagę

- Ty lepiej weź pod uwagę, że mamy zachować daleko posuniętą ostrożność. Bobusia i Białą Glistę diabli wynieśli, niewiele nas już zostało do wyboru. Co gorsza, nie wiadomo, jakim sposobem, bo sztylet już też odpracował...

Osobliwa pedanteria mordercy, sprawiająca, że przy użyciu każdego narzędzia poprzestawał na dwóch próbach, rezygnując z trzeciej, pozwoliła nam nieco spokojniej spożywać posiłki. Truciznę, sztylet i broń palną mieliśmy z głowy. Młotek również. Mimo najszczerszych wysiłków

nie udawało nam się odgadnąć, co przedsięwzięcie następnym razem. Paweł upierał się przy pułapce, twierdząc, że pomysł już ma i brakuje mu tylko dwudziestu koron. Obie z Zosią, nie bacząc na protesty Alicji, która z oślim uporem lekceważyła grożące jej niebezpieczeństwo, ustaliłyśmy, że co noc będzie spała na innym łóżku, zamiast niej natomiast w poprzednim posłaniu będzie układana kukła.

Około siódmej przybył zniecka Jens z papierami, które Alicja miała podpisywać późnym wieczorem. Okazało się, że uzyskał je i był wolny wcześniej, wobec czego, szlachetnie biorąc pod uwagę jej przykrości życiowe, od niej zaczął zbieranie podpisów.

Czas jej konwersacji ze szwagrem w urzędowych sprawach spędziłyśmy nad wyraz pracowicie. Wykorzystałyśmy go na produkcję elementu zastępczego, zużywając w tym celu stary koc, kilkanaście metrów materiałów włókienniczych luzem, kilka rolek papieru toaletowego, jej nocną koszulę i perukę. Kukła wyszła jak lalka!

Nie zdążyłyśmy Alicji zademonstrować jej sobowtóra. Jens wyszedł, kiedy Zosia w swoim pokoju zeszywała niektóre fragmenty naszego arcydzieła. Alicja zamknęła za powinowatym drzwi i wyjęła z torebki nową paczkę papierosów,

- Cholera - powiedziała, rozdzierając opakowanie. - Ale rozrywka mnie czeka!

Zabrzmiało to raczej złowieszczo, zaniechałam zatem poszukiwania w kosmetyczce reszty agrafek, pozostałych po produkcji kukły, i spojrzałam na nią z niepokojem.

- No? Co ma być?

- Będę musiała... - powiedziała Alicja i zapaliła papierosa. - Będę musiała zrobić...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Odłożyła papierosy na stół

i poszła do przedpokoju.

- Co będziesz musiała, do diabła?! - wrzasnęłam za nią, zniecierpliwiona. W tym domu pukanie rozlegało się zawsze w niewłaściwych momentach.

Siedziałam na kanapie za stołem, zawartość kosmetyczki miałam rozsypaną wokół, zamierzałam w przewidywaniu gościa sprzątnąć pośpiesznie ten śmietnik i wynieść się, ale na widok osoby, która weszła, znieruchomiałam na mur.

Był to potwór. Płci niewątpliwie żeńskiej. Wśród radosnych powitań do pokoju wkroczyła osoba więcej niż o głowę wyższa od Alicji, wszere rozmiarów rzadko spotykanych. Usiłowałam na oko ocenić jej obwód, jednakowy od szyi aż do kolan, i metr dziewięćdziesiąt musiałam przyjąć za absolutne minimum. Ubrana była w letnią kretonową sukieneczkę w pomarańczowe i żółte kwiaty na różowym tle, na górze miała kusy czarny sweterek, z takich, jakie się u nas nosiło przed wojną po wsiach przy pasaniu krów, spod sukieneczki zaś wystawały jej olbrzymie, szerokie, bezkształtne, pofałdowane, grube, czarne spodnie. Przypominały mocno słoniowe nogi, chociaż słoń razem z nogami wygląda jednak wdzięczniej. Wbrew odebranemu w dzieciństwie starannemu wychowaniu, nie byłam w stanie oderwać od niej oczu. Siedziałam, patrzyłam i z zajęciem wyliczałam, ile by z niej wyszło takich jak Alicja. Żeby nie przesadzić, dwie i pół. Możliwe, że trzy...

Alicja znalazła na biurku latarkę i sekator i razem wyszły do ogródka. Oszalamiająca kobieta przyświecała, a Alicja ścinała rosnące obok tarasu dale. Ułożyła ładny bukiet pod kolor sukieneczki i wręczyła gościowi. Przez chwilę jeszcze posiedziały przy stole obok kuchni, na szczęście nie zwracając na mnie uwagi, obejrzały jakieś prospekty, osoba wyciągnęła z torby paczuszki z nasionami, odbyła z Alicją krótką naradę, po czym zapakowała się z powrotem, pożegnała i wyszła.

Oprzytomniałam nieco i odzyskałam głos. Pamiętna dzikich awantur o kuzynkę Gretę, już otworzyłam usta, żeby spytać ostrożnie, któż to jest ta piękna i niezwykle elegancko ubrana kobieta, ale Alicja mnie ubiegła.

- No i jak ci się Lilian podoba? - spytała z jadowitą satysfakcją.

Odetchnęłam. Słyszałam o Lilian, rozmawialiśmy o niej mnóstwo razy. Swymi czasy rozbiła małżeństwo byłego szefa Alicji, osobnika wyjątkowo atrakcyjnego, i przez długie lata stanowiła przedmiot jego uczuć. Następnie porzuciła go w wyniku różnicy zdań, domagał się od niej bowiem noszenia gorsetu, a ona lubiła wygodę. Pozytywnie nastawiona do szefa, Alicja nie przepadała zbyt za jego byłą flamą.

- Szał - powiedziałam z ulgą. - Faktycznie, rzadka uroda! A już myślałam, że będę musiała się nią zachwycać. Jakim cudem można zrobić z siebie takie monstrum? Co, na litość boską, ona miała na sobie?

- Cokolwiek - odparła Alicja w zadumie, patrząc w przestrzeń. - Właściwie dla niej to już jest bez różnicy, co ma na sobie, nie uważasz? Zastanawiałam się, co on w niej widział?

- Jak to co? Zwyczajnie, jest zwolennikiem materializmu dialektycznego. Miał nadzieję, że mu ilość przejdzie w jakość.

- Skokiem?...

- Skokiem.

- Kiedy ona w młodości była szczuplejsza.

- Nie szkodzi, zawsze musiało jej być bardzo dużo. Powiedz wreszcie, co się stało?

- Nic się nie stało, ona tak sobie przyszła, kupiła nasiona i chciała sprawdzić, czy to jest to samo, co ja siałam...

- Na litość boską! - jęknęłam. - Alicja, opanuj sklerozę! Powiedziałaś, tuż przed wizytą tego potwora, że będziesz musiała coś

zrobić! Co?!

- Co? - zdziwiła się Alicja. - A, rzeczywiście. O, cholera... Będę musiała zrobić kolację.

- Dla kogo? - spytałam ponuro, wiedząc, że niewątpliwie musi to być coś oficjalnego.

- Dla Herberta i jego żony. Oni się już od dawna wprasza na kolację po polsku. Myślałam, że mi się uda zaprosić ich nieco później, ale okazuje się, że Herberta trzeba zatrudnić przy tej sprawie spadku po ciotce. Nie mogę do niego zadzwonić inaczej, jak tylko z zaproszeniem na kolację. Dopiero potem mogę wszystko inne.

Pozbierałam agrafki i uznałam, że Alicja przesadza. Herbert był synem naszego dawnego dobroczyńcy, znała go od wczesnej młodości, skończył co prawda prawo i ożenił się jakoś olśniewająco dobrze, ale to nie powód, żeby robić z nim niezwykle ceregiele!

- No i cóż takiego, kolacja na dwie osoby! - powiedziałam niecierpliwie.

- Ale to ma być kolacja po polsku!

- To co to ma znaczyć? Wszyscy się mają urządzić i śpiewać „Czerwony pas” czy jak?

- Głupiaś. Musi być bigos albo flaki...

- Flaki chyba z siebie wyprujesz, ale bigos ci przecież przywiozłam!

- Za mało! - westchnęła Alicja ze skruchą. - Został już tylko jeden słoik, resztę zeżarłam. Ewentualnie może być barszczyk. Barszczyk jeszcze mam.

Po polsku, nie po polsku, wciąż nie rozumiałam, w czym problem. Dwie osoby więcej na kolacji, nawet z barszczykiem i bigosem, cóż to jest. Zniecierpliwiona moją tępotą, Alicja wyjaśniła mi w końcu, że cały kłopot tkwi w żonie Herberta. Jest to dama z najwyższej arystokracji, krewna

królowej, i rzecz polega na tym, że należy ją traktować jak zwyczajną osobę, symulując brak wiadomości o jej pochodzeniu. Równocześnie jednak należy ją podjąć jak krewną królowej. Innymi słowy ma być nader wytwornie, a zarazem swobodnie, bez podkreślania, że robi się coś wyjątkowo specjalnego dla niej, za to z podkreśleniem swobody i w ogóle ta wytworność ma wychodzić sama z siebie.

- Rozumiem - powiedziałam w końcu. - Coś tak, jak z tym drugim paleniem fajki...

W Danii mówi się, że najpierw, w młodości, człowiek pali fajkę, bo nie stać go na potwornie drogie papierosy. Potem już stać go na to, żeby palić papierosy. A potem stać go na to, żeby znów palić fajkę...

- Coś w tym rodzaju - przyświadczyła Alicja. - Szkoda, że nie jesteś hrabianką z domu ty albo Zosia, boby nam wtedy samo wyszło. Chyba mi Zosia pomoże zrobić więcej bigosu...

- W zamian za to, że nie jest hrabianką? I kiedy to ma być?

- W najbliższym czasie. Rzecz jest pilna, bo Herbert już powinien się włączyć, a ja nie mogę go ruszyć bez kolacji. Najlepiej byłoby jutro albo pojutrze.

- Bigos ci do jutra nie wyjdzie, kapusta się musi gotować. Pojutrze najwcześniej. Co to będzie? Piątek? Bardzo dobry dzień.

Nagabnięta o bigos Zosia wyraziła zgodę, oświadczając jednakże, że kapustę musi zacząć gotować zaraz. Wiadomo było, że ja pójdę spać najpóźniej, zobowiązałam się zatem dopilnować zgaszenia palnika. Alicja po krótkim wahaniu uznała, że wpół do dziesiątej to jeszcze jest zupełnie przyzwoita godzina, i zadzwoniła do Herberta. Herbert radośnie przyjął zaproszenie.

Siedziałam przy stole, typując sobie konie na najbliższy czwartek, to znaczy na jutro, i domagając się od Zosi i Pawła wróżenia na ślepo, co

przyjdzie. Paweł otwierał puszki z kiszoną kapustą, Zosia płukała grzybki. Alicja zajrzała do swojego pokoju, na moment zastygła w drzwiach, po czym cofnęła się i popatrzyła na nas uważnie, jakby sprawdzając naszą tożsamość.

- Zdaje mi się, że jesteście wszyscy? - powiedziała nieufnie. - Kto, u diabła, śpi w takim razie w moim pokoju?!

W pierwszej chwili mignęło mi w głowie, że znów wdarł się do domu jakiś obcy nieboszczyk, ale natychmiast przypominałam sobie kukłę. W którymś sprzyjającym momencie Zosia zdążyła ułożyć ją podstępnie na łóżku Alicji.

- Ma być ostrożność, to ostrożność - powiedziała spokojnie i stanowczo. - Nie będziesz tam spała. Śpij w piwnicy, w wannie, gdzie chcesz, ale nie u siebie. Tam będzie spała imitacja.

- Możesz ją pomacać - dodałam łaskawie. - Dobrze nam wyszłaś, nie?

Alicja bez słowa wróciła do siebie i obejrzała produkt zastępczy.

- Mordę mam trochę dziwną - zauważyła krytycznie. - Naprawdę uważacie, że można się pomylić?

- Sama się pomyliłaś. Nie wymagaj za wiele, morda z papieru toaletowego nie może być cudem urody. A poza tym, nawet jeśli morderca stwierdzi pomyłkę, nie będzie cię przecież szukał po całym domu!

- A poza tym, będziesz z nią sypiać na zmianę. Raz ona tam, a ty na kanapie, a drugi raz ona na kanapie, a ty tam...

- Ale dzisiaj ja tam!

- Nie, dzisiaj ona tam, a ty tu. Jutro może być odwrotnie...

Alicja uległa zbiorowej presji. Dla świętego spokoju przygotowała sobie pościel na kanapie. Zosia i Paweł poszli spać, kapusta śmierdziała w

całym domu. Uchyliłam drzwi na taras w celu wywietrzenia i stwierdziłam, że pada deszcz. Ucieszyłam się, że nie ma już Bobusia i Białej Glisty i nie muszę latać do łazienki przez ogród.

- Słuchaj, czy ty nie widziałaś, gdzie ja położyłam papierosy? - spytała niespokojnie Alicja. - Zdawało mi się, że miałam całą paczkę?

- Miałaś, owszem. Otworzyłaś w moich oczach.

- A skąd ją wzięłam?

- Z torebki. Wyjęłaś przy stole. Zaraz potem przyszła Lilian.

Alicja wytrząsnęła na stół zawartość torby. Papierosów nie było. Zajrzała pod stół, obejrzała biurko, zajrzała do swojego pokoju i do szufladki pod lustrem. Przyglądałam się temu, po czym, tknięta złym przeczuciem, wyciągnęłam własną torbę, a z niej paczkę moich papierosów. Znajdowały się w niej dwie ostatnie sztuki.

- Do której jest otwarty kiosk na dworcu? - spytałam z troską.

- Do dziewiątej. Na nic. Słuchaj, przypomnij sobie, może widziałaś, co ja z nimi zrobiłam? Ty masz papierosy?

- Dwa ostatnie. Mogę ci dać jednego, bo i tak trzeba będzie kupić. Według mojego rozeznania twoje leżały na stole, jak ta słonica pakowała swoje nasionka. Nie chcę rzucać podejrzeń, ale potem już ich nie było.

Alicja wzięta ode mnie przedostatniego papierosa.

- Fu, z nitrem... - mruknęła z obrzydzeniem. - Możesz rzucać, to bardzo możliwe. Lilian jest roztargniona, wepchnęła do torby wszystko, co było na stole, w tym moje papierosy. To już nie pierwszy raz. Potem zauważa, przeprosza i oddaje.

- Nie możesz jej odebrać od razu?

- Nie chce mi się. Ona mieszka na drugim końcu Allerød. Trzeba iść do automatu. Deszcz pada...

Poświęciłam się, wzięłam parasolkę, włożyłam jej stare gumki,

wygrzebałyśmy wspólnie cztery korony w odpowiednich monetach i poszłam do najbliższego automatu, znajdującego się koło sklepu, zaraz za skrzyżowaniem. W automacie nie było ani moich looków, ani jej vikingów, kupiłam zatem tylko dziesięć sztuk, jedynych, jakie były, bez filtra.

- Przecież palisz z filtrem! - zdziwiła się Alicja.

- Ale ty wolisz bez filtra. Jestem szlachetna jednostka i zrobiłam ci przyjemność. Nawet nie pada tak bardzo, tylko trochę. Nie napiłabyś się kawy?

- A wiesz, że to bardzo dobra myśl. Może kawa zabije trochę tę kapustę?...

Dopiero przy kawie mogłam z nią spokojnie porozmawiać i rozważyć nowe przypuszczenia. Alicja z uwagą wysłuchiwała podejrzeń w kwestii tajemniczej organizacji.

- Coraz bardziej mnie ciekawi, kto to jest ten twój - mruknęła. - Co za organizacja, do diabła? Ewa, moim zdaniem, odpada. Roj to idiotyzm, w Anitę nie wierzę. Może jednak naprawdę ktoś z zewnątrz? Czaił się w krzakach...

- I zna twoje wszystkie zwyczaje oraz właściwości fizjologiczne? Ogłaszasz je w prasie? Edek krzychał, że przyjmujesz takie osoby, nie zapominaj o tym. Narażasz się. To by się nawet zgadzało z organizacją...

- Czekał - przerwała Alicja. - Zapomniałam ci powiedzieć, że rozmawiałam z panem Muldgaardem. Ten morderca jest niezwykle utalentowany. Nie zostawia żadnych śladów, nic kompletnie. Zdaje się, że właśnie dzięki temu, że niczego nie powtarza więcej niż dwa razy, za trzecim by już wpadł. Poza tym oni uważają, że ma współnika z samochodem. Robią powiększenia tych zdjęć spod domu, żeby rozpoznać tego kudłatego, bo to może być ten współnik. Będą go pokazywać naszym

znajomym. Ale o żadnej organizacji nie było mowy, nic takiego im nie przychodzi do głowy.

- To niech przyjdzie. Ktoś, kto dużo jeździ i nie budzi podejrzeń...

- Jesteś pewna, że to ma sens?

Wyciągnęłam otrzymaną korespondencję i ponownie przeanalizowałam treść mniej prywatną. Wnioski wyszły te same.

- Alicja, ty musisz coś wiedzieć - powiedziałam stanowczo. - Na litość boską, przypomnij sobie, co robiłaś przez ostatnie pięć lat! Może gdzieś byłaś, może kogoś spotkałaś, może widziałaś coś podejrzanego? Gdzie byłaś w ogóle?!

- W Szwajcarii - powiedziała Alicja. - W Wiedniu. W Paryżu, we Florencji, w Monte Carlo, w Amsterdamie, w Sztokholmie. W Norwegii na północy. W Warszawie.

Przyjrzałam jej się z niesmakiem.

- Dużo jeździsz i nie budzisz podejrzeń... Alicja, przyznaj się, może to jednak ty?

- Sama się nad tym zastanawiam. Największym idiotyzmem było zniszczyć sobie samochód. Dobrze jeszcze, że domu nie wysadziłam w powietrze...

Rozważania uporczywie nie dawały żadnych rezultatów. Kapusta śmierdziała jak szatan. Byłyśmy w największym ferworze, kiedy znów zabrakło nam papierosów. Przeszukałyśmy wszystko, żeby zbierać następne cztery korony we właściwej formie i tym razem poświęcić się postanowiła Alicja.

- A swoją drogą, intrygujesz mnie - powiedziała, zmieniając obuwie.

- Kto to jest ten twój?

- Z całą pewnością mój życiowy rekord. Ten blondyn, którego mi przepowiadały trzy wróżki. Wymyśliłam go.

- Co zrobiłaś?

- Wymyśliłam go. Jest to bardzo dziwne wydarzenie, bo zaczęło się od tego, że wjechałam do lasu, żeby nazbierać kwiatków.

Alicja, pełna zainteresowania, zatrzymała się w przedpokoju z parasolką w ręku.

- I tam go spotkałaś?

- Przeciwnie. Tam się zabuksowałam na mur w takim bagnie, że krowę można utopić...

- Po cholere wjeżdżałaś w bagno?!

- No przecież nie specjalnie! Nie było widać, że to bagno, wyglądało całkiem sucho i nawet zachęcająco...

Urwałam i zamyśliłam się.

- Wiesz, jeszcze nie tak. To nie od tego się zaczęło. Zaczęło się znacznie wcześniej. Przeznaczenie wtrąciło się zupełnie gdzie indziej i niesłychanie podstępnie... Przynieś te papierosy, to ci opowiem.

Alicja wyszła w mokrą ciemność bardzo zaciekawiona i bardzo dziwnie ubrana. Na nogach miała stare gumki, na sobie jakiś obszargany, do niczego niepodobny kaftan, za duży na nią, w ręku zaś starą parasolkę, z której na wszystkie strony wystawały druty i którą wzięła przez pomyłkę. Pozostałam w rzewnej zadumie, a w moim umyśle na tle wspomnień dokonywały się pewne skojarzenia. Skojarzenia sprawiły, że nagle zerwałam się na równe nogi i wypadłam z domu.

Ostrożność...! Daleko posunięta ostrożność...! Przewidzieć wszystko...! Co za kretyński pomysł, żeby ona samotnie, w ciemnościach, wychodziła z domu!!!

Kłapiąc rannymi pantoflami i gubiąc je, runęłam przez furtkę na ścieżkę i na ulicę. Dalekie latarnie słabo rozpraszały mrok. Na lewo, na skraju ogrodu Alicji, prawie na skrzyżowaniu, stał przy samym chodniku

jakiś samochód, obok niego zaś poruszały się czarne sylwetki. Jedna z nich trzymała nad głową dziwny drapak, podobny do parasolki...

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć cokolwiek, ale nagle wydało mi się to niewskazane, wręcz niebezpieczne, ruszyłam zatem w tamtym kierunku z otwartymi ustami i w ciszy. Jeśli oczywiście ciszą można nazwać przeraźliwe klapanie moich pantofli po mokrym chodniku. Samochód ryknął nagle silnikiem, odbił od krawężnika i oddalił się, na skrzyżowaniu zaś pozostała samotna sylwetka z drapakiem.

- Skąd się tam wzięłaś? - spytała zdumiona Alicja, kiedy już stwierdziłyśmy, że wypadając w pośpiechu, zatrzasnęłam za sobą drzwi wejściowe, i weszłyśmy do domu przez taras. - Wyleciałaś jak na zawołanie!

- Dusza mnie tknęła - odparłam, wycierając mokre pantofle papierem toaletowym. - To kretyństwo, żebyś w tej sytuacji latała sama w nocy dookoła domu. On jest uparty jak dziki osioł w kapuście. Co to było?

Alicja usiłowała w przedpokoju otrząsnąć wodę z parasolki.

- Nie wiem, teraz mam wrażenie, że chcieli mnie porwać albo zatłuc na miejscu, nie jestem pewna. Podjechali samochodem... Gdzie to się urwało?

Omam mnie nie zatchnęło.

- Na litość boską, zostaw te druty, mów wyraźnie! Skąd ten samochód?!

- Nie wiem. Stał na samym skrzyżowaniu, podjechał za mną, jak już wracałam od automatu. Zatrzymał się, wysiadł jakiś facet, drugi siedział przy kierownicy. Ten, co wysiadł, tak wyglądał, jakby się chciał na mnie rzucić i jakby mu się odwidziało.

- Ciekawe dlaczego? Nie spodobałaś mu się? Zrobiłaś na nim złe wrażenie?

Alicja zrezygnowała ze zreperowania parasolki na poczekaniu, wyjęła z kieszeni papierosy i nagle zaczęła głupio chichotać.

- Zdaje się, że nastąpiła pomyłka. Szłam i po drodze układałam sobie te zbrodnie chronologicznie. Właśnie byłam przy pani Hansen, bo przyszło mi na myśl, że, zwróć uwagę, jeżeli on do niej strzelał, zamiast uciec, to znaczy, że ona go widziała. Ona mogła go poznać...

- Na miłosierdzie pańskie, zostaw teraz panią Hansen! Mów o facecie!

- Kiedy to właśnie o nią chodzi. On wyskoczył i spytał mnie: „Pani Hansen?” A ja na to, zdaje się, powiedziałam: „Skąd, przecież pani Hansen jest w szpitalu”. On na to jakby zbaraniał i powiedział: „W szpitalu? Pani Hansen?” A ja na to: „Tak, pani Hansen została zastrzelona”. Na to ty wyleciałaś, a on odjechał. I dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że to może chodzi o mnie.

Popatrzyłam na nią w oszołomieniu, pełna zgrozy i różnych mieszanych uczuć.

- Nie do wiary! Wiesz, że ty bijesz wszelkie rekordy! Zapomniałaś, jak się nazywasz?!

- Coś w tym rodzaju - wyznała Alicja ze skrucą. - Nie skojarzyło mi się ze mną, tylko z panią Hansen. Byłam gotowa zapierać się zadnimi łapami, że panią Hansen napadnięto i żadnej innej nie znam.

Usiłowałam wyobrazić sobie okoliczności, w których zapomniałabym, że Chmielewska to ja, i wyszło mi, że chyba tylko nad grobem mojej świętej pamięci nieboszczki prababki... Pośpiesznie usunęłam przed oczu widmo nagrobka, na którym lśni wyryte moje własne nazwisko, i przyjrzałam się krytycznie Alicji.

- Co prawda, to wyglądasz tak, że bez trudu można się pomylić. Ten bandzior ma wyraźnego pecha!

Inne osoby bierze za ciebie, a ciebie za inne osoby. Myślisz, że on uwierzył w pierwszej chwili, że się spóźnił i że ciebie wcześniej zdążył szlag trafić?

- Chyba coś koło tego. A zaraz potem ty poszłaś do ataku...

- I co, czatował w tym samochodzie? Skąd wiedział, że będziesz wychodziła? Dochodzi dwunasta, to nie jest zwykła pora wychodzenia z domu! Wiedział, że nam zabraknie papierosów? Umówił się z Lilian?

- Oszalałaś! Miałam iść do Jensa. Może myślał, że jestem u Jensa i czatował na mój powrót?

- Aha i zmyliło go to, że wyszłaś z domu, zamiast do niego wracać? Możliwe. Szczególnie że wyszłaś nie ty, a jakieś takie obszarpane nie wiadomo co... A skąd wiedział, że masz być u Jensa?

- Mówiłam o tym przecież...

- Komu?!

Zamilkłyśmy nagle, patrząc na siebie. Rzeczywiście. Kto wiedział, że Alicja późnym wieczorem ma być u Jensa?

- Umawiałam się z nim przez telefon... - powiedziała Alicja niepewnie.

- I kto to słyszał? Umawiałaś się po duńsku! Znow popatrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

- Tutaj siedzieliśmy my, nasz ukochany pan Muldgaard i Anita - powiedziałam powoli. - Anita rozumie po duńsku dokładnie tak samo, jak po polsku... A kto siedział u Jensa?

- Nie wiem. Chyba trzeba go zapytać...

- Komu jeszcze o tym mówiłaś?

- Nie wiem. O rany boskie, cała rodzina o tym wiedziała! Czekać...

- Roj wszedł zaraz potem... A jeśli był wcześniej, jeśli się czaił pod

oknem i słyszał...? Zdaje się, że Roj też rozumie po duńsku?

- Znowu to samo, Roj i Anita...

- Słuchaj, a jeśli my się czepiamy niepotrzebnie? A jeśli to ktoś z twojej tutejszej rodziny? Jeśli to Jens?... On dużo jeździ, nie budzi podejrzeń...

Alicja uczyniła gest popukania się palcem w czoło, zatrzymała się w połowie pukania, spojrzała na mnie, po czym dokończyła gestu.

- Edek krzychał, że przyjmuję takie osoby - przypomniła mi. - Jensa przy tym nie było.

- Ale był poprzedniego dnia. Edek go widział. Po pijanemu mogło mu się pomieszać. Krzychał: „Jemu też powiem”...

Alicja w zamyśleniu pokręciła głową.

- Mam takie wrażenie, że jesteśmy gdzieś blisko i nie możemy trafić. Ciepło, coraz cieplej, gorąco... Coś mnie gryzie w środku, ale nie wiem co.

- Dzwoń do pana Muldgaarda. Niech się zastanawia, od tego jest. Może rozpoznają ten samochód, nie po numerach, bo nic łatwiejszego niż zmienić numery, ale może po czym innym. Może nadal robią te zdjęcia...?

Jadąc nazajutrz do Charlotteniund, zapowiedziałam, że nie wiadomo, czy w ogóle wrócę. Zamierzałam się tam spotkać z jedną z rzadko widywanych przyjaciółek i istniała możliwość, że po wyścigach pojedę do niej i zanocuję. Nie lubię nocować po ludziach, ale wiadomo było, że jeśli zaczniemy sobie rozmawiać po trzyletniej przerwie, niewątpliwie przepuszczę ostatni pociąg. Jeśli natomiast przyjaciółki nie będzie, wrócę zwyczajnie o jakiejś tam późnej godzinie.

Przyjaciółki nie było. Spotkałam się z nią przed wyścigami i okazało się, że do Charlottenlund jechać nie może. Pojechałam zatem sama.

W konie na torze coś wstąpiło. Robiły falstart za falstartem i każda następna gonitwa zaczynała się z coraz większym opóźnieniem. Ostatnia

odbyła się o wpół do jedenastej. Wygrałam w niej jakieś drobne pieniądze i musiałam czekać na wypłatę, następnie poszłam przez kompletnie ciemny las i nie mogłam iść szybko, nie widząc, co mam pod nogami, następnie uciekł mi najbliższy pociąg do Kopenhagi i w rezultacie tych wszystkich opóźnień dotarłam do Allerød za dziesięć dwunasta. O północy znalazłam się przed domem Alicji.

Wówczas dopiero stwierdziłam, że nie mam przy sobie klucza od drzwi, pozostawiłam go bowiem w kieszeni płaszcza, a wychodząc włożyłam kostium. Dom był całkowicie ciemny, jakby wymarły, i robił trochę niesamowite wrażenie.

Zapukałam do drzwi, najpierw lekko, potem mocniej, bez żadnego skutku. Poczulałam wyrzuty sumienia, że ich wszystkich pobudzę, i pomyślałam sobie, że może lepiej będzie zapukać do któregoś okna. Do okien Zosi i Pawła musiałabym przedzierać się przez krzaki i zielsko, trawę bez mała po pas, nie strzyżoną od wiosny, zdegustowało mnie to i przeszłam na taras. Ujrzałam, że okno pokoju Alicji jest uchylone, uznałam to za karygodną lekkomyślność z jej strony i postanowiłam to wykorzystać, jeśli nie znajdę innej możliwości dostania się do środka. Sprawdziłam, czy nic więcej nie jest otwarte, ale nie było. Wszystkie inne otwory zostały zamknięte na głucho.

Trochę się czułam nieswojo na myśl, że ją mogę obudzić, nie tylko ze względu na jej zszargane zdrowie i ustawiczne niedosypianie, ale także z obawy, że wyrwana z nienacka ze snu, weźmie mnie za złoczyńcę i trzaśnie czymś ciężkim w łeb. Przypomniałam sobie, że zgodnie z umową, kukła śpi dzisiaj na kanapie, a Alicja u siebie.

Postanowiłam załatwić rzecz możliwie cicho. Okno było uchylone, otwierało się ku górze na zewnątrz, osadzone było na szczęście dość nisko, ale w pozycji szeroko otwartej nie było go czym podeprzeć, Normalne, przewidziane przez konstrukcję, uchylenie pozostawiało

szparę, przez którą mógł się prześlizgnąć wąż, nie zaś istota ludzka.

Odczepiłam hak, uniosłam ku górze ciężkie, wielkie skrzydło i zaczęłam się przepychać. Przełaząc przez parapet, z niejakim zdziwieniem i niesmakiem uprzytomniłam sobie, że wśród tych wszystkich wstrząsających wydarzeń sama jakoś jeszcze nie zrobiłam nic szczególnie głupiego. Jeśli nędzne włożenie do domu po nocy przez okno ma być moim jedynym oryginalnym czynem, to doprawdy zesłam już całkowicie na psy...

Wąska spódnica i wysokie obcasy nie ułatwiały mi tych popisów gimnastycznych. Usiłowałam w ciemnościach domacać się tego czegoś, co znajdowało się pod oknem w środku, żeby nie narobić tym hałasu, i doszłam do wniosku, że jest to zapewne krzesło z dużą ilością ciuchów oraz jakieś inne rzeczy nie do rozpoznania. Ciężkie, niczym nie podparte skrzydło pchało mnie z tyłu z potężną siłą. Przytrzymałam je łokciem w obawie, że zatrzaśnie się w chwili, kiedy jedną nogę będę miała jeszcze na zewnątrz, i niewątpliwie utnie mi ją albo co najmniej przetrąci. Staralam się zatem możliwie szybko włożyć tę nogę do środka, zaczepiłam o coś obcasem, zdążyłam jeszcze pomyśleć, że trzeba było zdjąć buty, czując, że lecę, podparłam się ręką i puściłam trzymaną łokciem szybę. Szyba dała mi potężnego dubla poniżej kręgosłupa i runęłam do środka głową naprzód, wypowiadając w locie rozmaite niecenzuralne słowa.

Runęłam w coś mokrego, śliskiego, lepkiego, coś przewróciło się obok mnie, coś mi zleciało na głowę, w coś wpadłam twarzą. Pozbierałam się, mocno oszołomiona, zastanawiając się, cóż to jest, u diabła, takiego, to obrzydliwe coś, i jakim cudem ten rumor nie obudził Alicji. Oczy mi się już nieco przyzwyczyły do ciemności, w to miejsce, gdzie wpadłam, trafiało dalekie, słabe światło latarni i w tym świetle na spódnicy, na kolanach, na rękach, ujrzałam mokre, ciemne plamy. Spojrzałam na łóżko Alicji. Na łóżku było to samo: mokre, ciemne plamy, coś

skotłowanego, jakby skulona, zmasakrowana sylwetka pod zaplamioną pościelą...

Poczułam, że się duszę. Zdecydowanie, wyraźnie i kategorycznie duszę. Ten milczący, wymarły dom...

Półprzytomna, szczękając zębami ze zdenerwowania, trzęsącymi się rękami nie mogłam znaleźć przełącznika nocnej lampki. Wszystkie przełączniki diabli wzięli! Wypadłam do przedpokoju i zapaliłam pierwsze światło, na jakie natrafiłam dłonią. Plamy na mojej spódnicy miały kolor krwi, ręce miałam całe czerwone...

Nogi ugięły się pode mną. Straszliwa pewność, że w tym domu nie ma nikogo żywego, że nastąpiła tu jakaś ogólna masakra, że w każdym pokoju znajdę zwłoki, omal nie zadusiła mnie do reszty. Ostatkiem sił, bez tchu, dopadłam pokoju Pawła, który miałam najbliżej, i zapaliłam w nim światło. Paweł oddychał przez sen i robił wrażenie żywego...

Prawdopodobnie szarpałam go za ramię, możliwe, że za głowę, możliwe też, że głos, który wychodził ze mnie, był niezupełnie ludzki.

- Alicja...!!! - charczałam w nieopanowanym szale. - Na litość boską...!!! Paweł!!!. Ratunku!!!... Zosiu!!! Obudźcie się, do cholery!!! Alicja!!!

Paweł poderwał się, półprzytomny i przerażony, wydając jakieś okrzyki. Porzuciłam go i runęłam do pokoju Zosi, z którą zderzyłam się w drzwiach.

- Ratunku...!!! - jęczałam straszliwie. - Alicja...!!!

W okropnym wzburzeniu w żaden sposób nie umiałam znaleźć bardziej urozmaiconych słów na ogłoszenie nieszczęścia. W korytarzyku nagle zapłonęło światło. Zosia spojrzała na mnie i jej krzyk z kolei zabrzmiał tak, że przerósł moje wszystkie produkcje akustyczne. W mgnieniu oka dostała czegoś w rodzaju ataku nerwowego. Zasłaniała

się ode mnie rękami, równocześnie szlochając i śmiejąc się histerycznie.

- Wszystko czerwone...!!! - jęczała jakimś dzikim, nieludzkim głosem. - Wszystko czerwone...!!! Wszystko czerwone...!!!

- Alicja...!!! - wrzeszczałam w szale, zrozpaczona i prawie nieprzytomna, próbując ją wlec za sobą. Zosia wyrywała mi się wszelkimi siłami.

W sąsiednich drzwiach pojawiła się Alicja. Żywa, zdrowa, w doskonałym stanie, z wyrazem absolutnego osłupienia na twarzy. Rozpaczliwe ryki ugrzęzły mi w gardle, puściłam Zosię, czując jakieś dziwne osłabienie w kolanach, nic nie pojmując, oparłam się o ścianę.

- O rany boskie - wyszeptałam, chyba dość ochryple.

Wyraz osłupienia na twarzy Alicji przeistoczył się w wyraz śmiertelnej zgrozy. Z jakimś zdławionym okrzykiem rzuciła się na mnie.

- Matko Boska, co się stało...?!!! Zosiu!!!... Paweł!!!...

- Wszystko czerwone!!! - zawyła dziko Zosia.

- Paweł, wody...!!!

Dantejskie piekło rozszalało się w cichym przed chwilą domu. Zosia odzyskała nagle przytomność i siły, skierowane wyraźnie przeciwko mnie. Nie rozumiałam, co się dzieje, wszyscy troje bowiem zaczęli nagle miotać się jak szaleńcy dokoła mnie, najwyraźniej w świecie usiłując ratować moje zagrożone życie i zatrzymać uchodzącego, ich zdaniem, ducha. Siłą ciągnęli mnie na kanapę, przeciwko czemu protestowałam gwałtownie, starając się wydrzeć z ich rąk, porozumieć się z nimi, wyjaśnić tę straszliwość, która przydarzyła się w pokoju Alicji. Co za ofiara znowu leży tam, zamordowana?! Moje wściekłe protesty przekonały ich w końcu, że trzymam się zupełnie nieźle i nie mam najmniejszego zamiaru ginąć, chociaż dlaczego miałabym zginąć akurat w tej chwili, nie rozumiałam absolutnie.

- Czego chcecie, do diabła?! - wrzeszczałam z furją. - Odczepcie się!!! O co wam chodzi, do ciężkiej cholery?!!!

- Żyjesz...!!! - wykrzykiwały obie z wyraźną ulgą i rozradowaniem - Żyjesz...!!!

Byłam pewna, że od czegoś zwariowały.

- Czyście zgłupiały?! Dlaczego mam nie żyć? To nie Ja, to Alicja! To w ogóle jakaś obca osoba....’

- Żyjesz...!!!

Po dość długiej chwili treść naszych okrzyków zaczęła docierać do nas wzajemnie. Piekło nieco przycichło.

- Co was napadło?! - spytałam rozpaczliwie. - Czemu, do stu piorunów, właśnie ja miałam nie żyć?.

- O Boże, ona się pyta! - wykrzyknęła Zosia z oburzeniem.

- Idź, obejrzyj się w lustrze - poradziła Alicja. - Zaraz przestaniesz się dziwić.

Obejrzałam się w lustrze i rzeczywiście przestałam się dziwić. Wyglądałam wstrząsająco. Sama bym nie poznała tej straszliwej maskary. Od stóp do głów byłam umazana czymś ciemnoczerwonym, twarz miałam zdecydowanie asymetryczną, do czoła zaś przylepiło mi się coś dziwnego, co wyglądało tak, jakbym miała czaszkę rozłupaną na dwie połowy. Na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka robiłam wrażenie osoby, której pomoc lekarska jest pilnie potrzebna.

- A w dodatku krzyczałaś „ratunku” - powiedziała Alicja z niesmakiem i wyrzutem. - W ogóle nie rozumiałam, jakim cudem przy takich obrażeniach jeszcze żyjesz. Myślałam, że może chodzisz po śmierci, niejako siłą rozpędu.

- Ja natomiast nie rozumiem, dlaczego ty jeszcze żyjesz - odparłam z urazą, usiłując zetrzeć z siebie ozdoby. - Co tam jest takiego w twoim

pokoju? Kto tam leży?

- A, to byłaś w moim pokoju...? Powinnam się domyślić. Nikt nie leży, pułapka zleciała.

- Co...?!

- Pułapka. Zleciała.

Teraz Paweł popadł nagle w atak histerycznego śmiechu.

- Pułapka!... Mieliliśmy pułapkę na zbrodniarza!... Zleciała z półki!...

- Paweł, uspokój się w tej chwili! - zażądała zdenerwowana Zosia.

- Nie mogę!... Cholernie dobra pułapka!... Zapaliliśmy światło w pokoju Alicji i wreszcie ujrzałam ten straszliwy widok dokładnie. Na łóżku, na pościeli i na podłodze rozlane było istne morze gęstej czerwonej farby, w której tkwiły skorupy jakiegoś naczynia, szczątki kartonowych opakowań, między innymi po jajkach, kawałki pędzli i różne inne śmieci. Wleciałam w to głową i na czole miałam resztkę opakowania. Farba była nadnaturalnie przylepna.

- Rzeczywiście - powiedziałam z podziwem. - Wszystko czerwone... Czy to się jakoś da zmyć?

- Mam nadzieję - odparła Alicja trochę niepewnie. - Nie próbowałam jeszcze, bo to zleciało, jak oni się już położyli, i nie chciałam ich budzić. Wlazłam w to. Moja nocna koszula też tak wygląda i mój szlafrok też. Nie miałam się gdzie podziać, bo to się wszystko maże, położyłam tu kukłę i przeniosłam się na łóżko do ostatniego pokoju. Teraz, jak tu wleciałaś z tym rozbitym łbem i cała zakrwawiona, kompletnie o tym zapomniałam.

- Ty chyba oszalałaś! - powiedziała Zosia z rozpaczą. - Przecież to trzeba zmyć natychmiast! Po wyschnięciu w ogóle się nie ruszy! Paweł, zbieraj to z podłogi! Weź jakieś stare gazety i przestań się głupio śmiać!

- Czekajcie, może najpierw spróbujemy sprać z Joanny...

Kostium i bluzka, które miałam na sobie, były stare i nie zależało mi specjalnie na ich doskonałym upraniu, mogłam się pogodzić ze stratą. Chętnie bym natomiast usunęła to wszystko czerwone z butów, z rąk, a szczególnie z twarzy.

Już po kwadransie stało się wyraźnie widoczne, że żadne mydło, żadne proszki do prania, żadna wrząca woda tej upiornej farby nie ruszy. Czysta benzyna działała na nią w ten sposób, że rozmazywała się łatwiej. Cała nadzieja pozostała w specjalnym rozpuszczalniku do kleju czy czegoś takiego, który powinien ruszyć wszystko.

- Mam ten rozpuszczalnik - powiedziała Alicja z triumfem. - Stoi tam u góry, w tej zamkniętej szafce pod samym sufitem. Paweł, wejdź na coś.

Paweł wlaźł na wysoki kuchenny stół. Zosia próbowała na mnie mleka, spirytusu, soku z cytryny i acetonu.

- Zdaje się, że najpierw zedrzesz mi skórę, a dopiero potem zejdzie farba - powiedziałam z powątpiewaniem. - Może jednak próbuj raczej na butach!

- Coś przecież musi na to działać - mruknęła Zosia z irytacją.

Zdarła mi z nogi drugi pantofel, jeden już trzymała w ręku Alicja, wlaźłam pończochą w następną krwawą plamę, sama nie mogąc nic zrobić, czegokolwiek się bowiem dotknęłam, wszędzie zostawiałam czerwone ślady.

- No i proszę - powiedział z satysfakcją Paweł spod sufitu. - Jednak wszystko czerwone!

- Nie zajmuj się teraz kolorystyką, tylko otwórz szafkę! - zdenerwowała się Alicja.

- Kiedy nie wiem jak. Tu nic nie ma. Szafka znajdowała się pod samym sufitem, nachylonym tak, że drzwiczki stanowiły łagodnie ścięty

trapez. Były wepchnięte głęboko w listwy i rzeczywiście nie miały żadnego klucza ani uchwyty. U samej góry tylko coś z nich sterczało.

- Był taki wichajster do otwierania, ale odpadł! - powiedziała Alicja z zadartą do góry głową. - W ogóle z nią jest coś złe, bo się ciągle otwierała samoczynnie. Musiałam zabezpieczyć i wepchnąć mocniej. Spróbuj złapać za ten kawałek u góry.

- Za mały - powiedział Paweł. - Nie da się uchwycić.

- Złap obcęgi - poradziłam. - Zosiu, daj mu obcęgi, bo ja nie mogę.

- Podważ nożem - zaproponowała Zosia. - Albo widelcem. Cienki widelec wejdzie w tę szparę.

Wszystkie trzy z zadartymi do góry głowami udzielałyśmy mu rad. Zosia podawała różne narzędzia, wciąż nie wypuszczając z ręki mojego pantofla. Za pomocą obcęgow i widelca Paweł otworzył szafkę, wyszarpując ów mały uszczelniający kawałek. Rozpuszczalnik stał w butelce na samym froncie i okazał się znakomity. Zmywał farbę bez trudu, tyle że śmierdział nieziemsko. Po paru minutach zaczęłam śmierdzieć i ja.

- Alicja, nie orientujesz się, czy to kiedykolwiek wywietrzeje? - spytałam z niepokojem.

- Z butów też schodzi - powiedziała Alicja uradowana. - Nie, to śmierdzi miesiącami. Dlatego właśnie trzymam go w tej szafce, a nie w pokoju. Z dwojga złego wolisz śmierdzieć czy być czerwona?

- Nie wiem. W ciemnościach chyba wolę być czerwona.

- Zawsze jeszcze możesz się pomalować na nowo... Zosiu, z ubrania schodzi?

- Schodzi. Ale tego jest za mało, na całą pościel nie starczy. Poza tym rzeczywiście śmierdzi potwornie, nie wytrzymasz tego. Co za

święństwo w tym jest? Aż w nosie kręci!

Paweł pod sufitem kichnął. Stał ciągle na stołku i oglądał to coś małego, co wyciągnął obcęgami.

- Za grubo złożone - powiedział. - Dlatego tak ciasno siedziało.

Znow kichnął potężnie i o mało nie zleciał ze stołka.

- Cały smród leci do góry - powiedział z urazą.

- Zamknij tę szafkę i zejź stamtąd! - zdenerwowała się Zosia. - Trzeba chociaż podłogę oczyścić, bo się każdy będzie przylepiać! Na litość boską, ten Herbert ma jutro przyjść, usuńmy to przynajmniej stąd! Bierz się do roboty?

- O rany boskie, rzeczywiście, ten Herbert!... - przestraszyła się Alicja. - Już bierz diabli mój pokój i pościel! Tutaj musimy posprzątać!

Paweł spróbował zamknąć szafkę bez pomocy dodatkowych elementów, ale nie udawało się. Nawet najgłębiej wepchnięte, drzwiczki wylażyły po chwili z listew i kiwały się szeroko otwarte, lekko poskrzypując.

- Wetknij to, co tam było, i nie zawracaj sobie głowy - powiedziała Alicja.

- To za grube.

- To rozłóż i będzie cienie. Weź połowę tego. Paweł posłusznie rozłożył to coś, ale okazało się teraz za cienkie. Spróbował złożyć inaczej.

- To jest niedobre. Dajcie inny... - zaczął i nagle urwał. Z namysłem przyglądał się trzymanemu w ręku przedmiotowi.

- Alicja - powiedział jakby z lekkim zaskoczeniem w głosie. - Czy ty w ogóle wiesz, co to jest?

- Nie wiem - odparła Alicja niecierpliwie. - Prawdopodobnie jakiś papier. Możliwe, że kawałek gazety.

- Nie, to jest koperta. Słuchaj, to jest jakiś list do ciebie. Zaklejony.
Alicja była właśnie bardzo zajęta glansowaniem mojej zelówki.

- Możliwe. Wyrzuć połowę albo złóż na trzy części, albo rób, co chcesz, tylko zamknij te drzwiczki, niech mi tu przestaną skrzypieć nad głową! Joanna, czy to ci będzie bardzo przeszkadzać, jeśli tu, w kancie, koło zelówki, zostanie ci takie czerwone?

- Byle nie wszystko - mruknęłam i odebrałam Zosi kłęb waty. -
Pozwolisz, że skórę z twarzy będę już sobie sama zdzierać...

- Alicja! - wrzasnął Paweł. - Ale to jest list do ciebie! Zaklejony!
Do Alicji wreszcie dotarło.

- List do mnie? - zdziwiła się. - A cóż on robi w tej szafce? Od kogo?

- Nie wiem, nie ma nadawcy.

- Na litość boską, zamknij wreszcie tę szafkę i weź się do roboty! -
zawołała Zosia z irytacją.

- Kiedy nie mam czym...

- O Boże, przylepiłam się - powiedziała Alicja. - Zamknij listem, co za różnica w końcu!... Słuchaj, z tej spódnicy już chyba nic nie będzie.
Ewentualnie możesz ją ufarbować na czerwono.

- Aha. I bluzkę też. I żakiet. To już i buty trzeba było zostawić.
Wszystko czerwone. Jak wyście to, do diabła, zrobili?!

- To ten klej... - zaczęła Alicja.

- Ja miałem rozlać przed progiem - powiedział Paweł z ożywieniem.
Odruchowo wetknął trzymaną w rękę kopertę w szparę, zatrzasnął drzwiczki i zlął ze stołka. - Chcieliśmy, żeby robiło ślady...

- Tyle głądził o tej pułapce, że w końcu przypomniałam sobie, że mam tę farbę - ciągnęła Alicja, szarpiąc na mnie spódnicę. - Spróbuj to zdjąć z siebie i włożyć szlafrok... Nie, nie możesz, masz jeszcze ręce...

- I nogi... - powiedziała Zosia z troską.

- Pewnie, ręce i nogi cholernie przeszkadzają - stwierdziłam zgryźliwie. - Bez rąk i nóg jest bez porównania wygodniej...

- Miało być coś jaskrawego, żeby morderca zostawiał wyraźne ślady - mówił Paweł. - I żeby to było coś nie do zmycia...

- A to, owszem, udało wam się osiągnąć...

- I Alicja mieszała w słoiku z klejem...

- Paweł, bierz to i ścieraj podłogę - przerwała Zosia stanowczo, wtykając mu kawał waty. - Tylko tego brakuje, żeby się ta arystokratka Herberta tu gdzieś przylepiła. Nie tam, tylko tu! Tu, w kuchni! I w przedpokoju. I koło wychodka! Wszędzie tam, gdzie Joanna chodziła!

- Latała po całym domu... - mruknął Paweł z dezaprobatą.

- Rozumiesz, trzeba było pomieszać od dna - objaśniała mnie Alicja. - No i wylało mi się trochę na podłogę. Od razu się do tego przylepiłam. Odstawiłam słoik na półkę... Nie, słoik odstawiłam na stół, a na półce postawiłam miskę. Chciałam domieszać jeszcze trochę kleju, ale ten słoik zleciał. Wszystko się mazało i w końcu zdecydowaliśmy poczekać z tym do jutra, żeby sprawdzić, czy wyschnie, czy się będzie dalej mazało. A jak oni już poszli spać i ja się też położyłam, to jeszcze i ta miska zleciała, najpierw na mnie, a potem na podłogę. Chciałam wytrzeć, ale tylko bardziej rozmazałam, jakoś dziwnie dużo się tego zrobiło, nie wiem, rosło czy co, nie miałam się gdzie podziać, więc sobie poszłam. No, a potem ty byłaś uprzejma wpaść w pułapkę. Po diabła włąziłaś oknem?

- Myślałam, że śpicie. Zapomniałam klucza i nie chciałam was budzić.

- No tak, to ci rzeczywiście nieźle wyszło...

Po godzinie galerniczych wysiłków, w które wreszcie mogłam się włączyć, udało nam się osiągnąć tyle, że po mieszkaniu można było

chodzić. Swoją odzież dorzuciłam do pościeli Alicji.

- Co za szczęście, że mi ta torba przeszkadzała i od razu odstawiłam ją na bok - westchnęłam z ulgą, idąc spać. - Chociaż jedno ocalało. W złą godzinę wymyśliłam to wszystko czerwone.

* * *

Kłopoty, związane z wytworną, a zarazem swojską kolacją, mnożyły nam się jak króliki na wiosnę. Herbert ze swoją Anne Lize miał przybyć o siódmej. Przedtem należało nie tylko dogotować bigos, ale także wywietrzyć mieszkanie, żeby usunąć woń kapusty. Kapustę wzmógł rozpuszczalnik, przenikliwie świdrujący w nosie prawie w całym domu, bo Alicja dokupiła go więcej. Okazało się, że trzeba jeszcze doczyścić kanapę, na którą zostałam wczoraj zawleczona, i zewnętrzną stronę drzwi pokoju Alicji, o które się otarłam. Woń rozpuszczalnika na kanapie Zosia bezskutecznie usiłowała zabić spirytusem, perfumami i kawą.

- Nic nie pomaga - powiedziała z rozpaczą, obwąchując mebel. - Przechodzi przez wszystko.

- Co za szkoda, że nie ma pluskiew! - powiedział Paweł z żalem. - Wyginęłyby co do jednej!

- Trudno, musicie coś wykombinować - powiedziała stanowczo Alicja. - To rzeczywiście robi wrażenie, jakbym truła karaluchy. Nie może tak zostać!

Po namyśle zaproponowałam, żeby użyć cebuli. Wymazanie kanapy sokiem z cebuli bez wątpienia zagłuszyłoby wszelkie inne aromaty. Ewentualnie czosnkiem.

- Oszalałaś, cebula już będzie zupełnie nie do zniesienia! - zaprotestowała Zosia.

- Czosnek będzie nie do zniesienia, ale cebula śmierdzi nawet

apetycznie. Zrobimy sałatkę z pomidorów z cebulką i będą myśleli, że to z niej.

- Na kanapie będziemy pić kawę - zauważyła Alicja. - Kawa z cebulą, doskonale zestawienie...

W ostatecznym rezultacie naszych działań kanapa śmiało mogła konkurować z najbrudniejszym bazarem, który w dodatku świeżo przeszedł dezynfekcję. Kapusta przestała się liczyć. Otworzyliśmy szeroko wszystkie okna i drzwi, usiłując zrobić przeciąg. Paweł stał nad kanapą i wachlował aromatyczny mebel gazetami. Do wszystkich potraw obficie dodawaliśmy cebulę, żeby uzasadnić atmosferę, i niewiele brakowało, a Alicja dodałaby jej nawet do lodów.

Zdążyliśmy z przygotowaniami dosłownie na ostatnią chwilę. Niezwykłe szczęśliwy przypadek sprawił, że Herbert i Anne Lize akurat mieli katar. W pierwszej chwili wydawało się, że pociągają nosami i wężą jakby z lekkim zdziwieniem, ale już po paru minutach robili wrażenie całkowicie przystosowanych.

Kolacja przebiegała w miłym nastroju, goście na bigosie się nie znali, więc chwalili go zupełnie szczerze, i następne kłopoty wyłoniły się dopiero pod koniec posiłku. Walka z odorem nie pozwoliła nam przygotować wszystkiego w pełni. Kawa, ciasteczka, śmietanka, desery, ekspres, filiżanki i inne niezbędne utensylia wciąż jeszcze znajdowały się w kuchni. Trzeba było przenieść je nieznacznie do pokoju na długi stół przed kanapą i nie było jak. Stół jadalny, rozsunięty częściowo pomiędzy pokojem i kuchnią, uniemożliwiał komunikację. Miało być co prawda swojsko i swobodnie, ale też i wytwornie. Zamieszanie, polegające na przełazeniu przez Pawła, względnie podawanie sobie wszystkiego nad głowami biesiadników, było wykluczone.

- Zosiu, tamtędy - powiedziała Alicja półgębkiem, przytakując równocześnie wypowiedziom Herberta. - Przez łazienkę i tamten pokój...

Zosia swobodnym ruchem przesunęła nieco zasłonę, żeby uniemożliwić wgląd w głąb kuchni, i zniknęła w drzwiach łazienki z ekspresem do kawy. Wdałam się w ożywioną francuską konwersację z Anne Lize i kopnęłam Pawła pod stołem. Paweł zmył się nieznacznie, przechyliłam się na krzesło do tyłu i ujrzałam, że odbiera od Zosi w przeciwnych drzwiach zastawę do kawy. Z niejakim trudem, ale jednak wszystko grało.

- W porządku - mruknęłam do Alicji. - Zosia nakrywa...

- Powiedz jej, że świece są w kufrze, z lewej strony...

Przyświadczyłam Anne Lize, że moda na buty jest teraz okropna, i kiwnęłam nieznacznie na Pawła.

- Weźcie świece z kufra...

- Już jest wszystko, można kończyć - zaraportował Paweł. - Tylko tych łakoci brakuje.

- Zaraz, jeszcze deser. Usiądź i udawaj, że wszystko w porządku...

Alicja wśród licznych dowcipów na temat spadku podprowadzała Herberta. Przy lodach osiągnęła swój cel, mianowicie z własnej inicjatywy zgłosił chęć włączenia się w sprawę. Z ulgą mogliśmy wstać od stołu i przejść do salonu na kawę.

- Ciasto, czekoladki, te tam takie - szepnęła Zosia, nerwowo usuwając naczynia - Którędy?...

- Tą samą wytworną drogą, przez wychodek - odparła Alicja. - Stół się złoży później...

Okreśną i nieco oryginalną trasą, przez łazienkę, wychodek, korytarzyk i sąsiedni pokój, wpłynęły na stół przysmaki. Intensywna woń kawy zmieszała się wdzięcznie ze straszliwym odorem, wydobywającym się z kanapy. Herbert i Anne Lize zaczęli kichać dziwnie często.

Niepojętym sposobem rozumiałam po duńsku znacznie więcej niż

przed laty. Zaniechałam zabawiania arystokratycznej damy, odstąpiłam ją Zosi, i zaczęłam się przysłuchiwać rozmowie Alicji z Herbertem.

- Rodzice uprzątnęli już wszystko z poddasza - mówił Herbert. - I znaleźli twoje rzeczy. Jest tam jakaś twoja paczka, prosili, żebym ci powiedział. Może będziesz chciała ją zabrać?

- Moja paczka? - zdziwiła się Alicja. - Możliwe. Ciekawe, co w niej jest. Zadzwoń i zabiorę przy okazji.

Herbert potrząsnął głową.

- Będzie ci trudno, bo oni są teraz w Humblebaek. Ale mogę ją wziąć i przywiozę ci, jak się zobaczymy. I tak musimy się spotkać jutro albo pojutrze w sprawie tego spadku...

Alicja wyraziła zgodę i wdzięczność. Wtrąciłam się do rozmowy, żądając tłumaczenia, nie byłam bowiem pewna, czy dobrze rozumiem. Okazało się, że dobrze.

- Jeżeli coś leży w pralni na placu Świętej Anny, to leży tam od pięciu lat - powiedziałam ze zgorszeniem. - Co, u Boga Ojca, takiego mogłaś tam zostawić ładnie zapakowane i nawet nie zauważyłaś braku?

- Sama jestem ciekawa - odparła Alicja. - Tylko dlatego chcę to odzyskać, bo już pewno mi nie jest potrzebne...

Późnym wieczorem goście opuścili dom, wylewnie dziękując za przyjęcie i kichając co drugie słowo. Smród w przedpokoju panował wzmożony, bo butelkę z resztką rozpuszczalnika Zosia w pośpiechu postawiła zaraz za drzwiami pralni. Alicja odprowadziła Herberta z małżonką do samochodu.

- Czy ten spadek wart jest chociaż tylu zachodów? - powiedziałam z powątpiewaniem.

- Ciekawe, jak to podziela na ten ich katar - powiedział Paweł w zadumie. - Leczniczo czy wręcz przeciwnie?

- Weź tę butelkę i postaw na górze - zażądała Zosia. - Niech wreszcie przestanie tu śmierdzieć. Nie będziemy już niczego myły.

Paweł nie zdążył spełnić polecenia, zadzwonił bowiem telefon. Podniósł słuchawkę.

- Chwileczkę - powiedział i odłożył ją na biurko. - Pan Muldgaard dzwoni. Alicja! Do ciebie!...

Na czas jej rozmowy z panem Muldgaardem zawiesiliśmy inne czynności. Pan Muldgaard, powiadomiony przez nią wcześniej o wczorajszej próbie kontaktu z panią Hansen, relacjonował teraz rezultaty swoich dociekań.

- No i chała - powiedziała Alicja, rozłączając się po bardzo długim czasie. - Nadal nic nie wiadomo. Chociaż chwilami mam wrażenie, że on coś przed nami ukrywa.

- Byłoby dziwne, gdyby nie - zauważyłam.

- Każda policja coś ukrywa. Co mówił, oprócz tego, co ukrywał?

- Anita na wczorajszy wieczór nie ma alibi. Roj nie ma alibi, Jens dzwonił nie od siebie, tylko od jednego znajomego, u którego był akurat jakiś gość, cudzoziemiec, który się policji już dawno nie podoba, nie powiedział dlaczego. Też słyszał i mógł wyciągać wnioski. Zdjęcia robili, owszem, ten samochód to był mercedes, w środku siedziała osoba w dużych okularach i w kapeluszu na oczach, a ten, co wysiadł, mógł być tym kudłatym, który tu się kręcił, albo nie. Pytał, czy nie dostałam rachunku za strzyżenie żywopłotu. Nie przyszło nic takiego?

Wszyscy zgodnie oświadczyliśmy, że nie przyszło.

- To pewnie jeszcze przyjdzie. Nikt nic nie wie. Podobno wymyślili nowe środki ostrożności i przy następnej zbrodni morderca zostanie na pewno złapany.

- Czy ktoś z nas ma się dobrowolnie oddać na ofiarę? - spytała Zosia

sarkastycznie. Alicja westchnęła.

- Nie wiem, może lepiej byłoby, gdybym jednak znalazła ten list od Edka?

- A właśnie! - przypomniała sobie nagle Zosia. - Paweł, wstaw tę butelkę do szafki!

Paweł posłusznie zabrał butelkę z pralni i nagle zatrzymał się w połowie wchodzenia na kuchenny stół. Spojrzał na Zosię z zaciekawieniem.

- Skojarzyło ci się z tym listem na górze?

- Z jakim listem? - spytała zaskoczona Zosia.

- No przecież ta szafka jest zamknięta jakimś listem. Mówiłem wam wczoraj...

Wszystkie trzy patrzyłyśmy na niego przez długą chwilę bezmyślnie.

- Wiekuisty Panie! - powiedziałam z pełnym zgrozy jękiem. - Ktoś ci przeszkodził, miałaś list w ręku i nie wiesz, co z nim potem zrobiłaś? A szafka ci się otwierała samoczynnie...! Paweł!...

Paweł już był na górze. Rzuciliśmy się na niego, wtykając mu do rąk rozmaite narzędzia. Wyszarpnął uszczelkę obcęgami, omal nie wyrywając drzwiczek z zawiasów. Alicja wydarła mu z ręki pogniecioną kopertę.

- List od Edka...! - powiedziała wstrząśnięta. - Rany boskie!!!...

To, że na poczekaniu wszyscy czworo nie udusiliśmy się z emocji, było istnym cudem, Edek pisał:

- „... Jest taka jedna głupia sprawa, o której Cię chciałem zawiadomić. Niedługo przyjadę i powiem Ci szczegóły osobiście. Ty nie przyjmuj tak każdego, jak leci, bo nie wszyscy są porządnymi ludźmi. Przypadkiem dowiedziałem się tu, że ta osoba, którą masz na fotografii z jej urodzin, to nie jest dla Ciebie towarzystwo. Pokazywałaś odbitki, jak byłaś w Polsce ostatnim razem. Na dwóch zdjęciach jesteś Ty, ona i duże

zwierzę, a na jednym tylko Ty i ona. Ona się tu spotyka z jednym facetem. Ten facet nie może pokazać się w Danii, a jakby się wykryło, co oni ze sobą kombinują, to Ty będziesz miała cholerne nieprzyjemności. Na niego już mają oko, na nią jeszcze nie, ale nigdy nie wiadomo. A w ogóle to ona jest świnia, kantuje wszystkich, między innymi swojego męża, i mnie się to nie podoba. Zobacz sobie, kto to jest, i więcej się z nią nie spotykaj...”

- Dalej są różne ucałowania i inne takie - powiedziała czytająca głośno Alicja. Na chwilę zapanowało milczenie.

- Przeczytaj to jeszcze raz - zażądała Zosia grobowo.

Alicja przeczytała jeszcze raz. Opuściła rękę z listem, podniosła głowę i popatrzyła na nas.

- Ja, ona i duże zwierzę... - powiedziała w osłupieniu. - Jakie duże zwierzę, na litość boską?! Koń...?! Joanna!

- Słowo honoru ci daję, że mam tylko jedno jedyne zdjęcie, na którym jestem ja i koń - powiedziałam pośpiesznie. - Siedzę na nim, miałam wtedy dziewięć lat i w ogóle cię nie znałam!

- Do diabła, czy oni nie potrafią pisać wyraźnie?! - zdenerwowała się Zosia. - Duże zwierzę na urodzinach, które kombinuje z facetami... Co my z tego wiemy?!

- Mamy pole do dedukcji - powiedział z ożywieniem Paweł. - Alicja, na czyich urodzinach byłaś?

- Co najmniej pięćdziesięciu osób - odparła smutnie Alicja. - Przeważnie robią zdjęcia. Ona ma męża. Cholernie dużo bab ma mężów...

- Odbitki! - zawołałam z przejęciem. - Pokazywałaś odbitki, musisz je mieć! Szukaj trzech zdjęć z tą samą osobą, z tym żeby na dwóch było zwierzę!

Ponuro i smętnie kiwając głową, Alicja odwróciła się i spojrzała

wymownie na dół regału. Leżały tam liczne pudła z fotografiami, filmami i slajdami w charakterze absolutnego grochu z kapustą. Wszystko to było niegdyś ładnie poukładane i posegregowane i wszystko zleciało razem z magnetofonem na głowę pana Muldgaarda, napadniętego przez Białą Glistę.

- No to mamy zajęcie na najbliższe trzy doby - powiedziała Zosia melancholijnie. - Nie ma co się zastanawiać, bierzemy się do roboty!

- Nie szukajcie konia! - ostrzegłam. - Nie dajcie się jej zasugerować. To mógł być równie dobrze słoń, wielbłąd, krowa, duży baran... Diabli wiedzą w jakim towarzystwie ona się fotografowała! Szukajcie Alicji z jakąś babą, a zwierzę wyłapiemy potem...

Świt zastał nas na gmeraniu w zdjęciach. Oddzielnie ułożona kupka zawierała wszystko, na czymkolwiek znajdowała się Alicja w żeńskim i zwierzęcym towarzystwie. Zwierząt, jako takich, znalazłyśmy niewiele, ale każde budziło nasze podejrzenia. Czas jakiś trwaliśmy nad fotografią, na której widniała Alicja, jej francuska przyjaciółka Solange oraz mamusia Solange, wiekowa dama, z kotkiem na kolanach.

- Owszem, to zdjęcie mam od dawna - powiedziała Alicja z powątpiewaniem, - Mogłam je pokazywać Edkowi. Ale czy rzeczywiście sądzicie, że on to określał jako duże zwierzę...?

Na dwóch innych występowała Alicja w towarzystwie Thorstena karmiącego słońca w kopenhaskim ogrodzie zoologicznym.

- Zwierzę jest - powiedziałam. - Nawet dość duże. Tylko Thorsten nie ma męża do kantowania...

O wschodzie słońca wyodrębniliśmy wreszcie kilka pasujących zestawów. Na jednym znajdowała się Alicja z Ewą na ulicy na tle duńskiej konnej gwardii, używanej do uświetniania różnych uroczystości. Na drugim Alicja z Elżbietą w posiadłości naszych eks-dobroczyńców na tle

krowy. Na trzecim wreszcie Alicja z Anitą w ogrodzie w towarzystwie wielkiego psa.

- Wszystko się zgadza - powiedziała Alicja posępnie. - Tu są urodziny króla i zwierzę, tu są urodziny dobroczyńców i zwierzę, tu są urodziny Henryka i też zwierzę. Która z nich?

- Elżbieta odpada - zawyrokowałam. - Nie ma męża. Zostają nam Ewa i Anita, czyli stoimy w punkcie wyjścia. Szukaj reszty. Nikt nie robi jednego zdjęcia, musi być więcej z tej samej serii. Szukaj filmu!

- Spać nie pójdziemy w ogóle? - spytała Alicja tonem protestu.

- Nie - powiedziała stanowczo Zosia. - Paweł, idź spać, nie jesteś już potrzebny. Ja mam tego dość, musimy dojść do końca!

Paweł ziewnął okropnie.

- Tak to nie ma - oświadczył. - Jak wszyscy, to wszyscy!

- Chwała Bogu, że jutro sobota - westchnęła Alicja. - To znaczy, dziś sobota. Nie muszę nawalać w pracy.

W milczeniu przeglądaliśmy filmy, jeden za drugim. W fotografiach panował u Alicji niewiarygodny wręcz porządek, było to bowiem Jej jedyne prawdziwe hobby. Gubiąc wszystko, co tylko się dało zgubić, nie zgubiła nigdy i nie zawieruszyła ani jednej odbitki, ani jednego negatywu, ani jednego filmu. Gdyby nie katastrofa pana Muldgaarda, nasze poszukiwania nie trwałyby dłużej niż pół godziny. Prawie wszystko było poznaczone, podpisane, zaopatrzone w daty i notatki, łatwe do przejrzania i stwierdzenia, czego brakuje, tyle że po katastrofie zamieniło się to trochę miejscami. W każdym razie wiadomo było, że jeśli jest odbitka, to musi się gdzieś znaleźć i film.

- No jest! - powiedziała wreszcie Alicja, trzymając przed nosem długi, czarny pasek. - Zgadza się.

- Jest! - powiedziała równocześnie Zosia, przesuwając pod światło

drugi film.

- Co masz? - zainteresowała się Alicja.

- Urodziny króla. Ciebie, Ewę i od cholery i trochę koni. Przeważnie tyłem. A ty?

- Anitę z psem na urodzinach Henryka. W całym filmie są tylko trzy zdjęcia moje z nią, w tym dwa z psem. Sprawdźcie jeszcze i wy.

Sprawdziliśmy wszyscy kolejno. Na urodzinach króla Alicja, Ewa i konie występowały w dużych ilościach. Na urodzinach Henryka Alicja z Anitą znalazły się tylko na trzech zdjęciach, na jednym były same, a na dwóch natomiast plątał się u ich stóp wielki pies.

Popatrzyłyśmy na siebie mało przytomnie, co można było przypisać bezsennie spędzonej nocy.

- Co nam z tego właściwie? - spytał Paweł. - Wychodzi na to, że Edek miał na myśli Anitę, ale co z tego?

- No właśnie - powiedziała Zosia z niezadowoleniem. - To, że jest na fotografii z psem, nie dowodzi jeszcze, że popełnia zbrodnię!

- A gdzie reszta? - spytałam, oglądając na zmianę film i odbitkę. - Z całego filmu jest tylko jedno zdjęcie. Gdzie reszta?

- Wiecie co, napijmy się kawy - zaproponowała Alicja. - Nie wiem, gdzie reszta, powinny być i dziwię się, że nie ma. Jak się napijemy kawy, to może nam coś przyjdzie do głowy.

Najważniejsze i jedyne rozsądne, co nam przyszło do głowy, to to, że trzeba porozmawiać z panem Muldgaardem. Nadszedł czas włączenia go w prywatne tajemnice, z którymi same doprawdy nie mamy pojęcia, co zrobić. Alicja zdecydowała się pożyczyć mu list Edka, żeby sobie zrobił fotokopie, ja zaś postanowiłam natychmiast wyekspediować korespondencyjnie najnowsze wiadomości. Mogły się przydać...

- Anita?... - powiedziała Zosia z powątpiewaniem nad drugą

filizanką kawy. - Mnie ona zupełnie nie pasuje. To jest roztrzepana wariatka, a nie żadna morderczyni.

- Coś mi się tu nie zgadza, ja przecież o niej nic nie wiem - stwierdziła z niejaką pretensją Alicja.

- Przeczytałam list od Edka, znalazłam ją na fotografii i co? Po jakiego diabła ona miałaby mnie zabijać, skoro żywa też się do niczego nie przydaje?

- Mogę ją zapytać - zaproponowałam życzliwie. - Jeśli to ona morduje, to powinna wiedzieć.

Moja propozycja spotkała się z natychmiastową aprobatą. Nawet nam do głowy nie przyszło, że zadawanie pytań wprost osobie podejrzanej o morderstwo nie jest może najwłaściwszą metodą dociekań. Z nas trzech to ja byłam z Anitą najbardziej zaprzyjaźniona i wydawało się zupełnie naturalne, że zadzwonię z zapytaniem, o co jej właściwie chodzi. Myśl, że Anita usiłowała popełnić dziewięć zbrodni, była w gruncie rzeczy tak idiotyczna, że nikt z nas nie był w stanie potraktować tego poważnie, a tym bardziej uwierzyć. Ewa wydawała się już bardziej prawdopodobna, Ewa była kobietą, która budziła wielkie namiętności i sama się im poddawała. Anita natomiast była zadowolona z życia i cokolwiek by się działo, jej było na ogół wszystko jedno...

- Anita? - powiedziała, bez litości wyrwawszy ją ze snu. - Słuchaj, wyszło nam, że to ty jesteś morderczynią. Co ty na to?

Anita ziewnęła przeraźliwie w telefon.

- Co ty powiesz? - zdziwiła się dość obojętnie. - A jak wam wyszło?

- Dość skomplikowaną drogą. Nikt inny nie pasuje, tylko ty.

- Tylko ja, mówisz... Czy policja już po mnie jedzie?

- Jeszcze nie. Nie zawiadomiłyśmy ich, bo nie możemy zrozumieć, dlaczego tak koniecznie chcesz utłuc Alicję. Możesz nam to wyjaśnić?

- Nie mam pojęcia - odparła Anita i znów ziewnęła. - Czy muszę wam to wyjaśniać o tej porze? Nie możecie trochę poczekać? Po południu wymyślę kilka powodów. Może mam manię?

- Nie, raczej jesteś chyba w coś zaplątana, ale nie wiemy w co. I skąd ten twój upór w kwestii Alicji?

Anita nagle oprzytomniała.

- O rany, czy się przytrafiło coś nowego? Czekaj, niech się rozbudzę. Co się stało? Nowa zbrodnia?

- Nie, na razie jeszcze nie.

- To dlaczego, w takim razie, o tej porze nie śpicie?! Myślałam, że co najmniej potrójne morderstwo...! Chore jesteście czy co?!

- Docierałyśmy do przestępcy i właśnie dotarłyśmy do ciebie. Alicja mówi, że nic takiego o tobie nie wie. Zupełnie nie możemy cię zrozumieć.

- Ja sama siebie nie mogę czasami zrozumieć - powiedziała Anita pocieszająco. - Nie przejmuj się. Ale zaintrygowałaś mnie nadzwyczajnie, chyba dzisiaj do was przyjadę. Pozwól tylko, że przedtem jeszcze się trochę prześpię...

Zosia i Alicja przyglądały mi się w czasie rozmowy trochę niepewnie.

- Nie wiem, czy to nie jest nietakt - powiedziała Zosia z wahaniem. - Dzwonić o siódmej rano po to, żeby pytać kogoś, czy nie jest zbrodniarzem...

- Dzwonić o siódmej rano to w każdym wypadku jest nie tylko nietakt, ale w ogóle świństwo - dodała Alicja. - Jeśli to jednak nie ona, to będziesz musiała ją przeproszać.

- Anita jest dziennikarką i prowadzi tryb życia, w którym nic jej nie powinno zaskoczyć - odparłam stanowczo. - Poza tym to zupełny nonsens. To nie ona.

Powtórzyłam im wypowiedzi Anity. Alicja znów sięgnęła po list Edka i odczytała go dwudziesty raz.

- Pewnie, że nie ona - powiedziała. - On tu wyraźnie pisze, że ma być zdjęcie z jej urodzin. A to były urodziny Henryka. Nie zgadza się, niepotrzebnie ją obudziłaś.

- Po diabła w takim razie przesiedziałyśmy całą noc? - spytała Zosia z rozgoryczeniem. - Ja idę spać, a ty, jak chcesz, dzwoń do tego policjanta. Niech mu nie będzie za dobrze.

Przed dwunastą zdążyłam na pocztę i wysłałam pośpiesznie i nieco chaotycznie napisany list. Pan Muldgaard przyjechał około pierwszej, wielce zainteresowany. Dostał do ręki list od Edka, dostał fotografię Alicji z Anitą i psem, dostał filmy, obejrzał to wszystko i pogрузzył się w rozmyślaniach.

- Ja powiem dużo - oświadczył wreszcie po dość długim czasie. - Nie moja to afera.

Zamilkł i przyglądał nam się wzrokiem pełnym zadumy.

- To rzeczywiście dużo... - mruknęła Zosia, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu.

Pan Muldgaard poprawił się na fotelu i westchnął jakby z żalem.

- Nie moja to afera - powtórzył. - Moja afera jest morderca. Ale moje kolegi, przyjaciół i wspólne robotniki, one gryzieją inne afery. One miały facet, dawno, wiele laty przódy. Facet poszła won oraz nigdy nie wraca. Uwięzion winien być. Facet wykonywa podła praca w odmienne kraje dla...

Pan Muldgaard zawahał się, umilkł i znów przyjrzał nam się z uwagą. Czekaliśmy w napięciu, zasłuchani w niezwykłą opowieść.

- Jest to tajemnica - powiedział ostrzegawczo. Zgodnym chórem przysięgliśmy, że nikomu nie powiemy.

- Podła praca - ciągnął pan Muldgaard z wyraźną odrazą, marszcząc brwi. - Dla złe handlowe osoby w Grecyja. Narkomania.

- Ach...! - powiedziała Alicja, najlepiej z nas wszystkich zorientowana w bolesnych problemach Skandynawii. - Międzynarodowy handel narkotykami!

Pan Muldgaard z wielką energią kilkakrotnie kiwnął głową.

- Tak. One robią świńska rzecz na cały świat. Facet wielce znaczony był. On jest. On ma pomoce. Jakaś osoba wielce wysiła się dlań. Moje kolegi nie posiadają wiadomości. Więcej osoby robi podła praca, wielkie mrowie, lecz osoba dla facet nader ważna jest. Informacje bywały na temat wielkie miłowanie...

Wszystkie trzy okazałyśmy gwałtowne zaskoczenie. Paweł wytrzeszczonymi oczami wpatrywał się w pana Muldgaarda, najwyraźniej w świecie ryjąc sobie w pamięci każde słowo.

- Wielkie co? - spytała Alicja z niedowierzaniem.

- Wielkie miłowanie. Sentymenta. Kochać nader.

- No to przecież nie Anita! - wykrzyknęła Alicja, wstrząśnięta od stóp do głów. - To Ewa...!

Pan Muldgaard spojrział na nią, wziął do ręki leżące na stole odbitki z Ewą i końmi, obejrzał film, przeczytał jeszcze raz list Edka.

- Czekaście - powiedziałam pośpiesznie. - Czy to były urodziny króla czy królowej? Alicja zawahała się.

- Zdawało mi się, że króla, ale teraz już nie wiem... Jej urodziny... Pokażcie te zdjęcia, trzeba sprawdzić porę roku!

Po wnikliwych badaniach wspólnie z panem Muldgaardem doszliśmy do wniosku, że była to wiosna. Takie przynajmniej wrażenie nasuwały widoczne na zdjęciu kawałki gałęzi i drzew. A zatem urodziny królowej!

Pan Muldgaard postanowił zrobić duże powiększenie i przyjrzeć się dokładniej. Następnie westchnął rozdzierająco.

- Na nic - rzekł. - Giuseppe Grassani nie facet. Moje kolegi oglądały jego. Inny. Nie ten sam. Posiadamy zbyt mało...

Zebrał zdjęcia, ułożył ładnie razem z filmami i listem Edka.

- Jest to powoda na podejrzenie - dodał, wskazując je palcem. - Zbyt mało. Dowoda brak. Niepewne. Moje kolegi posiadają wiadomości, one wiedzą osoba morderca kto jest. Ja także wiem...

Nie odebrało nam głosu tylko dlatego, że sądziliśmy, iż pan Muldgaard nie to mówi, co chce powiedzieć.

- Co pan powiedział? - przerwała Zosia wręcz niegrzecznie. - Pan wie, kto jest mordercą?

Pan Muldgaard okazał uprzejme zdziwienie.

- Ja wiem. Tak. Oczywiście. Wszystkie moje kolegi wiedzą. Jednakowoż osoba morderca mało znacząca jest...

- O rany Boga! - wyrwało się Pawłowi. - Mało tatuowana czy jak...?

- Boże, zmiłuj się nad nami! - jęknęła Zosia. - Co on mówi?!

Po krótkich, acz intensywnych wysiłkach wyjaśniliśmy sobie wzajemnie różnicę pomiędzy tatuazem a znaczeniem i dopiero wtedy nami dobrze wstrząsnęło.

- Co takiego?! - powiedziała z oburzeniem Alicja. - Osoba, która usiłowała zamordować osiem osób...

- Dziewięć - poprawił Paweł.

- ...Dziewięć osób! Nie ma znaczenia?! Jest mało ważna?! To co, u diabła, jest ważne?! O co tu chodzi, czego tu się szuka?! Ma zamordować dziewięćdziesiąt?

- Nie ma dziewięćdziesiąt - odparł smutnie pan Muldgaard. - Tylko

pięćdziesiąt osiem. Smutno pokrzywdzonych. Osoba wiemy, dowoda brak...

- Jak to pięćdziesiąt osiem? - przerwał śmiertelnie zdumiony Paweł.

Widząc, co narobił, pan Muldgaard poczuł się zmuszony udzielić szczegółowych wyjaśnień. Pojęliśmy z nich, iż głównym celem władz jest definitywne przyskrzynienie owej tajemniczej osoby razem z czarnym facetem, czego nie da się uczynić bez jakichś wyraźnych dowodów ich współdziałania. Zbrodniarza wykryto teoretycznie, drogą dedukcji, na podstawie poszlak, przy czym wiadomo, że dziewięć ofiar w Allerød i dziesiąta na autostradzie stanowi dla niego zupełną miętę z bubrem, ma za sobą bowiem co najmniej pięćdziesiąt osiem zbrodniczych akcji, w których niewątpliwie uczestniczył. Udowodnić mu tego nie sposób.

- Niemożliwość działania uczynić - ciągnął pan Muldgaard smutnie. - Potrzeby mnogo posiadamy. Pani - wskazał z kolei palcem Alicję - pani winna coś wiedzieć lub coś posiadać! Pamięć! Gdzie ona?

Na pytanie o pamięć Alicji moglibyśmy udzielić wielu rozmaitych odpowiedzi, wątpliwe jest jednak, czy którakolwiek z nich zadowoliłaby pana Muldgaarda. Alicja patrzyła na niego w zupełnym oszołomieniu. Zgłupieliśmy do tego stopnia, że nawet nie przyszło nam do głowy spytać, kto w takim razie jest owym znanym mu mordercą.

- Cholery można dostać! - powiedziała Zosia gniewnie. - Istny obłąd. Ja nie wiem, co oni wiedzą, ale skoro nie mają dowodów, to wiedzą tyle samo, co my! Ciągle to samo, Anita i Ewa! Czy my się nigdy nie odczepimy od jednej z nich?!

- Jest to cel i pragnienie - odparł pan Muldgaard uroczyście, z czego można było wnosić, że Zosia ma rację.

- A przez tego faceta? - spytałam. - Czy przez tego faceta nie można by dotrzeć?

- Kiedy przecież nie wiadomo, czy to ten sam, który spotykał się z Edkiem w Warszawie! - zniecierpliwiła się Zosia. - Paweł go tu nie rozpoznał!

- Jak miał rozpoznać, skoro go tu nie ma!

- A może tu mają jakieś zdjęcie tego podejrzanego? - ożywił się Paweł. - Może mógłbym rozpoznać ze zdjęcia? On miał taką gębę łatwą do zapamiętania!

Pan Muldgaard smutnie kręcił głową i wzdychał.

- Na nic. Nie posiadamy dobre, widzialne fotografie. Posiadamy nędzarne. Tajemna osoba ukradła.

- A nawet jeśli go rozpoznasz, to co ci właściwie z tego przyjdzie? - spytała trzeźwo Alicja, która już odzyskała równowagę umysłową. - Jaki mamy dowód, że spotykał się z Ewą albo Anitą? Będzie miał napisane na twarzy?

- Co to za wielkie miłowanie? - spytała Zosia niezyczliwie. - Czyje do kogo? Bo rzeczywiście, wielka miłość kojarzy się raczej z Ewą, Anita, o ile wiem, ma to w nosie.

- Owa osoba wielkie miłowanie do facet - wyjaśnił pan Muldgaard. - Informacje pewne niemal.

- To znaczy, że jednak Ewa - zawyrokowała Alicja bardzo niezadowolona. - Ale o niej też nic nie wiem. Przykro mi, że Ewa tak koniecznie chciała mnie zabić...

Pan Muldgaard oddalił się w końcu, zabierając ze sobą filmy i list i wraz z nimi unosząc nadzieję, że jego kolegi i wspólne robotnik! coś tam z tego wy-dedukują. Pozostałyśmy bardzo zmartwione i bardzo zdezorientowane.

- Słuchajcie no, o co właściwie chodzi w tej Grecji? - spytałam nieufnie, bo od lat obijało mi się o uszy, że coś tam jest, ale nie miałam

pojęcia co. Międzynarodowe przestępstwa, odbijające się echem zbrodni w domu Alicji w Allerød, wydawały mi się ze wszech miar podejrzane.

- Nikt dokładnie nie wie - odparła Alicja, wzruszając ramionami. - Wyrzucili na zbity pysk króla i królową, co się tu bardzo nie spodobało, bo, jak wiesz, królowa jest siostrą Małgorzaty. Siedzą tam jacyś i mącą. W takim zamieszaniu, jakie tam panuje, handel nieźle idzie.

- To świństwo i idiotyzm wyrzucać taką piękną królową - powiedziałam ze zgorzeniem.

- Król wyjechał dobrowolnie - zauważyła Zosia.

- Pewne, co miał tam przebywać w towarzystwie jakichś chamów. Jeszcze by mu zelżyli tę piękną żonę. Zdaje się, że robią straszną forszę na handlu narkotykami i wszystkie sposoby dla nich są dobre. Nikt nie ma dla nich sympatii. W ogóle jeden melanż.

Wyjaśnienie zadowoliło mnie najzupełniej, bo nigdy nie miałam nabożeństwa do interesów. Znacznie chętniej zajęłam się rozpatrywaniem urody i charakterów panujących w różnych krajach świata.

Późnym popołudniem przyjechała, zgodnie z zapowiedzią, Anita spragniona wyjaśnień. Czas do jej przyjazdu spędziliśmy na kłótni, czy pan Muldgaard, zagadnięty o zasadniczą sprawę, powiedziałby prawdę, czy nie. Zważywszy, że było nas czworo, a zdania były równo podzielone, nie zdołaliśmy się wzajemnie przegłosować. Alicja i Paweł twierdzili, że tak. Zosia i ja, że nie, przy czym każdy z nas swoją opinię uzasadniał inaczej. Osobiście byłam zdania, że pan Muldgaard, razem z całą resztą owych wspólnych robotników, czeka na jakiś wyraźny, zasadniczy błąd pewnego siebie mordercy i nie może sobie pozwalać na wtajemniczanie osób postronnych, które brakiem opanowania mogłyby zdradzić sekret, Zosia upierała się, że tak samo, jak my, zwyczajnie nie umie dokonać

wyboru pomiędzy Anitą i Ewą.

W ostatniej chwili udało nam się przypomnieć sobie, że powiązania z Grecją pan Muldgaard zdradził nam poufnie. Poinformowałyśmy zatem Anitę tylko o tym, że znalazł się list Edka i że według tego listu pozostaje nam do wyboru ona sama i Ewa.

- No i kiedy się wreszcie zdecydujecie, która z nas? - spytała Anita mniej przejęta niż zaciekawiona.

- Nie wiemy. Jeśli to ty, to możesz spać spokojnie. Nikt nie ma żadnego dowodu.

- A jaki dowód wam jest potrzebny? Może ja wam dostarczę?

- No, na przykład twoja znajomość z tym facetem, którego Edek spotkał w Warszawie. Masz może jakie zdjęcie w jego objęciach? Albo czułą korespondencję?

- Nie mam. Ale można by zrobić fotomontaż. Zdjęcia faceta nie macie?

- Nikt nie ma...

- Albo może przyznaj się po prostu - zaproponowałam.

- W końcu trzeba będzie - westchnęła Anita. - Któraś z nas będzie musiała się przyznać, ja albo Ewa, bo wyraźnie widzę, że nic innego nie pozostaje. A wy tego faceta nie znacie?

- Nawet jeśli znamy, to żadna z nas nic o tym nie wie.

- Szkoda. Ale jak wam znów wyjdę następnym razem, to bardzo was proszę, dzwońcie o jakiejś innej godzinie...

Aż do poniedziałku panował niezwykły spokój. W poniedziałek Paweł znowu został wezwany przez pana Muldgaarda i w ciągu kilku godzin dokonywał oględzin licznych podobizn rozmaitych facetów. Jedyne zdjęcie, na którym z całą pewnością znajdował się właściwy osobnik, prezentowało go od tyłu, w płaszczu i kapeluszu. Pomiedzy

kapeluszem a kołnierzem płaszcz widoczne było ucho, które, powiększone do nadnaturalnych rozmiarów, kazano Pawłowi rozpoznać.

- Zwariowali chyba - powiedział z niesmakiem. - Czyja się znam na uszach? Wielkie takie, na całą ścianę, do niczego niepodobne, skąd mam wiedzieć, czy jego?

We wtorek późnym wieczorem przybyły z zagadkowym wyrazem twarzy pan Muldgaard doczekał się wreszcie Alicji, która odbywała konferencję z Herbertem i została dłużej w Kopenhadze. Wydawała się trochę niezadowolona.

- Nie tylko ja mam sklerozę - powiedziała gniewnie. - Herbert też, chociaż młodszy. Taka byłam ciekawa, co jest w tej paczce, i okazało się, że jego żona wozi ją w samochodzie. On był piechotą. Umówiłam się, że dostarczy mi ją jutro, a możliwe, że dopiero pojutrze, jeśli znów nie zapomni. Jest coś nowego?

- Jest nowe - odparł pan Muldgaard. - Obca osoba strzygała żywopłot.

Zdziwiliśmy się wszyscy, a Alicja najbardziej. Pan Muldgaard wyciągnął znane nam już fotografie, robione w dniu, kiedy uszkodzono Agnieszkę. Fragmenty zdjęć zostały powiększone prawie tak, jak ucho podejrzanego osobnika.

- Jakaś mania powiększania... - zauważył Paweł krytycznie.

Pan Muldgaard sprawdzał powoli, ale wszystko, okazało się, że magistrat owego dnia żadnego pracownika do tej dzielnicy nie przysłał. Żadnych prac porządkowych nie wykonywano, nikt nie strzygł Alicji żywopłotu, ponadto nikt nie zna osobnika widocznego na zdjęciu. A zatem musi to być postać podejrzana.

Z nadzwyczajną uwagą obejrzelśmy kawałki człowieka w roboczym kombinezonie. Miał krzaczaste brwi, nieznacznie przyciemnione okulary,

wąsy i krótką brodę. Daszek od czapki krył jego twarz w cieniu. Kombinezon robił wrażenie wypchanego gdzieniegdzie, a drewniaki były na wyjątkowo grubej podeszwie. Wyraźny kamuflaż, w rzeczywistości powinien być niższy, szczuplejszy, zapewne gładko ogolony, a możliwe, że w ogóle był kobietą.

Powiększone fragmenty prezentowały różne części ciała. Na jednym widoczna była pięta, nie w całości wprawdzie, ale w stopniu dostatecznym, żeby specjaliści, jak poinformował nas pan Muldgaard, uznali, iż ubrana jest nie w męską skarpetkę, ale w damskie rajstopy koloru prawdopodobnie czarnego. Na drugim znajdował się kawałek grdyki, według naszej oceny zbyt subtelnej jak na męską. Inne elementy były naszym zdaniem zbyt zamazane, żeby z całą pewnością stwierdzić, do jakiej płci należą.

- W każdym razie jedno jest pewne - powiedziała Alicja z żywą satysfakcją. - Rachunku mi nie przyślą, a żywoplot mam ostrzyżony...

Na zakończenie konferencji pan Muldgaard powiadomił nas, że zostaną dokonane próby powiększenia podobizn Anity i Ewy. Być może którąś z nich uniewinni się wreszcie definitywnie. Odnieśliśmy nieodparte wrażenie, że mówi to specjalnie po to, żeby utrzymać nas w stanie niepewności co do osoby mordercy i że ma w tym swój cel.

- Gdyby teraz był jakiś napad, dopóki Ewa leży w szpitalu, wiedzielibyśmy, że to Anita - powiedział smutnie Paweł. - Ale jak na złość akurat teraz spokój!

- Przestań, bo jeszcze wymówisz w złą godzinę - powiedziała Zosia.

Przez trzy spokojne dni oddawałam się intensywnym rozmyślaniom. Rzecz wydawała się beznadziejna. Edek zetknął się przypadkowo, czy może nie przypadkowo, to obojętne, w Warszawie z facetem, który uprawiał nielegalną i niesympatyczną działalność na rzecz

greckich aferzystów. Wykrył, iż facetowi pomaga jakaś osoba z otoczenia Alicji i zaniepokoił się możliwością wplątania Alicji w aferę. Przyjechał, usiłował ją ostrzec, po pijanemu zdradził, że wie za dużo, wobec czego padł trupem. Gdyby potem zginął tylko Kazio Elżbiety, który siedząc z miłości w krzakach, mógł dojrzeć mordercę, wszystko byłoby jasne i zrozumiałe. Zbrodniarz zabija Edka, żeby mu zamknąć gębę i zabija Kazia, żeby nie zostać wykryty. Tymczasem Kazio zjadł truciznę przez oczywistą pomyłkę, morderca natomiast upodobał sobie Alicję i od kilku tygodni czyni uporczywe starania, zmierzające do zgładzenia przede wszystkim jej. Logicznie wnioskując, należy mniemać, że Alicja bezwzględnie jest dla niego niebezpieczna.

Jakim sposobem, do diabła, Alicja może być dla niego niebezpieczna? Po wyjściu pana Muldgaarda zebrałam do kupy wszystkich, Alicję, Zosię i Pawła, i kazałam im się nad tym zastanawiać. Protestowali nawet dość krótko, bo nadmiar atrakcji, połączonych z niepewnością, stał się wręcz nie do zniesienia i rozwikłanie sprawy wydawało się szczytem szczęścia.

- O przeczytanie listu mu nie chodziło, to pewne - stwierdziła Zosia.
- List jest, przeczytany, i co z tego? Nic.

- Mógł nie wiedzieć, co Edek tam napisał, i bać się, że napisał więcej
- zauważyła Alicja.

- Dajcie spokój listowi - powiedziałam zniecierpliwiona. - Już uzgodniliśmy, że prędzej się znajdzie po śmierci Alicji niż za życia. To musi być coś innego. Alicja, ty powinnaś znać tego faceta!

- Mam zażądać, żeby mi się przedstawił?

- Głupiaś. Mam na myśli przeszłość. Musiałaś go chyba znać i widywać z Anitą albo z Ewą, tylko sobie tego nie przypominasz. Albo może jeszcze z kimś innym i morderca się boi, że sobie to przypomnisz.

Może jednak rusz pamięcią?

- Anitę widywałam z jej pierwszym mężem. Zresztą, ty też... Jasny blondyn w typie skandynawskim. Przemalować się mógł, ale nosa sobie nie zmienił.

- Słusznie sięgasz w odległe lata...

- Zaraz - przerwał bardzo zamyślony Paweł. - Może on myślał...

- Może jednak słuszniej byłoby mówić „ona” - zaproponowała Zosia.

- Na tapecie mamy dwie baby. Mówmy wprost.

- Niech będzie - zgodził się Paweł. - Może ona myślała, że Edek powiedział Alicji coś więcej i ona to wie? Albo że coś przywiózł, co jej nasunie jakąś myśl? I nikomu innemu tylko Alicji?

- Przecenił mnie - mruknęła Alicja. - Nic mi się nie nasuwa.

- Bo Edek nic nie przywiózł...

- Owszem, wódkę.

- Wódka ci też nic nie nasuwa?

- Nawet dość dużo, ale raczej bez związku,

- Może obejrzyj jeszcze raz te zdjęcia? - powiedziałam beznadziejnie. - Może obejrzyj jakieś stare notatki, kalendarze czy ja wiem co... Starą korespondencję, stare buty...

- Stare torebki, stare rękawiczki, stare kapelusze...

- Przestańcie się wygłupiać, ja mówię poważnie.

- Z tego wszystkiego mogę obejrzeć tylko stare kalendarze i stare kapelusze - powiedziała Alicja melancholijnie. - Tak się składa, że akurat wiem, gdzie są. Wątpię, czy to coś da, ale mogę spróbować.

- Masz jeszcze stare kapelusze? - spytała Zosia, bardzo zainteresowana.

- Mam, i nawet łatwo dostępne. Stoją w pudle w piwnicy, musiałam

je zdjęć z antresoli przedwczoraj, jak wyciągałam walizki.

- Nie do wiary! Pokaż!

Rozważania nam trochę okulały, czemu niekoniecznie trzeba się dziwić. Alicja lubiła kapelusze i przed laty miewała bardzo piękne, przy czym, nigdy nic nie wyrzucając, a za to uzupełniając je swoimi i cudzymi oryginalnymi pomysłami, dysponowała w końcu olśniewającą kolekcją. Możliwość obejrzenia tego wszystkiego to była rzadka okazja, bo zazwyczaj trzymała je w miejscu niedostępnym i nie miała ochoty wyciągać i pokazywać.

Paweł przyniósł z piwnicy pudło niezwyklej rozmiarów, ledwo mieszcząc się z nim we drzwiach. Wszystkie trzy, przepychając się wzajemnie, przeniosłyśmy się pod lustro w przedpokoju, całkowicie opętane bezrozumnym szalem mierzenia kapeluszy.

Anita zapukała i weszła w chwili, kiedy wszystkie byłyśmy efektownie przystrojone. Zosia miała na głowie białą panamę z czarnym woalem, ja miękki beret z zielonego aksamitu z długim piórem, Alicja zaś jaskrawoczerwony kapelusz z oszalamiająco wielkim rondem. Zarówno Zosia, jak i ja, z niepojętych przyczyn wyglądałyśmy w tych nakryciach głowy tak, że za samą prezencję należałoby nas odizolować od otoczenia, Alicji natomiast było prześlicznie!

Anita znieruchomiała w progu, a oczy zaświeciły jej nadnaturalnym blaskiem.

- No wiesz! - powiedziała zamiast powitania. - Musisz to nosić!

- Musisz to nosić! - zawtórowałyśmy jej gwałtownie. - Alicja, nie waż się tego zdejmować z głowy! Jesteś nie do poznania!

- Tylko co? Do Bydgoszczy? - spytała Alicja. - Mam w tym także spać?

- Także spać! Kąpać się! Siedzieć w biurze! Musisz to nosić!!!

- Absolutnie musisz to nosić! Spójrz w lustro! Jesteś nie ta sama!

- Przecież mi do niczego nie pasuje!

- Ależ jak to nie pasuje! Do tego szarego, do jasnego beżu...!

- Do zgniłej zieleni też. Teraz są modne odważne zestawienia kolorystyczne - powiedziała stanowczo Anita. - Alicja, musisz to nosić! To jest obraza boska, żeby się coś takiego marnowało!

- Alicja, musisz to nosić! Bez tego kapelusza w ogóle cię nie chcę znać! Bezwzględnie musisz go nosić!!!

Opanowane wręcz szaleństwem zaparłyśmy się zgodnie zadnimi łapami. Alicja rzuciła niepewne spojrzenie w lustro i zaczęła się łamać.

- Będę się głupio czuła...

- Przecież go nosiłaś!

- Ale to było dziesięć lat temu...

- No to co?! Wyglądasz w nim akurat dziesięć lat młodziej!

- Nawet piętnaście...

- Wyglądasz znakomicie! Teraz jest moda na wszystko! Musisz go nosić!...

Z roziskrzonym wzrokiem Anita zdarła jej kapelusz z głowy, przymierzyła, po czym włożyła z powrotem tyłem do przodu. Okazało się, że tyłem do przodu Alicja wygląda jeszcze piękniej. Pod wpływem zbiorowej presji protestowała coraz słabiej.

- Czekaście, żebym nie zapomniała, po co przyjechałam - powiedziała nagle Anita. - Miałam zadzwonić, ale postanowiłam wpaść, bo ostatnio kursuję między Kopenhagą i Hillerød i mam was po drodze. A w ogóle to się śpieszę. Czy nie zostawiłam tu u was zapalniczki?

- Zapalniczki? Chyba nie. Nic takiego nie widziałyśmy.

- Zobacz, czy nie leży na półeczce. Jeśli zostawiłaś, to mogła zostać

odłożona tylko tam i nigdzie więcej.

Anita przeszukała półkę pod portretem pradziadka. Nie zwracaliśmy na nią uwagi, zajęte kapeluszami.

- Nie ma. To już zupełnie nie wiem, gdzie ją mogłam zgubić. Szkoda mi jej, bo pamiątkowa, ale trudno. Alicja, będziesz nosić ten kapelusz czy nie?

Alicja popatrzyła na nas niepewnie. Wyglądałyśmy prawdopodobnie tak, że odmowna odpowiedź mogłaby być niebezpieczna.

- Megiery. No dobrze, niech wam będzie...

- Nie waż się go zdejmować!

Po wyjściu Anity Alicja posłusznie została w kapeluszu. Z dreszczem rozkoszy gmerałyśmy dalej w pudle. Zosia wyciągnęła granatowo-biały toczek.

- Pamiętam go! - ucieszyła się. - Nosiał go jeszcze, jak wyjeżdżałaś pierwszy raz do Kopenhagi!

- Nosiałam go także w czasie pierwszego pobytu we Florencji. Wleciał mi do fontanny. Mam nawet zdjęcie, akurat jak się nachylam...

Alicja zamilkła na chwilę i wpatrzyła się w Zosię z wyjątkowym natężeniem. Zosia spojrzała na nią, rzuciła niespokojne spojrzenie do lustra i na wszelki wypadek zdjęła toczek.

- Co się stało? Nie wolno go mierzyć...?

Alicja w zadumie podrapała się w głowę, przekrzywiając kapelusz.

- A gdzie ja mam te zdjęcia z Florencji? Nie wiecie? Nie widziałyście ich w tej kupie?

- Widziałyśmy, ale to były slajdy.

- A, nie. Slajdy są późniejsze. Tamte to były zwyczajne odbitki i

chyba nawet miałam dwa filmy...

- Alicja, jeśli już nawet zdjęcia zaczynasz gubić...

Zaczęło mi coś chodzić po głowie.

- Czy to nie były przypadkiem te filmy, o których było tyle gadania jeszcze na Świętej Anny placu? - spytałam z zainteresowaniem. - Co to miałaś zrobić odbitki i komuś posłać, i najpierw nie odbierałaś z wywołania, a potem nie mogłaś się zdecydować, które powiększać, i w ogóle jeden melanz?

- Rzeczywiście, było coś takiego... To te? Nie odbierałam z wywołania. Nie wiesz, co ja z nimi mogłam zrobić?

- W Warszawie ich nie było - powiedziała Zosia kategorycznie. - Żeby nie było na mnie. Żadnych filmów z Florencji nie robiłaś w Warszawie.

- Tutaj też nie ma. Chyba że masz zdjęcia jeszcze gdzie indziej.

- Nie, nigdzie więcej nie mam. To gdzie one są?

- Według mojego rozeznania Herbert je wozi w samochodzie - powiedziałam jadowicie. - Niech pękne, jeśli to nie jest ta tajemnicza paczka.

- A wiesz, możliwe, że masz rację - przyznała Alicja w zamyśleniu. - O ile sobie przypominam, zamierzałam zrobić odbitki i powiększenia i zapakowałam je, żeby oddać do zakładu. I potem już wszelki ślad po nich zaginął...

Zosia stanowczym gestem poprawiła jej przekrzywiony kapelusz. Za drzwiami trzasnęła furka i rozległy się kroki, po czym ktoś zapukał. Otworzyłam, bo one obie zajęte były szarpaniem nakrycia głowy, które Alicja usiłowała zdjąć, a Zosia uparła się jej w tym przeszkodzić.

- Dobry wieczór - powiedziała Elżbieta. - Czy one się biją? Boże, jaki piękny kapelusz!

Elżbiety nie widziałyśmy już prawie dwa tygodnie, sensacyjnych wiadomości miałyśmy mnóstwo, ale wszystko zeszło na drugi plan w obliczu wielkiego czerwonego ronda. Oszalamiający kapelusz przymierzyła z kolei Elżbieta i okazało się, że jest jej chyba jeszcze lepiej niż Alicji.

- Będiesz go nosić? - spytała jakoś niepewnie i z wahaniem.

- Wątpię - odparła Alicja, z upodobaniem przyglądając się jej w lustrze. - One się mnie czepiają, ale chyba im jednak nie ulegnę. Raczej powinnaś go nosić ty.

Elżbieta spojrzała na Alicję spod czerwonego ronda oczami pełnymi niezwykłego blasku. Ten kapelusz miał coś w sobie...

- Dałabyś mi go...? Albo nie, może chociaż pożycz...!

- Możesz go sobie wziąć na zawsze. Przynajmniej będę miała pewność, że mnie te megiiery nie zmuszą do wygłupów. Wyglądasz znakomicie!

Poczucie estetyki i sprawiedliwości nie pozwoliło nam zbyt gwałtownie zaprotestować. Rzeczywiście, kapelusz był jakby stworzony dla Elżbiety! Na noszenie go przez Alicję nadzieja była nikła, jej gust odzieżowy bowiem uległ zdecydowanej odmianie. Elżbieta chodziłaby w nim z pewnością i w ten sposób arcydzieło nie zostałoby zmarnowane. Z pewnym wahaniem pogodziłyśmy się z tą decyzją.

Elżbieta, nie odrywając niemal oczu od lustra, powiadomiła nas, że Kazio wkrótce wyjdzie ze szpitala, ona sama zaś została zwolniona przez pana Muldgaarda z domowego aresztu i wraca do Sztokholmu. Zostało jej kilka drobnostek, które ktoś tam miał od niej odebrać, ale tego kogoś jeszcze nie ma i chciałaby te drobiazgi zostawić u Alicji, żeby ów ktoś mógł odebrać od niej. Nie przyniosła ich na razie, bo nie wiedziała, czy Alicja się zgodzi.

- Duże to jest? - spytała nieufnie Alicja, nauczona smutnymi doświadczeniami. Niejednokrotnie już drobnostka okazywała się tobołem wielkości szafy.

- Ach, nie. Zmieści się w zwyczajnej torbie na zakupy. Może sobie postać byle gdzie, chociażby w piwnicy.

- No dobrze, to przynieś...

Elżbieta zapowiedziała w takim razie, że przyniesie torbę jutro wieczorem i poszła, zabierając ze sobą kapelusz i nie interesując się tematem zbrodni i śledztwa. Wróciliśmy do zdjęć z Florencji.

- Coraz bardziej mnie ciekawi, co ten Herbert wozi w samochodzie - powiedziałam. - I coraz bardziej mi się wydaje, że chyba te zdjęcia. Może jednak odbierz mu to?

- Odbiorę, oczywiście. Jestem z nim jutro umówiona. Co ja tam jeszcze takiego mogłam zostawić?

- Co ty jeszcze takiego możesz wiedzieć...? Schowajcie już te kapelusze, do licha ciężkiego, bo myśli zebrać nie można! Alicja, rusz umysłem, czy nie spotkałaś Ewy albo Anity gdzieś w Europie w podejrzanych okolicznościach? Czy nie widziałaś, jak któraś z nich konspiracyjnie odkleja paczkę przyklepioną w restauracji pod stolikiem? Albo jak zakrada się w masce na twarzy do gabinetu jakiegoś dyplomaty...?

- Co za idiotyzmy mówisz? - zdziwiła się Zosia, układając kapelusze na powrót w pudle.

- Nie wiem, rany boskie, snuję przypuszczenia! Usiłuję znaleźć coś, przez co ona może być niebezpieczna dla mordercy!

- Czekaj no, czekaj - przerwała Alicja z ożywieniem. - Owszem, chyba coś widziałam...

Zmarszczyła brwi i zapatrzyła się w dal. Czekaliśmy w napięciu i

bezruchu, żeby jej nie rozpraszać.

- No co widziałaś, do pioruna?! - zniecierpliwiłam się.

- No właśnie nie mogę sobie przypomnieć - odparła Alicja z żalem. - Mam wrażenie, że widziałam Anitę, tylko nie pamiętam, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach. Możliwe, że w Rzymie, a możliwe, że w Paryżu albo jeszcze gdzie indziej. Spotkałam ją przypadkowo i tylko raz, to wiem na pewno, tylko jak...? Jak mówiłaś te brednie, coś mi się jakby skojarzyło...

- Powtórz te kretyństwa jeszcze raz - zażądała Zosia.

Powtórzyłam, dodając kilka następnych. Alicja wpatrywała się melancholijnie w słoń z nowymi kiszonymi ogórkami. Potrząsnęła głową i wyjęła sobie jednego.

- Na nic. Nie przypomnę sobie. Zdaje się, że na jakiejś poczcie, i zdaje się, że któraś z nas wysyłała list. Ale nie jestem pewna. W każdym razie z pewnością nie była w masce. Nie wydaje mi się też, żeby się skradała na czworakach. A w ogóle to mogła być poczta na Købmagergade...

- Nie mam do ciebie zdrowia - stwierdziłam z goryczą i zaniechałam maglowania jej nadal. Uznałam, że chyba tylko cud mógłby wyjaśnić tę kwestię.

Spokój panował jeszcze aż do późnego popołudnia nazajutrz. Późnym popołudniem nazajutrz Paweł strzygł resztkę żywopłotu na ścieżce od strony ulicy. Morderca, ostrzygłszy pięknie cały narożnik, ścieżkę zaniedbał i żywopłot w tej części raził nieco przy pozostałej. Obie z Zosią zastanawiałyśmy się w kuchni, co zrobić na obiad, kiedy Paweł zapukał nagle w okno.

- Hej! - wrzasnął. - Alicja idzie!

- Tak wcześniej? - zdziwiła się Zosia. - Przecież miała wrócić później,

bo była umówiona z Herbertem.

- Może znów zapomniała? - zaniepokoiłam się. - I znów nie odebrała od niego tej paczki? Chyba mnie przez nią w końcu szlag trafi...

- Obiad!... To już nie ma co się zastanawiać, robimy rybę. Wstaw kartofle!

Zdażyłam przykryć garnek przykrywką i przytknąć palnikiem, kiedy na ulicy rozległ się nagle wizg opon, krzyk Pawła i ryk silnika samochodu. Mrożona ryba wyleciała Zosi z rąk.

- Boże...!!! - krzyknęła, okropnie pobladła, nie ryba oczywiście, lecz Zosia.

Wypadłam z domu pierwsza, mętnie myśląc, że jeśli nawet zemdleje, to cucić ją będę potem. Za sobą usłyszałam trzaśnięcie drzwi i furtki, co oznaczało, że jednak nie zemdlą, tylko leci za mną. Kilkanaście metrów od ścieżki ujrzałam Pawła, nachylającego się nad jakąś osobą, leżącą na chodniku w dziwnej pozycji, jakby wgniecioną w krzewy sąsiedniego ogrodzenia. Obok poniewierał się czerwony kapelusz z wielkim rondem...

Nim dopadłyśmy tego miejsca, Paweł już pomógł podnieść się Elżbiecie. Była podrapana, odzież miała nieco podartą, trzymała się za lewy łokieć i nie mogła stanąć na prawej nodze. Nie straciła zwykłego spokoju, tylko twarz jej przybrała wyraz lekkiego zdziwienia. Paweł był blady i wstrząśnięty.

- Widziałem to! - powiedział gorączkowo, podtrzymując Elżbietę. - Wpadł na nią specjalnie, na pełnym gazie! Skręcił na chodnik! Gruchnął jak w kaczy kuper! Byłem świadkiem!

- To dlaczego ona żyje?!!! - krzyknęła Zosia półprzytomnie, z bezrozumną pretensją.

- Bardzo przepraszam - odparła Elżbieta łagodnie. - Sama się

dziwię, ale mam wrażenie, że on się rozmyślił w ostatniej chwili. Popchnął mnie jakoś bokiem. Zaraz... Chyba nie jest złamana...

Spróbowała stanąć na nodze i uczyniła kilka kroków, mocno kulejąc i opierając się na Pawle. Zatrzymała się i obejrzała łokieć.

- Nie jest tak źle, zdarłam sobie trochę skórę, nic takiego...

- No i widzisz, zachciało ci się napadu - powiedziałam nerwowo. - Masz napad...

- Jechał ostro, tam się skądś pokazał i skręcił zaraz za nią! Specjalnie! - upierał się Paweł. - Potem odbił z powrotem na prawo i prysnął jak świnia! Myślałem, że to Alicja...

- Czym cię uderzył? - spytała gwałtownie Zosia. - Pokaż tę nogę... Pokaż ten łokieć! Możesz iść? To trzeba natychmiast opatrzyć! To cud, że trafiłaś w te miękkie krzaki!

- Średnio miękkie - poprawiła Elżbieta z lekkim niesmakiem. - Usłyszałam go i obejrzałam się, możliwe, że się trochę cofnęłam i dlatego pchnął mnie bokiem. Błotnikiem albo zderzakiem, nie wiem. Aha, jeszcze tu mnie coś boli... Zaraz, kapelusz...!

Podniosłam kapelusz i znalazłam w zaroślach jej torebkę i torbę na zakupy.

- Oczywiście, znów czerwone! - powiedziała Zosia ze wstrętem, oglądając się na kapelusz. - Znienawidzę ten kolor!... Powinnyśmy były wczoraj przewidzieć... Zostaw to świństwo!

- Wykluczone! - zaprotestowała Elżbieta z niezwykłą, jak na nią, gwałtownością. - Mało, że mam siniaki, to jeszcze mam stracić kapelusz?

W godzinę później, kiedy wróciła Alicja, Elżbieta siedziała na kanapie, już opatrzona, obandażowana, oklejona plastrami, z okładem na nodze. Gdzieniegdzie spuchła, gdzieniegdzie zaczynała sinieć, ale w gruncie rzeczy nie stało jej się nic poważnego. O kartoflach

zapomniałyśmy kompletnie i rozgotowały się na miazgę, a w rozrzuconą na podłodze rybę włożył Paweł. Obiad trzeba było zaczynać od zera.

- A więc jednak to Anita! - zawyrokowała Alicja stanowczo. - Wszystko przez ten cholerny kapelusz! Oprócz was tylko ona wiedziała, zobaczyła kapelusz i myślała, że to ja!

- A właśnie, że nie!!! - wrzasnęła nagle Zosia jakimś okropnym głosem i wyrzuciła patelnię w kuchnię. - Tuż przedtem dzwoniła Ewa!!! Szlag może trafić!!! Pytała, czy Alicja chodzi w tym cudownym kapeluszu, żeby to jasny piorun trafił!!!

- Jak to, Ewa,..? - spytałyśmy, nieco zbaraniałe. Zosia uspokoiła się nieco i odstawiła patelnię. Okazało się, że Anita po wyjściu od nas wpadła na chwilę do Ewy do szpitala i opowiedziała jej o kapeluszu Alicji, opisując go z najdrobniejszymi szczegółami. Była tak przejęta jego urodą i urodą Alicji w nim, że zaraziła i Ewę, która zadzwoniła z ciekawości.

- One to chyba robią specjalnie - zakończyła z goryczą.

- Przy kierownicy siedział facet - wtrąciła Elżbieta.

- Co za facet? Widziałaś go? Słuchaj, obejrzałaś się przecież, może coś pamiętasz?!

- Owszem, pamiętam - odparła Elżbieta ze spokojem. - Rękawiczki.

- Jakie rękawiczki?

- Jego. Trzymał ręce na kierownicy i jedyne, co dostrzegłam, to rękawiczki. Mogę wam je opisać.

- No to opisz, na litość boską! Nareszcie jakiś ślad mordercy!...

- Bardzo ciemnoszare, nawet marengo. Samochodowe, takie z dziurą na grzbiecie i z małymi dziurkami dookoła. Z grubymi szwami, szytymi czarną nitką, z bardzo krótkim mankietem, zapięte na czarne guziczki. W razie potrzeby mogę rozpoznać guziczki.

- O rany, genialne! - westchnął z zachwytem Paweł.

- Jakim cudem tak je zapamiętałaś? - zdziwiła się Alicja.

- W ogóle nie widziałam nic innego. Miałam wrażenie, że wjeżdżają na mnie rękawiczki i utkwily mi w oczach. Cały czas je widzę. Obie ręce trzymał z lewej strony kierownicy. Jeśli koniecznie wam na tym zależy, mogę złożyć zeznania.

- Pan Muldgaard! - krzyknęła Alicja i zerwała się z miejsca. - Niech tu natychmiast przyjeżdża!...

Dopiero po odjeździe pana Muldgaarda, który przybył w pół godziny w towarzystwie dwóch specjalistów, zebrał informacje, obejrzał miejsce wypadku, wydedukował rodzaj uszkodzeń na samochodzie, pokiwał głową i odjechał, przypomnieliśmy sobie o paczce Herberta.

- Zostawił ją w biurze - powiedziała Alicja beznadziejnie. - Zabrał z samochodu, który zabrała żona, i zostawił w biurze, a ja się z nim spotkałam u adwokata. Nie chciało mi się jeszcze potem jechać do jego biura, zwłaszcza, że on się śpieszył. Umówiłam się, że mi jutro podrzuci.

- Ja do was nie mam zdrowia - stwierdziła Zosia ponuro i nagle odwróciła się do Pawła. - Dlaczego krzyknęłaś przez okno, że Alicja idzie?

- No jak to, przez ten kapelusz - odparł, nieco wystraszony, bo Zosia zadała mu pytanie wręcz napastliwie. - Wczoraj, jak szedłem spać, zostało uzgodnione, że go będzie nosić. W ogóle nie mogłem zrozumieć w pierwszej chwili, dlaczego ta ofiara to nie Alicja, tylko Elżbieta. Byłem pewien...

- Morderca też był pewien - mruknęła Alicja z nietaktowną satysfakcją.

Elżbieta czuła się nieco rozbita. Chodzić wprawdzie mogła, ale z największym trudem, zdecydowała się więc zostać na noc. Problem, gdzie ją położyć, żeby nie narazić na następny zamach, zajął nam resztę czasu. Prawdopodobnie zgłupialiśmy już z tego wszystkiego do reszty, bo

wiadomo było przecież, że zbrodniarz posiedzi spokojnie, dopóki się nie przekona, że znów trafił kogoś niewłaściwego. Ulokowaliśmy ją w końcu w pokoju po Włodziu, Marianne, Agnieszce i Bobusiu, na łóżku Alicji zostawiłyśmy kukłę, Alicja zaś przygotowała sobie posłanie na kanapie. Pozamykałyśmy starannie wszystkie drzwi i okna i uznałyśmy, że powinno być bezpiecznie.

Umyłam się, jak zwykle, ostatnia, pogasiłam światła i zamierzałam iść spać, ale po krótkim namyśle zdecydowałam się zrobić sobie jeszcze trochę herbaty. Od emocji zaschło mi w gardle. Zasunęłam zasłonę, żeby światłem nie obudzić Alicji, która już pochrapywała, i sięgnęłam ręką do kontaktu. Sięgnęłam od góry, macając po ścianie, i trafiłam prosto w przymocowany nad kuchnią słój z solą. Okropnie nie lubię wkładać ręki do soli, bo mi wchodzi za paznokcie, wzdrygnęłam się zatem i wyszarpnęłam ją nieco zbyt gwałtownie. Słój wyskoczył z podstawki i runął na kuchnię, a z niej na podłogę, zrzucając przy okazji patelnię.

W pięć sekund później w kuchni byli wszyscy, z wyjątkiem Elżbiety. Zosia i Paweł wypadli z korytarzyka. Alicja zaplątała się w zasłonę. Nie mając już przeszkody w postaci soli, znalazłam kontakt i zapaliłam światło.

- Boże, miej litość...! - jęknęła Zosia, chwytając się za głowę i gnąc się jak złamana lilia nad blatem kuchennym. - Co robisz...?!

- Czy ty chcesz nas do reszty wykończyć? - spytała Alicja złowieszczo. - Co, do cholery, wyprawiasz?!

- Nic, rany boskie, chciałam sobie wziąć herbaty - odparłam ze skruchą. - Idźcie do diabła, sama tu posprzątam. Kretyńskie miejsce na sól.

Zmiotłam sól, posprzątałam, nalałam sobie herbaty i na palcach udałam się do atelier, sprawdzając po drodze, czy Alicja i Elżbieta

oddychają. Oddychały, wszystko było w porządku.

Miałam wrażenie, że ledwo zasnęłam, kiedy obudził mnie potworny hałas. Tłuczone szkło sypało się na jakieś blachy. Przeróżliwy brzęk, szcęk, jakby trzask wybijanej szyby, rozległy się gdzieś za moją głową, za ścianą, w pokoju Zosi. Zleciałam z katafalku, szarpnęłam drzwi, po drodze dostrzegłam, że Elżbieta siada na łóżku, w korytarzu zderzyłam się z Alicją i Pawłem i wszyscy troje runęliśmy na drzwi pokoju Zosi. Zosia, bliska płaczu z wściekłości, usiłowała się wyplątać z czegoś niewidocznego. Nocna lampka u sufitu słabo oświetlała jej wysiłki.

- Żyjesz...! - jęknęłam z ulgą, łapiąc oddech.

- Do cholery z tym bezpieczeństwem! - wrzasnęła Zosia z furią. Przepchnęłam się bliżej i ujrzałam na podłodze przed łóżkiem olbrzymią kupę potłuczonego szkła, po większej części z butelek, przykrywkę od garnków i jakieś blachy. Zosia odplątywała sobie z nóg cienką nitkę.

- Co, na miłosierdzie pańskie, zamierzałaś zrobić z tym wszystkim?! - spytałam, nieopisanie zdumiona, bo Zosia na ogół zachowywała się raczej normalnie.

- Nic, do diabła! - warknęła. - Trzeba mnie było nie budzić tą solą! Robisz jakieś kretyńskie hałasy i potem jest taki skutek!

- Potłukło się od hałasu? - zainteresował się Paweł.

- Odczepcie się! Nie mogłam zasnąć, nie umiem spać przy zamkniętym oknie! Więc otworzyłam i zrobiłam urządzenie alarmowe! Żeby nikt nie wlaź! Zapomniałam o tym i sama w to wlałam.

- To znaczy co zrobiłaś? - spytała nadzwyczajnie zadowolona Alicja. - Usiłowałaś wejść przez okno?

- Następny urlop spędzę zamknięta w piwnicy! - zagroziła półprzytomna Zosia. - Nie brałam nic czerwonego!... Ustawiłam tu butelki i otoczyłam dookoła nitką, i przywiązałam ją do okna, jakby kto

chciał uchylić, to musiał je zepchnąć, a pod spodem położyłam to wszystko i zaplątałam się w tę nitkę! Do diabła! Idźcie stąd!!! - wrzasnęła nagle. - Idźcie spać i pilnujcie Elżbiety!!!

Zostawiliśmy ją, nie chcąc się jej zbytnio narażać, i posłusznie poszliśmy spać, po drodze wyjaśniając Elżbiecie, co się stało.

- Czy są jeszcze jakieś urządzenia alarmowe? - spytała Elżbieta, granitowo spokojna. - Mam na myśli to, czy są jakieś na drodze do łazienki. W razie gdybym chciała tam pójść... Czy rozlegnie się może dzwonek albo syrena?

- Nic się nie rozlegnie, na litość boską - odparła Alicja z rozpaczą. - Chyba że oni... Przyznajcie się, czyście może też coś zrobili?

- Nic, jak Boga kocham! - przysięgł Paweł.

- Odczep się - mruknęłam i wróciłam na katafalk.

Z pewnością nie minęło więcej niż pięć minut, kiedy okropny, krótki krzyk poderwał mnie znów na równe nogi. Zdawało mi się, że to głos Alicji. Jeden krótki, straszny krzyk i potem cisza...!

Omam nie wywichnęłam sobie ręki, naciskając kontakt ukryty pod ramą od obrazu. Kanapa była pusta, Alicji na niej nie było! W korytarzyku usłyszałam rumor i głosy Pawła i Zosi. Zabrakło mi oddechu, na szczęście zanim zdążyłam zacząć się dusić, dostrzegłam Alicję, żywą, w całości, poruszającą się w mroku przedpokoju.

- Strasznie was przepraszam - powiedziała z bezgraniczną skruchą i zakłopotaniem. - Pomyliłam się...

Zosia, chwiejąc się, bez słowa, pomacała ręką za sobą. Paweł złapał ją i troskliwie posadził na fotelu. Usiadłam na sąsiednim.

- Znaczy, zamiast zamknąć oczy i spać, zaczęłaś drzeć gębę? - powiedziałam z rezygnacją. - Pomyliłaś czynności?

- Niezupełnie. Zapomniałam, gdzie śpię. Rozmawiałam przez chwilę

z Elżbietą, a propos, jak Elżbieta...?

- Dziękuję, nieźle - odparła łagodnie Elżbieta od drzwi.

- To chwala Bogu. Potem poszłam do łazienki, napiłam się wody, jeszcze czekałam, aż będzie leciała zimna, a potem odruchowo poszłam do swojego pokoju i usiadłam na łóżku. I wyobraźcie sobie, usiadłam na kimś...!!!

- Na kukle... - mruknęła Zosia z rozgoryczeniem.

- No tak, ale ja zapomniałam, że tam śpi ta maskara. Zrozumcie, jakie to wrażenie, jak człowiek siada na kimś we własnym łóżku! W ogóle idiotyczny pomysł z kukłami! Możliwe, że trochę krzyknęłam...

- Trochę...!!! - prychnęła z oburzeniem Zosia.

- Myślałam, że tym razem cię jednak zamordowali - wyznał Paweł. - Tak to jeszcze nikt tu nie krzyczał,

- Nikt nie siadał na kukłach...

- Jest nas pięcioro - powiedziała melancholijnie Elżbieta, oparta o drzwi. - Czy każdy po kolei zamierza coś zrobić? Czy ja też muszę?

- Nic nie musisz. Trzy osoby odpadły. Paweł, ty jak?

- Ja odmawiam - odparł kategorycznie Paweł i ziewnął przeraźliwie. - Mnie się chce spać.

- Boże, co za koszmarna noc! - powiedziała Zosia z rozdzierającym jękiem. - Daję wam słowo, że dłużej tego nie zniosę. Alicja, rób, co chcesz, myśl, szukaj, sprawdzaj, jeśli sobie nie przypomnisz, co wiesz, jeśli nie odbierzesz tej paczki od Herberta, jeśli nie wyczerpiesz wszystkiego, żeby złapać tę zbrodniarkę, przysięgam wam, że ja zacznę mordować!!!

- Nie dziś, proszę cię - powiedziała Alicja błagalnie. - Zaczynij od jutra. Pozwól nam się przedtem trochę przespać!

- Nie wiem, czy warto próbować - powiedziałam z powątpiewaniem. - Będę zdziwiona, jeśli tej nocy nie wybuchnie w Allerød pożar albo

cokolwiek innego...

- Chyba nie zdąży, bo już zaczyna świtać - powiedział Paweł pocieszająco, patrząc w okno.

Rzeczywiście nie zdążył, chociaż tej nocy nie zdziwiłoby nas już prawdopodobnie nic. Ani pożar, ani powódź, ani trzęsienie ziemi. Gdyby Alicja hodowała kota albo psa, klepanie ogonem w podłogę lub też drapanie się za obrozą postawiłoby znów cały dom w stan alarmu.

Zdopięta ostatnimi wydarzeniami i pogarszającą się atmosferą, Alicja postanowiła potraktować rzecz poważnie i odzyskać tajemniczą paczkę, nie mając zresztą pojęcia, czy będzie to na cokolwiek przydatne. Skutek był taki, że poszukujący jej pan Muldgaard przez cały dzień nie zdołał jej złapać. Poruszony nerwowymi telefonami Herbert w przypływie nadgorliwości znów zabrał pakunek do samochodu i udał się do niej. W tym samym czasie zniecierpliwiona Alicja udała się do niego. Wrócili do siebie równocześnie, mijając się w drodze, za nimi zaś podążał pan Muldgaard. W ten sposób wszyscy troje spędzili dzień pracy, ganiając się nawzajem bezskutecznie po mieście. W ostatecznym rezultacie wysiłków Herbert spotkał Alicję wysiadającą z pociągu na stacji w Allerød, gdzie przyjechał jej szukać. Podrzucił ją do domu, odmówił wstąpienia, a ze względu na pośpiech omal nie zapomniał w ostatniej chwili wręczyć jej przyczyny tego całego zamieszania.

Z paczuszką w ręku Alicja triumfalnie wkroczyła do mieszkania.

- Proszę, jest! Jeśli teraz się okaże, że tam są, na przykład, stare pończochy do łapania...

Rzuciłyśmy się na nią zachłannie. W paczce znajdował się mały, kieszonkowy słowniczek polsko-włoski, kalendarzyk sprzed kilku lat, jeden wiszący klips z jakichś zielonych kamieni, bardzo oryginalny, pudełko ceramicznych płytek na mozaikę i zaginione zdjęcia z Florencji.

Dwa filmy i kilkanaście odbitek.

- Wyglądacie jak wygłodniałe hieny - zauważył krytycznie Paweł, przyglądając się nam, kiedy wyszarpywałyśmy sobie wzajemnie upragnione fotografie.

- Jest! - zawołała Alicja rozradowana, patrząc pod światło na film. - Tu mi właśnie ten kapeluszek wlatuje do fontanny!

W tejże samej chwili pan Muldgaard zapukał do drzwi. Otworzył mu Paweł, bo my wszystkie byłyśmy zbyt zajęte. Wraz z panem Muldgaardem przybył jakiś nie znany nam osobnik, wyglądający na bardzo ważną osobę. Pan Muldgaard witał się i usiłował być dobrze wychowany, dokonując prezentacji, towarzyszący mu osobnik natomiast, zanedbując całkowicie formy towarzyskie, rzucił się na klips jak głodny szakal na padlinę.

Na chwilę zapanowało lekkie zamieszanie, wszyscy bowiem usiłowali od razu wyjaśnić wszystko. Skąd zdjęcie, skąd klips i o co chodzi temu panu. Mniej więcej po kwadransie udało się ustalić kolejność udzielania odpowiedzi. Pan okazał się najważniejszy.

- Pamiętam, oczywiście - powiedziała Alicja z radosnym ożywieniem. - Cała paczka zawiera rzeczy z Florencji. Ten klips znalazłam na poczcie, tam właśnie spotkałam Anitę, teraz to sobie przypominam dokładnie. Wlazłam na niego, poczułam go pod nogą i podniosłam bezmyślnie, bo był taki ładny. Nie wyrzuciłam, bo w końcu trochę głupio wyrzucać złoto...

- Hej! - przerwał Paweł, oglądający odbitki przez lupę. - Słuchajcie, tu jest chyba Anita!

Alicja machnęła na niego niecierpliwie ręką, bo ważny facet zażądał od niej dokładnego sprecyzowania czasu pobytu we Florencji, chwili spotkania Anity i godziny znalezienia klipsa. Bez kalendarza z

odpowiedniego roku Alicja nie byłaby w stanie spełnić jego życzeń w najmniejszym stopniu, na szczęście jednak kalendarz, jak na zamówienie, był pod ręką. Słuchając jej pełnych satysfakcji odpowiedzi, na zmianę polskich i duńskich, oglądałam zdjęcia, wydarłszy Pawłowi lupę.

- Siedemnastego maja - powiedziała Alicja, patrząc w kalendarz upstrzony notatkami. - Wysyłałam karty, wszystkie w kupie, tylko jeden raz, i wtedy właśnie byłam na tej poczcie. Godzina... Zaraz, godzina... Przedtem był u mnie Stefan, spotkałam się z nim w hotelu, co tu jest napisane...? O jedenastej. Tak, o jedenastej, mam zapisane, na poczcie mogłam być najwcześniej o wpół do pierwszej.

Zarówno pan Muldgaard, jak i jego towarzysz okazali coś w rodzaju wzruszenia. Kilkakrotnie upewnili się, czy istotnie właśnie wtedy spotkała Anitę i czy może to zaświadczyć publicznie.

- Hej! - powiedziałam. - Mnie też się wydaje, że tu jest Anita. Alicja, niech sobie to obejrzą, będą mieli dowód.

Tak zdjęcia, jak i lupa zostały mi natychmiast odebrane. Fotografia przedstawiała jeden z licznych pięknych widoków, w perspektywie starej uliczki widoczne były budynki. Z drzwi jednego z nich ktoś wychodził. Jakaś osoba z jedną nogą już na chodniku, z drugą jeszcze na stopniu, z głową nieco odwróconą do tyłu, jakby do kogoś, kto majaczył w głębi. Wszystko razem było małe i bardzo niewyraźne, ale istotnie wychodząca osoba wyglądała na Anitę.

Obaj panowie rzucili się z kolei na filmy, żądając od Alicji określenia czasu, w jakim zdjęcia były robione. Towarzysz pana Muldgaarda dostał wypieków. Przejęta Alicja zdobyła się na niezwykle wysiłek pamięci.

- Rano - powiedziała. - To znaczy akurat te, to z Anitą, o i te... Aż do fontanny. Wysłałam z tym Stefanem z hotelu, pamiętam, po drodze

robiliśmy zdjęcia i dopiero potem poszłam na pocztę. A, nie! Tu jeszcze jest zdjęcie na poczcie, to nie doświetlone, ostatnie, jakie Stefan robił, bo uparł się sprawdzić, czy wyjdzie wewnątrz. Nie robiłam z tego odbitki... A fontanna była tuż koło poczty.

Pan Muldgaard podniósł się nagle z fotela i z wielką energią, uroczyście, potrząsnął kilkakrotnie jej ręką.

- My wiemy wszystko - rzekł. - Oto dowoda, który brakowało. Było mówienie, pani wie! On poszukiwał to!

- Co? - spytała Alicja, nieco zdezorientowana.

- To - odparł pan Muldgaard i wskazał kolejno klips, kalendarzyk i zdjęcia. - To poszukiwał. Pani wielce mądra, wielce rozwaga, nie ukryć to w domu.

- Jak to...? Co to znaczy? Więc to jednak Anita...?!

Pan Muldgaard westchnął bardzo ciężko i rzewnie.

- Tak - odparł. - Wielka dramata. Jutro przybywam, pozostałości będzie rozpoznawana...

Obaj z ważnym facetem wśród licznych rewerencji opuścili dom dość pośpiesznie, zabierając ze sobą zdjęcia i klips. Siedziałyśmy nadal przy stole, patrząc na siebie w oszołomieniu, wstrząśnięte.

- Zawsze byłam zdania, że jestem wielce mądra... - powiedziała Alicja raczej niepewnie.

- Nie do wiary - szepnęła Zosia. - Ona ma żelazne nerwy...

- Pasować to ona pasuje do każdego wypadku... - zaczął Paweł.

- Przeciwnie - przerwała Alicja. - Wcale nie pasuje. On mówił o tych wielkich miłościach, do Anity to ni przypiął, ni wypiął...

- Ale pasuje do wydarzeń! Stała na tej ścieżce, uciekła zwyczajnie, wcale nie było słyhać, żeby ktoś skakał przez żywopłot! Wiedziała, że szyba jest wybita! Alicja jej mówiła, że wraca do domu, wtedy, kiedy

napadła Agnieszkę w szlafroku! Czaiła się w przedpokoju, bo ukradła klucze! Wiedziała o kapeluszu...!

- No dobrze, ale wielkie miłości...?!

Nie wytrzymałam, rzuciłam się to telefonu i wykręciłam numer Anity. Pan Muldgaard nie domagał się zachowania tajemnicy.

- Słuchaj, co się dzieje?! - spytałam ze zgrozą. - Okazuje się, że to jednak ty! Czyś upadła na głowę?!

- A, to już wiecie..? - spytała Anita głosem nieco zdenerwowanym. - Do końca miałam nadzieję, że Alicja sobie nie przypomni... Pilnują mnie tu i nawet nie mogę uciec. Diabli wzięli wszystko...

- O rany boskie, ale dlaczego?! Co ci do łba strzeliło?!

- Bo dla mnie była tylko jedna rzecz na świecie coś warta - powiedziała Anita zimno i zdecydowanie. - Wszystkiego warta! Co mnie obchodzą jacyś ludzie, ciebie też mogłabym zabić, gdyby się to na coś przydało. Nawet powinnam była, ty jedna wiesz... Mówiłam ci kiedyś... Co tam, niech to wszystko szlag trafi...

Powoli odłożyłam słuchawkę, usiłując odzyskać równowagę, Alicja, Zosia i Paweł patrzyli na mnie pytająco i napięciu.

- Zdaje się, że ma atak nerwowy - powiedziałam, niepewna własnej oceny. - Siedzi w domu, pilnują jej i chyba zaczęła płakać.

- Załamała się - stwierdziła Alicja. - Podejrzewam, że musi mieć szmergla. Co ją napadło, na litość boską?!

Ośłupienie nam stopniowo mijało, ale dopiero następnego popołudnia udało nam się opanować wstrząs i wrócić do przytomności. Definitywne wykrycie morderczyni, tyle czasu będącej naszą przyjaciółką, uczyniło na nas wrażenie potężniejsze niż można było się spodziewać.

Nazajutrz pan Muldgaard wystąpił jeszcze uroczyściej. Przybył z kwiatami, uściśnął dłoń wszystkim kolejno i rozłożył na stole ze

dwadzieścia fotografii rozmaitych facetów. Zapatrzyliśmy się w nie jak sroka w gnat.

- Jest!!! - wrzasnął nagle Paweł dziko i z triumfem. - To ten!!!

- Ależ ja go znam!!! - krzyknęła zdumiona Alicja, wydzierając mu z ręki podobiznę czarnego faceta o pięknej twarzy, w typie, którego nie znoszę. - To jest jeden Grek, poznałam go w Wiedniu dawno temu i spotkałam także wtedy we Florencji...!

- Dlaczego mówili, że nie mają jego zdjęcia i kazali mi rozpoznawać ucho? - spytał Paweł ze śmiertelną urazą.

- Nie miały - odparł pan Muldgaard tajemniczo. - Dziś rano przybyła podobizna telekopia. Z Warszawa. Żadna osoba nie wie, od kogo i dla jakowa przyczyna.

Otworzyłam usta, żeby coś niepotrzebnie powiedzieć, ale zreflektowałam się i zamknęłam je bez słowa. Pan Muldgaard zaprezentował następny komplet odbitek, które zawierały bardzo powiększone fragmenty filmów Alicji.

- Oto obzierać proszę - rzeki. - Wielce z uwagami.

- No i popatrz sama, jak to łatwo jest mieć odbitki i powiększenia - powiedziałam złośliwie do Alicji. - A ty musiałaś z tym czekać tyle lat i jeszcze ganiać Herberta.

- Wypchaj się...

Na trzech zdjęciach znajdowała się Anita, w tym powiększeniu łatwa do rozpoznania. Na jednym, tym gdzie wychodziła z zabytkowego budynku, widać było w jej uchu naturalnej wielkości klips, identyczny z tym, na który rzucił się wczoraj ważny osobnik. Mając za nią w głębi postać mogła być czarnym facetem. Na dwóch pozostałych czarny facet znajdował się przy jej boku, przy czym raz pierwszy plan stanowiła fontanna, drugi zaś wewnątrz poczty. Wnętrze poczty wyszło nie najlepiej,

ale za to prezentowało scenę w głębi niezwykle frapującą. Anita oglądała się do tyłu, a czarny facet zamykał skrytkę pocztową, której numer dawało się odczytać. Pan Muldgaard popukał w to palcem.

- Dłgie roki - rzekł. - Mrowie lata, mnóstwo, tajne miejsce, mnogo osoby poszukiwały. Żadna nie znalaznęła. Dziś wyjawione, stoi otworem, tamże niewymownie pożyteczna dokumenta.

- Powinna była także zabić Stefana, chociażby przez zemstę - zauważyła Zosia. - To on przecież tak trafił z tym zdjęciem...

Pan Muldgaard popukał palcem w podobiznę klipsa.

- Ten dom, była w niego zbrodnia onego dnia. Ozdoba znaleziono tamże. Druga ozdoba tu.

- Aż dziw bierze, że wszystkie podejrzzenia nie padły na mnie - mruknęła Alicja.

- Ten oto - ciągnął pan Muldgaard, wskazując czarnego faceta - wielce ważna osoba do podła robota. Bardzo wielce ważna! Wspólna pracownik dama ta oto. Pani wie! - dodał, wskazując z kolei Alicję. - Pani oglądała widoki, dama była inne miejsce wieść oficjalna, inne miejsce wieść nieoficjalna, prawdziwa.

- No tak - przyznała Alicja. - Fakt, widziałam ich razem, Anitę i tego Greka, we Florencji i w Rzymie. Wiedziałam, że ona wtedy siedziała przeszło pół roku w Izraelu...

- Nie - przerwał pan Muldgaard. - W Grecja.

- W Grecji? Mówiła, że w Izraelu... Do Włoch wpadła na początku tego pobytu i akurat się na mnie natknęła. Prosiła, żeby o tym nikomu nie mówić, bo jej to może zaszkodzić służbowo. Skąd miałam wiedzieć, że to o to chodzi? A w ogóle o tym zapomniałam. W końcu co mi za różnica, czy Anita jest w Grecji, czy w Rzymie...

- Bardzo ogromna różnica. Pani lekkie ważenie pokazała...

- Nie rozumiem dwóch rzeczy - wtrąciła Zosia.

- Po pierwsze, skąd Edek o tym wiedział, a po drugie, dlaczego ona to robiła. To znaczy współpracowała z tym facetem. Zwariowała czy co? Co ją obchodzi handel narkotykami?! Przecież nawet zarobku z tego nie miała!

- Wielkie miłowanie - wyjaśnił pan Muldgaard smutnie. - Było wiadomo, dama odczuwała wielkie miłowanie do ów ten Grek.

- Anita?! Niewiarygodne!...

- Istny obłęd z tymi wielkimi miłościami! - zirytowała się Alicja. - Ewa z Rojem robią dramatyczne przedstawienia, Anita z miłości morduje, poszaleli czy co? Ty z miłości przyjeżdżasz nie wtedy, kiedy trzeba... Jakaś epidemia?!

Pokiwałam melancholijnie głową.

- Mówiłam ci, że ty jesteś nieludzko zracjonalizowana - powiedziałam potępiająco i z niesmakiem. - Nie rozumiesz najprostszych rzeczy. Ona przecież zawsze miała fioła na tle brunetów. Jej pierwszy mąż był blondyn, Henryk jest blondyn, jak jej się udało dopaść bruneta, to już go trzymała. Poza tym nie wiadomo, czy brunet jej nie zmuszał.

- Wiadomo - przerwał pan Muldgaard. - Wymaganie wielkie uczynią!. Wielkie pieniądze, nader bogaty jest. Posiada jeden potomek do całego majątek. Dama powiła potomek, ta oto, żaden mariaż, żaden nic, tylko podła praca.

Zdawałoby się, że nic nas już nie powinno zdziwić, ale pan Muldgaard miał widać talent szczególny. Rażone jak obuchem tą informacją wytrzeszczałyśmy na niego oczy. Potomek...? Dość długo trwało, zanim wreszcie udało mu się nas przekonać, że wie, co mówi, że nie popełnia żadnej pomyłki językowej, że to, co mówi, jest prawdą i że Anita przyznała się do wszystkiego. Motywy zbrodni w Allerød powoli

zaczynały się stawać bardziej zrozumiałe.

Przypomniałam sobie liczne rozmowy z Anitą, jakieś jej aluzje, wspomnienia, jakieś zdania, które mnie niekiedy trochę zaskakiwały. Wynikało z nich, że istniała w jej życiu jakaś wielka miłość, nie w pełni odwzajemniona i nad wyraz skomplikowana. Był jakiś facet, dla którego porzuciła swojego pierwszego męża, i sądziłam, że ów facet już dawno znikł z jej życiorysu. Tymczasem, okazuje się, istniał przez cały czas...

- Jeżeli taki potwornie bogaty, to jeszcze mogę to jako tako zrozumieć - powiedziała Alicja jadownicie. - Nie wierzę, żeby Anita do tego stopnia kochała ubogiego...

Przy pomocy pana Muldgaarda mniej więcej odtworzyliśmy wydarzenia.

Z nadmiaru uczuć do faceta Anita zgodziła się z nim współpracować, przy czym wyglądało na to, że rodzaj współpracy był jej całkowicie obojętny. Na jego polecenie poślubiła Henryka, żeby uzyskać duńskie obywatelstwo. Stała się dla niego szczególnie cenna w chwili, kiedy część Europy zamknęła przed nim swoje granice. Jeździła w liczne delegacje, kontaktowała się z mnóstwem osób, przewoziła najcenniejszą kontrabandę, nie budząc żadnych podejrzeń, i ciągle bała się, że zostanie porzucona. Usiłowała go ze sobą związać, urodziła mu syna, wyrzekła się tego syna, oddając go na wychowanie greckiej babce, przesiedziała siedem miesięcy w Grecji, symulując pobyt w Izraelu, żeby tę sprawę załatwić po cichu i w tajemnicy, uczestniczyła w zbrodniach i porwaniach. Facet był bezwzględny i miał nieograniczone wymagania, a ona spełniała je wszystkie. Jej pozycja, jako żony Henryka i duńskiej dziennikarki, była podstawą jej działalności, bała się panicznie, że z chwilą utraty tej pozycji ukochany z niej zrezygnuje. Dogadzała Henrykowi i oszukiwała go wszelkimi siłami.

Jedno głupie zdanie z ust pijanego Edka rujnowało jej całą

egzystencję i obracało wniwecz wszystkie plany i zamierzenia!

- Popadła w amok - stwierdziłam smutnie. - A przy tym weźcie pod uwagę, że po tych poprzednich zbrodniach, które popełniała w jego towarzystwie, jedna mniej, jedna więcej nie robiła jej już różnicy.

- Do tego jeszcze trzeba mieć odpowiedni charakter - zauważyła Zosia z dezaprobatą. - Zawsze byłam zdania, że ona jest nastawiona egoistycznie. Chciała mieć tego faceta i reszta jej nie obchodziła. Z zimną krwią mogła wymordować pół Europy!

- No tak - przyznała Alicja. - Załamała się teraz, bo faceta diabli wzięli. Już on się do niej nie przyzna, to pewne. Tylko skąd Edek o tym wiedział?

- Zaraz - przerwał Paweł. - Anita Anita, a przecież tu był jeszcze facet! To facet przejechał Elżbietę. Kto to był?

- A! - powiedział pan Muldgaard i wyciągnął z sakwojażu niewielką paczkę. - Epidemia panuje na pamięć. Dama od przejechany winna rozpoznać. Wszystkie osoby ja proszę świadki!

Z doskonałą obojętnością i bez chwili wahania Elżbieta z dziesięciu zademonstrowanych jej rękawiczek wybrała jedną. Pan Muldgaard kiwnął głową.

- Zgadza się - rzekł. - Jest to wspólny pracownik, mała flądra...

- Jaka znowu flądra, jak rany? - szepnął z rozpaczą Paweł.

- Płotka - mruknęła wyjaśniająco Alicja.

- Nędzarna osoba do podła pomoc. Posiadamy jego. Złapano.

- A! Taki podrzędny pomocnik do mokrej roboty?

Po pewnym namyśle pan Muldgaard zgodził się na to określenie. Po nieco dłuższym namyśle zdradził nam, że Anita została odesłana na badania psychiatryczne do szpitala i ostatecznie jedna osoba będzie mogła się z nią zobaczyć.

- Idź ty! - powiedziały natychmiast do mnie Zosia i Alicja. - Może od niej się dowiesz, skąd, u diabła, Edek o tym wiedział!

Odczekawszy niezbędny okres, zdecydowałam się ją odwiedzić. Debaty i rozważania, czy to ma sens, czy w ogóle wypada odwiedzić sprawczynię tylu zbrodni, czy nie wypadnie to jak rodzaj aprobaty dla jej poczynań, czy nie będzie nietaktem i czy wobec tego nie należałoby udawać, że się o niczym nie wie, doprowadziły do tego, że w końcu nie wiedziałam, komu składam wizytę. Zakamieniałej zbrodniarce czy osobie ciężko chorej. Wszystko razem wydawało mi się dość przygnębiające.

Anita, która już przysłała do siebie i otrząsnęła się z chwilowego szoku, w mgnieniu oka rozproszyła ponury nastrój.

- Głupie jesteście wszystkie - oświadczyła beztrąsko - Nie mam nic przeciwko Alicji i bardzo ją lubię. Wcale nie chciałam jej zabić.

Zbaraniałam na to nieco i wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Tylko co, na litość boską? Chciałaś jej zrobić przyjemność, usuwając jej z domu nadmiar gości?!

- To też dla niej pewna korzyść, nie? Ale niezupełnie o to mi chodziło. Teraz już ci mogę powiedzieć. Nie chciałam jej zabić, ale musiałam...

Urwała i westchnęła ciężko. Patrzyłam na nią jak sroka w gnat, a włosy stawały mi dęba na głowie.

- Wiedziałam przecież, że Alicja spotkała mnie we Florencji i że robiła te swoje idiotyczne zdjęcia. Wiedziałam, że da się na nich rozpoznać Andrzeja...

- Chryste Panie, jakiego Andrzeja...?!

- Mojego... jak by tu powiedzieć... No, tego mojego. On ma na imię Andreas. To są jedyne zdjęcia, na których jest ze mną, sama rozumiesz, że musiałam je wydostać. To ja ukradłam tutejszej policji jego fotografię, z

tym że z policją było łatwiej, bo oni to mają uporządkowane. U Alicji w żaden sposób nie można nic znaleźć. Musiałam ją zabić, żeby móc spokojnie przeszukać jej dom, a poza tym bałam się, że ona to znajdzie wcześniej i wtedy sobie przypomni. Nie masz pojęcia, ile miałam kłopotu z tymi staraniami, żeby nikogo innego nie skrzywdzić.

- Ale Edka... - zaczęłam i ugryzłam się w język, niepewna, czy to nie będzie zbyt duży nietakt. Anita znów westchnęła.

- Przy Edku trochę straciłam głowę - wyznała ze skruchą. - Chciałam go uciszyć i nie wiedziałam jak. Chyba jednak za dobrze mi wyszło... Chciałam jej także rąbnąć kalendarz z tamtego roku. Doskonale wiem, że Alicja ma wszystko pozapisywane w kolejnych kalendarzach i bez nich niczego sobie nie skojarzy...

Dziwne niedołęstwo mordercy i nadmiar szczęśliwych przypadków wreszcie stały się dla mnie zrozumiałe. Oszołomiona zgrozą, ucieszyłam się, że Anita przejawia jednak jakieś ludzkie cechy. Nikogo innego nie chciała skrzywdzić... Bez oporów odpowiadała na moje zachłanne pytania, oświadczyła, że o wiadomościach Edka nic nie wie i sama się dziwi, po czym kazała mi przeprosić Alicję za nastawanie na jej życie,

- A w ogóle to sama rozumiesz, że ja jestem wariatka - powiedziała w końcu stanowczo. - Zapewniam cię, że zdrowe zmysły straciłam na zawsze i żadna ludzka siła mnie nie wyleczy. Nic mi nie zrobią...

Owszem, to miało sens. Duński wymiar sprawiedliwości wychodzi z założenia, że każdy zbrodniarz jest szmyrgnięty, i znacznie chętniej kieruje na leczenie niż zamyka w więzieniu. Sama byłabym skłonna mniemać, że ona jest chora psychicznie, gdyby nie ta bezbłędnie wybrana linia obrony.

Anita zamyśliła się na chwilę, westchnęła jeszcze raz i dodała:

- Ale życie mam jednak zmarnowane... Słuchaj, zrób mi

przyjemność. Powiedz mi, gdzie ona to trzymała?

- W pralni, na placu Świętej Anny - odparłam, wytrącona z równowagi rozważaniem jej cech umysłu i charakteru. - W ogóle nie wiedziała, że to ma, i gdyby nie Herbert... i nie remont poddasza, i nie skrupulatność naszych byłych dobroczyńców. Słuchaj, a pani Hansen? Chciałaś ją zabić dlatego, że cię poznała?

Zgłupiałaś chyba, po cóż miałabym zabijać niewinną staruszkę? Wcale mnie nie poznała, ale pchała się do pokoju i poznałaby za pięć minut. Musiałam temu jakoś zapobiec, prawda? Gdybym wiedziała, że to jest na placu Świętej Anny...! Ta Alicja jest jednak naprawdę nieobliczalna!...

* * *

W dwa dni później przyszedł list od ciotecznej siostry Edka, jedynej krewnej, która przejęła spadek po nim. List zawierał w środku drugą kopertę i wyjaśnienie, że koperta owa znajdowała się w kieszeni starej marynarki, zaadresowana była do Alicji, siostra wysłała ją zatem z nadzieją, że jest to zgodne z zamierzeniami nieboszczyka.

Koperta wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Zalana była czymś, co zidentyfikowałyśmy jako słodką wiśniówkę, fusy od kawy i ocet ze śledzi, i bardzo pognieciona. Wewnątrz znajdował się list prezentujący się nie lepiej niż koperta.

- Musiał być strasznie pijany, jak to pisał - powiedziała Alicja z troską. - Nic nie można odczytać.

Bazgroły tworzyły jedno kłębowisko, zachodziły na siebie, gdzieniegdzie były rozmazane i stanowiły plątaninę prawie nie do rozszyfrowania. Po długich wysiłkach stwierdziłyśmy wreszcie, że zawierają odpowiedź na nasze pytanie. Z oderwanych słów, nie

dokończonych zdań i różnych znaków przestankowych udało nam się zrozumieć, że Edek spotkał znajomego z okresu, kiedy sam błąkał się po świecie, i w trakcie dwutygodniowego oblewania spotkania wykrył przypadkowo jego tajemnicę. Był zdania, że facet jest szpiegiem, bo przed laty nosił inne nazwisko. Zorientował się, że korzysta potajemnie z własnościowej warszawskiej kawalerki Anity, do której ma klucz, i wysłuchał nader cynicznych zwierzeń na temat zakochanej kobiety. Przyjaciel młodości, pewny Edka, nie krył, iż nie odwzajemnia uczuć owej damy, wykorzystuje ją, wrabia i naraża, zdecydowany zerwać z nią wszelki kontakt z chwilą, kiedy stanie się nieprzydatna. Rodzaju swojej pracy nie zdradził, pozwalając Edkowi trwać przy podejrzeniu go o szpiegostwo. Część pogmatwanej epistoły zawierała wyrzuty sumienia, wahania i bicia się z myślami, wobec kogo powinien zachować lojalność. Wobec Alicji, której grozi kompromitacja w razie ujawnienia afery, czy wobec kumpla, któremu nic nie grozi w razie zerwania przez Alicję znajomości z podejrzaną osobą.

- Prawdopodobnie napisał to wszystko po pijanemu - powiedziała Alicja. - Włożył do koperty, kopertę wetknął do kieszeni i zapomniał o niej. I potem napisał drugi raz na trzeźwo.

- To jednak Anita miała rację, bojąc się, że ją od byle czego puści kantem - zauważyłam. - Wyjątkowo antypatyczna postać. Słusznie nie lubię takich typów.

- Dziwię się, że tak chlapał jęzorem przed pijanym Edkiem - powiedziała Zosia z niesmakiem. - Jakiś lekkomyślny półgłówek.

- Nie wiedział, że Edek zna Anitę - mruknęła Alicja, wciąż studiując bazgroły. - Nie wiedział nawet, że Edek zna mnie, a w ogóle to ja go nic nie obchodziłam. Tak to tutaj wygląda.

- Nie tylko - uzupełniłam. - Weźcie pod uwagę, że to było w Polsce. Zbytu na narkotyki u nas nie miał, robił najwyżej jakieś drobne handlowe

interesy. Bezpieczny kraj dla niego. Spotkał przyjaciela, przyjaciel alkoholik wydał mu się nieszkodliwy, bo rzeczywiście, gdyby Edek nie znał ciebie, byłby dla niego absolutnie nieszkodliwy... Urznął się i zwierzał mu się z prywatnych problemów uczuciowych...

- Zaczyna mi być trochę żal tej Anity. Chociaż, uczciwie mówiąc, ona na żal nie zasługuje...

Elżbieta, kulejąca już bardzo nieznacznie, przyszła z pożegnalną wizytą. Zaraz po niej nadszedł Thorsten, wypuszczony przed kilkoma dniami ze szpitala. Równocześnie zadzwoniła Ewa, oznajmiając, że czuje się doskonale i wyjdzie za tydzień. Reszta ofiar była w przededniu całkowitego wyzdrowienia. Opanował nas nastrój radosnej beztroski, widmo zbrodni znikło z horyzontu, uroczy domek w Allerød i kwitnące w ogródku dale na nowo nabrały właściwego im charakteru. Wydawało się wręcz niemożliwe, żeby tak długo mogły stanowić miejsce krwawych dramatów!

- No, moi drodzy - powiedziała Alicja w szampańskim humorze. - Nadeszła chyba okazja, żeby otworzyć tego napoleona! Biała Glista i Bobuś wyjechali, prawdopodobnie na wieki, Ewa jest niewinna i żyje, wy żyjecie, tamci żyją, ciocia nie ma pretensji, a za samochód zwracają mi pełną cenę. Lepiej nie będzie!

Zgodnie i z zapalem przyznaliśmy jej rację.

- Żadnych więcej zwłok! - westchnęła Zosia z bezgraniczną ulgą. - Co to za przyjemność pomyśleć, że ta rzeź się wreszcie skończyła!

Atmosfera rodzinnej tkliwości, jaka zapanowała w obliczu dwóch obecnych cudem uratowanych ofiar, sprawiła, że stłoczyliśmy się wszyscy przy jadalnym stole obok kuchni, lekceważąc salonowy stół przed kanapą. Alicja zaparzyła wyjątkowo dobrą kawę. Wszyscy razem zażądali ode mnie jeszcze raz relacji z wizyty u morderczyni i wyjaśnienia resztek

szczegółów jej działalności.

- Niech ja się wreszcie dowiem, dlaczego stała tam, na ścieżce, z tym kopytem w garści - powiedział Paweł. - Ciągłe tego nie rozumiem.

- Jak to, jeszcze ci nie powiedziałam?... Bała się, że zostanie zrewidowana. Chciała zastrzelić Alicję przez okno, ale jej przeszkodziłeś, i potem nie miała co zrobić z pistoletem. To ten sam, z którego strzelała do pani Hansen. Wolą go trzymać w ręku jako znaleziony niż żeby ktoś znalazł w jej torebce. Nie mogła wyrzucić, bo nie była pewna, czy tam nie ma jej odcisków palców, a nie zdążyła porządnie wytrzeć.

- A sztylet? Ten od Edka?

- Wyrzuciła z samochodu przez okno w drodze powrotnej do domu. Henryk nie zauważył. To właściwie był raczej nóż sprężynowy niż sztylet, tylko z takim specjalnym ostrzem. Do pani Hansen strzelała z ukrycia, nie miała innego sposobu na to, żeby uciec nie rozpoznana.

- Instalację w szafce też sama zrobiła?

- Nie, to ten pomocnik. Ten kudłaty, który pilnował, jak strzygła żywopłot. A propos, miała do ciebie ciężką pretensję, że ten żywopłot był taki zapuszczony... Miał perukę, przyprawioną brodę, wąsy i w ogóle co popadło...

- Żywopłot...?!

- Nie, pomocnik. Ona zresztą przeszła specjalne przeszkolenie u boku ukochanego absztyfikanta, świetnie umiała strzelać, nauczyli ją nawet rzucać nożem. A w ogóle to widziała, jak znalazłaś ten klips, wtedy na poczcie we Florencji, dopiero wtedy zauważyła, że zgubiła i drugi, domyśliła się gdzie. Już nie mogła się do niego przyznać i od tamtego czasu żyła w stanie zdenerwowania.

- I tego klipsa tak szukała?

Wypiłam odrobinę koniaku, zanim odpowiedziałam, i przez tę

chwilę ciszy, bo wszyscy siedzieli wpatrzeni we mnie w nabożnym skupieniu, usłyszałam jakiś dźwięk, niezbyt głośny. Coś jakby kapnęło.

- Klipsa też. Także zdjęć z Florencji. Wiedziała, że jeśli zabierze te rzeczy, Alicja sobie nigdy w życiu niczego nie przypomni i niczego nie udowodni.

Kap...

- Nie rozumiem wobec tego, po co się uparła mnie zabić - powiedziała Alicja z lekkim roztargnieniem, nastawiając ucha.

- Bo jesteś jedyną osobą, która mogła rozpoznać faceta i widziała ich razem. Ona chyba od początku postanowiła udawać wariatkę.

Kap...

- Coś cieknie - powiedziała Zosia. - Ja też tak uważam. Paweł, dokręć kran.

- Dokrecony.

Kap...

Zamilkliśmy wszyscy.

Kap...

- Gdzie to kapie? - zaniepokoiła się Alicja. - W łazience?

Kap...

- Nie, jakby w wychodku...

Kap...Kap...Kap...

Tempo kapania wzrosło. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie i usiłując zlokalizować dźwięk.

Kap...Kap...Kap...

Paweł spojrzał nagle na uchylone drzwi korytarzyka, podniósł się i zajrzał.

- To tu - powiedział i zapalił światło. I zamarł, wpatrzony w głąb z

bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

Zerwaliśmy się wszyscy.

Kap...Kap...Kap...Kap...

Z krawędzi klapy na antresolę kapą ciurkiem gęsta, ciemnoczerwona ciecz. Na podłodze rozlana była powiększająca się kałuża. Na ścianę chlapały czerwone bryzgi...

Krzyk Zosi zabrzmiał straszliwie. Zasłaniając sobie oczy, rzuciła się w tył, omal nie przewróciła Thorstena, padła na poręcz fotela.

- Nie...!!! Na litość boską, już nie...!!! Miał być koniec...!!!

- Przecież Anita jest zamknięta...! - powiedziała Alicja w niebotycznym oszołomieniu, tonem całkowitego osłupienia.

Trwaliśmy w wejściu do korytarzyka wpatrzeni w potworne zjawisko, niezdolni do myślenia i działania. Pierwsza oprzytomniała Elżbieta.

- Obawiam się, że trzeba tam zajrzeć - powiedziała z westchnieniem. - Chyba że wolicie poczekać na policję. Ale mnie się wydaje, że to musi być świeże...

- Boże...!!! - jęknęła ochryple Zosia.

- Kto...?! - spytała rozpaczliwie Alicja. - Na litość boską, kto tym razem...?!!!

- Na antresoli...? - powiedziałam z powątpiewaniem, czując, jak lodowate zimno przechodzi mi w środku w nieznośne gorąco. - Wlazł sam czy został wepchnięty...?

- To jest w ogóle niemożliwe - powiedział zdenerwowany Paweł. - Chyba rzeczywiście trzeba zadzwonić po tego policjanta...

Pana Muldgaarda nie było ani w domu, ani w miejscu pracy, ani w ogóle nigdzie. Po krótkiej, nerwowej naradzie zdecydowaliśmy się zajrzeć sami. Może ten ktoś jeszcze żyje...?

Starannie i z wyraźnym obrzydzeniem omijając kałużę, Alicja ustawiła drabinkę. Włazł na nią dobrowolnie Thorsten, najmniej z nas wszystkich wyczerpany psychicznie. Uniósł ostrożnie klapę, w drugiej ręce trzymając latarkę, i zajrzał. Z góry pociekł strumień ciemnoczerwonej cieczy, mocniej rozbryzgując kałużę po ścianach.

Wzdrygnęliśmy się wszyscy ze zgrozą i wstrętem, bez tchu wpatrując się w czarny otwór. Thorsten poświecił latarką.

- Za kuferkiem - powiedział grobowo, co Alicja odruchowo przetłumaczyła od razu.

Skinął na Pawła i wręczył mu latarkę, gestem polecając sobie przyświecać. Włazł górną częścią ciała w otwór, z pewnym wysiłkiem coś przesunął, odebrał Pawłowi latarkę i przez chwilę świecił w ciemną czeluść, przyglądając się czemuś z uwagą.

- Nie wiem, co to jest - powiedział po angielsku, zniżając z drabinki. - Alicja, ja myślę, że to twoje. Wyszło wszystko, zobacz sama.

- O rany boskie! - powiedziała Alicja dziwnym głosem i czym prędzej wlazła na drabinkę. Zapaliła latarkę i zajrzała.

- No tak - powiedziała po chwili milczenia. - Cały sok wiśniowy szlak trafił! Słój pękł. Jak wpychałam ten kuferek, to coś pękło, czułam to, ale nie miałam czasu sprawdzać. Zupełnie zapomniałam, że on tam stoi...

Przez chwilę wyglądało na to, że Zosia zareaguje zgodnie z zapowiedzią i będziemy mieli nowe, prawdziwe zwłoki, tym razem wreszcie Alicji. Na szczęście w mgnieniu oka opadła z sił.

- Czy nic więcej nie masz w domu...?! Czy ja nie mogę oglądać niczego w innym kolorze, tylko wszystko czerwone?!!! Do cholery, do diabła, zielone, fioletowe, niebieskie...? Ja już nie zniosę więcej czerwonego!!!

Uspokajający płyn szczęśliwie mieliśmy pod ręką. Nie było to

czerwone wino, Zosia zatem napiła się bez oporu i nawet dość zachłannie.

- I pomyśleć, że Dania to jest podobno spokojny kraj - powiedziała z rozgoryczeniem. - Nawet nudny!... I ja tu przyjechałam spędzić urlop w spokojnym, nudnym kraju...!

- No to przecież nie u Alicji... - powiedział bardzo rozsądnie Paweł.

Thorsten zaproponował dokładne przeszukanie domu w celu upewnienia się, że nigdzie nie pozostał żaden relikwyt niedawnej krwawej przeszłości. Przy okazji znaleźliśmy pod kanapą zagubioną zapalniczkę Anity. Alicja wepchnęła pod łóżko swój czerwony szlafrok, usuwając go sprzed oczu Zosi...

Zrezygnowałam ostatecznie z zakupu polędwicy wołowej niezwyklej urody, którą zamierzałam nabyć w ostatniej chwili, żeby usmażyć z niej befsztyki natychmiast po powrocie do Polski. Zrezygnowałam nie tylko dlatego, że mogłaby nie wytrzymać drogi, ale też i dlatego, że musiałabym starannie ukrywać ją przed Zosią. Gdyby ją niespodziewanie ujrzała, na przykład przy okazji kontroli celnej, nie wiadomo, jaki byłby skutek...

Już na dworcu, w ostatniej chwili, odprowadzająca nas Alicja przypomniała sobie jeszcze jedną wątpliwość.

- Ty, słuchaj - powiedziała podejrzliwie. - Skąd oni właściwie wzięli to zdjęcie?

- Które zdjęcie?

- Tego czarnego gacha Anity. Miałam nadzieję, że sobie tego nie przypomni i nie będzie mnie pytać. Wiedziałam, oczywiście, skąd pochodziła upragniona przez duńskie gliny, a rąbnięta niegdyś przez Anitę podobizna. Nie na darmo ostatni list do Polski wysłałam ekspresem. Nie miałam najmniejszej ochoty teraz tego wyjaśniać, bo nie przewidując zaszłych w Allerød wydarzeń, nie uzgodniłam wcześniej z blondynem mego życia, co mogę mówić, a co powinnam utrzymać w

tajemnicy. Na wszelki wypadek wołałam zatem nie mówić nic i pozostawić Alicję w przekonaniu, że tym razem znalazł się przy moim boku zupełnie zwyczajny facet.

Postawiłam nogę na stopniu wagonu, Zosia i Paweł byli już w środku.

- Słyszałaś przecież, dostali z Polski, przesłane tą naukową metodą, co to wiesz, kropki lecą...

- Ty mi tu nie mąć kropkami. Kto im to przysłał? Nie prosili o nie, bo im to przecież nie przyszło do głowy. Tam u nas siedzi kolektyw jasnowidzów?

Postawiłam na stopniu także i drugą nogę i weszłam wyżej do wagonu.

- No, nie... Chyba nie. Możliwe, że się orientowali, że to się tutaj przyda, a mieli przypadkiem... On tam robił interesy, nasze władze lubią wiedzieć, kto u nas robi interesy, szczególnie nielegalne...

Alicja spojrzała na mnie bystro.

- Pisałaś, zdaje się, listy? O tym, co się tu dzieje?

- Pisałam, bo co?

Alicja przyglądała mi się z wielką uwagą. Zaczęłam nabierać obaw, że realizacja zamiarów cokolwiek mi nie wyszła.

- Słuchaj no, kto to jest właściwie ten twój...?

- Taka jesteś genialna w skojarzeniach, jak nie ma po co - powiedziałam z niesmakiem. - Jak trzeba było dedukować w obliczu zbrodni, to cię nie było...

- Nie kręć. Kto to jest?

Uznałam, że ona jest stanowczo za inteligentna, jak na moje niektóre potrzeby.

- Jeden taki...

- To on załatwił wysłanie zdjęcia, tak? I on miał ten tajemniczy interes do Edka? Jemu było potrzebne nazwisko hochsztaplera, co?

- A nawet jeśli tak, to co?

- To kto to jest, do diabła?! W coś ty się tym razem wplątała?’

W tym momencie, na szczęście, pociąg ruszył.

- W nic takiego! - zawołałam z satysfakcją, wychylając się przez drzwi. - To jest bardzo długa i skomplikowana historia! Zupełnie inna, której dalszy ciąg dopiero nastąpi! A co było do tej pory, to ci opowiem przy okazji!

Konduktor zatrzasnął drzwi wagonu...

koniec

(dalszy ciąg prawdopodobnie nastąpi)